

MARY BALOGH

NAJPIERW ŚLUB

Przekład Aleksandra Januszewska

PROLOG

Warren Hall w Hampshire, który od pokoleń był główną wiejską siedzibą hrabiów Merton, otaczał rozległy park cieszący oko pięknymi widokami. W jego oddalonym od rezydencji zakątku stała mała kaplica przeznaczona teraz niemal wyłącznie na rodzinne śluby, chrzciny i pogrzeby, jako że regularne nabożeństwa odprawiano w wiejskim kościele. Było to malownicze miejsce, zwłaszcza wiosną i latem, kiedy wśród liści na drzewach pojawiały się pąki, zieleniła się trawa, a kwiaty rosły na klombach po obu stronach ścieżki wiodącej do kaplicy.

Ale teraz, na początku lutego, było jeszcze za wcześnie nawet na przebiśniegi i pierwiosnki. Padał deszcz. Chłodny wiatr kołysał nagimi gałęziami na tle ołowianego nieba. W taki dzień ludzie woleli zostać w domu, chyba że jakaś bardzo pilna sprawa zmuszała ich do wyjścia.

Mężczyzna, który stał na cmentarzyku przed kaplicą, wydawał się niewrażliwy na zimno i deszcz. I nie podziwiał widoków. W rękę trzymał cylinder, a ciemne, długie włosy przykleiły mu się do czoła. Woda spływała strumykami po twarzy i szyi, wsiąkając w materiał długiego czarnego płaszcza do konnej jazdy. Wszystko w nim wydawało się czarne. Może z wyjątkiem twarzy. Ale i jej ciemna karnacja sprawiała, że nie wyglądał na Anglika.

W tym otoczeniu wyglądał złowieszczo.

Był młody, wysoki i szczupły. Jego pociągła twarz, z wysokimi kośćmi policzkowymi, bardzo ciemnymi oczami i nosem, który po złamaniu nie został widać dobrze nastawiony - miała wyraz zbyt dziki i surowy, aby nazwać go przystojnym. Malowała się na niej chłodna zaciętość. Miarowo uderzał szpicrutą w udo.

Gdyby ktoś tędy przechodził, z pewnością ominąłby go z daleka.

Nie było jednak nikogo, tylko koń pał się w pobliżu, obojętny na zimno i deszcz.

Mężczyzna stał przed jednym z grobów - najświeższym, choć zimowy chłód i wiatr upodabniały go już do sąsiednich mogił. Tylko szary kamień nagrobka wydawał się nowy.

Oczy mężczyzny utkwily w przedostatniej linijce napisu: „W wieku szesnastu lat”. I pod spodem: „Niech spoczywa w pokoju”.

- Znalazł człowieka, którego szukał, Jon - powiedział cicho. - A najdziwniejsze, że ty byłbyś zachwycony i szczęśliwy, prawda? Chciałbyś go poznać, zaprzyjaźnić się z nim, pokochać. Nikt jednak nie pomyślał, żeby go szukać, dopóki nie umarłeś.

Twarz mężczyzny wykrzywiła się w grymasie przypominającym uśmiech.

- Kochałeś wszystkich bez wyjątku - szepnął. - Kochałeś

nawet mnie. Zwłaszcza mnie.

Popatrzył w zamyśleniu na kopczyk ziemi. Sześć stóp pod nim spoczywał jego brat.

W szesnaste urodziny Jona, które obchodzili we dwóch, urządzili sobie ucztę z jego przysmakami - tartą z kremem i ciastem owocowym; grali w karty i bawili się w chowanego całe dwie godziny, dopóki Jon się nie zmęczył i nie zaczął śmiać tak głośno, że można go było znaleźć bez trudu. Godzinę później, leżąc już pod kołdrą, uśmiechał się uszczęśliwiony, zanim brat udał się do swojej sypialni.

- Dziękuję za cudowne przyjęcie urodzinowe, Con - powiedział niedawno zmienionym, niskim głosem. - Najlepsze, jakie dotąd miałem. - Powtarzał to co roku. - Kocham cię, Con - dodał, kiedy brat pochylił się, by zdmuchnąć świecę. - Kocham cię bardziej, niż kogokolwiek na całym, wielkim świecie. Kocham cię na zawsze. Na wieki wieków. Amen. - Zachichotał. - Jutro znowu się pobawimy?

Kiedy jednak brat zajrzał do niego następnego ranka, żeby zażartować, że śpi tak długo, mimo że skończył szesnaście lat i jest już niemal starcem, zastał Jona zimnego. Nie żył od wielu godzin.

To był straszliwy szok.

Ale nie zaskoczenie.

Takie dzieci jak Jon, o czym lekarz ostrzegł ojca wkrótce po jego przyjściu na świat, zwykle nie dożywały dwunastu lat. Miał dużą głowę i mongoidalne rysy. Był pulchny i niezgrabny. Uczył się z trudem najprostszycy umiejętności, które inne dzieci nabywały łatwo już we wczesnym dzieciństwie. Myślał powoli, ale na pewno nie był głupi.

Rzecz jasna, prawie wszyscy, którzy go znali, włącznie z jego własnym ojcem uważali, że jest niedorozwinięty.

Było jednak coś, w czym niezaprzeczalnie celował. Kochał. Zawsze i bezwarunkowo.

Do końca świata. Na wieki wieków.

Amen.

A teraz nie żył.

A Con mógł nareszcie opuścić dom. Wyjeżdżał przedtem wiele razy, ale nigdy na długo. Zawsze ciągnęło go z powrotem, zwłaszcza że w Warren Hall nikt nie miał cierpliwości, by poświęcić Jonowi trochę czasu i uszczęśliwić go, choć to było proste. Poza tym Jon zawsze martwił się, kiedy zbyt długo nie widział brata, i zamęczał wszystkich, nieustannie dopytując się, kiedy wreszcie wróci.

A teraz zbliżała się wiosna i nic go tu nie trzymało.

Tym razem wyjedzie na dobre.

Dlaczego tak długo zwlekał? Dlaczego nie wyjechał dzień po

pogrzebie? Dlaczego przychodził tu każdego zimowego dnia? Brat już go nie potrzebował.

Czy to on potrzebował umarłego?

Uśmiechnął się gorzko.

Nie potrzebował nikogo ani niczego. Całe życie pielegnował w sobie to przekonanie. Wymagał tego instynkt samozachowawczy.

Spędził tutaj większą część życia. Matka i ojciec, którzy wychowali swego pierworodnego, leżeli w grobach tuż za Jonem. Nie patrzył w ich stronę. Leżeli tam również liczni bracia i siostry, którzy wszyscy zmarli we wczesnym dzieciństwie - przeżył tylko on, najstarszy, i Jon, najmłodszy. Cóż za ironia losu. Przeżyli dwaj niechciani.

A teraz odszedł także Jon.

Wkrótce ktoś inny zajmie jego miejsce.

- Dasz sobie radę beze mnie, Jon? - zapytał cicho.

Pochylił się i ręką, w której trzymał szpicrutę, dotknął nagrobka. Był zimny, wilgotny i twardy.

Usłyszał, że zbliża się jakiś jeździec - jego koń zarżał na powitanie. Zacisnął szczęki. To musi być on. Nie może go zostawić w spokoju nawet tutaj. Con stał nieruchomo, nie zaszczylił przybysza spojrzeniem.

Ale odezwał się głos inny, niż się spodziewał.

- Tutaj jesteś, Con - zawołał przybysz wesoło. - Powiniennem był się domyślić. Wszędzie cię szukałem. Nie przeszkadzam?

- Nie. - Con odwrócił się, żeby spojrzeć na Phillipa Graingera, sąsiada i przyjaciela. - Przyszedłem tutaj, żeby podzielić się z Jonem dobrą nowiną. Poszukiwania okazały się skuteczne.

- Och. - Phillip nie zapytał, jakie poszukiwania. Poklepał konia po szyi, żeby go uspokoić. - Cóż, to było chyba nieuniknione. Ale w taką piekielną pogodę trudno stać na dworze. Chodź pod Trzy Pióra, postawię ci kufel piwa. Może dwa. Albo dwadzieścia. Ty możesz postawić dwudziesty pierwszy.

- Takiej propozycji się nie odmawia. - Con włożył cylinder, gwizdnął na konia i wskoczył na siodło.

- A zatem wyjeżdżasz? - zapytał Phillip.

- Otrzymałem już rozkazy - odparł Con, uśmiechając się drapieżnie. - Mam wyjechać w ciągu tygodnia.

- Ach, tak - skrzywił się Phillip.

- Ale tego nie zrobię - dodał Con. - Nie dam mu tej satysfakcji. Wyjadę, kiedy sam uznam za stosowne.

Zostanie wbrew własnym chęciom i wbrew wyraźnemu poleceniu, aby sprawić kłopot. Postępował tak od roku z widocznym powodzeniem.

W gruncie rzeczy postępował tak zawsze. To był

najpewniejszy sposób, żeby przyciągnąć uwagę ojca. Dziecinne zachowanie, jeśli się nad tym zastanowić.

Phillip zachichotał.

- A niech to - powiedział. - Będzie mi ciebie brakowało, Con. Chociaż mógłbym weselej przeżyć dzisiejsze przedpołudnie, zamiast uganiać się za tobą po okolicy.

Odjeżdżając, Con odwrócił się, żeby po raz ostatni spojrzeć na grób brata.

Zastanawiał się, czy po jego odjeździe Jon nie będzie samotny.

I czy on nie będzie samotny.

W Shropshire wśród mieszkańców wsi Throckbridge i jej okolic w promieniu pięciu mil na jakiś tydzień przed dniem czternastego lutego zapanowało podniecenie. Ktoś - nie dało się dokładnie ustalić kto, choć kilka osób przypisywało sobie tę zasługę - poddał myśl, żeby w gospodzie urządzić bal z okazji dnia świętego Walentego, bo od świąt Bożego Narodzenia upłynęły wieki, a do lata - i dorocznego balu w Rundle Park - pozostało jeszcze mnóstwo czasu.

Kiedy padła ta propozycja - ze strony pani Waddle, żony aptekarza, pana Moffetta, zarządcy sir Humphreya Dew, panny Aylesford, niezamężnej siostry proboszcza, czy też jeszcze kogoś innego - nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego nigdy wcześniej o tym nie pomyślano. Teraz jednak żaden z mieszkańców nie miał wątpliwości, że zabawa w walentynki stanie się dorocznym wydarzeniem.

Wszyscy uważali, że to znakomity pomysł, nawet - a może szczególnie - dzieci, choć za małe, żeby, mimo gwałtownych protestów, wziąć udział w balu. Najmłodszą uczestniczką miała być piętnastoletnia Melinda Rotherhyde. Pozwolono jej na to, ponieważ nie było komu zostać z nią w domu. Poza tym, jak dodawało kilka krytycznych głosów, Rotherhydowie zawsze pozwalali swoim latoroślom na zbyt wiele.

Najmłodszym chłopcem miał być Stephen Huxtable, pomimo swoich zaledwie siedemnastu lat ulubieniec wszystkich kobiet. Melinda także wzdychała do niego. Przed trzema laty matka zakazała jej wspólnych zabaw ze Stephenem, uznając, że nie wypada, aby dziewczyna w jej wieku przebywała tyle czasu na osobności z dorastającym chłopakiem.

W dniu balu padał deszcz, ale nie wydarzyło się nic gorszego mimo ponurych prognoz starego pana Fullera, który, trzęsąc głową, tydzień wcześniej przepowiedział, że spadnie sześć stóp śniegu. Sale na piętrze gospody zostały odkurzone i zamiecione, w uchwytych na ścianach znalazły się nowe świece, rozpalono ogień w dużych kominkach oraz sprawdzono, czy fortepian jest dobrze nastrojony - chociaż nikt się nie zastanawiał, co by zrobiono, gdyby nie był, jako że stroiciel mieszkał w odległości dwudziestu mil. Pan Rigg nastroił skrzypce i zagrał, żeby rozgrzać palce i sprawdzić akustykę. Kobiety naznosiły jedzenia jak dla pułku wojska - jak twierdził pan Rigg, który zabrał się do próbowania tarty z dżemem i serów, aż synowa dała mu po łapach i to wcale nie na żarty.

W całej wsi dziewczęta upinały fałdy spódnic, zakręcały loki i dziesięć razy zmieniały zdanie co do sukni, w jakiej miały wystąpić na zabawie, po czym decydowały się na tę, którą wybrały na samym początku. Prawie wszystkie niezamężne

kobiety przed trzydziestką - a także niektóre w bardziej zaawansowanym wieku - marzyły o świętym Walentym, a raczej o romansie, jaki mógł im przynieść ten dzień, gdyby tylko...

Gdyby tylko ni stąd, ni zowąd pojawił się jakiś Adonis i podbił ich serce. Albo gdyby chociaż jakiś miły sąsiad w tańcu zwrócił uwagę na ich wyjątkowe wdzięki i...

To były walentynki.

Mężczyźni udawali, że całe zamieszanie ich nie dotyczy ani nie obchodzi, ale dopilnowali, żeby przygotowano im strój na wieczór i wyglansowano buty; nie zapomnieli także poprosić wybranych dam o pierwszy taniec. Należało się spodziewać, że w dniu świętego Walentego będą bardziej skłonne do flirtu niż zwykle.

Ci, którym wiek nie pozwalał tańczyć, flirtować czy marzyć o romansie, czekali z przyjemnością na okazję do plotek i grę w karty - oraz na wystawną ucztę, jedną z największych atrakcji wiejskich zabaw.

Tak więc, z wyjątkiem kilkorga niezadowolonych starszych dzieci, niemal wszyscy wyczekiwali wieczoru, z jawnym podnieceniem albo ukrytym entuzjazmem.

Z jednym, znaczącym, wyjątkiem.

- Wiejska zabawa, na miłość boską! - Elliott Wallace, wicehrabia Lyngate, siedział rozparty w fotelu, machając

niecierpliwie przerzuconą przez poręcz nogą. - Czy musieliśmy przyjechać właśnie dzisiaj, George?

George Bowen, który stał przed kominkiem, grzejąc dłonie, uśmiechnął się do płomieni.

- Tańce z wiejskimi pannami nie wydają ci się odpowiednią rozrywką? - zapytał. - A może tego nam właśnie potrzeba, żeby strząsnąć z siebie kurz podróży.

Wicehrabia Lyngate utkwiał wzrok w sekretarzu i przyjacielu.

- Nam? Niewłaściwy zaimek, mój drogi - powiedział. - Może ty odczuwasz potrzebę, żeby przetańczyć całą noc. Ja wolałbym butelkę dobrego wina, jeśli coś takiego można dostać w tej żalosznej imitacji gospody, ogień na kominku i łóżko, jeśli nie dałoby się robić nic ciekawszego. Wiejska potańcówka nie jest, jak sądzę, niczym ciekawszym. Wiem z doświadczenia, że literackie sielanki, w których wiejskie panny są urodziwe, mają obfite biusty i różowe policzki i są chętne, to czyste wymysły, niewarte papieru, na którym je napisano. Będziesz tańczył z matronami o twarzach łasiczek i z ich prostackimi, mizdrzącymi się głupio córkami. Pamiętaj o tym, George. I będziesz prowadził głupie rozmowy z dżentelmenami o umysłach jeszcze mniej bystrych niż sir Humphreya Dew.

To była złośliwość. Sir Humphrey okazał im wiele życzliwości i nigdy nie tracił dobrego humoru. Ale nie robił

wrażenia bystrego.

- A zatem zostaniesz w pokoju? - uśmiechnął się George. - Podłoga przez pół nocy będzie się trzęsła, a dźwięk skrzypiec i śmiechy nie dadzą ci spać.

Wicehrabia Lyngate przygładził palcami włosy, wzdychając przy tym głośno. Nie przestawał machać nogą.

- Nawet to może być przyjemniejsze niż wystawianie się na ludzkie spojrzenia niczym małpa w cyrku - stwierdził. - Dlaczego nie mogliśmy przyjechać jutro, George? Jutro byłby równie dobry dzień.

- Tak samo jak wczoraj - zauważył trzeźwo przyjaciel. - Ale faktem jest, że przyjechaliśmy dzisiaj.

Elliott się skrzywił.

- Ale gdybyśmy przyjechali wczoraj - zauważył - to teraz może bylibyśmy w drodze do domu razem z naszym chłopakiem.

- Wątpię, żeby to było tak proste, jak myślisz - powiedział George Bowen. - Nawet takie szczeniaki potrzebują czasu, żeby przetrwać zaskakujące wieści, spakować się i pożegnać czule z bliskimi. Poza tym są jeszcze jego trzy siostry.

- Trzy siostry. - Elliott oparł łokieć na poręcz, podpierając twarz dłonią. - Ależ z pewnością będą równie zachwycone, jak on. Jakże mogłoby być inaczej? Będą w ekstazie. Zrobią wszystko, żeby wyprawić go z nami możliwie jak najszybciej.

- Jak na mężczyznę, który sam ma siostry - zauważył sucho George - wykazujesz wyjątkowy optymizm. Czy naprawdę sądzisz, że następnego dnia czy po dwóch dniach staną na progu, żeby radośnie pomachać na pożegnanie jedynemu bratu? A potem po prostu wrócą do dawnego życia, jakby nic się nie stało? Czy nie należy się raczej spodziewać, że zechcą zacerować mu wszystkie pończochy, uszyć pół tuzina nowych koszul i... Cóż, i zrobić tysiąc i jedną pożytecznych i niepotrzebnych rzeczy?

- Do diabła z tym wszystkim! - Elliott postukał palcami w udo. - Staralem się nie myśleć o tym, że mogą stanąć nam na przeszkodzie, George. Jak to kobiety. Jakże proste i łatwe byłoby życie bez nich. Czasami kusi mnie, żeby przywdziać mnisi habit i schronić się w klasztorze.

Przyjaciel spojrzał na niego z niedowierzaniem, po czym roześmiał się rozbawiony.

- Znam pewną wdowę, która wpadłaby w rozpacz, gdybyś to uczynił - powiedział. - Nie wspominając już o wszystkich niezamężnych damach z towarzystwa poniżej czterdziestki. Oraz o ich mamusiach. I czy wczoraj nie poinformowałeś mnie, że w najbliższym sezonie zamierzasz wybrać sobie żonę?

Elliott mruknął niechętnie.

- Tak, cóż. - Jego palce znieruchomiały na chwilę. - Klasztor może kusić, George, ale masz rację: obowiązek przede wszystkim,

jak twierdził mój dziadek. Przyrzekłem mu w Boże Narodzenie... I, oczywiście, miał całkowitą rację. Już czas, żebym się ożenił, i zrobię to w tym roku, aby zbiegło się to mniej więcej z moimi trzydziestymi urodzinami. Paskudna sprawa, trzydzieste urodziny.

Skrzywił się, a jego palce zaczęły znów wystukiwać w rytm wojskowego marsza.

- Nie chcę o tym myśleć - dodał.

Zwłaszcza że dziadek oznajmił mu z naciskiem, że pani Anna Bromley - Hayes, kochanka Elliotta od dwóch lat, nie nadaje się na jego żonę. Nie potrzebował opinii dziadka. Sam o tym wiedział. Anna była piękna, zmysłowa i cudownie zręczna w sztuce miłości, ale miała kochanków już przed nim, niektórych jeszcze za życia Bromleya - Hayesa. I nigdy nie czyniła tajemnicy ze swoich romansów. Wręcz przeciwnie. Z pewnością nie zamierzała dochować mu wierności po grób.

- To dobrze - powiedział George. - Gdybyś wstąpił do klasztoru, bez wątpienia nie potrzebowałbyś sekretarza, więc straciłbym świetną posadę. Trudno, żeby mi się to podobało.

- Hm. - Elliott założył nogę na nogę.

Żałował, że pomyślał o Annie. Ostatni raz widział ją - albo, co istotniejsze, był z nią w łóżku - przed Bożym Narodzeniem. Diabelnie dawno. A jeszcze dawniej uznał, że mężczyźni nie są stworzeni do celibatu - kolejny powód, żeby oprzeć się pokusie

wstąpienia do klasztoru.

- Trzy siostry zjawią się najprawdopodobniej na dzisiejszej zabawie - stwierdził George. - Czyż sir Humphrey nie powiedział, że będą wszyscy, nawet jego pies. Być może nasz chłopak też tam będzie.

- Jest o wiele za młody - zauważył Elliott.

- Ale my jesteśmy na głębokiej prowincji - przypomniał mu przyjaciel - daleko od dobrego towarzystwa. Założę się, że tam będzie.

- Jeśli sądzisz, że to mnie zachęci do udziału w zabawie - odparł Elliott - to bardzo się mylisz, George, Na miłość boską, nie będę na oczach wszystkich wiejskich plotkarzy rozmawiał z nim o poważnych sprawach.

- Ale możesz go zobaczyć - upierał się George. - I jego siostry. Obaj możemy. Poza tym, mój stary, czyż naszą nieobecnością nie zrobilibyśmy afrontu sir Humphreyowi Dew, który okazał ci taką gościnność, gdy tylko się dowiedział, że tu jesteś? Pamiętaj, że przyszedł osobiście, żeby nas zaprosić na zabawę, i obiecał, że przedstawi nas wszystkim, którzy są warci tego zaszczytu? To znaczy, pewnie wszystkim bez wyjątku?

- Czy płacę ci za to, żebyś był moim sumieniem, George? - odparł Elliott.

Ale George Bowen, wcale nieonieśmielony, tylko się

roześmiał.

- A nawiasem mówiąc, to jak on, do diabła, odkrył, że tu jesteśmy? - zapytał Elliott, teraz już w zdecydowanie złym humorze. - Przyjechaliśmy tu niecałe dwie godziny temu i nikt nie wiedział, że mamy się zjawić.

George przez chwilę grzał dłonie przy ogniu, po czym zwrócił się do Elliotta.

- Jesteśmy na prowincji - stwierdził - gdzie wieści mkną z wiatrem, gdzie przekazuje je każde źdźbło trawy, każda drobinka kurzu i ludzkie języki. Bez wątpienia w tej chwili najędniejsza pomywaczka już wie, że jesteś w Throckbridge, i próbuje rozpaczliwie - choć na próżno - znaleźć jakiegoś śmiertelnika, który jeszcze o tym nie wie. I wszyscy musieli słyszeć, że zostałeś zaproszony na zabawę jako specjalny gość sir Humphreya Dew. Czy zamierzasz sprawić im zawód, zostając w pokoju?

- Znowu bład - powiedział Elliott. - Nie jestem jedynym, o którym wszyscy musieli słyszeć. Jesteś także ty. Ty pójdiesz i będziesz ich zabawiał, jeśli uważasz, że tak trzeba.

George tylko mlasnął językiem, a następnie otworzył drzwi do swojego pokoju.

- Jestem tylko skromnym szlachcicem - powiedział. - Nie budzę takiego zainteresowania. Ale ty jesteś wicehrabią, o wiele szczebli wyżej na drabinie społecznej niż nawet sir Dew. Będą

mieli wrażenie, że zstąpi do nich Bóg we własnej osobie. - Zamilkł na chwilę, po czym znowu się roześmiał. - Walijskie słowo oznaczające Boga to „Duw”; moja babcia zawsze mówiła, że pisze się je d - u - w, ale wymawia tak, jak nazwisko naszego drogiego baroneta. A jednak przewyższasz go rangą, Elliotcie. Dla takiej zapadłej wsi to wielka gratka, mój chłopcze. Prawdopodobnie nigdy dotąd nie widzieli wicehrabiego ani też nie spodziewali się takowego zobaczyć. Czy byłoby ładnie odmawiać im tej łaski? Idę się przebrać na wieczór.

I śmiejąc się wesoło, zamknął za sobą drzwi.

Elliott skrzywił się, wpatrzony w ich gładką powierzchnię.

Przybyli tutaj we dwóch w konkretnej sprawie, która budziła w Elliotcie wyraźną niechęć. Ostatni rok okazał się okropny; jego świat runął, a życie zmieniło się nie do poznania. Teraz miał nadzieję, że spełni najcięższy z obowiązków, jakie nagła śmierć ojca nałożyła na jego barki. Jednak, jak niedawno stwierdził George, nie był łatwy do spełnienia. Co nie poprawiło Elliottowi i tak nie najlepszego humoru.

Nie spodziewał się, że ojciec umrze tak młodo. Cieszył się dobrym zdrowiem, a ich męska linia od pokoleń słynęła z długowieczności. Elliott sądził, że ma przed sobą wiele lat swobody i beztroskiego życia, bez przykrego ciężaru odpowiedzialności.

Nagle jednak odpowiedzialność zwała się na niego, nie czekając, aż będzie gotów - znalazła go sama, jak w dziecinnej zabawie w chowanego.

Tak czy inaczej, musiał się z tym zmierzyć.

Jego ojciec umarł niegodnie - w łóżku kochanki - o czym długo plotkowano i dowcipkowano w towarzystwie. Dla matki Elliotta było to znacznie mniej zabawne, choć niewierność męża nie była dla niej czymś nowym. Podobnie jak dla wszystkich pozostałych.

Poza Elliottem.

Mężczyźni z ich rodu słynęli nie tylko z długowieczności, ale także z tego, że wiązali się na długie lata z kochankami i ich dziećmi, utrzymywali je na równi z dziećmi z prawego łóżka. Związek dziadka zakończył się dopiero ze śmiercią jego kochanki przed około dziesięcioma laty. Narodziło się z niego ośmioro dzieci. Jego ojciec zostawił pięcioro, które zapobiegliwie wyposażył.

Nikt nie mógł oskarżyć mężczyzn z rodu Wallace'ów o to, że nie uczestniczą w dziele zaludniania kraju.

Anna nie miała dzieci - ani z nim, ani z kimkolwiek innym. Elliott podejrzewał, że zna sposoby, żeby zapobiec ciąży, i był z tego zadowolony. Z innymi kochankami też nie miał dzieci.

Mógł tu przysłać samego George'a, pomyślał, wracając do

rzeczywistości. Bowen świetnie by się sprawił w pojedynkę. Elliott nie musiał pojawiać się osobiście.

Ale wraz z odpowiedzialnością przyjął, męczący w dużym stopniu, kodeks honorowy i oto znalazł się tutaj, na głuchej prowincji, we wsi, o której nikt z dobrego towarzystwa nawet nie słyszał. To, że zwłaszcza wiosną, jeśli wierzyć George'owi, miejsce to było piękne i malownicze, nie stanowiło zbyt wielkiej pociechy.

Zatrzymali się w jedynej w Throckbridge zwykłej wiejskiej gospodzie, bez pretensji do elegancji - nie zatrzymywała się tam nawet poczta. Zamierzali zająć się swoją sprawą przed wieczorem. Elliott miał nadzieję wyruszyć w drogę powrotną następnego dnia, chociaż George przewidywał jedno - albo dwudniową zwłokę, a i to mógł być szacunek zbyt optymistyczny.

Jednakże gospoda, jak się okazało, miała jedną fatalną cechę - podobnie jak wiele innych wiejskich oberży, żeby je wszyscy diabli. Na górnym piętrze znajdowały się sale recepcyjne. I właśnie tego wieczoru miały być w użyciu. Pech chciał, że zjawili się z George'em akurat w dniu wiejskiej potańcówki. Naprawdę żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że mieszkańcy odległej angielskiej wsi zechcą obchodzić walentynki. Elliott nie pamiętał nawet, że to dzień świętego Walentego.

Sale znajdowały się dokładnie nad jego głową, kiedy siedział

rozparty w fotelu przed kominkiem, choć mebel nie był wcale najwygodniejszy, do ognia należałoby dorzucić węgla, a do tego sznur od dzwonka wisiał poza zasięgiem jego ręki. Sale były także nad jego sypialnią. Były nad wszystkim. Nie było ucieczki. Przez pół nocy tupot nóg i skoczna muzyka - z pewnością pośledniego gatunku i niewprawnie grana - oraz głośne rozmowy i śmiechy nie pozwolą mu zmrużyć oka.

Będzie mógł uważać się za szczęśliwca, jeśli zdoła się choć trochę zdrzemnąć. Ale co innego miał do roboty w tej zapomnianej przez Boga dziurze? Nie zabrał nawet książki - karygodne niedopatrzenie.

Sir Humphrey Dew, którego Elliott nigdy przedtem nie widział, należał do dżentelmenów, którzy zadawali tysiąc pytań, sami odpowiadając na dziewięćset dziewięćdziesiąt. Zapytał, czy przyjdą na bal, i zapewnił, że jest niezmiernie zobowiązany, że zechcieli łaskawie zaszczyścić swoją obecnością zarówno jego skromną osobę, jak i wszystkich mieszkańców. Zapytał, czy może przyjść po nich o ósmej, i oznajmił, że dla niego będzie to znacznie większy zaszczyt aniżeli przysługa dla nich. Zapytał, czy będzie mógł przedstawić ich pewnej liczbie wybranych osób, i stwierdził, że nie pożałują zawarcia znajomości z tak miłymi i szacownymi ludźmi - choć, rzecz jasna, nie tak miłymi i szacownymi jak oni sami. Lady Dew będzie w najwyższym

stopniu zachwycona ich uprzejmością. Podobnie jego córki i synowa. Z największą przyjemnością będzie czekał na nadejście godziny ósmej wieczór.

Elliott mógł się stanowczo sprzeciwić. Zwykle nie miał cierpliwości do głupców. Ale postanowił nie brać udziału w zabawie, zamknąć się w pokoju i przekazać baronetowi przeprosiny przez George'a. Od czego byli, ostatecznie, sekretarze?

Czasami budzili sumienie swoich pracodawców - pał ich sześc.

George miał, oczywiście, rację. Elliott Wallace, wicehrabia Lyngate, był w końcu - do wszystkich diabłów! - dżentelmenem. Przyjął zaproszenie, ponieważ nie wyraził stanowczej odmowy. Byłoby teraz nie po dżentelmeńsku barykadować się w wątpliwej prywatności pokoju. Zresztą jeśli nie weźmie udziału w zabawie, i tak przez całą noc nie będzie miał spokoju, a jutro wstanie w równie złym humorze. Co gorsza, będzie czuł się winny.

Do diabła z tym wszystkim!

A jeśli George miał rację, to chłopiec rzeczywiście może się pojawić na balu. Jego siostry prawie na pewno przyjdą. Byłoby dobrze skorzystać z okazji i przyjrzeć im się, żeby przed jutrzejszą wizytą mieć już na ich temat jakieś zdanie.

Ale, na miłość boską, chyba nikt nie oczekuje od niego, że

będzie tańczył?

Podskakiwał z wiejskimi matronami i pannami w dniu świętego Walentego...

Z pewnością nie. Nie mógł sobie wyobrazić czegoś równie nieprzyjemnego.

Przyłożył dłoń do czoła, próbując sobie wmówić, że czuje łupanie pod czaszką, szukając rozpaczliwie wymówki, żeby zaszyć się w łóżku. Bez powodzenia. A głowa nie bolała go nigdy.

Westchnął głośno.

Wbrew temu, co powiedział George'owi, musiał pokazać się na tej piekielnej wiejskiej potańcówce. Inaczej okazałby nieuprzejmość, a to było do niego niepodobne. Żaden prawdziwy dżentelmen tak by nie postąpił.

Czasami - ostatnio coraz częściej - bycie dżentelmenem stawało się nużącym zajęciem.

W tej chwili została mu zapewne niecała godzina, żeby się przygotować do balu. Jego kamerdynerowi zwykle około pół godziny zajmowało samo wiązanie chusty pod szyją.

Elliott z ciężkim westchnieniem podniósł się z fotela.

W przyszłości nie zamierzał w dniu czternastego lutego przekraczać progu własnego domu czy też domu Anny, w każdym razie. Walentynki, mój Boże! Co jeszcze?

Odpowiedź była boleśnie oczywista. Czekala go jeszcze

wiejska zabawa!

Rodzina Huxtable'ów mieszkała w krytym strzechą, pobielonym domku na końcu głównej ulicy wsi. Wicehrabia Lyngate wraz z sekretarzem musieli ją mijać w drodze do gospody. Wątpliwe jednak, by zwrócili nań uwagę. Jakkolwiek ładny i schludny, był skromnych rozmiarów.

Inaczej mówiąc, mały.

Mieszkało tam troje rodzeństwa Huxtable. Jeszcze osiem lat wcześniej zamieszkiwali w obszerniejszej, okazalszej plebanii, do czasu, kiedy wielebny Huxtable udał się po swą niebiańską nagrodę - tak przynajmniej nowy proboszcz zapewnił zgromadzonych na pogrzebie. Dzieci zmarłego wyprowadziły się następnego dnia, żeby zrobić miejsce dla wielebnego Aylesforda i jego siostry Margaret Huxtable miała dwadzieścia pięć lat. Jako najstarsza z rodzeństwa - matka umarła sześć lat przed ojcem - to ona zajęła się prowadzeniem domu i opieką nad młodszymi siostrami i braćmi. Dlatego wciąż była niezamężna i tak zapewne miało pozostać jeszcze przez jakiś czas, ponieważ Stephen, najmłodszy, miał dopiero siedemnaście lat. Nikt jakoś nie pomyślał, żeby zwrócić jej uwagę, że był teraz dokładnie w tym samym wieku, co ona, kiedy wzięła na siebie wielką odpowiedzialność. Dla niej wciąż jeszcze był małym chłopcem. I Bogu wiadomo, że potrzebował kogoś, kto by się nim opiekował.

Margaret odznaczała się wyjątkową urodą. Wysoka, o pięknej sylwetce, miała lśniące kasztanowate włosy, wielkie niebieskie oczy z ciemnymi rzęsami i śliczną twarz o regularnych rysach. Zachowywała się z rezerwą i godnością, chociaż wcześniej wydawała się bardziej otwarta i wielkoduszna. Miała też zdecydowany charakter, który ujawniał się natychmiast, gdy tylko ktoś zagroził szczęściu czy dobrobytowi któregoś z rodzeństwa.

Mieli tylko jedną służącą - pani Thrush została z nimi po przeprowadzce, choć w gruncie rzeczy nie było ich na nią stać. Postanowiła przy nich zostać, nie godząc się przyjąć w charakterze zapłaty czegoś więcej niż pokój i wyżywienie, Margaret większość prac domowych i wszystko w ogrodzie robiła sama. Latem ogród stanowił jej dumę i radość, ujście dla bardziej zmysłowej, spontanicznej części jej natury. Budził też zazdrość i zachwyty całej wsi. Pomagała każdemu, kto jej potrzebował. Często wzywano ją, by asystowała lekarzowi przy zmianie opatrunku czy nastawianiu złamanych członków, porodach czy karmieniu osób starych i niedołączonych.

W latach ubiegłych Margaret miała wielu starających się i paru, którzy byli gotowi wziąć ją nawet z rodzeństwem, ale zniechęciła wszystkich spokojnie i stanowczo. Nawet mężczyznę, którego kochała całe życie i miała prawdopodobnie kochać do grobowej deski.

Katherine Huxtable miała lat dwadzieścia. Ona także była piękna - wysoka, szczupła i wiotka. Ze swoją figurą zapowiadała się na piękność także w wieku bardziej dojrzałym. Jej włosy były jaśniejsze niż u siostry - ciemnoblonde ze złotymi, lśniąco pasmami. W żywej, ślicznej twarzyczce najpiękniejsze były oczy - ciemnoniebieskie, niezgłębione. Pogodna i prawie zawsze wesółka w towarzystwie, lubiła też przebywać sama, spacerować, gubić się we własnej wyobraźni. Pisała wiersze i opowiadania, kiedy tylko znalazła czas.

Trzy dni w tygodniu uczyła w wiejskiej szkole cztero - i pięcioletnie dzieci, a w inne dni często pomagała nauczycielowi przy starszych.

Katherine także była panną, chociaż zaczynało jej to trochę ciążyć. Pragnęła wyjść za mąż - oczywiście. Co innego mogła zrobić kobieta, jeśli nie chciała być dla bliskich ciężarem do końca życia? Ale choć zalecało się do niej wielu i większość z nich lubiła, nie potrafiła zdecydować, który podoba jej się najbardziej. A to, jak zdawała sobie sprawę, oznaczało zapewne, że żaden z nich nie podobał jej się na tyle, żeby za niego wyjść.

Uznała, że marzycielstwo stanowi czasem pewną niedogodność. Gdyby była praktyczna i pozbawiona wyobraźni, żyłaby dużo wygodniej. Mogłaby po prostu wybrać najlepszego kandydata i rozpocząć godne życie u jego boku. Nie mogła jednak

machnąć czarodziejską różdżką i zmienić się w kogoś innego.

Tak więc nie była w stanie dokonać wyboru. Nawet odwołując się do rozsądku. W każdym razie jeszcze nie teraz, chociaż, jak sądziła, kiedyś nadejdzie dzień, w którym będzie musiała podjąć jakąś decyzję albo na zawsze pozostać starą panną - i na tym koniec.

Stephen Huxtable był wysoki i bardzo szczupły; jego ciało nie nabrało jeszcze w pełni męskich cech. A jednak miał w sobie tyle energii i naturalnego wdzięku, że nie sprawiał wrażenia ani za chudego, ani niezgrabnego. Jego włosy złotej barwy układały się w miękkie pukle, które żadnym sposobem nie dawały się okiełznać - czasem ku jego rozpaczy, w takim samym stopniu, jak ku zadowoleniu prawie wszystkich, którzy go znali. Kiedy się nie śmiał, jego przystojna twarz była zwykle zamyślona. Niebieskie oczy bystro spoglądały na świat, co było oznaką niespokojnej natury, energii i ciekawości świata, które, jak dotąd, nie znalazły ujścia.

Jeździł konno, łowił ryby, pływał, uprawiał sporty i brał udział w stu innych tego rodzaju zajęciach z rówieśnikami. Jeśli tylko coś się działo, to na pewno on w tym uczestniczył. Był lubiany, podziwiany i cieszył się niemal nabożną czcią wśród chłopców i młodych mężczyzn w okolicy. Uwielbiały go kobiety w każdym wieku; oczarowywał je urodą i uśmiechem, ale przede

wszystkim niepokojąco zmysłowym wyrazem oczu i ust. Bo też która szanująca się kobieta może się oprzeć wyzwaniu, jakim jest oswojenie niegrzecznego chłopca?

Trudno powiedzieć, by był „niegrzeczny”... jak na razie. Pracował równie intensywnie, jak się bawił. Bo jako jedyny chłopiec w rodzinie, cieszył się pewnymi przywilejami. To dla niego Margaret odłożyła pieniądze, które ich matka wniosła w posagu, żeby po skończeniu osiemnastu lat mógł wstąpić na uniwersytet i zabezpieczyć sobie przyszłość, zdobywając, być może, dochodową posadę.

Choć niekiedy Stephen burzył się przeciwko jarzmu, jakie nakładał na niego autorytet najstarszej siostry, rozumiał także jej poświęcenie. Bardzo niewiele pieniędzy zostawało na codzienne potrzeby jej i Katherine.

Uczył się u proboszcza i wiele czasu spędzał nad książkami. Kariera, jaką mogło mu zapewnić dobre wykształcenie, miała być dla niego ucieczką przed ograniczeniami wiejskiego życia. Ale że nie był samolubny, zamierzał pewnego dnia odwdzińczyć się siostrą za wszystko, co dla niego zrobiły. A jeśli do tego czasu wyjdą za mąż i nie będą potrzebowały jego wsparcia, wówczas obsypie je i ich dzieci prezentami i będzie im na wszelkie sposoby pomocny.

Takie przynajmniej było jego marzenie. Teraz jednak

pracował z uporem, żeby je urzeczywistnić. Ale bawił się także.

Był jeszcze czwarty członek rodziny.

Vanessa, z domu Huxtable, obecnie Dew, miała lat dwadzieścia cztery. Mając dwadzieścia jeden lat, poślubiła Hedleya Dew, młodszego syna sir Humphreya, i straciła go w rok później. Wdowa od półtora roku pozostała jednak w Rundle Park z teściami, nie chcąc wracać do domu, gdzie koszty jej utrzymania obciążyłyby budżet rodzeństwa. Poza tym teściowie chcieli, żeby została. Potrzebowali jej. Zawsze ją zapewniali, że jest dla nich pociechą. Czy można się oprzeć poczuciu, że jest się potrzebnym? Zresztą, ona także ich lubiła.

Vanessa była najbardziej zwyczajna z całej rodziny. Zawsze o tym wiedziała i przyjmowała z wesołą rezygnacją. Nie dorównywała wzrostem ani Margaret, ani Katherine. Nie była taka zgrabna jak Margaret ani tak wiotka jak Katherine. Im mniej się powie o jej figurze, tym lepiej, jako że w istocie nie było wiele do powiedzenia. Jeśli barwa włosów w rodzinie zmieniała się od soczystego kasztana Margaret, poprzez ciemny blond Katherine do złota u Stephena, to kolor włosów Vanessy trudno by opisać jednym słowem czy nawet kilkoma. Doprawdy nie był interesujący. I w dodatku, kiedy je rozpuszczała, spadały na plecy ciężkimi pasmami, a nie lśniąca kaskadą jak u Margaret.

A jej twarz - cóż, była to twarz, w której wszystkie rysy

znajdowały się dokładnie tam, gdzie powinny, i wszystkie były takie, jak należało się spodziewać. Ale nie było w nich nic nadzwyczajnego, nic, co by zapadało w pamięć. Jej oczy właściwie nie były niebieskie, ale żaden inny kolor także ich nie opisywał. Najlepsze, co można by powiedzieć o jej twarzy, to to, że nie była, ściśle biorąc, brzydka.

Nikt w rodzinie nigdy nie nazwał jej brzydką - wszyscy ją kochali. Była ulubienicą ojca. Chętnie zwijała się w kłębek z książką w jego gabinecie, podczas gdy pracował. Często jej powtarzał, że czytanie jest zajęciem, które powinna kultywować, ponieważ raczej nigdy nie będzie miała własnego domu. Chciał jej w ten sposób dać do zrozumienia, że nie powinna się spodziewać zamążpójścia. Matka mówiła o tym bardziej otwarcie i zachęcała ją, żeby nauczyła się prowadzenia domu, tak żeby mogła to robić dla Stephena i jego przyszłej żony - czy też dla Margaret, czy Katherine, kiedy wyjdą za mąż. Była także, jak widać, ulubienicą matki.

Rodzice okazywali wiele czułości swojej „zwyczajnej Maryśce” - ojciec nazywał ją tak z czułością, która sprawiała, że słowa nie raniły.

Ale to ona wyszła za mąż. I jak do tej pory, jedyna.

Zawsze zdumiewało ją, że Hedley Dew pokochał ją tak namiętnie, bo on sam był piękny niczym bóg. Ale tak było. To

jest, kochał ją namiętnie.

Vanessa nie zazdrościła siostronom - czy nawet bratu - urody. A także z pewnością nie należała do takich, którzy nie lubiliby siebie za to, że nie są piękni.

Była, jaka była.

Zwyczajna.

I uwielbiała rodzeństwo. Zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, żeby zapewnić im szczęście.

W dniu świętego Walentego wyszła z Rundle Park wczesnym popołudniem, tak jak to robiła trzy czy cztery razy w tygodniu, żeby odwiedzić Margaret. Zawsze były najlepszymi przyjaciółkami.

Wyruszyła w drogę prawie dokładnie w tym czasie, kiedy wicehrabia Lyngate i George Bowen wprowadzali się do gospody cudownie nieświadomi, jakie niespodzianki czekają ich tego dnia.

A Vanessa była doskonale nieświadoma ich przybycia, a nawet, w gruncie rzeczy, ich istnienia.

Los bardzo często płała ludziom figle bez ostrzeżenia.

Szła szybko. Dzień był chłodny. A ona miała coś szczególnego do powiedzenia siostrze.

- Postanowiłam tam pójść - oznajmiła, zdejmując płaszcz i czapkę i witając się z siostrą.

- Na zabawę? - Margaret siedziała przy kominku zajęta, jak

zwykle, szyciem; podniosła głowę, uśmiechając się ciepło do siostry. - Tak się cieszę, że się zdecydowałaś, Nessie. Byłaby wielka szkoda, gdybyś nie poszła.

- Teściowa nalegała przez cały ubiegły tydzień - powiedziała Vanessa. - A wczoraj sam teść oznajmił, że mam pójść i, co więcej, że powinnam tańczyć.

- To bardzo miło z jego strony - stwierdziła Margaret - i tego właśnie bym się po nim spodziewała. Najwyższy czas. Hedley oszedł przeszło rok temu.

- Wiem. - Łzy zapiekły ją pod powiekami, ale szybko się opanowała. - Dokładnie tak się wyraził. Nie możesz wiecznie nosić żałoby, powiedział, a teściowa kiwnęła głową, z aprobatą. A potem wszyscy troje trochę popłakaliśmy i sprawa została ustalona. Idę. - Uśmiechnęła się trochę żałośnie, siadając blisko ognia.

- Co o tym sądzisz? - zapytała siostra, potrząsając strojem, nad którym pracowała, i podnosząc go tak, żeby Vanessa mogła mu się przyjrzeć.

Była to żółta wieczorowa suknia Katherine, ta sama, która już w święta Bożego Narodzenia wydawała się nieco wyblakła i podniszczona. Miała co najmniej trzy lata. Teraz zdobiły ją dwa pasy lśniącej niebieskiej wstążki na dole i po jednym przy rękawach.

- Och, bardzo ładnie - pochwaliła Vanessa. - Suknia wydaje się niemal nowa. Kupiłaś wstążkę w sklepie pani Plumtree?

- Tak - odparła Margaret. - Sporo kosztowała. Ale wyszło taniej niż nowa sukienka.

- Dla siebie też kupiłaś? - zapytała Vanessa.

- Nie - odparła siostra. - Moja niebieska suknia wygląda zupełnie dobrze.

Tyle że była nawet starsza od żółtej sukni Katherine - i bardziej wyblakła. Vanessa jednak tego nie powiedziała. Wstążka nawet do jednej sukienki stanowiła dla Margaret poważny wydatek. Oczywiście, że nie wydałaby więcej pieniędzy na siebie.

- No tak - zgodziła się wesoło. - I kto w ogóle zwróci uwagę na suknię, skoro to co w środku jest takie piękne?

Margaret roześmiała się, wstając, i przewiesiła suknię przez oparcie krzesła.

- I do tego ma dwadzieścia pięć lat - dodała. - Boże, Nessie, kiedy ten czas minął?

Dla Margaret minął na opiece nad rodzeństwem. Na zajmowaniu się nimi z pełnym, pozbawionym egoizmu poświęceniem. Odrzuciła niejedne oświadczenia, nawet Crispina Dew, starszego brata Hedleya.

I tak Crispin, który zawsze marzył o karierze wojskowego, wyruszył na wojnę. To było przed czterema laty. Vanessa była

absolutnie pewna, że zanim odjechał, zawarł z Margaret jakieś porozumienie, ale z wyjątkiem paru słów skierowanych do niej w listach do Hedleya, Crispin nie pisał do Margaret przez cały ten czas. Ani też nie wracał do domu. Można by uznać, że nie mógł wrócić, jako że wojny toczyły się bezustannie, a nie pisał, bo nie wypadało mu, jako nieżonatemu dżentelmenowi, korespondować z niezamężną damą. Ale tak czy inaczej, cztery lata niemal całkowitego milczenia to było bardzo długo. Z pewnością płomiennie zakochany młodzieniec znalazłby jakiś sposób.

Crispin nie znalazł żadnego.

Vanessa podejrzewała, że siostra nosi głęboką ranę w sercu. Lecz akurat o tym, pomimo całej bliskości, nigdy nie rozmawiały.

- A co ty na siebie włożysz dzisiejszego wieczoru? - zapytała Margaret, kiedy poprzednie pytanie pozostało bez odpowiedzi. Ale jak można odpowiedzieć na takie pytanie? Kiedy ten czas minął?

- Teściowa chce, żebym włożyła tę zieloną - odparła Vanessa.

- Włożysz ją? - Margaret usiadła z powrotem na krześle i tym razem jej ręce pozostały beczynne.

Vanessa wzruszyła ramionami i popatrzyła na swoją szarą wełnianą suknię. Nadal nie mogła się przekonać, żeby zupełnie zrzucić żałobę.

- Mogłoby się wydawać, że o nim zapomniałam - powiedziała.

- Ale - przypomniała jej Margaret, jakby to było potrzebne - Hedley kupił ci zieloną suknię, bo uważał, że w tym kolorze jest ci wyjątkowo dobrze.

Kupił ją na Święto Lata półtora roku temu. Miała ją na sobie tylko raz - kiedy siedziała przy jego łóżku, a w ogrodzie trwała zabawa. Umarł dwa dni później.

- Może włożę ją dziś wieczorem - odrzekła. A może włoży lawendową, w której w ogóle nie było jej do twarzy, ale byłaby to przynajmniej jakaś namiastka żałoby.

- Oto nadchodzi Kate - uśmiechnęła się Margaret, wyglądając przez okno - i to spieszniej niż zwykle.

Vanessa odwróciła się i zobaczyła, że najmłodsza siostra macha do nich z ogrodowej ścieżki.

Minutę później wpadła do pokoju, pozbywszy się w holu wierzchniego okrycia.

- Jak było dzisiaj w szkole? - zapytała Margaret.

- Niemożliwie! - oznajmiła Katherine. - Nawet dzieciom udzieliło się podniecenie z powodu dzisiejszego wieczoru. Tom Hubbard wstąpił, żeby zarezerwować u mnie pierwszy taniec, ale musiałam odmówić, bo obiecałam go już Jeremy'emu Stoppardowi. Drugi taniec zatańczę z Tomem.

- Znowu cię poprosi, żebyś za niego wyszła - ostrzegła Vanessa.

- Tak przypuszczam - zgodziła się Katherine, opadając na krzesło najbliższej drzwi. - Sądzę, że umarłby z wrażenia, gdybym się za którymś razem zgodziła.

- Przynajmniej - zauważyła Margaret - umarłby szczęśliwy. Wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem.

- Ale Tom przyniósł niezwykle wieści - oznajmiła Katherine.

- Podobno w gospodzie zatrzymał się wicehrabia. Słyszałyście kiedyś o czymś takim?

- W naszej gospodzie? - zapytała Margaret. - Nie, nigdy. Cóż on tutaj robi?

- Tom nie wiedział - odparła Katherine. - Ale mogę sobie wyobrazić, że dziś wieczorem będzie - to jest, wicehrabia - głównym tematem rozmów.

- Oczywiście - zgodziła się Vanessa. - Wicehrabia w Throckbridge! To niesłychane. Ciekawa jestem, jak zniesie hałas, jaki będzie panował przez pół nocy. Miejmy nadzieję, że nie zażąda przerwania balu.

Katherine zauważyła swoją sukienkę. Skoczyła na równe nogi z okrzykiem zachwyty.

- Meg! - zawołała. - Jak ślicznie wygląda! Wszyscy mi będą dzisiaj zazdrościć. Och, naprawdę nie powinnaś. Wstążka musiała

kosztować majątek. Ale tak się cieszę, że to zrobiłaś. Och, dziękuję, dziękuję.

Przebiegła przez pokój, żeby uściskać Margaret, która promieniała z radości.

- Wstążka wpadła mi w oko - powiedziała - i nie mogłam wyjść ze sklepu bez niej.

- Chcesz, żebym uwierzyła, że kupiłaś ją pod wpływem odruchu? - powiedziała Katherine. - Akurat, Meg. Poszłaś tam specjalnie, żeby znaleźć coś odpowiedniego do obszycia, ponieważ chciałaś zrobić coś dla mnie. Znam cię nie od dziś. Margaret wydawała się zmieszana.

- Oto nadchodzi Stephen - oznajmiła Vanessa - i to jeszcze w większym pośpiechu niż Katherine.

Brat zauważył Vanessę w oknie, uśmiechnął się i pomachał jej ręką na powitanie. Miał na sobie stare ubranie do konnej jazdy i buty, które wołały o szczotkę. Sir Humphrey Dew pozwolił mu jeździć na koniach z Rundle Park, kiedy tylko miał ochotę, na co Stephen przystał z radością, ale uparł się, żeby w zamian pracować przy koniach.

Minutę później wpadł do saloniku, roztaczając zapach stajni.

- Słyszałyście nowiny?

- Stephen. - Margaret miała zboląłą minę. - Czy to nawóz na twoim bucie?

Zapach wystarczył za odpowiedź.

- A niech to. - Spojrzał w dół. - Myślałem, że je wyczyściłem. Zrobię to natychmiast. Słyszałyście, że w gospodzie zatrzymał się wicehrabia?

- Już im powiedziałam - odezwała się Katherine.

- Sir Humphrey poszedł go powitać - oznajmił Stephen.

- Och - odezwała się Vanessa, krzywiąc się lekko.

- Powiadam wam - ciągnął Stephen - sir Humphrey wybada, po co on tutaj przyjechał. To dziwne, prawda?

- Przypuszczam - powiedziała Margaret - że po prostu przejeżdżał, biedaczysko.

- Ale kto przejeżdża przez Throckbridge? - spytał retorycznie Stephen. - Skąd, dokąd? I po co?

- Może teść się dowie - wyraziła nadzieję Vanessa. - A może nie. Ale bez wątpienia nasze życie będzie się toczyć swoim torem, nawet jeśli nie zaspokoimy ciekawości.

- Być może usłyszał o naszym balu walentynkowym - orzekła Katherine, składając dłonie na piersi, trzepocząc teatralnie powiekami i okręcając się w miejscu - i przybył, żeby znaleźć sobie żonę.

- O, Boże - westchnął Stephen. - Walentynki odebrały ci rozum, Kate?

Roześmiał się, uchylając się przed poduszką, którą w niego

cisnęła. Drzwi saloniku otworzyły się i do środka weszła pani Thrush. Przyniosła najlepszą koszulę Stephena.

- Właśnie ją wyprasowałam - oznajmiła. - Proszę ją zabrać do pokoju natychmiast i rozłożyć płasko na łóżku. Nie chciałabym, żeby się pogniotła, zanim ją włożysz.

- Nie, proszę pani - mrugnął do niej. - To jest, tak, proszę pani. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że trzeba ją wyprasować.

- Nie przypuszczałam, że będziesz o tym myślał. Ale jeśli wszystkie dziewczyny mają mdleć na twój widok, a podejrzewam, że będą, powinieneś mieć na sobie świeżo wyprasowaną koszulę. I nie te buty. Fuj! Zaraz będziesz czyścił podłogi gołymi rękami, jeśli ich natychmiast nie zdejmiesz i nie wyniesiesz za drzwi!

- Do prasowania miałam się zabrać za chwilę - powiedziała Margaret. - Dziękuję, pani Thrush. Myślę, że już czas, żebyśmy się przygotowali do balu. Nessie, z pewnością już pora, żebyś wróciła do domu, zanim lady Dew wyśle służbę na poszukiwania. Stephen, wynieś te paskudne buty. Pani Thrush, proszę zrobić sobie filiżankę herbaty i trochę odpocząć. Miała pani pracowity dzień.

- A ty pewnie siedziałaś tutaj, nic nie robiąc - odparła pani Thrush. - Och, muszę wam wszystkim coś powiedzieć. Pani Harris zajrzała do mnie pięć minut temu. W gospodzie zatrzymał się wicehrabia. Sir Humphrey poszedł go powitać i zaprosił na bal

jako swojego specjalnego gościa. Co o tym myślicie?

Była zaskoczona, kiedy wszyscy parsknęli śmiechem, ale potem przyłączyła się do nich.

- Biedny człowiek - stwierdziła. - Sir Humphrey pewnie nie dał mu wyboru. I przypuszczam, że lepiej dla niego, żeby przyszedł na zabawę. Hałas i tak nie pozwoliłby mu zasnąć.

- Słyszałaś, Kate? - odezwał się Stephen. - Jeśli szuka żony, to masz szansę.

- Albo panna Margaret - podsunęła pani Thrush. - Jest śliczna jak malowanie. Pora, żeby jej księżę przybył na białym koniu.

Margaret roześmiała się.

- Ale to tylko wicehrabia - powiedziała - a ja przecież powinnam poczekać na księcia. A teraz ruszajcie się wszyscy, bo się spóźnimy.

Objęła Vanesę, która przygotowywała się do wyjścia.

- Nie zmieniaj czasem zdania co do dzisiejszego wieczoru - ostrzegła siostrę. - Przyjdź, Nessie. Doprawdy, jeśli nie przyjdiesz, sama będę musiała pójść i cię przyprowadzić siłą. Już pora, żebyś znowu zaczęła cieszyć się życiem.

Vanessa poszła do Rundle Park sama, chociaż Stephen chciał ją odprowadzić. Pójdzie na bal, mimo że wcale nie była tego całkiem pewna. I wbrew sobie - wbrew nieustającemu żalowi z powodu Hedleya oraz lekkiemu poczuciu winy, że w ogóle myśli

o tym, żeby się znowu bawić - czekała na wieczór z pewną niecierpliwością. Taniec zawsze należał do jej ulubionych rozrywek, a od przeszło dwóch lat nie tańczyła.

Czy to był egoizm, brak serca, że znowu chciała żyć?

Teściowa życzyła sobie, żeby poszła. Tak samo jej córki. A sir Humphrey - ojciec Hedleya - powiedział jej nawet, że powinna tańczyć.

Czy jednak ktokolwiek poprosi ją do tańca?

Ktoś z pewnością to zrobi.

Zatańczy, jeśli ktoś ją poprosi.

Może wicehrabia...

Zachichotała głośno na tę absurdalną myśl, skręcając na ścieżkę, która skracала drogę do domu.

Może wicehrabia miał pięćdziesiąt lat, był łysy i bezzębny.

I żonaty.

Chciałabym - powiedziała Louisa Rotherhyde, stojąc obok Vanessy i uśmiechając na powitanie do wszystkich znajomych, którzy przechodzili koło nich - żeby wicehrabia Lyngate okazał się wysoki, jasnowłosy, przystojny, nie więcej niż dwudziestopięcioletni, a do tego czarujący i miły i niewynoszący się nad innych. I chciałabym, żeby okazało się, że lubi pulchne kobiety o mysim kolorze włosów i skromnym majątku - w gruncie rzeczy bez żadnego majątku - o dość przyjemnych manierach i mniej więcej w jego wieku. Przypuszczam, że nie muszę sobie życzyć, żeby był bogaty. Z pewnością jest.

Vanessa rozwinęła wachlarz, zasłaniając twarz, i roześmiała się.

- Nie jesteś pulchna - zapewniła przyjaciółkę. - A twoje włosy mają ładny odcień jasnego brązu. Jesteś bardzo miła, a twój charakter stanowi twój majątek. I masz piękny uśmiech. Hedley zawsze to powtarzał.

- Cześć mu i chwała - powiedziała Louisa. - Ale wicehrabia ma ze sobą przyjaciela. Może on uzna za stosowne, żeby zapałać do mnie namiętnością - jeśli, rzecz jasna, okaże się znośny. I byłoby dobrze, gdyby posiadał jakiś, niekoniecznie skromny, majątek. Cudownie, Nessie, ciągle chodzić na tańce, spotkania, kolacje, przyjęcia i pikniki, ale za każdym razem widzi się wciąż

te same twarze. Czy nigdy nie marzysz o Londynie, sezonie, pięknych kawalerach i... Ach, oczywiście, że nie. Miałaś Hedleya. Był piękny.

- Owszem, był - zgodziła się Vanessa.

- Czy sir Humphrey opisał ci wicehrabiego Lyngate? - zapytała Louisa z nadzieją.

- Opisał go jako sympatycznego młodego dżentelmena - odparła Vanessa. - Ale dla papy każdy, kto ma mniej niż sześćdziesiąt cztery lata, jest młody, i prawie każdy jest miły. Widzi w każdym własną dobrą naturę. Nie, Louiso, nie opisał wyglądu wicehrabiego.

Dżentelmeni, jak wiesz, tego nie robią. Sądzę jednak, że same się przekonamy, jak wygląda.

Jej teść wszedł właśnie do sali; wydawał się przejęty na swój dobroduszny sposób; szedł z piersią wysuniętą dumnie naprzód, zacierając dłonie, z twarzą zarumienioną z radości. Za nim weszli dwaj dżentelmeni i nikt nie miał wątpliwości, kim byli. W Throckbridge rzadko pojawiał się ktoś obcy. Z tych paru, którzy znaleźli się tutaj za pamięci obecnych, żaden nigdy nie uczestniczył w potańcówce w gospodzie, a tylko bardzo nieliczni dotarli na doroczny letni bal w Rundle Park.

Ci dwaj byli obcy i przybyli na bal.

A jeden z nich, rzecz jasna, był wicehrabią.

Ten, który jako pierwszy wszedł do sali za sir Humphreym, był średniego wzrostu i budowy, choć może zaczynał się lekko zaokrąglać. Miał krótkie, starannie uczesane kasztanowe włosy i twarz, którą przed przeciętnością ratowała otwarta, wesoła życzliwość, z jaką obserwował otoczenie. Sprawiał wrażenie szczerze zadowolonego, że tu jest. Nosił strój złożony z ciemnoniebieskiego surduta, szarych spodni i białej koszuli. Choć ukończył już zapewne dwadzieścia pięć lat, wciąż mogło do niego pasować określenie: „młody”.

Louisa złożyła wachlarz i westchnęła głośno. Podobnie jak większość dam.

Wzrok Vanessy przeniósł się na drugiego dżentelmena i zrozumiała natychmiast, że to on wywołał westchnienia, do których nie mogła się przyłączyć. W ustach nagle jej zaschło i na kilka ciągnących się w nieskończoność chwil straciła wszelką świadomość tego, co się działo dokoła.

Był w podobnym wieku, co pierwszy dżentelmen, ale na tym podobieństwa się kończyły. Jego wysokie i szczupłe ciało nie robiło wrażenia chudego czy wątłego; miał wąskie biodra, silne ramiona i szeroką pierś. Długie nogi były kształtne i dobrze umięśnione. Bardzo ciemne, prawie czarne, gęste i lśniące włosy wyglądały na uczesane i zarazem swobodne. Pociemniała od słońca twarz z orlim nosem, wydatnymi kośćmi policzkowymi i

leciutko rozdwojonym podbródkiem zniewalała męskim urokiem. Usta zaciskał w stanowczą linię. Jego uroda sprawiała wrażenie nieco egzotycznej, jakby miał w sobie włoską albo hiszpańską krew.

Wyglądał wspaniale.

Wydawał się doskonały.

Mogłaby zakochać się w nim nieprzytomnie wraz z co najmniej połową obecnych dam, gdyby nie zauważyła czegoś jeszcze. A właściwie dwóch rzeczy.

Wydawał się nieznośnie zarozumiały.

I wyglądał na znudzonego.

Oczy miał półprzymknięte. Trzymał w ręce monokl i rozglądał się po sali, jakby nie mógł uwierzyć, że znalazł się w tak nędznym otoczeniu.

Na jego ustach nie pojawił się nawet cień uśmiechu. Zamiast tego z jego twarzy biła lekka pogarda, jakby nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wróci na dół, do swojego pokoju. Albo, jeszcze lepiej, znajdzie się gdzieś bardzo daleko od Throckbridge.

Sprawiał wrażenie, jakby to było ostatnie miejsce na ziemi, w którym miał ochotę się znaleźć.

Tak więc nie zakochała się w nim, choć jawił się jej oczom jako wspaniały i podobny bogom. Wstąpił do jej świata, do świata jej rodziny i przyjaciół, nieproszony - i uznał go za niegodny

siebie i nieciekawy. Jak śmiał! Zamiast wnieść urozmaicenie, jak można by się spodziewać po obecności kogoś nowego - szczególnie przystojnego dżentelmena - groził, że zepsuje cały wieczór.

A wszyscy, oczywiście, będą mu kadzić. Nikt nie będzie się zachowywał naturalnie. Nikt nie będzie w swobodnym nastroju cieszył się tańcem. I nikt nie będzie rozmawiał o niczym innym, jak tylko o nim przez następnych kilka dni - albo raczej tygodni.

Jakby zaszczyciło ich wizytą jakieś bóstwo.

Wydawało jej się jasne, że pogardzał nimi wszystkimi - albo uważał ich co najmniej za stado okropnych nudziarzy.

Żałowała, że nie przyjechał następnego dnia albo wcale.

Był ubrany na czarno i biało, zgodnie z modą, która, jak słyszała, panowała obecnie w Londynie. Kiedy o tym usłyszała, pomyślała: jakie to nijakie, jakie nieciekawe.

Myliła się, oczywiście.

Wyglądał elegancko i świetnie pod każdym względem.

Wyglądał jak ideał romantycznego bohatera każdej kobiety. Jak Adonis, o którym wszystkie marzyły, zwłaszcza w dzień świętego Walentego, ten, który miał je porwać na białego rumaka i zabrać do krainy szczęśliwości, do zamku w chmurach - białych i puszystych, a nie nabrzmiałych wilgocią, szarych, angielskich chmurach.

Ale Vanessa czuła do niego głęboki żal. Skoro gardził nimi i rozrywką, jaką mu zaofiarowali, to mógłby przynajmniej zdobyć się na przyzwoitość i wyglądać odrażająco.

Usłyszała echo westchnień, które obiegiły salę niczym morską bryza, i miała gorącą nadzieję, że z jej piersi żadne z nich się nie wyrwało.

- Który z nich, jak sądzisz, jest wicehrabią Lyngate? - zapytała szeptem Louisa, pochylając się do prawego ucha Vanessy - co było konieczne w ciszy, jaka zapadła w sali.

- Ten przystojny, bez wątpienia - powiedziała Vanessa. - Mogłabym się założyć.

- Ach. - W głosie Louisy brzmiał żal. - Ja też tak myślę. Jest niemożliwie wspaniały, chociaż nie jest blondynem, ale nie wygląda na kogoś, kogo poraziłyby moje wdzięki, prawda?

Nie, z pewnością nie. Ani czyjekolwiek w tym nędznym, obskurnym zakątku świata. Jego postawa zdradzała człowieka mającego ogromne poczucie własnej ważności. Zachwycały go prawdopodobnie wyłącznie jego własne wdzięki.

Co w takim razie robił w Throckbridge? Czyżby skreślił w złą drogę?

Dżentelmeni nie stali długo w drzwiach. Sir Humphrey oprowadzał ich dokoła z uśmiechem zadowolenia na twarzy, jakby to on ich sprowadził do wsi właśnie tego dnia. Przedstawił

ich niemal wszystkim obecnym, zaczynając od pani Hardy przy fortepianie, Jamiego Latimera grającego na flecie i pana Rigga - skrzypka. Wkrótce potem dżentelmeni kłaniali się Margaret i Katherine. A w parę chwil później stali przed Stephenem oraz Melindą i Henriettą Dew, szwagierkami Vanessy oraz grupą innych bardzo młodych ludzi zebranych wokół nich.

- Sądzę, że wszyscy powinni zacząć rozmawiać głośno zamiast szeptać - szepnęła Vanessa.

Niższy dżentelmen, jak zauważyła, zamienił z każdym parę słów. Uśmiechał się i okazywał zainteresowanie. Drugi - bez wątpienia wicehrabia Lyngate - zachował całkowite milczenie, którym wszystkich onieśmiał. Vanessa podejrzewała, że robił to celowo. Kiedy przedstawiono mu Stephena, uniósł brwi do góry, co jego twarzy nadało wyraz arystokratycznej wyższości.

A Melinda, oczywiście, chichotała.

- Dlaczego jest tutaj? - zapytała Louisa wciąż szeptem. - To jest, w Throckbridge. Czy sir Humphrey mówił coś na ten temat?

- Powiedzieli mu, że przyjechali w interesach - odparła Vanessa. - Widocznie nie wyjaśnili tego bliżej, bo teść nie byłby w stanie się oprzeć i powtórzyłby nam wszystko.

- Interesy? - Louisa wydawała się zaskoczona i zdumiona. - W Throckbridge? Co to może być?

Vanessa, oczywiście, zastanawiała się nad tym samym. Jakże

mogłaby się nie zastanawiać? Jak ktokolwiek mógłby się nie zastanawiać? Jaki interes mógł kogoś sprowadzać do tej zapadłej, sennej dziury, mimo że była malownicza, zwłaszcza latem, i bliska jej sercu?

Jaki interes mógł tu sprowadzić wicehrabiego?

A jaki miał interes w tym, żeby patrzeć na nich z góry, jakby byli nędznymi robakami pod podeszwami jego kosztownych butów do tańca?

Nie знаła odpowiedzi i zapewne nigdy nie miała jej poznać. Ale nie było czasu na takie domysły - w każdym razie nie teraz. Teść prowadził obu dżentelmenów w ich stronę. Vanessa wołałaby, żeby tego nie zrobił, ale zdawała sobie sprawę, że to nieuniknione.

Sir Humphrey uśmiechnął się dobrodusznie do Vanessy i Louisy.

- A to jest najstarsza panna Rotherhyde - oznajmił i dodał z żalonym brakiem taktu i wątpliwą szczerością - piękność rodziny.

Louisa, straszliwie zmieszana, zwiesiła głowę i ukłoniła się nisko.

- I pani Hedleyowa Dew, moja droga synowa - dodał sir Humphrey, posyłając Vanessie promienny uśmiech. - Była żoną mego syna aż do jego nieszczęsnej śmierci przeszło rok temu.

Wicehrabia Lyngate, moje panie, oraz pan Bowen.

Vanessa trafnie ich zatem rozpoznała. Ale i tak nie miała co do tego wątpliwości. Dygnęła.

- Pani - powiedział pan Bowen, kłaniając się i uśmiechając czarująco, ale ze współczuciem - moje najszczerze kondolencje.

- Dziękuję - odparła świadoma wzroku wicehrabiego Lyngate. Włożyła, ostatecznie, lawendową suknię, chcąc uspokoić sumienie, chociaż wiedziała, że Hedley domagałby się, żeby włożyła zieloną. Nie był to żywy lawendowy kolor i suknia nie leżała najlepiej. Wiedziała, że to niezbyt ładny strój, i że nie było jej w nim do twarzy.

Nienawidziła siebie w tej chwili za to, że się przejmuje tym, iż nie wybrała jednak sukni zielonej.

- Nalegałem, żeby przyszła dzisiaj na zabawę - wyjaśnił sir Humphrey. - Jest za młoda i za ładna, żeby wiecznie chodzić w żałobie, z czym się z pewnością, panowie, zgodzicie. Okazała serce mojemu chłopcu, kiedy żył, i to się liczy. Nalegałem też, żeby tańczyła. Czy ktoś cię już poprosił do pierwszego tańca, Nessie?

Wzdrygnęła się, słysząc pierwsze słowa. Ostatnie sprawiły, że miała ochotę zapaść się pod podłogę.

- Nie, papo - zaprzeczyła pośpiesznie, zanim przyszło jej do głowy, że mogła skłamać. - Ale...

- A zatem nie wątpię, że któryś z panów będzie zachwycony, mogąc zatańczyć z tobą na otwarcie balu - powiedział teść, zacierając dłonie i uśmiechając się do niej promiennie.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Vanessa gorąco żałowała, że nie może zapaść się pod ziemię.

- Być może, pani Dew - odezwał się wicehrabia głębokim, aksamitnym głosem - zechce mi pani uczynić ten zaszczyt?

Proszono ją, aby zatańczyła z wicehrabią. Tą najwspanialszą istotą płci męskiej. Z tym nadętym... dandysem. Jej poczucie śmieszności sytuacji mogło grozić katastrofą. Co też musiał myśleć wicehrabia? Niemal parsknęła śmiechem, nie patrząc w stronę Margaret. Ale zażenowanie szybko stłumiło rozbawienie. Jakże to okropne, że bal zaczynał się w ten sposób.

Czy tylko wydawało się jej, że wszyscy w sali umilkli, czekając na jej odpowiedź?

Oczywiście, że nie.

O Boże! Powinna uprzeć się i zostać w domu z książką i ze wspomnieniami.

- Dziękuję. - Dygnęła ponownie i przyjrzała się zafascynowana dłoni, która wyciągnęła się w jej stronę. Była kształtna i wypiełgnowana, jak ręka kobiety. A jednak nie było w niej niczego kobiecego.

Jak też w nim samym, rzecz jasna. Z bliska wydawał się

trochę wyższy i potężniejszy niż z drugiego końca sali. Czowała delikatny zapach męskiej wody kolońskiej. Czowała ciepło, które z niego promieniowało.

Była jeszcze jedna rzecz w jego twarzy, co zauważyła, podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć. Jego oczy nie były czarne, jak sądziła po włosach i cerze, ale miały barwę głębokiego błękitu. Patrzyły na nią ciekawie spod wciąż lekko opuszczonych powiek.

Jego ręka była silna i ciepła.

Kiedy prowadził ją wśród formujących się szeregów, a pan Rigg nerwowo wygrywał trele na skrzypcach, pomyślała, że nieprędko zapomni ten wieczór. Miała tańczyć z przystojnym, dumnym wicehrabią - w dodatku na otwarciu balu. Żałowała, że nie będzie mogła pójść później do domu i podzielić się nowinami z Hedleyem.

- Nessie? - odezwał się wicehrabia Lyngate, gdy stanęła w szeregu pań, a on sam miał się ustawić się w szeregu dżentelmenów naprzeciwko. Jego brwi znowu uniosły się do góry. Nie zwracał się do niej. Zadawał pytanie - może sobie.

- Vanessa - wyjaśniła i pożałowała, że wymówiła to przepaszającym tonem.

Nie dosłyszała wyraźnie jego odpowiedzi, kiedy stanął w szeregu po drugiej stronie, ale wydawało jej się, że brzmiała:

„Dzięki Bogu!”

Czy naprawdę to powiedział?

Spojrzała na niego pytająco, ale nie powtórzył tych słów, jakiegokolwiek były.

Nigdy nie lubiła skrótu swojego imienia. Nessie Dew to brzmiało tak... pospolicie. Ale nawet jeżeli, to nic mu do tego, jak nazywali ją przyjaciele i rodzina.

Mężczyźni po obu stronach wicehrabiego Lyngate wydawali się nieco zmieszani. Podobnie jak damy obok niej, czego mogła się domyślić, nie odwracając głowy.

Miał zepsuć zabawę im wszystkim. A tak bardzo się na nią cieszyli. Ale dla niego nie miała żadnego znaczenia. Rozglądał się w prawo i w lewo, nie próbując nawet ukryć znudzenia.

Och, mój Boże. Zwykle nie oceniała innych surowo, zwłaszcza obcych - choć niewiele miała okazji, żeby ich spotykać. Dlaczego była taka złośliwa, myśląc o wicehrabim Lyngate? Czy dlatego, że była zbyt zmieszana, przyznając przed sobą, że niemal się w nim zakochała po uszy?

Jakże to byłoby zabawne - klasyczny przypadek Pięknej i Bestii, tyle że nikt nie miałby wątpliwości, do kogo stosowało się określenie „piękny”.

Przypomniała sobie nagle, że była aż nazbyt chętna, ustępując namowom teściów, a także Meg i Kate, żeby przyjść tu

dzisiaj wieczorem. A kiedy już uległa, to z zapartym tchem, krzyżując palce na szczęście, marzyła, żeby ktoś ją poprosił do tańca.

Cóż, ktoś się znalazł, nawet jeśli niezupełnie z własnej woli. I chyba nie mógł być przystojniejszy czy bardziej elegancki. Można powiedzieć, że uosabiał jej najśmielsze marzenia co do dzisiejszego wieczoru.

Zatem będzie się dobrze bawić.

Nagle uświadomiła sobie, że wokół jest jej rodzina, przyjaciele i sąsiedzi w świątecznych strojach, w świątecznym nastroju. Słyszała trzaskanie ognia w kominkach i widziała migotanie świec. Czowała zapach perfum i jedzenia.

I zdawała sobie sprawę z obecności dżentelmena, który stoi naprzeciwko niej, w oczekiwaniu na sygnał do tańca. I przygląda się jej spod spuszczonej powiek.

Nie dopuści, żeby sądził, że ją onieśmiela. Nie pozwoli, żeby wytrącił ją z równowagi i pozbawił panowania nad sobą.

Rozległy się pierwsze takty muzyki i Vanessa uśmiechnęła się najradośniej, jak potrafiła, zamierzając prowadzić konwersację z wicehrabią na tyle, na ile pozwolą figury tańca.

Ale przede wszystkim poddała się czystej radości z tego, że znów tańczy.

Ze wszystkich partnerek, z którymi miałby ochotę tańczyć,

pomyślał Elliott, kiedy rozległy się dźwięki muzyki i szereg dżentelmenów uklonił się, a damy dygnęły, pani Vanessa Dew - Nessie, na miłość Boską! - z pewnością byłaby ostatnia.

Synowa sir Humphreya. To już brzmiało dostatecznie odstręczające. W dodatku była to niczym niewyróżniająca się kobietka średniego wzrostu, i za szczupłą, i o zbyt małym, jak na jego gust, biuście, o włosach mysiego koloru i pospolitych rysach. Jej oczy miały nieokreślony szary kolor. A w lawendowym zupełnie jej nie było do twarzy. A nawet gdyby, to sama suknia wydawała się okropna. Ponadto nie była pierwszej młodości.

Stanowiła dokładne przeciwieństwo Anny i w gruncie rzeczy każdej damy, z którą zdarzyło mu się tańczyć na balach.

Ale oto tańczył właśnie z nią. George, jak sądził, byłby ją zaprosił, gdyby on tego nie zrobił, ale było oczywiste, po kim Dew spodziewał się, że poprosi jego synową do tańca. Tak więc jednak odgrywał rolę cyrkowej małpy.

To nie usposobiło go najlepiej.

A potem, gdy tylko zaczęli tańczyć, pani Dew posłała mu olśniewający uśmiech i był zmuszony przyznać, że może nie jest tak okropna, jak mu się wydawało. Nie był to uśmiech zalotny, jak zauważył z ulgą, kiedy po chwili uśmiechnęła się w ten sam sposób do wszystkich i wszystkiego, tak jakby nigdy w życiu nie bawiła się lepiej. Niemal sypała wokół siebie iskry.

Nie był w stanie pojąć, co mogło się podobać w takiej nieciekawej wiejskiej potańcówce, ale być może brakowało jej porównania.

Pomieszczenia były małe i zatłoczone, ściany i sufity pozbawione ozdób - z wyjątkiem jednego wielkiego i paskudnego obrazu nad kominkiem, przedstawiającego tłuściutkiego Kupidyna wypuszczającego strzałę z łuku. Powietrze było lekko zatechłe, jakby pomieszczeń nie otwierano przez rok - jak też bez wątpienia było. Muzycy grali z entuzjazmem, ale dosyć marnie - skrzypek mylił tonację, a pianista galopował, tak jakby chciał koniecznie skończyć utwór, zanim gra zacznie fałszować. Świece niemal gasły za każdym razem, kiedy otwierano drzwi i atakował je przeciąg. Wszyscy mówili naraz - i to tak głośno, że bolały go uszy. I wydawało się, że wszyscy cały czas pamiętali o jego obecności i robili wszystko, żeby tego nie okazać.

Pani Dew przynajmniej tańczyła dobrze. Lekko stawiała stopy, poruszała się z wdziękiem i gracją.

Zastanawiał się beznamiętnie, czyjej mąż był najstarszym synem. W jaki sposób go przyciągnęła? Czyjej ojciec miał pieniądze? Czy wyszła za niego, spodziewając się, że pewnego dnia zostanie lady Dew?

George tańczył z damą, która stała przedtem obok pani Dew - najstarszą córką rodziny, której nazwiska Elliott nie mógł sobie

przypomnieć. A jeśli to ona była piękną w tej rodzinie, to Boże dopomóż pozostałym.

Młodsza z dwóch sióstr Huxtable - panna Katherine Huxtable - także tańczyła. Starsza stała, przyglądając się tańczącym, razem z lady Dew. Nie przedstawiono go trzeciej siostrze. Zapewne musiała zostać w domu.

Starsza panna Huxtable odznaczała się wyjątkową urodą, ale trudno ją było nazwać młodą dziewczyną - czego należało się spodziewać po najstarszej z rodzeństwa, którego oboje rodzice nie żyli. Prawdopodobnie przez wiele lat opiekowała się pozostałymi. Współczuł jej w pewien sposób. Panna Katherine Huxtable była do niej bardzo podobna, choć dużo młodsza i bardziej ożywiona. Ona także była niezwykle piękna pomimo wyblakłej, nędznej sukni, którą usiłowano odświeżyć za pomocą nowej wstążki.

Stephen Huxtable był w istocie młodym lwem. Wysoki, smukły jak żreback, wyglądał na swoje siedemnaście lat. Podobał się ogromnie wszystkim damom pomimo młodego wieku. Otoczyły go wianuszkami, zanim zaczęły się tańce, a choć wybrał partnerkę, młode damy po obu jej stronach poświęcały mu przynajmniej tyle samo uwagi, co swoim, mniej interesującym partnerom.

Jego śmiech dobiegał do uszu Elliotta, aż ten odymał wargi. Miał nadzieję, że śmiech nie zdradzał bezmyślności i płytkiego

charakteru. Miał już za sobą trudny rok. Pragnął, aby kolejne cztery przebiegały pomyślniej.

- Przyjechał pan do Throckbridge w szczególnym czasie, milordzie - stwierdziła pani Dew, kiedy figury tańca zbliżyły ich do siebie na krótko.

Pewnie chodziło jej o to, że były walentynki i w gospodzie, gdzie miał szczęście się zatrzymać, urządzono tańce.

- W istocie, pani. - Uniósł brwi.

- Szczególnym dla nas, być może - roześmiała się, kiedy się rozeszli, i zrozumiał, że jego ton, jeśli już nie słowa, nie był zbyt uprzejmy.

- Nie tańczyłam ponad dwa lata - powiedziała, kiedy ponownie się spotkali i wzięli za ręce, żeby raz się obrócić - i zamierzam cieszyć się tym, choćby nie wiem co. Jest pan dobrym tancerzem.

Ponownie uniósł brwi, ale nie odpowiedział. Jak należało odpowiedzieć na ten niespodziewany komplement? Ale z drugiej strony, co miała na myśli, mówiąc, „choćby nie wiem co”.

Roześmiała się raz jeszcze, kiedy wrócili na miejsca.

- Nie jest pan, jak widzę - oznajmiła następnym razem - zbyt rozmowny.

- Trudno prowadzić znaczącą konwersację, gdy jest podzielona na trzydziestosekundowe odcinki - stwierdził z urazą

w głosie.

Zwłaszcza kiedy wszyscy wieśniacy wrzeszczeli jedni do drugich, a nikt nie słuchał, a orkiestra grała wtedy głośniejsze, żeby ich zagłuszyć. Nigdy w życiu nie słyszał równie paskudnej kakofonii.

Jak można się było spodziewać, wybuchnęła śmiechem.

- Jeśli pani pozwoli, będę jej prawić komplementy za każdym razem, kiedy się spotkamy. Trzydzieści sekund zupełnie wystarczy.

Rozdzielili się, zanim zdążyła odpowiedzieć, ale zamiast się uspokoić, jak miał nadzieję, śmiała się do niego oczami.

- Większość dam - powiedział następnym razem, kiedy stanęli zwróceniem do siebie plecami - musi nosić klejnoty we włosach, żeby lśniły. Naturalne złoto w pani włosach powoduje, że lśnią bez tego. - To było raczej naciągane stwierdzenie, jako że jej włosy były nijakiego koloru, choć, co prawda, światło świec im służyło.

- Och, zgrabnie powiedziane - stwierdziła.

- Zaćmiewa pani wszystkie obecne damy w każdy możliwy sposób - dodał w jakiś czas później.

- Och, to już mniej zręczne - zaprotestowała. - Żadna rozsądna dama nie lubi, aby jej pochlebiano tak przesadnie. Poza tymi, które są zarozumiałe.

- Nie jest pani zatem zarozumiała? - zapytał. Niewiele miała powodów do zarozumiałstwa, to prawda.

- Może pan mi powiedzieć, jeśli pan chce, że jestem oszałamiająco piękna - odparła, podnosząc ku niemu roześmianą twarz - ale nie, że jestem piękniejsza niż inne damy. Byłoby to zbyt oczywiste kłamstwo, mogłabym nie uwierzyć i wpaść w przygnębienie.

Spojrzał na nią z mimowolnym podziwem, kiedy odtańczyła w drugą stronę. Na pewno miała poczucie humoru. Prawie roześmiał się głośno.

- Jest pani oszałamiająco piękna - powiedział, kiedy chwycili się za ręce na końcu szeregu.

- Dziękuję - uśmiechnęła się. - Jest pan bardzo uprzejmy.

- Ale - dodał, zaczynając ją obracać pomiędzy rzędami - takie są wszystkie damy obecne tu dzisiaj, bez wyjątku.

Odrzuciła głowę do tyłu, śmiejąc się wesoło, i przez krótką chwilę uśmiechnął się do niej w odpowiedzi.

Na Boga, czyżby z nią flirtował?

Z pospolitą kobietką, która nie była ani onieśmielona jego pozycją, ani łasa na komplementy? Ale kto tańczył z takim zapamiętaniem, jakby nie było na świecie nic przyjemniejszego?

Zdziwił się, kiedy taniec się skończył. Co, już?

- Czy nie ma trzeciej panny Huxtable? - zapytał,

odprowadzając ją na miejsce, gdzie przedtem stała.

- Trzeciej? - Spojrzała pytająco.

- Przedstawiono mnie pannie Huxtable, ciemnowłosej damie, która tam stoi - powiedział, kiwnąwszy głową w tamtą stronę - oraz pannie Katherine Huxtable, jej młodszej siostrze. Myślałem jednak, że jest i trzecia.

Popatrzyła na niego ciekawie, milcząc przez chwilę.

- Nie ma trzeciej panny Huxtable - oznajmiła - chociaż jest trzecia siostra. Ja nią jestem.

- Ach - mruknął, chwytając rączkę monokla. - Nie poinformowano mnie, że jedna z sióstr wyszła za mąż.

Biedactwo. Zważywszy na urodę tej rodziny, natura poskapiła jej urody.

- A należało? - Uniosła brwi z widocznym zdumieniem.

- Wcale nie - odparł szybko. - To była zwykła ciekawość z mojej strony. Czy pani mąż był najstarszym synem sir Humphreya?

- Nie. Był młodszym z dwóch. Crispin jest starszy.

- Przykro mi z powodu śmierci pani męża - powiedział. Nie musiał tego mówić, doprawdy, jako, że nie znał człowieka, a jego śmierć miała miejsce jakiś czas temu. - To musiał być straszliwy szok.

- Wychodząc za niego, wiedziałam, że umiera. Miał gruźlicę - odparła.

- Przykro mi.

Jak, u diabła, wplątał się w to?

- Mnie także - stwierdziła, rozkładając wachlarz i zasłaniając nim twarz. - Ale Hedley zmarł, a ja żyję, poza tym pan go nie znał i mnie pan nie zna, w związku z czym nie ma powodu, żebyśmy stali się ckliwi, prawda? Dziękuję za taniec. Wszystkie damy będą mi zazdrościć, że tańczyłam z panem pierwsza.

Uśmiechnęła się promiennie, kiedy się uklonił.

- Nie będzie się jednak pani przechwalać - stwierdził. - Nie jest pani zarozumiała.

Roześmiała się.

- Życzę przyjemnego wieczoru, pani Dew - powiedział, odwracając się.

Postanowił iść w stronę, jak sądził, pokoju do gry w karty, zanim dopadnie go sir Humphrey, wmuszając mu kolejną partnerkę. Na szczęście się nie pomylił. A hałas w tym pomieszczeniu był lekko przytłumiony.

Pokazał się na balu i zachowywał uprzejmie.

A więc pani Vanessa Dew była trzecią siostrą? Dziwna ironia losu, że przy tak pospolitym wyglądzie wstąpiła w związek małżeński jako pierwsza. Chociaż niewątpliwie miała w sobie jakąś iskrę, która czasami sprawiała, że wydawała się ładniejsza. Świadomie poślubiła umierającego, Boże wielki!

Kiedy Vanessa skończyła śniadanie następnego dnia, w Rundle Park wszyscy jeszcze spali - poza sir Humphreym, który szykował się, żeby pojechać do wsi i odwiedzić wicehrabiego Lyngate i pana Bowena. Zamierzał, jak oznajmił Vanessie, zacierając ręce z zadowoleniem, zaprosić ich na obiad.

- Być może - powiedział - gdybym wziął powóz, miałabyś ochotę pojechać ze mną, Nessie, żeby odwiedzić siostrę. Jest rannym ptaszkiem tak samo jak ty, pozwolę sobie zauważyć.

Vanessa przyjęła propozycję z przyjemnością. Chętnie porozmawia z Margaret o wczorajszej zabawie. To był taki cudowny wieczór. Przez pół nocy, oczywiście, nie spała, myśląc o pierwszym tańcu. Nic dziwnego. Nikt z obecnych na balu na pewno nie pozwoli jej o nim zapomnieć. Wicehrabia tańczył z nią i tylko z nią.

Jeszcze przed rozpoczęciem tańca postanowiła, że nie zachowa nabożnego milczenia. Po paru minutach stało się jednak jasne, że on ani myślał rozmawiać, choć z pewnością każdy uprzejmy dżentelmen podjąłby taki wysiłek. Widocznie nie był bardzo uprzejmym dżentelmenem - jeszcze jedna jego wada, którą zauważyła, tak naprawdę wcale go nie znając. Tak więc to ona zaczęła z nim rozmawiać.

Na koniec niemal ze sobą żartowali. Prawie flirtowali. Może

jest w tym człowieku coś więcej, niż sądziła na początku. Mój Boże, nigdy nie flirtowała z żadnym mężczyzną. Ani żaden inny mężczyzna z nią nie flirtował.

Jednak nie zatańczył już z nikim innym. Resztę wieczoru spędził w pokoju do gry w karty. Czułaby się upokorzona, gdyby obchodziło ją, co o niej myśli. A tak rozczarował tylko około tuzina innych kobiet, które miały nadzieję zwrócić jego uwagę.

Ale to, co powiedział na sam koniec, nie dawało jej spać w nocy. Zdumiał ją wtedy i wciąż zdumiewał. Ciekawa była, co powie na to Margaret.

- Wicehrabia Lyngate i pan Bowen to wyjątkowo mili młodzi dżentelmeni. Chyba zgodzisz się ze mną, Nessie? - zapytał sir Humphrey, kiedy weszli do powozu.

- W istocie, papo.

Pan Bowen był bardzo miły. Tańczył z tyloma różnymi partnerkami, ile było tańców, a także rozmawiał z nimi i prawie ze wszystkimi innymi w przerwach i przy kolacji. Wicehrabia Lyngate, jak podejrzewała Vanessa, w ogóle się nie bawił zeszłego wieczoru. Ale jeśli tak, to wyłącznie z własnej winy, ponieważ zjawił się na balu, spodziewając się nudy. To było dla niej zupełnie oczywiste. Czasami człowiek dostawał dokładnie to, czego oczekiwał.

- Myślę, Nessie - zachichotał sir Humphrey - że wicehrabia

upodobał sobie ciebie. Tańczył tylko z tobą.

- Myślę, papo - odparła z uśmiechem - że bardziej ode mnie czy od kogokolwiek innego upodobał sobie grę w karty. W pokoju karcianym spędził większą część wieczoru.

- Ku powszechnemu zadowoleniu - stwierdził teść. - Starsi ludzie docenili jego łaskawość. Rotherhyde sprawił, że stał się lżejszy o dwadzieścia gwinei, i nie będzie, powiadam ci, rozprawiać o niczym innym przez następny miesiąc.

Nie padało, chociaż wyglądało na to, że deszcz lunie lada moment. Było dość chłodno. Vanessa podziękowała sir Humphreyowi za podwiezienie, kiedy powóz stanął przed furtką.

Zastała w domu nie tylko Margaret, ale także Katherine, bo tego dnia dzieci nie szły do szkoły. Stephen również był w domu, ale siedział na górze, w swoim pokoju, nad łacińskim tłumaczeniem, bo Margaret zagroziła, że nie wypuści go z domu, dopóki nie skończy tego zadania.

Vanessa uściskała siostry i zajęła swoje zwykłe miejsce przy kominku w salonie. Rozmawiały, oczywiście, o balu, podczas gdy Margaret jak zwykle coś cerowała.

- Poczułam taką ulgę, kiedy zobaczyłam, że wchodzisz do sali z lady Dew, Henriettą i Evą - powiedziała. - Obawiałam się, że się wycofasz w ostatniej chwili. I byłam zachwycona, widząc, że cały czas tańczyłaś. Zmęczyłam się samym tylko patrzeniem na

ciebie.

Swoją drogą sama Margaret nie zatańczyła tylko dwóch tańców.

- Ja też nie siedziałam cały wieczór - powiedziała Katherine.

- Czy nie był to cudowny bal? Oczywiście, ty dokonałaś największego podboju, Nessie. Tańczyłaś na otwarciu z wicehrabią Lyngate, który naprawdę jest tak przystojny, że poruszył serca wszystkich kobiet. Gdybyś nie przyszła, ja poszłabym do Rundle. Opowiadaj!

- Nie ma wiele do opowiadania. Tańczył ze mną, bo teść nie dał mu wyboru - stwierdziła Vanessa. - Nie poraziły go jednak moje wdzięki, a jeśli zjawił się na balu szukać żony, to zaprzestał poszukiwań po tańcu ze mną. Jakież to przygnębiające.

Siostry roześmiały się zgodnie.

- Nie doceniasz się, Nessie - stwierdziła Margaret. - Nie potraktował cię zbyt wyniośle. Rozmawiał z tobą podczas tańca.

- Bo go do tego zmusiłam - odparła Vanessa. - Powiedział, że jestem olśniewająco piękna.

- Nessie! - wykrzyknęła Katherine.

- A potem dodał, że takie są wszystkie obecne damy bez wyjątku - uzupełniła Vanessa. - To skutecznie osłabiło komplement, prawda?

- Czy to było wtedy, kiedy odrzuciłaś głowę do tyłu i

wybuchnęła śmiechem? - zapytała Margaret. - Wszyscy w sali uśmiechali się, żałując, że nie mogą podsłuchiwać. Zmusiłaś go do wygłaszania podobnych nonsensów? Jak ty to robisz? Zawsze umiałaś pobudzać ludzi do śmiechu. Nawet Hedleya, kiedy już był... bardzo chory.

Vanessa poświęciła mu wtedy resztę energii, sprawiając, że się uśmiechał. Później się załamała. Po pogrzebie przez niemal dwa tygodnie nie była w stanie zwlec się z łóżka.

- Och - powiedziała, połykając łzy - ale to wicehrabia Lyngate mnie rozbawił.

- Czy wyjaśnił - chciała wiedzieć Katherine - co robi w Throckbridge?

- Nie - odparła Vanessa. - Ale powiedział coś bardzo dziwnego. Zapytał mnie o trzecią siostrę Huxtable. Czy papa wczoraj wieczorem wspomniał przy wicehrabim o moim istnieniu?

- Nie przypominam sobie - odrzekła Margaret, podnosząc głowę znad powłoczki, którą właśnie naprawiała.

- Na pewno nie - stwierdziła zdecydowanie Katherine. - Może powiedział coś, kiedy od nas odeszli albo kiedy przedstawiał Stephena. Co mu powiedziałaś?

- Wyjaśniłam, że ja jestem trzecią siostrą - odparła Vanessa. - A on na to, że nie został powiadomiony, że jedna z nas wyszła za

mąż. Potem zmienił temat i zapytał mnie o Hedleya.

- To istotnie dziwne - mruknęła Katherine.

- Ciekawa jestem - zastanawiała się Vanessa - co wicehrabia Lyngate robi w Throckbridge. Mówił papie, że ma tu jakiś interes. Skąd wiedział, że są trzy siostry Huxtable? I dlaczego miałyby go to w ogóle interesować?

- Pewnie to zwykła ciekawość - stwierdziła Margaret. - Dlaczego Stephen drze wszystkie powłoczki, w jakie oblekasz mu poduszki?

- Może to nie była zwykła ciekawość! - wykrzyknęła Katherine, zrywając się nagle na równe nogi, ze wzrokiem utkwionym gdzieś za oknem. - Właśnie tu idzie. Idą obaj. - Jej głos wzniósł się niemal do pisku.

Margaret pośpiesznie odłożyła na bok robótkę, a Vanessa spojrzała w okno i przekonała się, że istotnie wicehrabia Lyngate i pan Bowen minęli furtkę i kierowali się ku drzwiom frontowym. Wizyta teścia w gospodzie musiała trwać bardzo krótko.

- Ojej! - Słyszały tupot Stephena na schodach i jego okrzyk; wyraźnie cieszył się, że mógł uciec choć na chwilę od książek. - Meg? Mamy gości. Ach, jesteś tu, Nessie? Wygląda na to, że wicehrabia wczoraj wieczorem nie mógł się oprzeć twojemu urokowi i przychodzi, żeby prosić cię o rękę. Wybadam go bardzo gruntownie, zanim wyrażę zgodę, czy jest w stanie cię utrzymać. -

Uśmiechnął się szeroko, puszczając do niej oko.

- O, Boże - zaniepokoiła się Katherine, kiedy rozległo się pukanie do drzwi - jak się zwracać do wicehrabiego?

Dwaj dżentelmeni, jak uświadomiła sobie nagle zaszokowana Vanessa, przybyli tutaj, do Throckbridge, z ich powodu. To oni byli tą sprawą, o której mówił wicehrabia. Wiedział o ich istnieniu, zanim przyjechał, chociaż nie poinformowano go, że jedna z trzech sióstr wyszła za męża. Cóż za intrygująca tajemnica! Vanessa była zadowolona, że przyjechała tu dziś rano.

Słyszeli, jak pani Thrush otwiera drzwi. A potem w milczeniu czekali, aż otworzą się drzwi salonu, jakby tworzyli żywy obraz na scenie. Po chwili, która wydawała się trwać całe wieki, drzwi się otworzyły i służąca zapowiedziała obu dżentelmenów.

Tym razem pierwszy wszedł wicehrabia.

Tego ranka jego strój nie nawiązywał do wiejskiej swobody, jak szybko zauważyła Vanessa. Miał na sobie ciężki płaszcz do połowy łydki z pół tuzinem krótkich pelerynek, wysoką czapę z bobra, którą już zdjął, skórzane rękawiczki, które właśnie zdejmował, oraz czarne buty z miękkiej skóry, które musiały kosztować majątek. Wydawał się potężniejszy, bardziej imponujący i niedostępny - i dziesięć razy wspanialszy - niż poprzedniego wieczoru. Rozejrzał się po salonie i skłonił

Margaret. Marszczył czoło, jakby ta wizyta nie była mu w smak. Wydawał się bardzo daleki od żartów i flirtów.

Dlaczego przyjechał? Wielkie nieba, dlaczego?

- Panno Huxtable - rzekł. Zwrócił się do nich wszystkich po kolei. - Pani Dew? Panno Katherine? Huxtable?

Pan Bowen ukłonił się z wesołym uśmiechem.

- Panie? Huxtable? - powiedział.

Vanessa powiedziała sobie stanowczo, tak jak poprzedniego wieczoru, że nie pozwoli, aby onieśmielił ją modny płaszcz, drogie buty i tytuł. Ani też pochmurna, urodziwa, pięknie rzeźbiona twarz ze zmarszczonymi brwiami. Na Boga, jej teść nie był nikim. Był baronetem!

Jednak czuła się onieśmielona. Wicehrabia wydawał się nie na miejscu w skromnym, niemal nędznym saloniku Meg. Przy nim pokój stawał się dziesięć razy mniejszy. Miało się wrażenie, że brakuje w nim powietrza.

- Wicehrabio? Panie Bowen? - przywitała ich Margaret z godnym podziwu opanowaniem, wskazując krzesła po obu stronach kominka. - Zechcą panowie usiąść? Poda pani herbatę, pani Thrush?

Wszyscy usiedli, kiedy pani Thrush wyszła z pokoju z wyrazem ulgi na twarzy.

Pan Bowen stwierdził, że bardzo podoba mu się ich dom.

Dodał, że latem ogród musi być niezwykle barwny i piękny. Pochwalił wczorajszą zabawę. Zapewnił, że spędził bardzo przyjemny wieczór.

Wicehrabia Lyngate odezwał się dopiero, kiedy podano herbatę.

- Przynoszę wieści, które dotyczą was wszystkich - zaczął. - Obawiam się, że jest moim smutnym obowiązkiem poinformować was o niedawnej śmierci hrabiego Mertona.

Patrzyli na niego przez chwilę.

- To w istocie smutne nowiny - przerwała milczenie Margaret - i jestem bardzo zobowiązana, że przyniósł je pan osobiście. Sądzę, że łączy nas pokrewieństwo z rodziną hrabiego, choć nigdy nie mieliśmy z nimi do czynienia. Nasz ojciec nie pozwalał o nich mówić. Nessie orientuje się zapewne lepiej w stopniu pokrewieństwa. - Spojrzała pytająco na siostrę.

Vanessa jako dziecko spędziła wiele czasu w towarzystwie dziadków ze strony ojca i słuchała z ciekawością ich opowiadań o rodzinie, zaś Margaret interesowało to znacznie mniej.

- Nasz dziadek był młodszym synem hrabiego Mertona - wyjaśniła. - Rodzina odcięła się od niego, ponieważ miał burzliwą młodość i wybrał babcię na żonę. Nigdy więcej ich nie zobaczył. Mówił mi często, że nasz papa był kuzynem pierwszego stopnia obecnego hrabiego. Czy to on właśnie umarł? To by czyniło nas

jego kuzynami pierwszego stopnia.

- Och - odezwał się Stephen - to rzeczywiście całkiem bliskie pokrewieństwo. Nie miałem pojęcia, chociaż wiedziałem, że jakiś związek istnieje. W istocie jesteśmy panu zobowiązani za przybycie. Czy nowy hrabia prosił, żeby pan nas odszukał? Czy chodzi o przywrócenie zgody w rodzinie? - Chłopiec wyraźnie się ożywił.

- Nie jestem pewna, czy bym tego chciała - stwierdziła poruszona Katherine - skoro oni wszyscy odwrócili się od dziadka, ponieważ poślubił babcię. Nie byłoby nas na świecie, gdyby tego nie zrobił.

- Jednak napiszę list z kondolencjami do nowego hrabiego i jego rodziny - oznajmiła Margaret. - Tak nakazuje przyzwoitość. Zgodzisz się ze mną, Nessie? Może zabierze go pan ze sobą, wyjeżdżając?

- Niedawno zmarły hrabia był chłopcem zaledwie szesnastoletnim - wyjaśnił wicehrabia Lyngate. - Przeżył ojca tylko o trzy lata. Zostałem jego opiekunem i zarządcą majątku po śmierci mojego własnego ojca w zeszłym roku. Chłopiec, niestety, zawsze był słabego zdrowia i nie rokował nadziei, że dożyje wieku dojrzałego.

- Ach, biedny chłopiec - szepnęła Vanessa.

Jego żywe, niepokojąco błękitne oczy spoczęły na niej przez

chwilę. Oparła się wygodniej na krześle.

- Młody hrabia nie miał syna, rzecz jasna - ciągnął, zwracając się ponownie do Stephena - ani braci, którzy mogliby po nim dziedziczyć. Ani żadnych wujów. Poszukiwanie spadkobiercy doprowadziło do jego dziadka oraz jego brata - waszego dziadka - i jego potomków.

- A niech to - wyrwało się Stephenowi.

Vanessa wbiła się jeszcze głębiej w krzesło, a Katherine zakryła twarz dłońmi.

Dziadek miał tylko jednego syna - ich ojca.

- Doprowadziło do was - kontynuował wicehrabia Lyngate. - Huxtable, przyjechałem, żeby ci oznajmić, że jesteś teraz hrabią Merton i właścicielem Warren Hall w Hampshire, poza innymi posiadłościami w doskonałym, jak z zadowoleniem mogę stwierdzić, stanie. Moje gratulacje.

Stephen wpatrywał się w niego wielkimi oczami. Twarz mu pobiadła.

- Hrabia? - szepnęła Katherine. - Stephen? Vanessa chwyciła za poręcz krzesła. Margaret wyglądała, jakby wykuto ją z marmuru.

- Gratulacje, chłopcze - powiedział serdecznym tonem pan Bowen i wstał, wyciągając rękę do Stephena.

Stephen podniósł się, żeby uścisnąć jego dłoń.

- Niedobrze się składa - ciągnął wicehrabia Lyngate - że nie otrzymałeś wychowania, jakie przygotowałyby cię do życia, które cię teraz czeka, Merton. To będzie dużo pracy i wiele obowiązków, nie tylko splendor tytułu i bogactwa. Będziesz musiał się wiele nauczyć, czym się zajmę i w czym sam z przyjemnością wezmę udział. Musimy zabrać cię bez dalszej zwłoki do Warren Hall. Już luty. Miejmy nadzieję, że po świętach Wielkiej Nocy będziesz gotów pokazać się w Londynie. Wykwintne towarzystwo zjedzie się tam, jak rozumiesz, w związku z sezonem i sesją parlamentu. Będą chcieli cię poznać, niezależnie od twojego młodego wieku. Czy będziesz gotów, żeby wyjechać jutro rano?

- Jutro rano? - powiedział Stephen, puszczając dłoń pana Bowena i patrząc ze zdumieniem na wicehrabiego. - Tak szybko? Ale ja...

- Jutro rano, milordzie? - odezwała się Margaret stanowczym tonem. Vanessa dosłyszała w nim stalową nutkę. - Sam?

- To konieczne, panno Huxtable - wyjaśnił wicehrabia. - Już straciliśmy parę miesięcy, szukając młodego Mertona. Wielkanoc będzie...

- On ma siedemnaście lat - odparła Margaret. - Nie ma mowy, by jechał z panem sam. Jutro. Wyższe sfery mogą poczekać.

- Zdaję sobie sprawę, pani... - zaczął wicehrabia.

- Och, myślę, że pan sobie nie zdaje - przerwała mu Margaret, podczas gdy Vanessa i Katherine, zafascynowane, wodziły wzrokiem od jednego do drugiego; Stephen ponownie usiadł na krześle, z taką miną, jakby miał za chwilę zemdleć. - Mój brat nigdy nie wyjeżdżał dalej niż parę mil od domu, a pan się spodziewa, że odjedzie z panem, zupełnie obcym człowiekiem, jutro, żeby zamieszkać w obcym domu pośród ludzi, których nigdy nie widział na oczy, i rozpocząć życie, którego się nie spodziewał i które jest dla niego czymś całkowicie nowym?

- Meg... - policzki Stephena pokrył rumieniec.

- Kiedy przed ośmiu laty mój ojciec leżał na łożu śmierci - oznajmiła Margaret, podnosząc dłoń i nie odwracając wzroku od wicehrabiego - złożyłam mu uroczystą obietnicę, że zaopiekuję się moim rodzeństwem, póki nie osiągną pełnoletniości i nie będą w stanie sami o siebie zadbać. Zawsze uważałam tę obietnicę za świętą. Stephen nigdzie nie pojedzie jutro ani pojutrze, ani następnego dnia. W każdym razie nie sam.

Wicehrabia Lyngate uniósł brwi i przybrał w istocie niezwykle dostojny wygląd.

- Zapewniam panią - powiedział, każdym poruszeniem ciała zdradzając zniecierpliwienie - że pani brat będzie bezpieczny pod moją opieką. Jest jednym z najbogatszych ludzi w kraju i trzeba

koniecznie...

- Pod pańską opieką? - powtórzyła Margaret. - Pan wybaczy. Stephen pozostaje pod moją opieką, choćby się okazało, że jest bogaty jak Krezus i król Anglii razem wzięci.

- Meg - wtrącił Stephen, przesuwając palcami po włosach, co natychmiast przywróciło im naturalny wygląd. Wydawał się bardzo zmieszany. - Ja mam siedemnaście lat, nie siedem. I jestem hrabią Merton, o ile to nie jest jakiś dziwaczny żart. Lepiej, żebym pojechał i dowiedział się, o co w tym wszystkim chodzi, i nauczył się pełnić swoje obowiązki. Byłoby upokarzające spotkać kogoś z towarzystwa i nie wiedzieć, jak się zachować. Na pewno się z tym zgodzisz.

- Stephenie... - zaczęła Margaret.

On jednak podniósł dłoń i zwrócił się do wicehrabiego.

- Rzecz w tym - wyjaśnił - że, jak pan się przekonał, jesteśmy bardzo zżytą rodziną. Zawdzięczam wiele wszystkim moim siostram, ale zwłaszcza Meg. Oczywiście muszą ze mną pojechać, jeśli ja mam jechać - a tak się, jak sędzę, stanie. Muszą jechać, ponieważ zależy mi na tym. W gruncie rzeczy bez nich nie pojedę. Jakbym się czuł, sam, w wielkiej, starej rezydencji? Przypuszczam, że Warren Hall jest duże?

Wicehrabia pochylił głowę, podczas gdy Meg patrzyła na Stephena ze zdumieniem.

- I co za bogaty, wpływowy hrabia byłby ze mnie - ciągnął Stephen - gdybym zostawił siostry w takiej chacie jak ta, podczas gdy one oszczędzały każdy grosz, żeby mnie posłać na uniwersytet, kiedy skończę osiemnaście lat? Nie, lordzie Lyngate. Meg i Kate pojedą ze mną. Nessie także, jeśli sobie tego życzy albo jeśli uda się ją przekonać. Przypuszczam, że byłoby jej smutno w Rundle Park, gdybyśmy wszyscy wyjechali.

Mogliby pojechać bez niej? Vanessa nie dopuszczała do siebie takiej myśli. Mogłaby stracić raptem całą rodzinę? Oczywiście, że pojedzie z nimi.

- Musisz przyznać, Elliotcie - odezwał się pan Bowen - że to rozsądna propozycja. Chłopiec podjął decyzję i przy siostrach będzie wiódł dalej spokojne, rodzinne życie. Będzie tego potrzebował. A one są teraz siostrami hrabiego. To dla nich bardziej stosowne, żeby zamieszkały w Warren Hall zamiast zostać tutaj.

Wicehrabia, unosząc brwi, po kolei popatrzył na każdego z obecnych.

- Z czasem, owszem - przyznał. - Ale najlepiej nie od razu. Wszystkie trzy wymagałyby kształcenia, strojów, tysiąca i jednej innych rzeczy. Wszystkie trzeba by przedstawić na dworze, a potem w towarzystwie. To monumentalne przedsięwzięcie.

Vanessa wciągnęła powoli powietrze. O ile zyskał w jej

oczach odrobinę zeszłego wieczoru, kiedy tańczyli, o tyle teraz znowu znalazł się na samym dnie. Traktował je - wszystkie, nawet Meg - jako monumentalny ciężar. Kłopot. Wiejskie baby. Nabrała powietrza, chcąc coś powiedzieć. Ale Stephen wydawał się nie zauważyć niczego niewłaściwego - ani też niczego w ogóle - w tym, co powiedział wicehrabia. Upomniał się o swoje prawa w tej niezwykłej sytuacji, która nagle na niego spadła, ale nadal pozostał pełnym życia chłopcem.

- O rany. - Wstał i uśmiechnął się promiennie. - Jedziemy do Warren Hall, Meg. Będziesz miała debiut w sezonie, w londyńskim towarzystwie, Kate. A ty znowu zamieszkas z nami, Nessie. Och, to cudownie! - Zatarł ręce, a potem objął Katherine.

Vanessa nie mogła mu zepsuć przyjemności. Kiedy jednak zerknęła na wicehrabiego Lyngate, nie próbując nawet ukryć rozdrażnienia, stwierdziła, że patrzy na nią z uniesionymi brwiami.

Mocno zacisnęła wargi.

Ale potem uśmiechnęła się, a nawet roześmiała, kiedy Stephen podniósł ją z krzesła - w powietrze - i okręcił dookoła.

- Cudownie! - zawołał jeszcze raz.

- W istocie - zgodziła się chętnie.

- Pojedźmy lepiej do Rundle Park - powiedział - żeby zawiadomić sir Humphreya i lady Dew. I na plebanię, żeby

powiedzieć proboszczowi. I do - Boże. - Usiadł gwałtownie i znowu zbladł. - O Boże.

Wicehrabia Lyngate podniósł się z krzesła.

- Zostawimy was, żebyście mogli w spokoju wszystko przemyśleć - oznajmił. - Ale wrócimy po południu omówić szczegóły. Nie ma czasu do stracenia.

Margaret także wstała.

- Nie będziemy tracić czasu, milordzie - oznajmiła stanowczo. - Nie może pan jednak oczekiwać, że wyruszymy jutro, pojutrze czy nawet jeszcze następnego dnia. Wyjedziemy, jak tylko będziemy gotowi. Mieszkaliśmy tutaj, w Throckbridge, całe życie. Zapuściliśmy korzenie tak głęboko, jak pan zapewne w swoim domu. Potrzebujemy czasu, żeby je wyrwać.

- Do zobaczenia zatem. - Skłonił się wicehrabia Lyngate. Przyszedł, jak uświadomiła sobie Vanessa, spodziewając się, że je onieśmieli tak, iż zgodzą się, aby porwał Stephena do nowego życia już jutro. Bez sióstr.

Jakże głupi bywali mężczyźni.

Uśmiechnęła się do wicehrabiego, kiedy się jej ukłonił. Wiejskie baby, o czym się przekona, niekoniecznie dawały sobą tak łatwo powodować, jak damy, do których widocznie przywykł.

Ale Stephen, pomyślała, kiedy dżentelmeni wyszli, Stephen był hrabią.

Hrabią Merton.

- Hrabia Merton - powiedział na głos, jakby powtarzając jej myśl. - Niech ktoś mnie uszczypnie.

- Jeśli ty uszczypniesz mnie pierwszy - odrzekła Katherine.

- Och, mój Boże - odezwała się Margaret, wciąż stojąc i rozglądając się niespokojnie po pokoju. - Od czego mam zacząć?

- Od początku? - poddała myśl Vanessa.

- Gdybym tylko wiedziała, gdzie to jest - odparła Meg niemal ze szlochem.

Po chwili Stephen odezwał się znowu; krew z powrotem napłynęła mu do twarzy, w oczach pojawił się błysk.

- O Boże! Czy zdajecie sobie sprawę, co to znaczy? To znaczy, że nie muszę czekać, aż skończę studia i pewnie jeszcze parę lat dłużej, żeby robić wszystko, o czym marzyłem. Nie muszę czekać, aż będę w stanie was utrzymywać. Nie muszę czekać ani minuty dłużej. Jestem hrabią Merton. Jestem bogatym człowiekiem. I wszystkim wam zapewnię wspaniały nowy dom i jeszcze wspanialsze nowe życie. A co do mnie... Cóż.

Najwyraźniej zabrakło mu słów.

- Och, Stephenie - powiedziała Katherine z czułością. Vanessa zagryzła górną wargę.

Margaret zalała się łzami.

To zajęło sześć dni.

Sześć dni zabijania czasu w nędznej wiejskiej gospodzie. Sześć dni w odległej wsi w lutym, kiedy słońce nie pokazywało się prawie wcale, a lodowaty deszcz chlustał im w twarz, jak tylko wychylili się na zewnątrz. Sześć dni goszczenia przez niezmiennie radosnego i dobrodusznego sir Humphreya Dew. Sześć dni obserwowania reakcji zaspanej angielskiej wsi na zdumiewającą wieść, że jeden z jej mieszkańców odziedziczył właśnie tytuł hrabiego, a także jego majątek.

Sześć dni niecierpliwienia się albo zzymania się na George'a Bowena, być może najbardziej niesubordynowanego sekretarza w historii.

Sześć dni tęsknoty za Anną i bólu niezaspokojonego pożądanego.

Wydawało się, że to sześć tygodni.

Albo miesięcy.

Parę razy zawitali do domku Huxtable'ów, ale za każdym razem wszyscy byli tak zajęci przygotowaniami do wyjazdu, że Elliott nie chciał im przeszkadzać. Młody Merton odwiedził ich raz w gospodzie, zapewniając, że będą gotowi lada moment.

Sześć dni to lada moment?

Częściej widywał panią Dew niż pozostałych. Ale ona

mieszkała w Rundle Park, a nie w domu z własną rodziną.

Niewiele czasu minęło, a zorientował się, że będzie mu prawdziwym cierniem w boku. Wiedział o tym od pierwszej wizyty w ich domku, kiedy poczuła się urażona jego niechętną zgodą na to, żeby trzy siostry towarzyszyły młodemu Mertonowi do Warren Hall. Nie odezwała się wówczas wcale, ale jej wzrok mówił aż za wiele. Może sądziła, że małżeństwo z młodszym synem wiejskiego baroneta wystarczyło, żeby salony Londynu stanęły przed nią otworem.

Nie była taka wstrzemięźliwa w słowach, kiedy spotkał ją przypadkiem trzy dni później.

Razem z George'em jechali do Rundle Park na kolację i zobaczyli ją, jak szła w tę samą stronę, wracając zapewne od rodzeństwa. Elliott zsiadł z konia i poprosił George'a, żeby jechał dalej sam z dwoma wierzchowcami; nie był jednak pewien, czy docenią jego galanterię.

Przez parę minut wicehrabia i Vanessa szli, rozmawiając o pogodzie. O tym, że w powietrzu utrzymuje się uporczywy chłód, co dotkliwie daje się we znaki przy braku słońca i silnym wietrze, który zawsze wydawał się wiać w twarz. Ukryła dłonie w mufce, a on zastanawiał się, czy teraz przejdą do rozważań, jakie lato ich czeka - albo czy też w ogóle będzie jakieś lato.

Ten rodzaj rozmów przyprawiał go o zgrzytanie zębów.

Chłodne powietrze wywołało rumieniec na jej policzkach i zabarwiło jej nos na różowo. W rezultacie wyglądała świeżo, jak dziecko natury, przyznał niechętnie, nawet jeśli, ściśle biorąc, nie była ładna.

Ale ją także, jak się wydawało, znużyła rozmowa o pogodzie.

- Musi pan zrozumieć - odezwała się, przerywając krótkie milczenie - że jesteśmy równie zaniepokojone, jak uradowane.

- Zaniepokojone? - Spojrzał na nią, unosząc brwi.

- Zaniepokojone z powodu Stephena - wyjaśniła.

- Dlaczego miałyby panie niepokoić się z powodu brata? - zapytał. - Właśnie wszedł w posiadanie spadku, który przyniósł mu niezwykle bogactwo, a także pozycję i prestiż.

- To właśnie nas niepokoi - wyjaśniła. - Jak on da sobie z tym radę? Kocha życie i uwielbia czynnie spędzać czas. A także pilnie się uczy. Pracował z poświęceniem, żeby osiągnąć coś znaczącego w przyszłości, zarówno dla siebie, jak i dla nas wszystkich. Jest młody i łatwo ulega wpływom. Boję się, czy to, co go spotkało, nie zdarza się w możliwie najgorszym momencie.

- Obawia się pani, że przewróci mu się w głowie? Ze nagle zaniedba nauki i zacznie szaleć? I straci poczucie odpowiedzialności? Moją misją stanie się, żeby do tego nie doszło, pani Dew. Dobre wykształcenie jest niezbędne każdemu dżentelmanowi. To...

- Nie tego się obawiam - przerwała mu. - Stephen ma dobry charakter i wpojono mu zdrowe zasady. Śmiem twierdzić, że odrobina szaleństwa mu nie zaszkodzi. Nawet tutaj trochę szalał. Mężczyźni, jak się zdaje, dorastają w ten sposób.

- A zatem? - Spojrzał na nią pytająco.

- Boję się, że będzie pan się starał ukształtować go na swoje podobieństwo i że być może to się panu uda. Zrobił pan na nim silne wrażenie.

Cóż.

- Nie stanowią dla niego dostatecznie dobrego wzoru? - zapytał, zatrzymując się i patrząc jej gniewnie prosto w oczy. Nie był dość dobry dla jej brata, wiejskiego chłopca, który stał się hrabią? Po wszystkich poświęceniach zeszłego roku i tych, które czekały go przez następne cztery lata? Czuł gniew. - A to dlaczego, jeśli wolno spytać?

- Ponieważ - odparła, nie odwracając wzroku, chociaż nie próbował nawet ukryć rozdrażnienia - jest pan dumny i wyniosły. Ponieważ okazuje pan zniecierpliwienie wobec wszystkich, którzy ustępują panu pozycją społeczną, a także coś w rodzaju wzgardy. Spodziewa się pan, że w każdej sytuacji postawi na swoim, i złości się, kiedy tak się nie dzieje - tylko dlatego, że jest pan tym, kim jest. Marszczy pan czoło niemal cały czas i nigdy się nie uśmiecha. Być może wszyscy arystokraci są aroganccy i

nieprzyjemni. Może to nieunikniony skutek bogactwa i władzy. Ale wątpię w to. A jednak, wbrew temu, co mówi Meg, to pan jest teraz jego opiekunem. To pan będzie go uczyć, co znaczy być arystokratą. Nie chcę, żeby stał się taki jak pan. Nie mogłabym tego znieść.

Cóż!

Ta wiejska mysz zdecydowanie nie przebierała w słowach.

- Proszę wybaczyć - powiedział, marszcząc się jeszcze groźniej, w miarę jak pogarszał mu się humor. - Wydaje mi się, że poznaliśmy się zaledwie parę dni temu. Czyżbym się mylił? Czy łączy nas dłuższa znajomość, o której miałem nieszczęście zapomnieć? Czy, w istocie, zna mnie pani?

Nie walczyła uczciwie. Użyła najżałośniejszej - i być może najskuteczniejszej - taktyki. Odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- A czy pan zna nas? - zapytała. - Czy zna pan Meg, Kate, czy mnie? Czy zna pan nas na tyle dobrze, żeby twierdzić, że przyniesiemy panu wstyd, kiedy będziemy towarzyszyć Stephenowi w nowym życiu?

Pochylił się lekko w jej stronę, rozdymając nozdrza.

- Czyżby mi coś umknęło? Czy kiedykolwiek powiedziałem - czy też stwierdziłem, żeby użyć pani określenia - że przyniesiecie wstyd mnie albo komukolwiek innemu?

- Oczywiście, że tak. Gdybym pamiętała dokładnie pańskie

słowa, przytoczyłabym je teraz. Ale ich sens pamiętam aż za dobrze. Trzeba będzie nas wykształcić, ubrać i przedstawić królowej oraz towarzystwu. To będzie monumentalne zadanie.

Patrzył na nią z wściekłością. Wielkie, lśniące od chłodu czy też na skutek podniecenia oczy stanowiły niewątpliwie jej najciekawszą cechą. Powinna częściej ciskać takie pełne oburzenia spojrzenia - chociaż lepiej, żeby nie na niego. Cóż za okropna istota!

- I? - zapytał ironicznie. - Czy zależy pani, aby usłyszeć prawdę? Czy wyobraża sobie pani, że pani i siostry są gotowe, żeby wystąpić w towarzystwie i wziąć je szturmem? Myśli pani, że może się pojawić na Bond Street w Londynie i nie zostać potraktowana jak służąca? Myśli pani, że w jakikolwiek sposób jest przygotowana do roli siostry hrabiego?

- Myślę - wycedziła - że to nie jest pański kłopot, wicehrabio. Nami nie musi się pan przejmować, co innego Stephen. Sądzę, że moim siostrom i mnie można zaufać, że zdołamy nauczyć się, czego trzeba, żeby pokazać się w towarzystwie i nie przynieść Stephenowi wstydu. Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, czy nie przyniesiemy wstydu panu. A jeśli tak się stanie, to sądzę, że sprawi panu satysfakcję patrzenie na nas z góry i wydymanie warg, a wszyscy będą panu współczuć, że wziął pan sobie na głowę taką gromadę wieśniaków.

- A w jaki sposób zamierza pani wejść w owo towarzystwo? - zapytał, zniżając głos i mrużąc oczy. - Kto będzie promować panią podczas prezentacji u dworu? Kto przyśle pani zaproszenia? Komu pani wysłałaby zaproszenia?

To ją uciszyło.

- Być może - stwierdził - powinniśmy się pośpieszyć, bo inaczej kolacja ostygnie.

Westchnęła i ruszyli naprzód. Ale się nie poddała.

- Jakby się panu podobało - zapytała - gdyby ktoś z nienacka pojawił się pewnego dnia na progu pańskiego domu i wywrócił pański świat do góry nogami?

Stało się!

- Gdyby zaofiarował mi nowe, lepsze życie - odparł - byłbym zachwycony.

- Ale skąd by pan wiedział, że jest lepsze?

- Przekonałbym się o tym na własne oczy. A przedtem nie obciążałbym swoimi obawami i złymi przeczuciami osoby, która przyniosła wieści.

- Nawet, jeśli sprawiłaby, że czułby się pan jak mrówka pod jej butem? - zapytała.

- Powstrzymałbym się z osądami, póki nie poznałbym jej lepiej - stwierdził.

- I oto zostałam zganiona - powiedziała. - Chodźmy tą

dróżką. Doprowadzi nas do domu - i kolacji - szybciej. Obraziłam pana, prawda? Przykro mi, jeśli osądziłam pana zbyt pośpiesznie. To dlatego, że martwię się o Stephena. Zawsze był niespokojny i pragnął ciekawszego życia niż to, na jakie mógł liczyć. Teraz nagle dostał dużo więcej, niż mógłby sobie wymarzyć. Ale nie wie już, kim jest, ani jakie będzie jego życie czy też jego pozycja w tym nowym świecie. Tak więc zwróci się do pana, jako przewodnika i mentora, zwłaszcza że już pana podziwia. Boję się o niego, jeśli uprze się pan, że on musi być bardziej...

Uwolniła jedną dłoń z mufki, zataczając nią kręgi w powietrzu.

- Arogancki? Odpychający? - podpowiedział. Roześmiała się niespodziewanie - lekko i wesoło.

- Czy tak pana nazwałam? Śmiem twierdzić, że przywykł pan do służalczości ze strony ludzi stojących niżej od pana. Od początku postanowiłam nie dać się panu onieśmielić. To wydawało się takie niemądre.

- Musi pani być zadowolona - powiedział szorstko - z tak świetnego sukcesu.

Dobry Boże! To była czysta złość, coś, na co sobie nigdy nie pozwalał. A, co stwierdził z irytacją, czekał go jeszcze wieczór w gościnie u sir Humphreya Dew.

- Bycie hrabią czy też wicehrabią to poważna sprawa, pani

Dew - ciągnął. - To nie tylko napawanie się własną ważnością, wydawanie worów pieniędzy i rozdawanie łask wśród służby i ludzi od nas zależnych. Ani nawet budzenie w nich nabożnej czci. To także odpowiedzialność za tych ludzi.

Jak przekonał się o tym na własnej skórze. Sama myśl, że się ustatkował i dopełni obowiązku, kiedy wybierze narzeczoną i ożeni się z nią, pogrążała go w najczarniejszej melancholii. Z pewnością nie potrzebował dodatkowego kłopotu w postaci opieki nad siedemnastoletnim chłopcem - zwłaszcza kiedy za chłopcem ciągnęły trzy siostry, z których żadna nie postawiła nogi dalej niż dziesięć mil od Throckbridge w Shropshire - przez całe życie, o ile się nie mylił. Tak samo niewątpliwie było z chłopcem.

- A jeden z tych ludzi, za których jest pan odpowiedzialny, to Stephen? - zapytała cicho.

- Tak jest - odparł.

- Jak to się stało?

- Stary hrabia był moim wujem - wyjaśnił. - Mój ojciec zgodził się zostać opiekunem jego bratanka, mojego kuzyna, a poprzednika pani brata. Ale mój ojciec zmarł w zeszłym roku, zaledwie dwa lata po wuju.

- Ach - stwierdziła. - Zatem odziedziczył pan tę opiekę, podobnie jak wszystko inne?

- Tak. A potem, kilka miesięcy później mój młody kuzyn

umarł i rozpoczęło się poszukiwanie pani brata. A potem okazało się, że on także jest niepełnoletni. Oby żył jak najdłużej. W mojej rodzinie było ostatnio dość śmierci.

- Jeśli jest pan kuzynem - zaczęła - to dlaczego...

- Kuzynem ze strony matki - wyjaśnił, nie czekając, aż dokończy. - Moja matka i matka Jonathana były siostrami.

- Jonathan. Biedny chłopiec. - Westchnęła. - Teraz jednak widzę, że nie byłam wobec pana zupełnie sprawiedliwa, mając do pana żal, podczas gdy to, co pan robi, to obowiązek odziedziczony po ojcu.

Jakże musiał się pan rozczarować na wiadomość, że Stephen jest taki młody.

Były to, być może, swego rodzaju przeprosiny. Ale to go nie ułagodziło. Miała ostry język i zachowywała się zaczepnie.

Jak do tego doszło, że postawił się w takiej sytuacji? Mógł zwyczajnie dotknąć runda kapelusza, mijając ją na koniu, zapytać uprzejmie o zdrowie i jechać dalej z George'em.

Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć, i stwierdził, że ona w tej samej chwili spojrzała na niego. Przygryzła wargę, kiedy spotkali się wzrokiem, jej oczy zabłyśły wesoło.

- Ośmieliłam się pokłócić z wicehrabią. Czy to zostanie napisane w moim epitafium, jak pan sądzi?

- Jedynie - odparł - jeśli będzie się pani tym przechwalać i nie

da mi pani o tym zapomnieć do dnia swojej śmierci.

Roześmiała się i znowu spojrzała przed siebie.

- Widzi pan? - dodała. - Prawie jesteśmy w domu. Jestem pewna, że oboje czujemy z tego powodu ulgę.

- Amen - powiedział i Vanessa roześmiała się ponownie.

Być może, pomyślał, po tej rozmowie, mając taką o nim opinię, przemyśli swoją decyzję przeniesienia się do Warren Hall z rodzeństwem. Może postanowi zostać tutaj, w Rundle Park, gdzie nie będzie zmuszona znosić jego arogancji, pogardy i złego humoru. Sir Humphrey Dew nie był zbyt rozgarnięty, ale odznaczał się dobroduszością i niewątpliwie tak samo kochał swoją synową jak własne córki. Musiało jej być tu dobrze.

Modlił się gorąco, żeby się dobrze zastanowiła.

Nie zrobiła tego, oczywiście.

Długie oczekiwanie dobiegło wreszcie końca. Młody Merton zjawił się w gospodzie piątego wieczoru, żeby oznajmić, że on i jego siostry - wszystkie trzy, niestety - będą gotowi wyruszyć następnego ranka. I następnego dnia rano rzeczywiście cała gromadka była gotowa do drogi. Albo prawie. Kiedy Elliott i George, opłaciwszy rachunek w gospodzie, na wynajętych koniach przejechali przez wieś do domu Huxtable'ów, czwórka podróżników, w odpowiednich strojach, czekała na nich na dworze. Powóz, który George wynajął, był wyładowany

bagażami. Powóz Elliotta podjechał pod furtkę; drzwi otwarto szeroko, schodki spuszczone, tak żeby damy mogły wejść.

Nastąpiło jednak opóźnienie. Przed chatą stała nie tylko trójka Huxtable'ów i pani Dew. Zgromadziła się tam również chyba cała reszta mieszkańców Throckbridge - wraz z psami.

Margaret Huxtable stała na ścieżce ogrodowej, obejmując gospodynię, która miała zostać, by zajmować się domem. Katherine Huxtable zegnała przed furtką jakiegoś nieznanego Elliottowi poczciwca. Merton ścisnął dłoń proboszcza, obejmując lewą ręką szlochającą młodą dziewczynę - tę samą, która tydzień temu chichotała przez cały bal walentynkowy. Pani Dew stała w ramionach sir Humphreya, podczas gdy reszta rodziny otoczyła ich z chusteczkami w dłoniach i tragicznymi minami. Po policzkach baroneta łzy spływały strumieniami.

Pozostali mieszkańcy wydawali się oczekiwać na swoją kolej.

Terier, collie i jakiś pies nieokreślonej rasy biegały dookoła, szczekając i popiskując w podnieceniu i przystając tylko od czasu do czasu, żeby się obwąchać.

- Ciekawe - zauważył sucho Elliott, podjeżdżając do miejsca, gdzie się to wszystko rozgrywało - czy ktokolwiek pozostał dzisiaj w domu.

- To wzruszający widok - przyznał George - oraz dowód na

to, w jak bliskich stosunkach pozostają ze sobą sąsiedzi w małej wsi.

Wiejski chłopak trzymał za uzdę konia, którego Merton kupił ze stajni w Rundle Park, i, jak zauważył Elliott, niemal pękał z dumy, podczas gdy jego mniej szczęśliwi rówieśnicy spoglądali na niego z zazdrością.

Elliott myślał naiwnie, że po prostu podjedzie do domku, pomoże damom usadowić się w powozie i bezzwłocznie wyruszy w drogę. Sześć dni w Throckbridge powinno mu jednak uświadomić, że nie da się tak łatwo stąd wyjechać. Fakt, że młody Stephen Huxtable był teraz hrabią Merton, już podziałał jak grom z jasnego nieba, ale to, że on i jego siostry mieli opuścić Throckbridge, być może na zawsze, potęgowało jeszcze wrażenie.

Lady Dew wyszła przed furtkę, żeby zamienić parę słów z Margaret, a potem objęły się serdecznie. Jedna z sióstr Dew chlipała dość głośno na ramieniu pani Vanessy Dew.

Była to scena, która biła na głowę najbardziej sentymentalne melodramaty odgrywane w londyńskich teatrach.

- Zmieniliśmy ich życie na zawsze - zauważył George. - Można tylko mieć nadzieję, że na lepsze.

- Zmieniliśmy ich życie? Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Jonathana Huxtable. Ty także, jak sądzę. I to nie ja podjąłem się opieki nad chłopcem, który nigdy nie miał stać się dorosłym - jak

również nad tym, który dojdzie do pełnoletniości nie wcześniej, jak za cztery lata. Zrobił to mój ojciec.

Elliott sięgnął pod surdut, wyjął monokl i podniósł do oka. Nie, pani Vanessa Dew nie płakała, ale na jej twarzy widniał wyraz głębokiego żalu i miłości. Najwyraźniej nie było jej łatwo pożegnać się z teściami. Więc po co to w ogóle robiła? Miała na sobie szarą pelerynę i czepek. Spod peleryny wystawał skraj lawendowej sukni. Wciąż, po przeszło roku, zachowywała częściową żałobę. Może naprawdę kochała umierającego na gruźlicę Hedleya Dew. Może wyszła za niego nie z litości czy z chęci wejścia do rodziny baroneta.

Byłoby wskazane, żeby porzuciła żałobę. Te kolory - jeśli w ogóle można je było nazwać kolorami - nie służyły jej wcale. W gruncie rzeczy wyglądała w nich paskudnie.

I dlaczego dopuścił, aby kobieta, która nie była urodziwa ani nie potrafiła się zachować, mogła podrażnić jego dumę?

Rozejrzył się niecierpliwie.

Jego przybycie zostało zauważone, jak stwierdził z ulgą, i pożegnania odbywały się teraz nieco szybciej. Panna Margaret Huxtable skinęła mu krótko głową, panna Katherine Huxtable uśmiechnęła się i podniosła rękę na powitanie, a Merton przemaszerował wzdłuż ulicy, żeby im obu ucisnąć dłoń. Jego oczy płonęły wewnętrznym ogniem.

- Jesteśmy gotowi - oznajmił. - Musimy tylko jeszcze pożegnać się z paroma osobami, jak sami panowie widzą.

I ponownie zwrócił się w stronę tłumu.

Jednak w ciągu kilku minut udało się posadzić najstarszą i najmłodszą siostrę w powozie, zaś sir Humphrey pomógł pani Dew, wsuwając jednocześnie w jej dłoń coś, co wyglądało na zwitek banknotów. Odstąpił o krok, wyciągnął z kieszeni dużą chusteczkę i głośno wydmuchał nos.

W końcu cudownym sposobem udało im się wyruszyć zaledwie półtorej godziny później, niż planował Elliott - lub pięć dni później, zależnie od tego, który plan brać pod uwagę.

Spodziewał się, że wszystko pójdzie stosunkowo łatwo - dwudniowa podróż do Throckbridge, dzień we wsi, żeby przekazać wiadomość i przygotować chłopca, dwa dni podróży powrotnej do Warren Hall z nowym hrabią Merton, a potem natychmiastowy i intensywny program nauki, tak aby przed nadejściem lata był on gotów pełnić swoją rolę.

Te jego plany wzięły jednak w łeb, czego mógł się spodziewać, gdy tylko się dowiedział, że w sprawę zamieszane są kobiety. Sam miał siostry i wiedział, jak potrafią skomplikować to, co wydawałoby się najprostsze. Zamiast pozwolić bratu odjechać z nim i George'em, siostry wbiły sobie do głowy, żeby mu towarzyszyć. Z panią Nessie Dew włącznie.

Wygodniej było nie pamiętać, że Merton nalegał, by pojechały z nim do Warren Hall.

Wszystko, czego był pewien, to fakt, że teraz ciążyła na nim odpowiedzialność za Mertona, a także za jego trzy siostry - wszyscy oni byli prawnukami hrabiego, ale żadne nie zostało przygotowane do życia, jakie nagle przypadło im w udziale. Dotąd mieszkali na wsi, jako dzieci nieżyjącego już proboszcza. Aż do dzisiaj mieszkali w domku, który zmieściłby się w holu Warren Hall. Nosili ubrania, które z pewnością robili - i naprawiali - sami. Najmłodsza dziewczyna uczyła w wiejskiej szkole. Najstarsza wykonywała prace domowe jak służąca. Wdowa - cóż, im mniej się o niej powie, tym lepiej.

Ale jedno można było o niej powiedzieć - okazała się niewiarygodnie naiwna. Ich wszystkich trzeba będzie wyedukować od podstaw, co nie wyglądało na łatwe zadanie.

Siostry będą potrzebowały mężów - dżentelmenów z towarzystwa, jako że teraz były siostrami hrabiego. Aby znaleźć odpowiednich kandydatów, należało dokonać ich formalnej prezentacji. Będą musiały spędzić jeden czy dwa sezony w Londynie. A do tego potrzebowały damy, która zechce im patronować.

Nie mogły zrobić tego samodzielnie.

On także nie mógł tego zrobić. Nie mógł zabrać trzech dam

do Londynu i prowadzać je na wszystkie przyjęcia i bale, tak częste w sezonie. Wywołałby skandal. A chociaż ocierał się o skandal dość blisko w ciągu ostatnich dziesięciu lat, przez cały ubiegły rok zachowywał się nienagannie. Stał się uosobieniem przyzwoitości. Nie miał wyboru. Dni młodszej bez troski skończyły się raptownie ze śmiercią ojca.

Ta myśl nie poprawiła mu nastroju.

Nie mógł przecież zostawić sióstr i pozwolić, żeby same szukały swojej drogi w nowym świecie. Z powodów, których nawet umiał sobie wytłumaczyć, nie mógł ich po prostu zostawić, tak żeby odkryły, że to niemożliwe - chociaż może zastanowiłby się nad takim rozwiązaniem, gdyby pani Dew była jedyną siostrą.

W ciągu ubiegłych paru dni omawiał z George'em tę sytuację do znudzenia. Ostatecznie nie mieli nic lepszego do roboty.

Matka Elliotta w oczywisty sposób nasuwała się na myśl jako promotorka. Miała doświadczenie w przygotowywaniu młodych panien do debiutu oraz znajdowaniu im odpowiednich mężów. Zrobiła to już w przypadku dwóch najstarszych sióstr Elliotta. Kłopot polegał na tym, że w tym roku musiała jeszcze zająć się Cecily.

Nie mógł obciążać matki trzema innymi kobietami, z których najmłodsza miała już dwadzieścia lat, a którym brakowało obycia i które nie były z nią w żaden sposób spokrewnione. Opieka nad

niesforną Cecily zupełnie jej wystarczała.

Matka także nie byłaby z tego zadowolona.

W rachubę wchodziły jeszcze jego zamężne siostry, ale ani Jessica z powodu odmiennego stanu, ani dwudziestojednoletnia Averil nie mogły promować sióstr Huxtable, z których dwie były starsze od niej.

Zostawały więc ciotki ze strony ojca. Na myśl o nich tylko się skrzywił. Wiecznie jęcząca ciotka Fanny wpadała z jednej dolegliwości w drugą, a ciotka Roberta, młodsza, minęła się z powołaniem - świetnie pełniłaby rolę sierżanta.

Choćby miał Huxtable'ów po dziurki w nosie, sumienie nie pozwalało mu narzucać im żadnej z ciotek - nawet gdyby któraś zechciała się podjąć trudnego zadania. Ciotka Fanny przez pięć sezonów starała się usilnie wylansować własną córkę, a ciotka Roberta miała dość zajęć, tyranizując własnych krnąbrnych synów.

- Nie mogę ich po prostu zostawić w Warren Hall i wziąć pod skrzydła jedynie ich brata - stwierdził pewnego wieczoru przy kolacji, na którą podano twardawy rostbef. - Miną lata, zanim sam będzie mógł coś dla nich zrobić, a do tego czasu zdążą już zwiędnąć. Dwie starsze mają z pewnością po dwadzieścia parę lat. Wydaniem za mąż wdowy, rzecz jasna, nie muszę zawracać sobie głowy, choć, jak sędzę, ją także trzeba będzie pokazać w

towarzystwie. To jej sprawa, czy ponownie wyjdzie za mąż, czy nie - oczywiście jeśli ktokolwiek ją zechce. Nie dorównuje urodą pozostałym dwóm, nie sądzisz?

- To trochę niesprawiedliwe, mój stary - powiedział George. - Wydaje się pociągająca, kiedy się śmieje i jest ożywiona. Podobno jej mąż był wyjątkowo przystojny, a wybrał właśnie ją. To było małżeństwo z miłości.

- Trudno uwierzyć - parsknął szyderczo Elliott.

- Przede wszystkim - rzekł George innym razem, kiedy w chłodnym deszczu jechali konno wiejskimi drogami - powinieneś się wkrótce ożenić, wcześniej niż planowałeś. Twoja żona mogłaby promować siostry Mertona.

- Co? - zapytał Elliott, odwracając gwałtownie głowę i powodując, że zimna woda z kapelusza chlusnęła mu za kołnierz.

- Tak bez zastanowienia?

Nie miał jeszcze upatrzonej kandydatki, chociaż jego matka mogłaby bez wątpienia wyliczyć na palcach obu rąk najbardziej odpowiednie młode damy. Nie musiał jednak kłopotać się tym przez najbliższych parę miesięcy.

George wzruszył ramionami.

- Raczej nie będziesz miał problemu, aby przekonać którąś z kobiet, żeby powiedziała „tak”. Wręcz przeciwnie. Będziesz musiał oganiać się od nich kijem, kiedy usłyszą, że wybierasz się

w tym roku po zakupy na rynku matrymonialnym. Ale możesz uniknąć kłopotu, żeniąc się, zanim wieść się rozniesie.

- Do diabła - burknął Elliott. - Już do tego doszło? Czy muszę się tak śpieszyć, podejmując jedną z najważniejszych, jeśli nie najważniejszą decyzję w życiu, ponieważ rzekomo odpowiadam za trzy kobiety, które ledwie znam? To niedorzeczne.

- Tym więcej będzie czasu na „i żyli długo i szczęśliwie” - powiedział George.

- A zatem - zapytał Elliott - jak to się, u licha, dzieje, że wciąż jesteś kawalerem? I odkąd to do obowiązków sekretarza należy doradzanie pracodawcy, kiedy powinien się ożenić?

Ale przyjaciel, o czym się przekonał, odwracając głowę, śmiał się od ucha do ucha. Miał świetną zabawę. Jego prawo. Mógł porzucić swój gabinet w Finchley Park, żeby włóczyć się po kraju, nie dźwigał bowiem ciężaru spoczywającego na barkach Elliotta.

A opieka nad tymi kobietami stanowiła - niech to wszyscy diabli! - jego obowiązek, myślał Elliott, podczas gdy powóz oddalał się, a mieszkańcy wsi machali rękami i chusteczkami na pożegnanie.

Merton wjechał między niego a George'a, przerywając te rozmyślenia.

- Mieszkaliśmy tu całe życie - odezwał się, jakby

przepraszając za zwłokę. - Trudno się rozstawać, zarówno tym, których zostawiamy, jak i nam.

- Rozumiem, chłopcze - zapewnił George. - Nawet jeśli w twoim wypadku jest to zmiana na lepsze, niełatwo porzucić wszystko, co znajome i drogie.

Chłopiec poweselał, kiedy wyjechali ze wsi.

- Myślałem - powiedział - że będę musiał skończyć uniwersytet i podjąć jakąś pracę, zanim zdołam odwdzięczyć się siostronom za to, co dla mnie uczyniły, i sprawić, żeby żyło im się wygodniej. Ale teraz nie będę musiał czekać. Mogę zapewnić im takie życie, na jakie zasługują, ale o którym dotąd mogłem jedynie marzyć.

Albo ja będę musiał to zrobić, pomyślał Elliott z ironią, nawet jeśli Merton miał płacić rachunki. Przypomniawszy sobie coś jeszcze z tego, co mówił George podczas owej deszczowej przejażdżki. Żartował, oczywiście, ale słowa i tak zapadły Elliottowi w pamięć jak ćma uwieczona pod kloszem lampy.

- Oczywiście - stwierdził wówczas George - zawsze możesz poślubić pannę Huxtable i zgodzić się, by promowała siostry jako twoja żona. To by rozwiązało wiele problemów. W dodatku jest prześliczna. Nie mogę się nadziwić, że wciąż jest panną.

Obowiązki, pomyślał Elliott, też mają pewne granice. Dlaczego miałby się zastanawiać nad poślubieniem ślicznej, ale

raczej chłodnej panny Huxtable tylko dlatego, że to by odpowiadało wszystkim, tylko nie jemu?

Ale faktycznie musiał rozejrzeć się za żoną. I pod wieloma względami takie rozwiązanie byłoby wygodne. Ostatecznie była siostrą hrabiego, w dodatku bardzo ponętą.

Do diabła, kiedy to wszystko się skończy, odeślą go chyba do szpitala dla umysłowo chorych. Choć nigdy nie cierpiał na bóle głowy, przez tych sześć dni miał wrażenie, że lada chwila położy się do łóżka z migreną.

Myślał ponuro o matce, ciężarnej siostrze i obu ciotkach, zastanawiając się, jaki wybór stanowiłyby mniejsze zło.

Może matka udzieli mu jakiejś pożytecznej rady, nawet jeśli nie zaofiaruje swoich usług.

Dlaczego ojciec nie mógł przeżyć jeszcze chociaż trzydziestu lat?

Elliott byłby teraz w Londynie, bawiąc się z przyjaciółmi i spędzając noce w ramionach Anny Bromley - Hayes. Nie miałby żadnych trosk. Mógłby...

Ale nie mógł.

I basta.

Dotrą do Warren Hall za jakieś dwie godziny, jak oznajmił wicehrabia Lyngate przy posiłku półtorej godziny wcześniej. A zatem już wkrótce.

Jechali drogą prowadzącą wśród żyznych, zielonych pól. Warren Hall znajdowało się w kwitnym stanie, jak zapewnił wicehrabia. Podobnie jak inne posiadłości Stephena. Było ich trzy - w Dorset, Kornwalii i Kent - ale Warren Hall stanowiło główną siedzibę.

- Och, to musi być to! - wykrzyknęła Katherine, pochylając się i przyciskając nos do szyby.

Powóz skręcił ostro w lewo, przejeżdżając pomiędzy dwiema wysokimi kamiennymi kolumnami bramy; za powozem ukazał się Stephen. Podjechał bliżej i nachylił zaróżowioną od wiatru twarz, żeby zajrzeć do powozu.

- To tu - powiedział, poruszając wargami i wskazując przed siebie.

Margaret z uśmiechem skinęła głową. Vanessa podniosła rękę na znak, że zrozumiały. Katherine wykręcała szyję, żeby zobaczyć dom ukryty za gęstymi drzewami, wśród których wiódł podjazd.

Parę minut później powóz wyjechał zza drzew i wszyscy zobaczyli Warren Hall. W tym samym momencie, jak na sygnał,

słońce, dotąd ukryte za chmurami, wyłoniło się nagle, zalewając wszystko jasnym światłem.

Warren Hall.

Vanessa spodziewała się dostojnej, średniowiecznej budowli, ale rezydencja na planie kwadratu okazała się bardziej nowoczesna. Wzniesiono ją w stylu palladiańskim, z jasnoszarego kamienia. Zwieńczyła ją kopuła, a z przodu znajdował się portal z kolumnami; do drzwi frontowych wiodły marmurowe schody. Przed domem był też szeroki taras otoczony kamienną balustradą, ze schodami prowadzącymi do ogrodów.

- Och, Boże - zawołała Vanessa - to wszystko jest prawdziwe, mam nadzieję?

Nie było to zbyt mądre, ale siostry z pewnością zrozumiały, co miała na myśli.

Wszystkie patrzyły z podziwem.

- Jest piękny! - wykrzyknęła Katherine.

- A zatem nadal będę mogła pracować w ogrodzie - zauważyła Margaret.

W innych okolicznościach parsknęliby śmiechem na to stwierdzenie. Park ciągnął się, jak okiem sięgnąć.

Nikt się nie roześmiał.

To rzeczywiście nagle stało się bardzo prawdziwe. Żadne z nich nie mogło sobie wcześniej wyobrazić takiej wspaniałości i

tak niezwyklej odmiany losu.

Podjazd skręcił niespodziewanie, żeby zatrzymać się przy schodach. Pośrodku brukowanego tarasu wznosiła się fontanna, choć o tej porze roku nie było w niej wody. W kamiennych urnach dookoła latem zapewne kwitły kwiaty.

Powóz stanął, woźnica otworzył drzwi i spuścił schodki, ale Stephen pomógł wysiąść Margaret, a potem Katherine, obywając się bez nich. Promieniał z radości. Zanim zdążył się odwrócić, żeby pomóc Vanessie, w drzwiczkach pojawiła się ręka wicehrabiego Lyngate.

Vanessa niemal ukrywała się przed nim od dnia, kiedy nie wytrzymała i powiedziała mu dokładnie, co o nim myśli. Później przeraziła ją własna śmiałość, choć z drugiej strony była dumna, że zdobyła się na odwagę. Czowała się ogromnie zmieszana na myśl o tym, że w końcu znowu znajdzie się z nim twarzą w twarz.

Ten moment nastąpił.

Mimo wszystko patrzyła na niego ukradkiem w trakcie podróży - częściej niżby należało. Był niewątpliwie przystojny - trochę za słabo powiedziane i... cóż, męski. Podziwiała swobodę, z jaką jeździł konno - przyglądała mu się często, wmawiając sobie, że przygląda się Stephenowi. To wszystko było takie niesprawiedliwe. Hedley zasługiwał na wszystko, co najlepsze na tym świecie, a jednak był słaby i bardzo chory.

W istocie czuła się winna, podziwiając kogoś, kto stanowił jego przeciwieństwo, jakby wciąż była winna mężowi bezwzględną wierność.

Hedley nie żył już od dawna.

- Dziękuję. - Zmusiła się, żeby spojrzeć wicehrabiemu w oczy, wsuwając rękę w jego dłoń i schodząc po schodkach na taras. Ale potem przeniosła wzrok na dom. - Och, jest dużo potężniejszy, niż wydawał się z powozu.

Poczuła się jak karzełek.

- To dlatego, że z pewnej odległości widzi się dom, taras i ogrody jako całość i ten piękny widok robi wrażenie większe niż rozmiary budynku - odparł wicehrabia. - Samą budowlę lepiej widać z tego miejsca.

- Schody są marmurowe - zauważyła.

- W istocie, podobnie jak kolumny.

- Więc tutaj dorastał nasz dziadek... - stwierdziła w zdumieniu.

- Nie. Dom ma najwyżej trzydzieści lat. Starą, średniowieczną siedzibę zburzono i na jej miejsce postawiono obecną. Poprzednia chyliła się ku ruinie. A ta rezydencja jest z pewnością piękna. Żałuję jednak, że nie widziałem tej dawnej. Tyle wiązało się z nią historii i wspomnień, wymogi nowoczesności zniszczyły to wszystko.

Vanessa spojrzała na niego ze zrozumieniem. Ale w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że jej dłoń w rękawiczce wciąż spoczywa w jego ręce. Wyrwała ją, jakby się oparzyła. Zaskoczony uniósł brwi.

Niezwykle dostoyny mężczyzna w czarnym stroju skłonił się przed Stephenem, wskazując marmurowe schody. Vanessa, zaszokowana, uświadomiła sobie, że to zapewne kamerdyner. W połowie schodów stała pulchna kobieta, również ubrana na czarno, która musiała być gospodynią. A na szczycie schodów, co dopiero teraz zauważyła, po obu stronach ogromnych, otwartych szeroko drzwi, w dwóch szeregach stała odświętnie odziana służba, prezentując się nowemu panu.

Och, Boże. Czy ich przybycie do nowego domu mogło być bardziej onieśmielającym wydarzeniem? Jak Stephen sobie z tym poradzi?

Ale Stephen podał jedno ramię Margaret, a drugie Katherine i ruszył po schodach za kamerdynerem, oglądając się, czy Vanessa podąża za nimi.

Prowadził ją wicehrabia Lyngate.

Służba stała bez płaszczy, mimo że dzień był chłodny, choć słoneczny. Nikomu jednak nie drgnął ani jeden mięsień, gdy kłaniali się czy też dygali przed Stephenem, kiedy przedstawiano ich po kolei. Zamieniał z każdym po parę słów - jakby się urodził

do tej roli, jak z pewną dumą pomyślała Vanessa.

Zmusiła się, żeby się uśmiechnąć i skinąć głową każdemu służącemu po drodze, a oni kłaniali się w odpowiedzi. W porównaniu z tym Rundle Park sprawiało wrażenie wiejskiej chaty.

Za nimi szedł pan Bowen.

Potem znaleźli się w holu, który rzeczywiście był ogromny. Vanessie zaparło dech w piersi. Okrągły, otoczony kolumnami, wznosił się na całą wysokość domu, przechodząc w połączoną i ozdobioną scenami mitologicznymi kopułę. Światło z wysokich okien wpadało do środka, rzucając wzory ze światła i cienia na kolumny i wyłożoną marmurowymi płytami podłogę.

Rozglądali się z podziwem.

Wicehrabia Lyngate odezwał się pierwszy.

- Do diabła! - mruknął, podczas gdy pozostali stali nadal z głowami zadartymi do góry, a kamerdyner i gospodyni czekali, aby im towarzyszyć w dalszej wędrówce po pałacu.

Vanessa spojrzała na niego ze zdziwieniem. Ale wówczas spostrzegła innego dżentelmena, który wszedł do holu pod jednym z łukowatych sklepień między kolumnami. Podeszwy jego butów stukały w podłogę.

Był wysoki, czarnowłosy, przystojny. Miał cerę o ciemnym odcieniu; kosmyk czarnych włosów spadał mu na czoło; czarne

ubranie do konnej jazdy wydawało się znoszone, ale świetnie leżało na jego figurze. Zatrzymał się, złożył ręce z tyłu i uśmiechnął się.

Był to czarujący uśmiech.

Przypominał wicehrabiego Lyngate, Vanessa nie zdziwiłaby się, gdyby byli braćmi.

- Ach - odezwał się - nowy hrabia, jak rozumiem? I jego... świta?

Wicehrabia Lyngate puścił ramię Vanessy i ruszył naprzód. Ciężki płaszcz się kołysał. Zatrzymał się dopiero, kiedy znalazł się tuż obok tamtego mężczyzny. Byli niemal dokładnie tego samego wzrostu.

- Miałeś wyjechać - powiedział, nie ukrywając irytacji.

- Naprawdę? - odparł drugi dżentelmen, wciąż z uśmiechem na twarzy, ale przeciągając słowa, nieco znudzonym tonem. - Ale jestem tutaj, czyż nie? Zechciej mnie łaskawie przedstawić.

Wicehrabia zawahał się, ale potem odwrócił się do pozostałych.

- Merton... - rzekł - panno Huxtable, pani Dew, panno Katherine, czy pozwolicie, że przedstawię pana Huxtable'a?

A zatem to nie brat?

- Constantine Huxtable - powiedział dżentelmen, kłaniając się z gracją. - Dla przyjaciół Con.

- O rany! - wykrzyknął Stephen, wysuwając się naprzód, żeby serdecznie uścisnąć dłoń dżentelmena, podczas gdy siostry dygnęły. - Nosi pan nasze nazwisko. Musi pan być naszym krewnym.

- W istocie - zgodził się Constantine, podczas gdy Vanessa i siostry przyglądały mu się z zainteresowaniem. - Jestem kuzynem w drugiej linii. Mamy wspólnego prapradziadka.

- Doprawdy? - zdziwił się Stephen. - Nessie mówiła o naszym drzewie genealogicznym. Prapradziadek miał dwóch synów, prawda?

- Waszego dziadka i mojego - odparł Constantine Huxtable. - A potem był wasz ojciec i mój. A potem mój brat - mój młodszy brat, który zmarł niedawno. I ty. Hrabia Merton. Moje gratulacje.

Skłonił się lekko przed Stephenem.

A zatem Constantine Huxtable i wicehrabia Lyngate byli kuzynami w pierwszej linii - ich matki były siostrami. Ale Vanessa zastanawiała się teraz nad innym pokrewieństwem. Jak również, sądząc po wyrazie twarzy, reszta rodzeństwa. Stephen wpatrywał się w kuzyna ze zmarszczonymi brwiami.

- Jest coś, czego nie rozumiem - odezwał się w końcu. - Jesteś starszym bratem hrabiego, który właśnie umarł? Czy nie powinieneś zostać...? Czy nie powinieneś być... ?

- Hrabią Merton? - roześmiał się Huxtable. - Przegapiłem

swoją szansę o dwa dni, chłopcze. Oto, co wynika ze zbytniego pośpiechu. Niech to będzie dla was nauczka. Moja matka była Greczynką, córką ambasadora w Londynie. Poznała mojego ojca, kiedy odwiedziła siostrę, która poślubiła wicehrabiego Lyngate i zamieszkała w pobliskim Finchley Park. Ale dopiero po powrocie do Grecji ze swoim papą, moim dziadkiem, wyznała, że jest w.. .błogosławnym stanie. Wściekły, przegnał ją z powrotem przez całą Europę. Zażądał, żeby mój ojciec postąpił, jak należało, co też uczynił. Ale ja nie doczekałem się bajkowego zakończenia, a raczej początku mojej własnej historii. Podróż morską, ciężką dla mojej matki, sprawiła, że pojawiłem się na tym świecie dwa dni wcześniej, zanim mój ojciec zdołał uzyskać specjalne pozwolenie i poślubić ją. Tak więc byłem, jestem i na zawsze pozostanę nieślubnym dzieckiem. Moi szanowni rodzice musieli czekać kolejnych dziesięć lat na pojawienie się dziedzica. Jonathana. Byłby uszczęśliwiony, mogąc poznać wszystkich nowych kuzynów. Prawda, Elliotcie?

Spojrzał na wicehrabiego Lyngate, unosząc kpiąco, jak uznała Vanessa, brew.

Najwyraźniej kuzyni nie żywili do siebie serdecznych uczuć.

- On jednak zmarł przed paroma miesiącami - ciągnął Huxtable - kilkanaście lat później niż zapowiadali lekarze. Tak więc jesteście tutaj oto, nowy, prawowity hrabia Merton i jego

siostry. Przyjmuję, że wszystkie damy są siostrami, włącznie z panią Dew? Pani Forsythe, herbatę wypijemy w salonie.

Mówił z wielką pewnością siebie, ze swobodą urodzonego arystokraty, jakby, mimo wszystko, to on był hrabią Merton i właścicielem Warren Hall.

- To najsmutniejsza historia, jaką słyszałam - powiedziała Katherine, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. - Muszę napisać o tym opowiadanie.

Constantine Huxtable zwrócił się do niej z uśmiechem.

- W którym będę występował jako tragiczny bohater? Jednak zapewniam was, że z faktu urodzenia się dwa dni za wcześnie wynikają także pewne korzyści. Na przykład swoboda, jaką nie mogą się cieszyć ani Merton, ani mój kuzyn Elliott. - Ukłonił się Margaret. - Panno Huxtable, czy mogę mieć przyjemność zaprowadzić panią na górę?

Margaret wysunęła się naprzód, kładąc dłoń na jego ramieniu. Stephen z Katherine szli tuż za nimi, zerkając z ciekawością na nowo poznanego kuzyna. Wicehrabia Lyngate wymienił spojrzenia z panem Bowenem, zanim podał ramię Vanessie.

- Proszę o wybaczenie. Proszono go, żeby wyjechał - wyjaśnił.

- Ale dlaczego? - zapytała. - Jest naszym kuzynem, i powitał

nas z wielką kurtuazją, choć mógł żywić do nas żal - albo przynajmniej do Stephena. Czyż jego historia nie jest prawdziwa? Przecież wychował się tutaj jako pierworodny syn hrabiego i hrabiny Merton.

- To prawda. Ale angielskie prawo w takich przypadkach jest dość rygorystyczne - stwierdził. - Nie ma sposobu, żeby uczynić go prawowitym dziedzicem, nawet gdyby nie było innych spadkobierców.

- Ale gdyby ich nie było - odparła Vanessa, kiedy przechodzili do wspaniałej, marmurowej klatki schodowej - mógłby wystąpić z petycją do króla, żeby przyznał mu tytuł, prawda?

Chyba czytała gdzieś o podobnym przypadku...

- Sądzę, że mógłby - zgodził się wicehrabia Lyngate. - Prawnik wiedziałby, jak opracować taką prośbę i jakie byłoby prawdopodobieństwo, że zostanie rozpatrzona na jego korzyść. Jednak potomek istnieje i jest nim pani brat.

Jakże mógł nie czuć żalu do Stephena, zastanawiała się Vanessa, patrząc na Constantine'a Huxtable'a, który uśmiechał się do Margaret i pochylał głowę, słuchając, co mówiła. Musiał odnosić wrażenie, że banda intruzów najechała jego dom.

Poproszono go, żeby opuścił własny dom - zrobił to opiekun jego młodszego brata. Jego kuzyn w pierwszej linii - jego matka i

matka wicehrabiego Lyngate były siostrami.

- Ten człowiek sprawia same kłopoty, pani Dew - wyjaśnił cicho wicehrabia Lyngate. - Jeśli został, to znaczy, że knuje coś złego. Niech pani nie zwiedzie jego czar. Pani brat musi wobec niego zachować ostrożność. Trzeba mu kazać stąd wyjechać najdalej w ciągu tygodnia. Miał dość czasu, żeby znaleźć sobie nowy dom i spakować rzeczy.

- Ale to jest jego dom - stwierdziła Vanessa, marszcząc brwi.

- Tutaj zawsze było jego miejsce. Należałoby do niego, gdyby urodził się dwa dni później.

- Ale się nie urodził - odparował wicehrabia Lyngate, wchodząc za innymi do bawialni. - A życie składa się z wielu „co by było, gdyby”. Nie ma powodu, żeby się nad nimi rozwodzić. „Co by było”, to nie rzeczywistość. Rzeczywistością jest, pani Dew, że Con Huxtable to nieprawy syn poprzedniego hrabiego, podczas gdy pani brat jest obecnym hrabią Merton. Litowanie się nad nim nie ma sensu.

Ale jeśli nie potrafimy współczuć bliźnim, pomyślała Vanessa, to jakimi jesteśmy ludźmi? Wicehrabia Lyngate znowu stracił nieco w jej oczach. Spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami. Czy nie miał żadnych uczuć dla innych, nawet dla własnego kuzyna?

Wicehrabia stanął teraz obok Stephena.

Stephen patrzył z podziwem na Constantine'a Huxtable'a. Tak samo jak Katherine. Margaret przyglądała mu się przyjaźnie. Vanessa uśmiechnęła się do niego, choć nie patrzył w jej stronę.

Jakiż to musiał być dla niego okropny dzień. Fakt, że poznał czworo kuzynów, którzy okazali mu życzliwość, stanowił zapewne słabą pociechę.

Vanessa na chwilę otrząsnęła się z wrażenia, jakie wywarła na niej wspaniała rezydencja przerastająca jej wszelkie wyobrażenia. Ale podziw wrócił nagle. Kwadratowy salon z wysokim sufitem ozdobionym sztukateriami i sceną mitologiczną lśnił od złota. Stały tu eleganckie meble; aksamitne draperie miały kolor czerwonego wina. Na ścianach wisiały obrazy w ciężkich złotonych ramach. Stapało się po wielkim perskim dywanie; w wypolerowanej podłodze można by z pewnością zobaczyć własne odbicie.

Vanessę niespodziewanie ogarnęła tęsknota za Rundle Park, jakby zostawiła tam Hedleya.

Nie wolno jej o nim zapomnieć. I nie zrobi tego.

Zwróciła oczy na wicehrabiego Lyngate, który nawet bez płaszcza wydawał się wysoki, imponujący i męski. I przystojny, oczywiście. I bardzo żywy.

Czuła do niego wielki żal.

Elliott i Con Huxtable przez całe życie byli najbliższymi

przyjaciółmi - aż do zeszłego roku. Różnica wieku - Elliott był starszy o trzy lata - zupełnie im nie przeszkadzała. Mieszkali w odległości zaledwie pięciu mil od siebie, łączyło ich pokrewieństwo, a nie mieli wielu rówieśników w sąsiedztwie i obaj lubili to samo - sporty i różne szalone zabawy, jak wspinanie się na drzewa, nurkowanie w stawie, brodzenie po bagnach i inne podobne zajęcia, które doprowadzały ich opiekunki do rozpacz.

Kiedy podrośli, pozostali bliskimi przyjaciółmi i nadal wspólnie spędzali czas. Ich wyczyny, często niebezpieczne, budziły podziw młodzieży i dezaprobatę statecznych starszych osób z towarzystwa.

Kobiety ich uwielbiały.

Obaj wiedli hulaszczy tryb życia, ale nigdy nie wyrządzali nikomu krzywdy ani też - jakimś cudem - sobie. Jako dwaj młodzi dżentelmeni zdawali sobie sprawę, że pewnych granic nie należy przekraczać.

Pozostali przyjaciółmi, nawet po śmierci ojca Cona, chociaż Con zaczął więcej przebywać w Warren Hall ze swoim młodszym bratem Jonathanem, którego ogromnie kochał. Elliott tęsknił za nim, ale podziwiał jego oddanie i troskę o chorego chłopca. Sądził nawet, że Con dojrzeje i statkuje się szybciej od niego. Rzecz jasna, oficjalnie opiekunem młodego Mertona był ojciec Elliotta, ale niezbyt chętnie pełnił swoje obowiązki, powierzając Conowi

troskę o zaspokajanie jego potrzeb i prowadzenie majątku - w czym pomagał mu kompetentny zarządca.

A potem ojciec Elliotta także umarł.

I wszystko się zmieniło. A to dlatego, że Elliott podszedł do swoich obowiązków z największą powagą. Jednym z nich była opieka nad Jonathanem i jego majątkiem. Tak więc spędził jakiś czas w Warren Hall. Miał jednak nadzieję, że potem Con, choć nieoficjalnie, znowu się wszystkim zajmie. Con był dorosły i zdobył już doświadczenie w zarządzaniu majątkiem. A Jonathan kochał go nade wszystko.

Wkrótce jednak Elliott dokonał bolesnego odkrycia, że Con nadużył zaufania, jakim obdarzył go ojciec Elliotta; w poczuciu bezkarności trwonił pieniądze i kradł kosztowną, rodzinną biżuterię. Elliott dowiedział się także o rozpuście, jakiej oddawał się Con - o pokojówkach w odmiennym stanie, które zwalniano z pracy, o córkach wieśniaków, które wychowywały jego dzieci.

Con nie był człowiekiem, za jakiego Elliott go zawsze uważał. Nie miał poczucia honoru. Wykorzystywał słabszych. Stanowił całkowitą antytezę dżentelmena. To, że nie z własnej winy stracił szansę na tytuł i majątek, nie stanowiło żadnego usprawiedliwienia.

Elliott był zdruzgotany.

Con nigdy nie przyznał się do kradzieży czy rozpusty. Ale

także im nie zaprzeczył. Roześmiał się tylko, kiedy Elliott zapytał go o to wprost.

- Idź do diabła, Elliott - powiedział wtedy.

Przez ostatni rok czuli do siebie wrogość. Przynajmniej Elliott tak uważał. Nie mógł się wypowiadać za Cona.

Rzecz jasna, Elliott przejął opiekę nad Jonathanem i zarząd włościami. Spędzał w Warren Hall tyle samo czasu, co w Finchley Park. Dla siebie miał go bardzo niewiele.

Z winy Cona ten rok był niemal nie do zniesienia. Dawny przyjaciel utrudniał Elliottowi życie na wszelkie sposoby, a także buntował przeciwko niemu Jonathan. To nie było trudne - biedny chłopiec nie zdawał sobie sprawy, że daje sobą manipulować.

Elliott sądził, że najgorsze już poza nim, bo chociaż nowy Merton był niepełnoletni i zupełnie nieprzygotowany do życia i obowiązków, jakie go czekały, i chociaż miał trzy siostry, które także nie były do tego przygotowane, miał nadzieję uwolnić się od będącego cierniem w jego boku Cona Huxtable'a.

Tak przynajmniej myślał. Kazał Conowi wyjechać.

Ale on wciąż tu był. I postanowił powitać nowego właściciela Warren Hall i jego siostry, roztaczając cały swój urok.

Zwykła przyzwoitość nakazywała, żeby się usunął, zanim nowy hrabia obejmie rezydencję, nawet jeśli był dalekim krewnym. Ale po Conie nie można się było spodziewać zwykłej

przyzwoitości.

Elliott zostawił panią Dew i zdecydowanym krokiem przeszedł przez salon.

- W istocie wspaniałe - mówił Con, odpowiadając młodszemu kuzynowi. - Mój drogi ojciec uznał za stosowne zburzyć stare opactwo - fortecę - pałac - wkrótce potem, gdy odziedziczył tytuł, i wznieść ten dowód swojego bogactwa i smaku. Jest tu mnóstwo cennych rzeczy, które przywiózł z podróży jakie odbył w młodości.

- Ale żałuję - westchnęła Katherine - że nie zobaczę opactwa.

- Zburzenie tego wszystkiego - zgodził się Con - było swego rodzaju zbrodnią. Chociaż trudno byłoby się wyrzec nowoczesnych wygod dla wąskich korytarzy, na których ciągle hulały przeciągi, ciemnych pomieszczeń o małych oknach i archaicznej instalacji sanitarnej.

- Gdyby to zależało ode mnie - wtrącił Stephen - zostawiłbym stary pałac i zbudował nowy obok. Historia jest ciekawa, a stare budynki należy zachowywać, jak zawsze twierdziła Nessie, choć przyznaję, że nowoczesne wygody mi odpowiadają.

- Ach - odezwał się Con, kiedy Elliott do nich podszedł - oto i herbata. Proszę postawić tam, gdzie zwykle, pani Forsythe. Może panna Huxtable zechce nam nalać.

Potem uśmiechnął się przepaszająco i uklonił.

- Proszę o wybaczenie - powiedział. - Jako najstarsza siostra młodego Mertona, jest pani tutaj gospodynią, kuzynko, i nie potrzebuje pani mojej zachęty, żeby nalać herbatę. Proszę się nie krępować.

Skinęła głową i usiadła koło tacy. Pani Dew przyłączyła się do niej, żeby podawać filiżanki i talerzyki oraz słodycze. George, w milczącym porozumieniu z Elliottem, odciągnął Stephena i jego młodszą siostrę w stronę marmurowego kominka, gdzie zaczęli grzać dłonie w miłym ciepłym płomieniu.

Elliott odszedł w stronę okna, praktycznie zmuszając Cona, żeby mu towarzyszył. Nie przebierał w słowach, kiedy pozostali nie mogli ich słyszeć.

- To zdecydowanie w złym tonie - rzekł cicho.

- W złym tonie jest to, że wbrew własnym chęciom zostałem i przywitałem kuzynów, tak żeby poczuli się jak w domu? – odparł Con, udając zdumienie. - Powiedziałbym, że to w najlepszym tonie, Elliott. Jestem dumny z mojego poświęcenia i altruizmu.

- Powitałeś ich - stwierdził szorstko Elliott. - Teraz możesz wyjechać.

- Teraz? - Con uniósł brwi. - W tej chwili? Czy to nie będzie się wydawało zbyt nagłe i niezbyt grzeczne? Dziwię się, że

proponujesz mi coś takiego. Ty, który stałeś się ostatnio takim rycerzem bez skazy. Jeśli tak dalej pójdzie, to grozi ci, że spierniczejesz. Na myśl o tym dostaję gęziej skórki.

- Nie będę z tobą walczył na słowa - odparł. - Chcę, żebyś wyjechał.

- Wybacz, proszę. - Con wpatrywał się w niego z kpiącym uśmiechem. - Ale czy twoje życzenia obowiązują w Warren Hall? Czy to raczej nie hrabia Merton decyduje, mój kuzyn w drugiej linii?

- To tylko chłopiec - warknął Elliott przez zaciśnięte zęby. - I łatwo ulega wpływom. A ja jestem jego oficjalnym opiekunem. Jednym dzieckiem już manipulowałeś, a ja niewiele mogłem zrobić - był twoim bratem i pod twoim wpływem. Drugi raz na to nie pozwolę.

- Manipulowałem. - Na krótką chwilę kpiący wyraz zniknął z jego twarzy, a w oczach Cona błysnęło coś zdecydowanie bardziej nieprzyjemnego. - Ja manipulowałem Jonem. - Opamiętał się. - Ależ oczywiście, jakże to było łatwe. Brakowało mu piątej klepki, prawda? A jeśli nawet nie brakowało, to i tak nie umiał się bronić przed moim szkodliwym wpływem. Ach, pani Dew* - co za trafne nazwisko. Wyszłem całkiem, a pani przynosi mi herbatę.

Na jego twarzy znów pojawił się czarujący uśmiech. Niosła dwie filiżanki. Elliott wziął drugą i skłonił głowę w podziękę.

- Pani Dew - powiedział Con. - Nie ma pana Dew przy pani?

- Jestem wdową - wyjaśniła. - Mój mąż zmarł półtora roku temu.

- Ach. Ale pani jest taka młoda. Przykro mi. Ciężko jest tracić kogoś kochanego, zwłaszcza tych, którzy są nam bliscy jak bicie własnego serca.

- To było straszne - przyznała. - Jest mi ciężko. Przyjechałam, żeby zamieszkać ze Stephenem i siostrami. Gdzie pan będzie mieszkał, panie Huxtable? Tutaj?

- Wyjadę i znajdę jakieś miejsce, żeby złożyć zmęczoną głowę - stwierdził Con. - Proszę się o mnie nie martwić.

- Nie przyszło mi do głowy, żeby się martwić. Ale z pewnością nie ma pośpiechu. Dom jest dla nas aż za wielki i to pana dom. I powinniśmy lepiej się poznać. Na tak długo rozdzielił nas rodzinny spór. Czy mogę przynieść jakieś słodycze? Dla pana, lordzie Lyngate?

Wyraz jej oczu i ton głosu uświadomiły Elliottowi, że musiała usłyszeć przynajmniej część jego rozmowy z Conem. A przy swojej skłonności do wyciągania pochopnych wniosków miała mu pewnie za złe to, co powiedział.

Kiedy odeszła, zbliżył się do nich Stephen. Chłopiec był najwyraźniej zbyt podniecony, żeby ustać w jednym miejscu.

- Ojej - wykrzyknął, patrząc przez okno rozjaśnionymi

oczami - piękny widok, prawda?

- Przypuszczam, że to właśnie ten widok - powiedział Con - skłonił ojca do zbudowania nowego domu dokładnie na miejscu starego.

Okno wychodziło na południe. Widać stąd było taras i ogrody, a dalej park, trawniki, las, jezioro - aż po szachownicę dworskich pól.

- Może - zasugerował Merton - jutro pojedziemy konno, kuzynie, i wszystko mi pan pokaże.

- I dom także - dodała Katherine Huxtable. Podeszła i stanęła obok brata. - Pokaże nam go pan i opisz wszystkie jego skarby? Musi pan je świetnie znać.

- Z przyjemnością. Zrobię wszystko, żeby sprawić przyjemność moim kuzynom. Jakąż okropnością są rodzinne kłótnie, jak zauważyła pańska siostra. - Spojrzał na Elliotta, unosząc kpiąco jedną brew. - Wynikłe często z błahych powodów, ciągną się przez pokolenia, dzieląc rodzinę.

Kradzież i rozpusta to zwykłe błahostki? Elliott wytrzymał jego spojrzenie, dopóki Con nie odwrócił wzroku, kierując go na coś w ogrodzie, co wskazywała Katherine.

Pani Dew stała obok stolika z herbatą z talerzykiem w ręku, rozmawiając z siostrą i George'em. Uśmiechnęła się do George'a i spojrzała roześmianymi oczami w stronę okna, wprost w oczy

Elliotta, który zacisnął wargi.

Dlaczego łapał się na tym, że patrzy na nią częściej niż na którąś z jej sióstr? Stanowiły przecież dużo przyjemniejszy widok niż ona. Chociaż na pewno nie przyglądał się jej z podziwem. Wciąż go irytowała.

Po raz kolejny, od wyjazdu z Throckbridge żałował, że tam nie została. Miał wciąż niemiłe wrażenie, że będzie mu tylko przysparzać kłopotów.

Pewnie zaprzyjaźni się z Conem tylko po to, żeby mu zrobić na złość.

Cóż to za okropna kobieta.

Vanessa zawsze uważała, że kłótnie nie wydobywają tego, co najlepsze w ludziach.

Między wicehrabią Lyngate a Constantine'em Huxtable'em z pewnością istniał jakiś konflikt. A chociaż skłaniałaby się raczej, żeby winę przypisać wicehrabiemu, po prostu dlatego, że z natury był arogancki i porywczy, a pan Huxtable, jako nieprawy syn poprzedniego hrabiego, stał niżej od niego na drabinie społecznej, nie była już taka pewna, czy pan Huxtable pozostawał bez zarzutu.

Usłyszała przypadkiem fragment ich rozmowy, kiedy podawała im herbatę. Nie czuła się zmieszana tym, że rozmowa nie była przeznaczona dla jej uszu. W salonie - salonie Stephena - nie należało przy podwieczorku publicznie prać rodzinnych brudów.

Ale podczas gdy wicehrabia Lyngate zachował się, jak zwykle, okropnie, to Constantine ukazał inną stronę swojej osobowości niż ta, którą mogli dotąd poznać. Prowokował wicehrabiego, wyraźnie rozbawiony tym, że udało mu się go zirytować.

Miał opuścić Warren Hall przed ich przyjazdem, ale został.

Ponieważ pragnął powitać Stephena i siostry, których nigdy nie widział, i po to, żeby wprowadzić ich w sprawy domu, który aż do tej chwili należał do niego? Czy też dlatego, że wiedział, że

to zdenerwuje wicehrabiego Lyngate?

Ale dlaczego miałyby wyjechać tylko dlatego, że wicehrabia Lyngate mu kazał?

Cały ten spór wydawał się bezsensowny. Obaj byli dorośli i spokrewnieni ze sobą. Byli na tyle podobni, że mogli uchodzić za braci, tylko że jeden stale marszczył brwi, a drugi uśmiechał się czarująco i dzięki temu wydawał się przystojny pomimo zdeformowanego nosa. Choć w gruncie rzeczy nie dorównywał urodą wicehrabiemu Lyngate.

Vanessy nie obchodziło, czego dotyczyła ich kłótnia. Cóż, chętnie by się tego dowiedziała. W takiej sytuacji większość ludzi odczuwa naturalną ciekawość. Nie sądziła jednak, by Stephen i siostry w jakiś sposób powinni uczestniczyć w tej rozmowie, zwłaszcza dzisiaj. Dzień dzisiejszy należał z pewnością do najbardziej niezwykłych w życiu Stephena. Obaj mężczyźni mogliby wykazać się lepszymi manierami i odłożyć spór na inną porę i miejsce.

Jednakże szczęście Stephena wzięło się z nieszczęścia kogoś innego. Podczas kolacji Vanessa zauważyła, że Constantine Huxtable odziany był na czarno, tak jak wcześniej, kiedy miał na sobie strój do konnej jazdy. Tak jak ona nosił żałobę, chociaż w jego wypadku była to wciąż pełna żałoba. Jak to jest stracić brata? Spojrzała na Stephena i stanowczo przegnała te myśli z głowy.

- Proszę mi opowiedzieć o Jonathanie - zwróciła się do Constantine'a, kiedy wszyscy wrócili do salonu.

Meg mówiła coś do wicehrabiego Lyngate i Stephena, ale wszyscy widocznie usłyszeli jej prośbę, ponieważ umilkli, czekając na odpowiedź.

Vanessa sądziła, że nie odpowie. Wpatrywał się w ogień na kominku, uśmiechając lekko. Potem jednak się odezwał.

- Zwykle nie jest możliwe, żeby opisać kogoś jednym słowem - zaczął. - Ale jeśli chodzi o Jona, to tylko jedno słowo wydaje się właściwe. Był miłością. Nie było nikogo i niczego, czego by nie kochał.

Vanessa uśmiechnęła się ze współczuciem, zachęcając, żeby mówił dalej.

- Był dzieckiem w ciele młodego mężczyzny - ciągnął Huxtable. - Uwielbiał się bawić. A czasami lubił psocić. Przepadał za zabawą w chowanego, nawet jeśli dla szukającego było zupełnie jasne, gdzie go znaleźć. Czyż nie tak, Elliott?

Spojrzał na wicehrabiego Lyngate i przez chwilę powrócił wyraz kpiny, który Vanessa widziała u niego wcześniej. To było przykre. Z szyderstwem nie było mu do twarzy.

Wicehrabia, oczywiście, zmarszczył brwi.

- Musi pan za nim ogromnie tęsknić - powiedziała Vanessa. Constantine wzruszył ramionami.

- Umarł w noc swoich szesnastych urodzin. Umarł we śnie po dniu, który spędził na zabawie. Każdy chciałby mieć takie szczęście. Nie życzyłem mu śmierci, ale teraz przynajmniej jestem wolny i mogę szukać szczęścia gdzie indziej. Czasami miłość może być niemal ciężarem.

Zdumiało ją, że mógł coś takiego powiedzieć głośno. Vanessa nigdy nie zdobyłaby się na podobną szczerość. Ale jego słowa poruszyły w niej jakąś strunę. Czy jednak wolno myśleć w ten sposób? Choć powiedział „niemal”. Wiedziała wszystko o bólu miłości.

- Och - odezwał się Stephen, przerywając krótką ciszę - mam nadzieję, że nie zamierza pan wyjechać zbyt szybko, kuzynie. Jest wiele rzeczy, o które chciałbym pana zapytać. Poza tym nie ma powodu, żeby pan przestał uważać ten dom za własny tylko dlatego, że zgodnie z prawem jest mój.

- Jesteś niezwykle uprzejmy, Stephenie. - W oczach Constantine'a pojawił się cień kpiny.

Vanessa zastanawiała się, czy był to miły człowiek, ukrywający się pod maską pozornej beztroski i uroku osobistego, czy też czarny charakter? A może jak większość ludzi, stanowił przedziwną mieszaninę przeciwstawnych cech?

A co z wicehrabią Lyngate? Spojrzała na niego i stwierdziła, że patrzy na nią. Błękit jego oczu zawsze wprawiał ją w lekkie

zmieszanie.

- To nie tylko uprzejmość, panie Huxtable - wyjaśniła, nie spuszczać wzroku z wicehrabiego. - Jesteśmy szczęśliwi, że mogliśmy poznać kuzyna, o którego istnieniu w ogóle nie wiedzieliśmy. Nikt nam nie mówił o panu.

Wargi wicehrabiego wykrzywiły się leciutko, ale nawet przy bujnej wyobraźni nie można było nazwać tego grymasu uśmiechem.

- Ponieważ jesteśmy kuzynami - rzekł Huxtable - proszę, abyście zwracali się do mnie po imieniu.

- Constantine, jestem Vanessa. Przykro mi z powodu Jonathana. Ciężko patrzeć, jak umiera ktoś młody, zwłaszcza kiedy go kochamy.

Odwzajemnił jej uśmiech i uznała, że chyba jednak jest miłym człowiekiem. Nie mógł tego udawać. Ta jego reakcja przekonała ją, że kochał brata, mimo że Jonathanowi przypadł tytuł, który mógł należeć do niego.

- Constantine, obiecałeś przy kolacji - przypomniała mu Katherine - że nauczysz mnie jeździć konno. Tego się chyba nie da zrobić przez jeden czy dwa dni. Musisz więc zostać dłużej.

- To może zająć tydzień, jeśli powoli się uczysz - odparł. - Choć założę się, że tak nie jest. Zostanę zatem, póki nie staniesz się świetnym jeźdźcem, Katherine.

- Wszyscy będziemy się cieszyć - zapewniła Meg.

Vanessa zastanawiała się, czy wicehrabia Lyngate zdaje sobie sprawę, że palcami prawej ręki wystukuje rytm na udzie.

Dlaczego on i Constantine byli wrogami? Czy zawsze tak było?

Elliott zamierzał zająć się Mertonem następnego dnia po jego przyjeździe do Warren Hall. Miał ważne sprawy w Finchley Park, własnym domu odległym o pięć mil. Tak czy inaczej, chciał już tam wrócić, choć przez jakiś miesiąc czy dwa będzie musiał bywać w Warren Hall dość często. Czekало go mnóstwo pracy.

Zamierzał przedstawić Mertona zarządcy, Samsonowi, kompetentnemu człowiekowi, którego ojciec Elliotta zatrudnił przed dwoma laty. Chciał spędzić przedpołudnie z chłopcem w domu, w biurze Samsona. Po obiedzie mieli we trzech pojechać konno, aby obejrzeć gospodarstwo i inne ważne dla nowego hrabiego miejsca.

Zamierzał spędzić w ten sposób cały dzień. Naprawdę nie było czasu do stracenia.

Ale po śniadaniu Merton oznajmił mu, że Con zgodził się oprowadzić jego i siostry po domu i przyległym do rezydencji ogrodzie.

To oprowadzanie zajęło całe przedpołudnie.

A po lunchu Elliott dowiedział się od Mertona, że Con

obiecał zabrać go na przejażdżkę po terenach parkowych i gospodarstwach oraz przedstawić robotnikom i niektórym dzierżawcom.

- To bardzo uprzejme z jego strony - rzekł Merton - że chce poświęcić dla mnie cały dzień. Czy pan pojedzie z nami?

- Zostanę tutaj - odparł Elliott sucho. - Jutro jednak będziesz musiał spędzić nieco czasu z Samsonem, twoim zarządcą. Ja także będę z tobą.

- Ależ oczywiście - odparł chłopiec. - Muszę się wiele nauczyć. Jednakże następnego ranka Elliott znalazł chłopca w stajniach z Conem i stajennym; oglądali konie. Stephen był w siódmym niebie. Potem, oczywiście, zanim poszli do biura, musiał się jeszcze przebrać.

- Meg nie lubi zapachu konia w domu - wyjaśnił. - Złości się, jeśli choć odrobinę pachną stajnią.

W biurze przez parę godzin pilnie przyswajał sobie nową wiedzę, wykazując godną podziwu chęć nauki i zadając mnóstwo rozsądnych pytań. Po lunchu jednak oznajmił, że Con zabiera go do proboszcza, a potem do Graingerów i jeszcze kilku innych, co znamienitszych rodzin w okolicy.

- To ładnie z jego strony, że chce to zrobić - zauważył chłopiec. - Myślę, że mógłby mieć do mnie żal. A robi wszystko, żeby uprzyjemnić nam czas. Jutro, jeśli utrzyma się ładna pogoda,

zabiera siostry na łódkę na jezioro. Ja też bym poszedł, tak żeby można było wziąć dwie łódki. Proszę pójść z nami, jeśli ma pan ochotę.

Elliott nie przyjął propozycji.

Każdego wieczoru po kolacji Con w rozmowie z Huxtable'ami roztaczał czar, który Elliottowi był tak dobrze znany. Zawsze potrafił ludzi w każdym wieku, obojga płci owinać wokół małego palca, jeśli tylko tego pragnął. Śmiali się z tego razem. Elliott nie mógł się z nim mierzyć.

Con, rzecz jasna, nie dbał wcale o nowo odnalezionych kuzynów. A jeśli nawet tak było, to nie z miłości. Przyjechali tutaj, zupełnie obcy, żeby usunąć go z własnego domu, a w najlepszym wypadku sprawić, żeby czuł się w nim jak gość. Prawdopodobnie nienawidził ich z całego serca.

Został jedynie po to, żeby zrobić Elliottowi na złość.

Znali się aż za dobrze.

Con wiedział, co rozgniewa swego byłego najlepszego przyjaciela. A Elliott wiedział, co się dzieje w głowie Cona.

Elliott, stojąc przy oknie pokoju gościnnego wczesnie rano w dniu planowanej przejażdżki łódką, patrzył, jak Con wychodzi głównym wejściem i pewnym krokiem przemierza taras, żeby zejść po schodach do ogrodu.

Elliott zdążył się już ubrać. Zastanawiał się, czy nie wziąć

konia i nie pojeździć przed śniadaniem. Ale był najwyższy czas, żeby rozmówić się z Conem na osobności. Młodym Mertonem łatwo było manipulować. A siostry były niewinne i naiwne. Con nie miał trudności ani skrupułów, żeby wykorzystać nieszczęsnego Jonathana. Elliott nie zamierzał dopuścić, żeby zrobił to w przypadku nowego hrabiego.

Ruszył za Conem, który wyszedł z ogrodu i skręcił w prawo - Elliott widział to, zanim opuścił pokój. Nie szedł więc w stronę jeziora czy stajni. Wkrótce jednak stało się jasne, dokąd zmierzał.

Elliott poszedł za nim w stronę rodzinnej kaplicy i cmentarza. I rzeczywiście, zastał go tam stojącego przy grobie Jonathana.

Przez chwilę Elliott pożałował, że tu przyszedł. Nie powinien zakłócać tej chwili prywatności. Jednak prawie natychmiast ogarnął go gniew. Bo nawet jeśli Con kochał Jonathana, to wykorzystał sytuację w niegodny sposób, okradając i zamieniając dom w siedlisko rozpusty. Nieważne, że Jonathan niczego nie wiedział i nie zrozumiałby tego, nawet gdyby mu powiedziano. To było bez znaczenia.

Jednak moment, w którym mógł się odwrócić niezauważony i odejść - minął - jeśli w ogóle chciał odejść. Con odwrócił głowę i spojrzał wprost na niego. Nie uśmiechał się teraz. Brakowało publiczności, którą chciałby oczarować.

- Nie wystarczy ci - powiedział - że przychodzisz szpiegować

do domu mojego ojca i brata - i moich kuzynów - i narzucać się wszystkim, jakby należał do ciebie? Czy musisz teraz nachodzić nas na cmentarzu?

- Nic nie mam do zmarłych - odparł Elliott. - I, na szczęście dla ciebie, oni także nie mają nic do mnie. Wszyscy nie żyją. Ale zdumiewa mnie, że śmiesz stawać na tej uświęconej ziemi. Mieliby wiele przeciwko tobie, gdyby żyli i wiedzieli to, co ja wiem.

- Co sądzisz, że wiesz. - Con zaśmiał się chrapliwie. - Zrobiłeś się świętoszkowatym nudziarzem. Kiedyś było inaczej.

- Kiedyś przeżywałem szaloną młodość - przyznał Elliott. - Ale nigdy nie byłem draniem. Nigdy nie wystawiłem na szwank honoru.

- Idź do domu - burknął szorstko Con - póki jesteś cały i zdrowy. A jeszcze lepiej wracaj do siebie, do Finchley. Chłopak świetnie da sobie radę bez ciebie.

- A przy tobie zostanie odarty z resztek dziedzictwa - odparł Elliott. - Nie przyszedłem, żeby się z tobą kłócić. Wyjedź dzisiaj. Jeśli została ci odrobina przyzwoitości, wyjedź i zostaw tych ludzi w spokoju. Oni są niewinni. Niczego nie wiedzą.

Con wykrzywił się szyderczo.

- Podoba ci się któraś, co, Elliott? Najstarsza jest niezła, prawda? Na widok młodszej też cieknie ślinka. Nawet wdowa ma

coś w sobie. Ma ładne, roześmiane oczy. Którą sobie upodobałeś? Przypuszczam, że zamierzasz być grzecznym chłopcem, ożenić się wkrótce i urządzić pokój dziecinny. Byłoby wygodnie poślubić pannę Huxtable z Warren Hall.

Elliott, z groźną miną, zrobił w jego stronę kilka kroków.

- Uważaj, żeby tobie któraś się za bardzo nie spodobała - ostrzegł. - Nie pozwoliłbym na to. One nie są dla takich, jak ty.

Con znowu parsknął szyderczo.

- Wpadłem na Cecily w zeszłym tygodniu - rzucił. - Była na konnej przejażdżce z Campbellami. Powiedziała mi, że w tym roku debiutuje w towarzystwie. Prosiła, żebym był koniecznie na jej pierwszym balu. Zarezerwuj dla mnie taniec. Słodka mała Cece - wyrosła na prawdziwą piękność.

Elliott zacisnął dłonie w pięści, postępując parę kroków do przodu.

- Chyba nie zamierzasz się bić, Elliotcie? - zapytał Con ze śmiechem, unosząc brew. - Nie biliśmy się od wieków. Ostatnią potyczkę stoczyliśmy chyba wtedy, kiedy złamałeś mi nos, chociaż pamiętam, że ja także utoczyłem ci kwartę krwi z nosa i podbiłem oko. Zatem chodź. Jeśli pragniesz bójki, jestem do twoich usług. Doprawdy, nie będę nawet czekał na pierwsze uderzenie. Zawsze się ociagałeś.

Podszedł do Elliotta i uderzył go w twarz - Elliott zablokował

go ramieniem i sam zadał cios, trafiając Cona w ucho. Elliott zaś dostał w ramię, a nie w szczękę, w którą Con celował.

Odskoczyli od siebie z zaciśniętymi pięściami i zaczęli krążyć, czekając na dogodny moment. Żaden z nich nie żartował, chcieli się bić naprawdę, nie pomyślawszy, żeby zrzucić surduty.

Elliott, mimo woli lekko rozbawiony, pomyślał, że istotnie od dawna miał na to ochotę. Nadszedł czas, żeby ktoś dał Conowi nauczkę. A on zawsze był lepszy na pięści i choć Con istotnie kiedyś podbił mu oko i rozbił nos, to, jego zdaniem, krwi nie było tak dużo.

Wyczuł moment i...

- Och, proszę, nie - odezwał się głos za nimi. - Przemoc nigdy niczego nie rozwiązuje. Czy nie wystarczy porozmawiać?

Głos kobiety.

Mówiącej głupstwa.

Głos pani Dew.

Oczywiście.

Con opuścił ręce, uśmiechając się szeroko.

Elliott spojrzał wściekłym wzrokiem przez ramię.

- Porozmawiać? - warknął. - Porozmawiać? Chciałbym prosić, żeby pani wróciła do domu i trzymała się z daleka od tego, co pani nie dotyczy.

- Tak, abyście mogli dalej wyrządzać sobie nawzajem

krzywdę? - odparła, podchodząc bliżej. - Mężczyźni są tacy głupi. Uważają się za wyższą płęć, ale kiedy powstanie różnica zdań pomiędzy dwoma spośród nich, dwiema grupami albo dwoma narodami, jedynym rozwiązaniem, jakie przychodzi im do głowy, jest walka. Bójka na pięści, wojna - w gruncie rzeczy to bez różnicy.

Dobry Boże!

Najwyraźniej narzuciła na siebie ubranie w pośpiechu. Nie miała rękawiczek ani czepka, a włosy związała byle jak na karku. Policzki miała zaróżowione, oczy lśniły.

Była najokropniejszą kobietą, jaką miał kiedykolwiek nieprzyjemność poznać.

- Masz całkowitą rację, Vanesso - odparł Con ze śmiechem. - Zawsze uważałem, że to kobiety są lepsze. Ale zrozum, że my, mężczyźni, lubimy dobrą walkę.

- Nie przekonasz mnie, że to tylko przyjacielskie zapasy - powiedziała. - To nieprawda. Z jakiegoś powodu nienawidzicie się nawzajem albo myślicie, że tak jest. Gdybyście po prostu porozmawiali, może udałoby się złagodzić spór łatwiej, niż sobie wyobrażacie, i znowu bylibyście przyjaciółmi. Przypuszczam, że kiedyś się przyjaźniliście. Dorastaliście blisko siebie i jesteście kuzynami.

- Jeśli Elliott nie ma nic przeciwko temu - zaproponował Con

- pocałujemy się i pogodzimy.

- Pani Dew - wycedził Elliott - pani impertynencja nie zna granic. Przykro mi jednak, że zakłóciłem pani spacer. Proszę pozwolić, że odprowadzę panią do domu.

Patrzył na nią wściekłym wzrokiem, dając do zrozumienia, że wie doskonale, iż nie wyszła tak po prostu na przechadzkę. Podobnie jak on, musiała wyglądać przez okno i zobaczyła najpierw Cona, a później jego, udającego się w tym samym kierunku. Wyciągnęła wnioski i ruszyła za nimi, czepiając się jak rzep psięgo ogona.

- Nie - upierała się - o ile nie zapewnicie mnie obaj, że nie będziecie się bić dzisiaj, jutro czy wówczas, kiedy nie będę mogła was powstrzymać.

- Ja nie wrócę do domu - oznajmił Con. - Nie powinnaś zaprzętać sobie tym głowy, Vanesso. Jak się domyśliłaś, ja i Elliott byliśmy przyjaciółmi i wrogami - głównie przyjaciółmi - całe życie. A za każdym razem, kiedy się biliśmy - nawet w wieku czternastu lat, kiedy on złamał mi nos, a ja podbiłem mu oko - zawsze potem śmialiśmy się, uznając to za świetną zabawę.

Parsknęła niecierpliwie, a Con mówił dalej.

- Muszę wyjechać w ciągu paru dni - ciągnął. - Mam pewne sprawy do załatwienia. Przyrzekam do tego czasu nie podejmować z Elliottem żadnej walki.

Roześmiał się i uklonił, rzucając Elliottowi kpiące spojrzenie, po czym ruszył w stronę pałacu.

- Tak więc, jeśli dojdzie do walki, wina będzie po pańskiej stronie - zauważyła pani Dew, zwracając się do Elliotta z uśmiechem. - To było sprytne. Czy zawsze udawało mu się przedstawić pana w roli tego złego?

- Bardzo mnie pani rozgniewała - powiedział.

- Wiem. - Jej uśmiech zbladł nieco. - Ale pan także mnie rozgniewał. To szczęśliwy tydzień dla mojego brata. A także dla moich sióstr. Nie chcę, żeby ich szczęście przyćmiła pańska kłótnia z Constantine'em. Jak by się czuli, gdybyście się pokazali w domu z podbitymi oczami, krwawiącymi nosami czy poranieni? Lubią Constantine'a i szanują pana. Nie zasługują na to, żeby martwić się drobną osobistą kłótnią.

- Z pewnością nie jest drobna - stwierdził sztywno. - Ale rozumiem pani punkt widzenia. Czy pani szczęście zostało przyćmione?

- Ależ nie. - Uśmiechnęła się radośnie, tak jak pamiętał z walentynkowego balu. - Czy tutaj zostali pochowani moi przodkowie? Constantine nie przyprowadził nas tutaj, kiedy chodziliśmy po parku.

- Być może uznał to miejsce za zbyt ponure.

- A może jego żal po stracie brata jest zbyt świeży i zbyt

osobisty, żeby dzielić go z kuzynami, którzy go nie znali. Czy Jonathan rzeczywiście miał w sobie tyle dobroci, jak twierdzi Constantine?

- Och, tak - odparł. - Był kaleki pod wieloma względami i różnił się wyglądem od innych ludzi, ale wszyscy powinniśmy uczyć się od takich osób, jak on. Okazywał wszystkim uczucie, nawet tym, którzy nie mieli do niego cierpliwości.

- Pan nie miał? - zapytała. - Cierpliwości?

- Nigdy wobec niego. Zwykł się chować przede mną, kiedy przyjeżdżałem - to jest po śmierci mojego ojca, kiedy zostałem jego opiekunem. Czasami traciłem dużo czasu, żeby go odnaleźć. Ale tak się cieszyłem, kiedy go w końcu znalazłem, że nie miałem serca gniewać się na niego. Zresztą za tym stał Con.

- Za tym, żeby miał zabawę? - zapytała. - Czy za tym, żeby pana denerwować?

- Zawsze to drugie - odparł.

- Czy miał panu za złe, że pan był opiekunem Jonathana - zapytała - nie będąc wiele starszym od niego, jeśli w ogóle jest pan od niego starszy?

- Tak, miał - odparł krótko.

- Ale z pewnością - powiedziała - musiał rozumieć, że to nie pan został w istocie wybrany na opiekuna, ale pański ojciec, który był starszy, mądrzejszy i bardziej doświadczony niż wy obaj.

- Przypuszczam, że tak.

- Czy nie mógł pan okazać zrozumienia i wyznaczyć na jego opiekuna Constantine'a, nawet jeśli tylko nieoficjalnie?

- Nie mogłem - odparł.

- Och, Boże. - Popatrzyła na niego uważnie, z głową przechyloną na bok. - Jest pan rzeczywiście człowiekiem wyjątkowo upartym. Mam jednak wrażenie, że wrogość, jaka powstała między wami, jest niepotrzebna. A teraz żąda pan, żeby Constantine opuścił własny dom i wyjechał. Czy nie ma pan dla niego żadnego współczucia?

- Pani Dew. - Splótł dłonie na plecach i pochylił się lekko w przód. - Życie nie jest tak proste, jak pani sądzi. Być może byłoby wskazane, żeby nie udzielała mi pani rad co do spraw, o których nie ma pani najmniejszego pojęcia.

- Życie jest często prostsze, niż sądzimy - odparła. - Jeśli jednak chce pan, żebym nie pakowała nosa w cudze sprawy, zrobię tak. Gdzie jest pochowany mój prapradziadek?

- Tam. - Odwrócił się, wskazując dłonią, i oboje podeszli do grobu. Spojrzała na nagrobek z wykutą kwiecistą pochwałą zmarłego hrabiego.

- Ciekawa jestem - odezwała się po chwili - co by powiedział, gdyby mógł nas tu dzisiaj zobaczyć, potomków syna, którego odrzucił, i kobiety, którą jego syn poślubił.

- Życie jest nieprzewidywalne - stwierdził Elliott.

- I to było takie niepotrzebne - ciągnęła - cały ten spór, całe cierpienie i samotność po obu stronach. Tak czy inaczej, jesteśmy tutaj, po tylu latach rozłąki.

W jej oczach malował się smutek. Elliott musiał Conowi przyznać rację w jednym: Vanessa miała piękne oczy, nawet kiedy się nie śmiała.

- Gdzie pochowano Jonathana? - zapytała.

Zaprowadził ją do najświeższego grobu. Nagrobek był nieskazitelnie czysty, trawa wokół przycięta i wypielona. Ktoś zasadził wokół wiosenne kwiaty; przebiśniegi kwitły, listki krokusów przebijały się spod ziemi.

Ktoś opiekował się grobem. Con, jak przypuszczała.

Poczucie winy?

- Żałuję, że go nie znałam - westchnęła. - Naprawdę żałuję. Myślę, że bym go kochała.

- Nie dało się go nie kochać.

- Inaczej niż jego brata? Może gdyby śmiał się pan z tego, że próbuje panu zrobić na złość za każdym razem, kiedy namawia Jonathana do zabawy w chowanego, moglibyście śmiać się razem i pozostać w przyjaźni. Może tym, czego panu potrzeba, jest poczucie humoru.

W przypiływie furii rozdał nozdrza.

- Poczucie humoru? - niemal warknął. - W wypełnianiu poważnych obowiązków? W stosunkach z łajdakiem? W prowadzeniu interesów niedorozwiniętego umysłowo niewinnego chłopca? Wobec impertynentów pewnie także?

- Impertynent to ja? - spytała. - Po prostu nie mogłam pozwolić wam walczyć, nie próbując was powstrzymać. I chciałam tylko wskazać sposób, w jaki mógłby pan uprzyjemnić i ułatwić sobie życie. Constantine przynajmniej uśmiecha się prawie cały czas, nawet jeśli w jego uśmiechu pojawia się czasem szyderstwo. Pan nigdy się nie uśmiecha. A jeśli będzie się pan marszczyć bez przerwy, tak jak teraz, dorobi się pan zmarszczek, zanim się pan zestarzeje.

- Uśmiecha się - prawie warknął. - Ach, teraz w końcu pojąłem wielką tajemnicę życia. Jeśli ktoś się uśmiecha, to żyje łatwo i przyjemnie, choćby był największym łajdakiem. Muszę się nauczyć uśmiechać. Dziękuję za radę.

Uśmiechnął się do niej.

Patrzyła na niego badawczo, przechylając głowę na bok.

- To nie jest uśmiech. To gniewny grymas, który sprawia, że staje się pan trochę podobny do wilka - choć czytałam, że pod wieloma względami wilki są wspaniałymi i łagodnymi zwierzętami. Dwa razy wspomniał pan o Constantinie jako łajdaku. Tylko dlatego, że miał do pana żal o sprawowanie opieki

nad bratem i namawiał go do płatania panu figli? I ponieważ nie przejął się pańskim ultimatum, zostając tutaj do naszego przyjazdu? Łajdak to chyba za mocne słowo na określenie kogoś takiego, nieprawdaż? Nie może pan chyba oczekiwać, że zgodzę się z pana zdaniem, nie zadając pytań.

- Dobrze wiedzieć, czyjemu słowu można ufać, a czyjemu nie.

- A ja mam ufać pańskiemu? - zapytała. - Mam uwierzyć panu na słowo, że mój kuzyn jest łajdakiem? Mam nie zwracać uwagi na to, co on mówi? Nie mam powodu, żeby panu ufać czy też nie ufać jemu. Poczynię własne obserwacje, milordzie, i wyciągnę własne wnioski.

- Sądzę, że śniadanie czeka. Czy wrócimy do domu?

- Tak, myślę, że tak - odparła z westchnieniem. - O, mój Boże, nie mam rękawiczek. - Dotknęła głowy. - Ani czepka. Co też pan sobie o mnie pomyśli?

Powstrzymał się od odpowiedzi.

A zatem nie miał poczucia humoru?

Na litość boską, myślał, kiedy szli razem w milczeniu, czy należy bez przerwy sypać dowcipami i chichotać jak hiena, nawet jeśli nikogo to nie bawi?

Albo może należy uwodzić otoczenie fałszywym czarem tak jak Con?

Elliott dopiero po trzech dniach wrócił do Finchley Park. I właśnie wtedy zaczął poważnie zastanawiać się nad poślubieniem panny Margaret Huxtable.

Siostry, nawet jeśli miały więcej obycia, niż się spodziewał, potrzebowały rozpaczliwie pewnej miejskiej ogłady i koneksji stosownych do ich obecnej pozycji. Potrzebowały tego teraz, w tym roku, w tym sezonie. A sezon rozpocznie się zaraz po świętach Wielkiej Nocy.

W obecnej chwili wszystkie wykazywały naiwność prowincjuszek i stanowiły łatwy łup dla doświadczonych bawidamków typu Cona Huxtable'a.

Con wyjechał z Warren Hall nazajutrz po przerwanej bójce. Poprzedniego wieczoru wspomniał, że wyjeżdża. W odpowiedzi na chór protestów ze strony kuzynów oznajmił, że wzywają go sprawy niecierpiące zwłoki. Wyjechał wcześniej rano, cichaczem, zanim wstali.

Elliott odczuł wielką ulgę. Nie wierzył jednak, by Con długo trzymał się z daleka. Należało zabrać stąd Huxtable'ów, przynajmniej na jakiś czas, żeby ich przygotować do wystąpienia w towarzystwie.

Elliott obserwował ich wszystkich i podobało mu się to, co widział u Margaret. Uczyła się szybko - konsultując się z

gospodynią i kucharką - jak prowadzić tak duży dom. Podchodziła poważnie do swoich obowiązków.

Była inteligentną i rozsądną kobietą.

Była także, rzecz jasna, niezwykle piękna. Kiedy - w mieście - nauczy się bardziej dbać o siebie, będzie wywierać oszałamiające wrażenie.

Patrzył na to w sposób beznamiętny. Nie budziła w nim pożądania. Ale też nie oczekiwał tego od swojej małżonki. Śluby zawierano z innych powodów niż namiętność.

Małżeństwo z panną Huxtable byłoby wygodne pod wieloma względami. Choćby myśl o tym wprawiała go w przygnębienie. Sama perspektywa małżeństwa działała w ten sposób. Niestety był to krok niezbędny i nie można go było odwlekać.

Opuszczając Warren Hall, wciąż nie był pewien, czy wystąpi z tą propozycją, ale zastanawiał się nad tym poważnie.

Po wyjeździe Cona młody Merton - choć był wyraźnie rozczarowany, gdyż bardzo go podziwiał - skupił się bardziej na obowiązkach. Znalazł wspólny język z Samsonem, człowiekiem najbardziej właściwym, żeby przekazać młodemu hrabiemu niezbędną wiedzę o zarządzaniu majątkiem. Elliott rozmawiał z chłopcem o potrzebie zatrudnienia nauczyciela, a właściwie dwóch nauczycieli - jednego, żeby wpoił mu arystokratyczne maniery, drugiego, żeby przekazał wiedzę akademicką, niezbędną,

żeby dostać się na uniwersytet. Stephen zdziwił się, że ten plan nadal pozostaje niezmienny, ale Elliott przekonał go, że prawdziwy dżentelmen to dżentelmen wykształcony. Panna Huxtable przyklasnęła temu z entuzjazmem, a Stephen się poddał.

Elliott był zadowolony z chłopca.

George Bowen pojechał do Londynu, żeby przeprowadzić wywiady z kandydatami na nauczycieli, a także na pokojowca. Merton twierdził, że nie potrzebuje osobistego służącego, bo zawsze sam dbał o swoje potrzeby. Ale to była jedna z pierwszych lekcji, które musiał przyjąć. Występując publicznie, hrabia musi wyglądać godnie - zarówno pod względem manier, jak i stroju, a któż zadba o to lepiej niż doświadczony pokojowiec?

Wreszcie Elliott uznał wyjazd z Warren Hall za możliwy, przynajmniej na parę dni. Chciał jechać do domu. Chciał także w spokoju zastanowić się nad tym, co odrzucił bez namysłu, kiedy George po raz pierwszy poddał mu tę myśl. Sądził jednak, że raczej zdecyduje się poprosić pannę Huxtable o rękę.

Tylko jedno mogło go powstrzymać. Jeśli ją poślubi, pani Dew zostanie jego szwagierką.

Była to ponura myśl.

Wystarczyła, żeby popsuć mu humor.

Ta kobieta uśmiechała się do niego promiennie przez trzy dni, jakby uważała go za błazna.

Dobrze było znaleźć się znowu w domu.

Najmłodsza siostra była pierwszą osobą, jaką zobaczył po powrocie. Właśnie wychodziła ubrana w strój do konnej jazdy. Uśmiechnęła się ciepło, podsuwając mu policzek do pocałowania.

- Cóż? - zapytała. - Jaki on jest?

- Ja również jestem szczęśliwy, że cię widzę, Cece - oznajmił suchym tonem. - Masz na myśli Mertona? Jest wesoły i inteligentny i ma siedemnaście lat.

- I jest przystojny? - zapytała. - Jakiego koloru ma włosy?

- Blond - odparł.

- Wolę mężczyzn z ciemnymi włosami - stwierdziła. - Ale mniejsza o to. Jest wysoki? Szczupły?

- Czy jest prawdziwym Adoniszem? Sama będziesz musiała to ocenić. Mama z pewnością zabierze cię tam wkrótce. Są z nim jego siostry.

Ucieszyła się jeszcze bardziej.

- Czy któraś z nich jest w moim wieku? - zapytała.

- Sądzę, że najmłodsza jest w podobnym. Prawdopodobnie rok lub dwa starsza.

- A jest ładna? - zapytała.

- Tak, bardzo - zapewnił. - Ale ty także. Teraz więc dostałaś swój komplement i możesz ruszać swoją drogą. Mam nadzieję, że nie wybierasz się na przejażdżkę sama?

- Nie, oczywiście, że nie! - odparła z urażoną miną. - Jeden ze stajennych będzie mi towarzyszył. Mam się spotkać z Campbellami. Zaprošili mnie wczoraj i mama powiedziała, że mogę jechać, o ile nie będzie padać.

- Gdzie jest mama? - zapytał.

- W swoich pokojach.

Parę minut później opadł z ulgą na wyściełane krzesło w buduarze matki i przyjął z jej rąk filiżankę herbaty.

- Doprawdy powinienes dać mi znać, że przywieziesz razem z Mertonem jego trzy siostry, Elliotcie - odparła w odpowiedzi na krótkie sprawozdanie, jakie jej złożył, kiedy już ją uściskał i zapytał o zdrowie. - Cecily i ja odwiedziłybyśmy ich wczoraj albo przedwczoraj.

- Uznałem, mamó, że potrzebują trochę czasu, żeby się przystosować do nowego otoczenia i nowych warunków - powiedział. - Throckbridge to maleńka wioska z dala od uczęszczanych szlaków.

Mieszkali tam w nędznym, małym domku. Najmłodsza siostra uczyła w wiejskiej szkole.

- A wdowa? - zapytała.

- Mieszkała w Rundle Park, domu baroneta, swojego teścia. Ale jego dom też nie jest imponujący, a sir Humphrey Dew to niezbyt mądry, gadatliwy, choć dobroduszny człowiek. Wątpię,

żeby kiedyś wyprawił się dalej niż dziesięć mil od domu.

- Wszyscy zatem będą musieli zacząć nauki od podstaw - stwierdziła.

- Właśnie. - Westchnął. - Miałem nadzieję przywieźć na początek samego Mertona. Siostry przyjechałyby później. Najlepiej dużo później.

- Ale to są jego siostry - podkreśliła wstając, żeby nalać następną filiżankę herbaty. - A on jest ledwie chłopcem.

- Dziękuję, mamó - powiedział, biorąc od niej filiżankę. - Jaki tu spokój.

Żałował, że nie miała córki, którą wprowadzałaby w towarzystwo w tym roku. To by go uratowało przed... Więc musiał w tym roku się ożenić.

- To hałaśliwa rodzina? - zapytała, unosząc brwi.

- Och, nie, nie, nic podobnego. - Westchnął ponownie. - Tylko czułem się tak...

- Odpowiedzialny? - podpowiedziała. - Tak jest, odkąd przejąłeś ten obowiązek, Elliotcie. Czy chłopiec jest inteligentny? Poważnie usposobiony? Chętny do nauki?

- Zdecydowanie inteligentny - przyznał - choć nieco niespokojnej, jak sędzę, natury. Chciałby rozwinąć skrzydła, ale nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać.

- Jest zatem typowym młodym mężczyzną - stwierdziła z

uśmiechem.

- Tak sędzę. Ale interesuje się prowadzeniem majątku, a także perspektywą podjęcia w przyszłości obowiązków para królestwa, kiedy osiągnie pełnoletność. Przystał na to, żeby jesienią zacząć studia w Oksfordzie. Mam wrażenie, że służba w Warren Hall już go uwielbia, nie wyłączając Samsona.

- A więc twój czas i wysiłki nie pójdą na marne - ucieszyła się. - A panie? Czy są beznadziejnymi prowincjuszkami? Są prostackie? Mało rozgarnięte?

- W najmnieszym stopniu. - Wypił łyk herbaty, odetchnął z zadowoleniem i odstawiając filiżankę, wyciągnął przed siebie nogi. - Myślę, że nieźle dadzą sobie radę. Ale, mamó, trzeba będzie na wiosnę zabrać je do miasta, odpowiednio ubrać i przedstawić właściwym ludziom, wprowadzić w towarzystwo i... Cóż, ja po prostu nie wiem, jak to zrobić. Ja nie mogę tego zrobić - nie dla sióstr, w każdym razie.

- Z pewnością nie - przyznała.

- Ty także nie możesz - stwierdził. - W tym roku musisz zająć się Cecily.

Patrzył na nią z nadzieją.

- Tak - przyznała.

- Myślałem, że może ciocia Fanny albo ciocia Roberta... - zaczął.

- Och, Elliotcie - przerwała mu. - Nie mówisz poważnie.

- Nie - zgodził się. - Chyba nie. A babcia jest zbyt leciwa.

George twierdzi, że powinienem się ożenić i wtedy moja żona będzie je promować.

Rozpromieniła się na chwilę, ale potem zmarszczyła brwi.

- Mówiłeś mi po świętach Bożego Narodzenia, że masz zamiar ożenić się w tym roku, zanim skończysz trzydzieści lat. Jestem, oczywiście, zachwycona, ale mam nadzieję, że nie uczynisz tego z zimnym rozmysłem, zapominając, że masz także serce.

- A jednak - powiedział - starannie zaplanowane małżeństwa często okazują się szczęśliwsze niż małżeństwa z miłości, mamo.

Pożałował tych słów, gdy tylko przebrzmiały. Małżeństwo jego matki zostało bardzo starannie zaplanowane. Ale choć była młoda i piękna - wciąż urodziwa w średnim wieku - jej związek trudno by nazwać udanym. Ojciec pozostał silnie związany z kochanką i dziećmi, których się z nią dochował.

Uśmiechnęła się do filiżanki, nie podnosząc oczu.

- George sugerował, żebym ożenił się z panną Huxtable - wyjaśnił, patrząc uważnie na matkę.

Matka podnosiła filiżankę do ust, ale jej ręka znieruchomiała.

- Z najstarszą siostrą? - zapytała.

- Oczywiście.

- Z wiejską dziewczyną, która mieszkała w chacie? - Zmarszczyła brwi, odstawiając filiżankę na spodek. - Z kimś, kogo ledwie znasz? Ile ona ma lat?

- Prawdopodobnie dwadzieścia parę. Jest rozsądna i dobrze ułożona pomimo skromnego wychowania w rodzinie pastora - i jest prawnuczką i siostrą hrabiego.

- George tak sugerował. - Spojrzała na niego uważnie. - A co ty o tym sądzisz, Elliotcie?

Wzruszył ramionami.

- Pora, żebym się ożenił i spłodził potomstwo - westchnął. - Zdecydowałem się ożenić przed końcem roku i zostać ojcem tak szybko, jak to będzie możliwe. Nie mam żadnych szczególnych preferencji co do żony. Panna Huxtable, jak sądzę, jest tak samo odpowiednia jak każda inna.

Matka oparła się wygodnie w krześle, nie odzywając się przez dłuższą chwilę.

- Jessica i Averil korzystnie wyszły za mąż - powiedziała. - Ale co równie ważne, Elliotcie, obie kochały swoich mężów, zanim za nich wyszły. Mam nadzieję, że tak samo będzie z Cecily w tym roku albo w następnym. Zawsze miałam nadzieję, że to samo spotka ciebie.

- Już prowadziliśmy tę dyskusję. - Uśmiechnął się. - Nie jestem romantykiem, mam. Mam nadzieję ożenić się z kimś, z

kim będę mógł cieszyć się wygodą, czyje towarzystwo będzie mi miłe i z kim może połączy mnie z czasem uczucie. Przede wszystkim jednak spodziewam się ożenić rozsądnie.

- A panna Huxtable to rozsądny wybór? - zapytała.

- Tak sędzę.

- Czy jest piękna? - zapytała matka.

- Niezwykle.

Odłożyła filiżankę i spodek na stoliczek obok.

- Najwyższy czas, żebyśmy pojechały z Cecily do Warren Hall - stwierdziła - żeby złożyć wyrazy szacunku nowemu hrabiemu i jego siostrze. Na pewno uważają, że to niezbyt ładnie z naszej strony, że dotąd tego nie zrobiłyśmy. Czy Constantine wciąż tam jest?

- Wyjechał trzy dni temu. - Zacisnął szczęki.

- Cecily będzie rozczarowana - zauważyła. - Uwielbia go. Przypuszczam jednak, że nowy hrabia Merton będzie dla niej wystarczającą przynętą. Już zasypała mnie tysiącem pytań o tego młodzieńca, lecz na żadne nie byłam w stanie odpowiedzieć. Przyjrzę się panie Huxtable. Czy podjąłeś już ostateczną decyzję?

- Im więcej o tym myślę, tym bardziej skłaniam się ku temu.

- A czy ona wyjdzie za ciebie?

Nie widział powodu, dla którego miałyby tego nie zrobić.

Panna Huxtable zbliżała się niebezpiecznie do staropanieństwa. Był w stanie zrozumieć, dlaczego dotąd nie wyszła za mąż, choć z taką urodą musiała mieć konkurentów nawet w takiej zapadłej dziurze jak Throckbridge. Ale dała słowo ojcu i dotzymała go. Teraz jednak nie było potrzeby, żeby została dłużej z rodziną. Jej dwie siostry wyrosły już z wieku dziewczęcego, Merton zaś będzie miał ich towarzystwo oraz opiekuna i najstarszą siostrę w sąsiedztwie.

Żadne rozwiązanie, w gruncie rzeczy, nie mogło być dla nich wszystkich wygodniejsze.

- Tak myślę.

Matka pochyliła się, dotykając jego ręki.

- Pojadę i zobaczę pannę Huxtable na własne oczy - oświadczyła. - Jutro.

- Dziękuję. Twoja opinia będzie dla mnie cenna.

- Moja opinia - powiedziała - nie powinna się liczyć, Elliotcie. Jeśli to jest kobieta, którą wybrałeś, powinieneś być gotów stanąć w zapasy z samym diabłem, żeby ją poślubić.

Uniosła brwi, jakby oczekując deklaracji dożgonnej miłości do panny Huxtable. Wstając z krzesła, przykrył jej dłoń swoją i lekko poklepał.

Wicehrabina Lyngate przybyła z córką do Warren Hall następnego dnia.

Zjawiała się bez zapowiedzi.

Stephen przeszedł do biblioteki z biura zarządcy, gdzie pracował z panem Samsonem, by zawiadomić siostry, że zbliża się powóz wicehrabiego Lyngate. Nie było w tym nic szczególnego. Wyjeżdżając poprzedniego dnia, zapowiedział, że będzie często do nich zaglądał. Zwłaszcza do Stephena.

Margaret przeglądała księgi rachunkowe, które, na jej prośbę, przysłała jej pani Forsythe. Vanessa, skończywszy pisać list do lady Dew i swoich szwagierek, przyglądała się oprawionym w skórę tomom na półkach, myśląc, że to pomieszczenie przypomina raj.

A potem Katherine przybiegła ze stajni, zapowiadając przybycie powozu oraz wicehrabiego na koniu.

- Kto może być w powozie? - zapytała nieco zaniepokojona Margaret, zamykając księgę leżącą na biurku i przyglądając włosy.

- O, Boże - powiedziała Katherine, patrząc na własny strój, gdyż właśnie odbyła lekcję ze stajennym. - Myślicie, że to jego matka?

Wybiegła, zapewne żeby przygotować się na przyjęcie gości.

Margaret i Vanessa nie miały takiej możliwości. Słyszały, jak powóz zatrzymuje się pod drzwiami, a potem głosy w holu. Stephen wyszedł, żeby powitać nowo przybyłych. Były to istotnie

wicehrabina i jej córka. Wicehrabia Lyngate niemal natychmiast wprowadził je do biblioteki i przedstawił.

Na Vanessie wywarły ogromne wrażenie. Suknie, pelisy i nakrycia głowy, jakie miały na sobie, stanowiły niewątpliwie ostatnie słowo w dziedzinie mody. Poczwała się nagle wiejską myszką i spojrzała z wyrzutem na wicehrabiego, który mógł je uprzedzić. Wciąż miała na sobie fartuch, który narzuciła na szarą suknię, żeby się zabezpieczyć przed kurzem na półkach. Margaret i ona sama upięły włosy w najprostszy sposób, nie czesząc ich od paru godzin.

Odwzajemnił spojrzenie i uniósł brwi - prawie potrafiła czytać w jego myślach. Prawdziwe damy, wydawało się mówić pogardliwe spojrzenie, zawsze są gotowe na przyjęcie nieoczekiwanych gości po południu. On sam, rzecz jasna, wyglądał nienagannie jak zwykle - i był tak samo przystojny i męski.

- Jak to miło, że zechciały nas panie odwiedzić - odezwała się z pozoru niewzruszona Margaret. - Proszę do salonu, tam będzie nam wygodniej. Pani Forsythe poda herbatę.

- Byłam niezmiernie uszczęśliwiona, dowiedziawszy się od Elliotta, że nalegałeś na to, żeby zabrać siostry, Merton - powiedziała lady Lyngate, kiedy wchodzili na górę po schodach. - To wielki dom dla samotnego młodego dżentelmena.

- Gdyby on nie nalegał, ja bym to zrobiła - oznajmiła Margaret. - Stephen ma zaledwie siedemnaście lat i choć twierdzi, że praktycznie jest dorosły, nie zaznałabym chwili spokoju, gdybym pozwoliła mu pojechać samemu tylko w towarzystwie wicehrabiego Lyngate i pana Bowena.

- To zupełnie zrozumiałe - przyznała lady Lyngate. Stephen zmieszał się, a panna Wallace zerknęła na niego ciekawie.

- Nie domyśliłabym się, że masz siedemnaście lat - stwierdziła młoda dama. - Sądziłabym raczej, że jesteś starszy ode mnie, a ja mam osiemnaście.

Stephen uśmiechnął się dumnie.

Katherine przyłączyła się do nich. Wyglądała schludnie i czysto z jasną, świeżo umytą buzią. Była śliczna, jak zawsze. Ale Vanessa, patrząc na nią z miłością i krytycyzmem, była w stanie zauważyć, że w porównaniu z panną Wallace brakowało jej poloru.

- A może - wtrącił wicehrabia Lyngate - przeprosilibyśmy panie i zrezygnowali z herbaty, Merton. Chciałbym usłyszeć, czego dokonałeś od 'wczoraj.

Panna Wallace była wyraźnie rozczarowana, ale przeniosła uwagę na Katherine.

- Elliott mówił mi, że pojedziesz do Londynu po Wielkanocy, na początek sezonu - powiedziała. - To także ma być mój

pierwszy sezon. Będziemy sobie dotrzymywać towarzystwa. Chciałabym, żeby moje włosy miały takie złote pasma, jak twoje. Są śliczne.

Panna Wallace miała ciemną karnację - jak brat. Najwyraźniej odziedziczyli śródziemnomorską urodę po matce, pięknej kobiecie z przetykanymi srebrem czarnymi włosami i ostrymi, klasycznymi rysami twarzy.

- Dziękuję - uśmiechnęła się Katherine. - Muszę przyznać, że jest mi bardzo dobrze w Warren Hall. Jednak co do Londynu nie jestem jeszcze taka pewna. Tyle tu miejsc do obejrzenia i tyle piękna wokół, i w dodatku uczę się jeździć konno.

- Uczysz się? - zapytała panna Wallace, głęboko zdumiona.

- Niestety, tak - przyznała Katherine. - Meg nauczyła się, kiedy żył papa i jeszcze mieliśmy konia. A Nessie jeździła w Rundle Park po ślubie z Hedleyem, naszym szwagrem. Ale ja nigdy nie miałam okazji. Constantine udzielił mi kilku lekcji, zanim odjechał parę dni temu, a teraz robi to pan Taber, stajenny.

- Tak mi przykro, że Con wyjechał - wyznała panna Wallace.
- Ostatnio nie pokazuje się w Finchley Park, a mama nie pozwala mi samej tu przyjeżdżać. Uwielbiam go. Czy nie uważasz, że jest wyjątkowo przystojny?

Katherine uśmiechnęła się, a lady Lyngate uniosła brwi.

- W każdym razie - ciągnęła panna Wallace - po prostu

musisz przyjechać do miasta na sezon. Przywiozłam album z modą; jest w powozie. Chciałabym ci go pokazać. Niektóre z najnowszych fasonów będą na tobie wyglądać cudownie: jesteś wysoka i szczupła. W istocie jestem pewna, że we wszystkich będzie ci do twarzy.

- Być może, Kate - zaproponowała Margaret - ty i panna Wallace chciałybyście zanieść album do biblioteki i tam go sobie obejrzeć.

Wyszły razem, zostawiając Margaret i Vanessę z wicehrabiną. Uśmiechnęła się do nich łaskawie, z życzliwością. Gdy podano herbatę, zaczęły uprzejmą rozmowę na różne tematy.

- Naprawdę wszystkie musicie pokazać się w mieście na wiosnę - rzekła w pewnym momencie lady Lyngate - choć rozumiem, że to może być dla was trudne. Wasz brat jest za młody, oczywiście, żeby swobodnie poruszać się wśród równych sobie, tak jak to będzie możliwe za parę lat. Jednakże towarzystwo na pewno zechce rzucić na niego okiem. Już wystarczająco długo byliśmy pozbawieni hrabiego Merton. Jonathan był ledwie chłopcem, poza tym i tak nie mógł stąd wyjeżdżać.

- To tragiczne, że umarł tak młodo - rzekła Vanessa. - Był pani siostrzeńcem?

- Synem mojej siostry - odparła wicehrabiną. - Tak, to istotnie smutne, zwłaszcza że umarł tak szybko. Ale całe życie był

szczęśliwy. Być może szczęście stanowi zadośćuczynienie za krótkie życie. Wolę myśleć w ten sposób. Umarł nagle i spokojnie. Teraz to dom waszego brata, a on wydał mi się przemiłym młodym człowiekiem.

- My również tak uważamy, pani hrabino - stwierdziła Vanessa.

- Posiada również dom w Londynie - dodała Margaret. - Tak więc wyjazd nie byłby kłopotliwy. Są jednak inne problemy, jak zapewne widać na pierwszy rzut oka.

- Jesteście prześliczne - powiedziała szczerze wicehrabiną Lyngate, patrząc, rzecz jasna, jedynie na Margaret.

- Dziękuję. - Margaret zaczerwieniła się. - Ale nie w tym rzecz.

- W istocie nie - przyznała lady Lyngate. - Ale gdyby jedna z was wyszła za mąż, problem zostałby rozwiązany.

- Mój mąż nie żyje - wyjaśniła Vanessa. - Ale nie obracał się w kręgach arystokracji, choć jego ojciec jest baronetem.

- Rozumiem - odezwała się wicehrabiną, spoglądając uprzejmie na Vanesę, po czym ponownie skupiła wzrok na Margaret. - Mąż powinien być dobrze sytuowany, tak żeby nadać pani stosowną rangę. A potem, po prezentacji na dworze, mając odpowiednie stroje i nabywszy nieco ogłady, będzie pani w stanie promować siostry i znaleźć mężów również dla nich.

Margaret uniosła dłoń do piersi; na jej policzki wrócił rumieniec.

- Ja, pani hrabino? - zapytała.

- Opiekowała się pani bratem i siostrami przez wiele lat. Zasłużyła pani na najwyższy podziw. A cenny czas płynął. Wciąż jest pani piękna i ma pani wrodzony wdzięk, który ułatwi pani wejście w środowisko. Ale już pora, moja droga, wyjść za mąż - dla pani własnego dobra, jak również dla dobra pani rodzeństwa.

- Meg nie musi wychodzić za mąż dla mojego dobra - zaprotestowała się Vanessa, z oczami utkwionymi w Margaret, której policzki z rumianych stały się blade.

- Oczywiście - zgodziła się lady Lyngate. - Ale pani miała swoją szansę. Pani starsza siostra jej nie miała. A wasza młodsza siostra będzie jej potrzebowała wkrótce: jest starsza od Cecily. Proszę mi wybaczyć. Może pani powiedzieć, że to nie moja sprawa, i będzie pani miała, rzecz jasna, rację. Jednak przyznajecie same, że trzeba wam rady i pomocy. Oto moja rada dla pani, panno Huxtable. Niech pani wyjdzie za mąż najszybciej, jak się da.

Bladość Margaret ustąpiła; teraz wydawała się rozbawiona.

- Przypomina mi się stara zagadka o kurze i jajku. Muszę wyjść za mąż, żeby zapewnić nam łatwiejsze entree do towarzystwa. Przyzna pani jednak, że będę musiała wejść do

towarzystwa, żeby znaleźć męża.

- Niekoniecznie - uśmiechnęła się lady Lyngate. - Być może kandydat wyjątkowo odpowiedni kandydat jest bliżej, niż pani myśli.

Nie rozwijała tego tematu, tylko zapytała, czy myślały o tym, żeby posłać do Londynu po odpowiednio wykształconą pokojówkę, która pomogłaby im zorientować się w najnowszej modzie, dobrać stroje i układać fryzury. Zapewniła, że z największą chęcią sama wyszuka i zatrudni dla nich odpowiednią osobę.

- Będę bardzo wdzięczna - podziękowała Margaret. - Wystarczy spojrzeć na panią i pannę Wallace, żeby zrozumieć, ile musimy się nauczyć.

Dopiero później, kiedy wyszły na taras, żeby popatrzeć na ogród, czekając na powóz, lady Lyngate wróciła do tematu jaki przedtem tylko poruszyła.

- Elliott postanowił ożenić się w tym roku - powiedziała. - Będzie, naturalnie, znakomitą partią dla każdej damy. Poza oczywistymi atrybutami ma również dobre serce - nawet zdolne do miłości, jeśli zdoła to sobie uświadomić. A odpowiednia kobieta mu w tym pomoże. Leży w jego zamiarach - i jest moją nadzieją - znaleźć damę z charakterem i zasadami. Uroda i wdzięk także mają znaczenie, rzecz jasna. Może nie będzie musiał szukać

za daleko.

Mówiła to, wpatrując się w klomby poniżej, jakby myślała na głos.

Vanessa nie była jedyną, która zrozumiała to, co zostało niedopowiedziane. Powóz odjechał; wicehrabia Lyngate towarzyszył mu konno. Katherine i Stephen odeszli w stronę stajni - mieli udać się do wsi z wizytą do Graingerów - zostawiając Vanessę i Margaret na tarasie.

- Nessie - odezwała się Margaret, kiedy ucichł stukot końskich kopyt - czy lady Lyngate mówiła o tym, o czym mi się wydaje, że mówiła?

- Sądzę - odparła Vanessa - że próbuje zaaranżować małżeństwo swojego syna z tobą.

- Ależ to kompletny absurd! - zawołała Margaret.

- Wcale nie - sprzeciwiła się Vanessa. - Jest w takim wieku, że powinien się rozejrzeć za żoną. Jak wiesz, wszyscy majątni dżentelmeni muszą się żenić, niezależnie od ich chęci. A ty jesteś odpowiednią kandydatką. Nie tylko jesteś samotna, piękna i dobrze wychowana, ale jesteś także siostrą hrabiego i to tego samego hrabiego, który znajduje się pod jego opieką. Takie małżeństwo byłoby najdogodniejsze.

- Najdogodniejsze dla kogo? - zapytała Margaret.

- On także jest świetną partią - ciągnęła Vanessa. - Zaledwie

dwa tygodnie temu byliśmy oszołomione samym faktem, że zatrzymał się w naszej gospodzie i że wybiera się na bal. Jest utytułowany, bogaty, młody i przystojny. Zresztą sama przedstawiłaś lady Lyngate niezręczność naszej sytuacji - to, że brakuje nam damy, która wprowadziłaby nas w towarzystwo.

- A ja mogłabym to zrobić dla siebie i dla ciebie, i Kate, gdybym wyszła za mąż? - zapytała Margaret, drżąc lekko i kierując się w stronę domu.

- Tak - potwierdziła Vanessa. - Przypuszczam, że mogłabyś. Zostałabyś przedstawiona na dworze, a potem zrobiłabyś, co uznałabyś za stosowne. A wicehrabia Lyngate mógłby robić dla nas wszystko, co w jego mocy, i nie byłoby w tym niczego niestosownego.

Z jakiegoś powodu była to okropna myśl - Meg i wicehrabia Lyngate. Vanessa próbowała wyobrazić ich sobie razem - przy ołtarzu podczas zaślubin, w domu, przy kominku zimą i... Nie! Tego nie będzie nawet próbowała sobie wyobrażać. Pokręciła lekko głową.

Margaret zatrzymała się przy fontannie. Oparła dłoń na krawędzi kamiennego basenu, jakby chcąc zachować równowagę.

- Nessie - powiedziała - nie mówisz poważnie.

- Pozostaje pytanie - odparła Vanessa - czy ona mówi poważnie. I czy potrafi przekonać wicehrabiego, żeby także

podszedł do tego poważnie.

- Ale czy uczyniłaby w ogóle tę niezbyt subtelną aluzję - zapytała Margaret - gdyby on nic o tym nie wiedział? I dlaczego miałaby jej przyjść do głowy taka myśl, gdyby on w jakiś sposób o tym nie wspomniał? Nie widziała nas na oczy aż do dzisiejszego popołudnia. Prawdopodobnie przyjechała, żeby obejrzeć ewentualną narzeczoną... To, że rozmawiała z nami w ten sposób, wskazuje, że pochwała jego wybór. Ale jak to jest możliwe? Wyglądam na wieśniaczkę. I jak on mógł to brać pod uwagę? Nigdy w żaden sposób nie dał do zrozumienia, że się mną interesuje. Nessie, to jakiś koszmar...

Vanessa przyznawała, że Margaret może mieć rację. Wicehrabia Lyngate od początku wiedział, że ich przyjazd do Warren Hall ze Stephenem przysporzy kłopotów. Było całkiem możliwe, że pomyślał, by rozwiązać część problemów, zeniąc się z Margaret. A według słów jego matki już wcześniej postanowił, że się wkrótce ożeni.

- Ale nawet jeśli się oświadczy - orzekła - możesz przecież odmówić, Meg. Czy chciałabyś to zrobić?

- Odmówić? - Margaret milczała przez dłuższą chwilę, marszcząc brwi.

.. .To jakiś koszmar...

- Chodzi o Crispina? - zapytała cicho Vanessa.

To imię padło między nimi po raz pierwszy od bardzo dawna. Margaret spojrzała na nią uważnie, a potem szybko odwróciła głowę, ale Vanessa zauważyła, że jej oczy napełniają się łzami.

- O kogo? - zapytała Meg. - Czy znam kogoś o tym imieniu? W jej głosie było tyle bólu i goryczy, że Vanessa nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pytania były, rzecz oczywista, retoryczne.

- Jeśli kiedyś go znałam - odezwała się w końcu Meg - to już go nie znam.

Vanessa przełknęła ślinę. Sama była bliska łez.

- Gdybym miała wyjść za mąż - ciągnęła Margaret - to jest, gdyby wicehrabia Lyngate miał mi to zaproponować, mogłabym w znaczący sposób pomóc Kate, nieprawdaż? I tobie. I Stephenowi.

- Ale nie powinnaś wychodzić za mąż tylko ze względu na nas - powiedziała przerażona Vanessa.

- Dlaczego nie? - Margaret patrzyła na nią pustym wzrokiem.

- Kocham was. Jesteście dla mnie wszystkim, cała wasza trójka. Jesteście moją racją istnienia.

Vanessa była głęboko poruszona. Nigdy nie słyszała w głosie Margaret takiej rozpacz. Zawsze była spokojna i wesoła, była dla nich opoką. Ale Vanessa знаła tajemnicę jej złamanego serca. Jednak nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo siostra została zraniona. Powinna była zrozumieć.

- Teraz jednak nie masz już takich obowiązków jak przedtem. Stephen jest w stanie zająć się nami i zapewnić nam utrzymanie.

Wszystko, czego nam trzeba z twojej strony, to twoja miłość, Meg, i twoje szczęście. Nie rób tego. Proszę.

Margaret uśmiechnęła się.

- Oto dramat na miarę Szekspira - powiedziała - chociaż nawet nie wiemy na pewno, czy lady Lyngate wybrała mnie na przyszłą żonę wicehrabiego. Nie wiemy, co on sądzi o tym pomysle, ani nawet, czy coś takiego przyszło mu do głowy. Jakie to byłoby upokarzające, Nessie, gdyby jednak nie przyjechał się oświadczyć.

Roześmiała się lekko, ale jej oczy pozostały smutne.

Kiedy wróciły do biblioteki, gdzie ogień na kominku roztaczał przyjemne ciepło, Vanessę ogarnęło smutne przeczucie.

Crispin z pewnością nigdy nie wróci do Margaret. Jeśli jednak ona poślubi wicehrabiego Lyngate wyłącznie dla dobra swoich sióstr i brata, życie straci dla niej jakikolwiek sens.

To nie oni stanowili rację istnienia dla Margaret. Była nią nadzieja, nawet jeśli prawie już zgasła w ciągu tych czterech lat.

Nadzieja nadawała sens każdemu życiu.

Nie wolno pozwolić Margaret wyjść za mąż za wicehrabiego Lyngate. Być może nawet jej się nie oświadczy, ale Vanessa obawiała się, że tak będzie. A jeśli by to zrobił, to bała się, że

Margaret powie: tak.

Bała się o Margaret.

Tylko o Margaret?

To pytanie nią wstrząsnęło. Co mogłaby mieć przeciw temu, żeby poślubił Meg? Czy też kogokolwiek innego? Prawda, że niemal zakochała się w nim na balu walentynkowym, ale nawet wtedy zdawała sobie sprawę, że bardziej ją odpycha, niż pociąga.

To po prostu nie było w porządku, że był tak przystojny.

Ale nawet gdyby była w nim zakochana - a z pewnością nie była - to bez wątpienia była ostatnią kobietą, z którą chciałby się ożenić.

Nie należało dopuścić, żeby oświadczył się Meg - mogłaby go przyjąć.

Musi być jakiś sposób, żeby mu przeszkodzić. Musi go tylko znaleźć, zanim będzie za późno.

Chociaż już wiedziała, że istniał tylko jeden możliwy sposób. A raczej niemożliwy.

Elliott podjął decyzję.

Poślubi pannę Huxtable. Jeśli go zechce, oczywiście. Ale, prawdę mówiąc, nie widział powodu, dla którego miałyby odmówić.

To małżeństwo wydawało się rozsądne. Margaret spodobała się jego matce. Zresztą lady Lyngate polubiła wszystkich Huxtable'ów. Uznała, że są mili i naturalni.

- Jeśli miałbyś ożenić się z panną Huxtable, z całą pewnością na jedno możesz liczyć, Elliotcie - oznajmiła - na jej lojalność i poświęcenie. A te dwa uczucia nieodmiennie prowadzą do serdecznej miłości. Widzę przed tobą wspaniałą przyszłość.

Spojrzała na niego z nadzieją. Chodziło jej, rzecz jasna, o to, że będzie to miłość wzajemna.

- Całkowicie się z tobą zgadzam, mamó.

Ale miłość? Nigdy nie był zakochany - cokolwiek by to znaczyło. Nie kochał panny Huxtable. Ani Anny, skoro o tym mowa, ani żadnej z poprzednich kochanek, ani żadnej z dam, których kiedyś pożądał. Przynajmniej nie sądził, żeby tak było. Może czasem marzył o tym magicznym uczuciu, ale w nie nie wierzył. To się nie zdarzało. Ale, oczywiście, pozostawało to bez wpływu na jego decyzję o ożenku w stosownym czasie. To należało do jego najważniejszych obowiązków.

Czas nadszedł, ot co.

A on spełni swój obowiązek. I zrobi to rozsądnie.

Pojechał do Warren Hall w dzień po wizycie matki, tym razem jednak, żeby oświadczyć się panie Huxtable. Był w nie najlepszym nastroju. W istocie ledwie ją znał. A jeśli...?

Nigdy jednak nie zagłębiał się w „co by było, gdyby”. Interesowała go tylko chwila obecna.

Podjął decyzję, dlatego tu był.

Gdy wjechał na dziedziniec i przekazał konia stajennemu, był zdecydowanie przygnębiony, co w sytuacji, gdy miał właśnie się oświadczyć, wydawało się raczej dziwne. Skierował się w stronę pałacu. Nie zamierzał tchórzyc teraz, gdy wszystko już zostało postanowione.

Wyszedł zza rogu i dosłownie wpadł na panią Dew - na nią akurat spośród wszystkich ludzi. Oboje zatrzymali się gwałtownie; cofnął się o krok, żeby powstała między nimi odległość choćby kilku cali.

- Och! - westchnęła.

- Pani wybaczy.

- Zobaczyłam pana na podjeździe. Wyszłam, żeby się z panem spotkać.

Uniósł brwi.

- To mi pochlebia. Czy coś się stało? Wygląda pani na bardzo

poruszoną.

- Wcale nie. - Uśmiechnęła się, co jeszcze pogłębiło wrażenie. - Ciekawa byłam, czy uda mi się porozmawiać z panem chwilę na osobności.

Żeby go zbesztać po raz kolejny? Wytknąć mu więcej przywar? Narazić na szwank jego dumę? Jeszcze bardziej pogorszyć jego nastrój?

- Oczywiście. - Ujął ją za łokieć i poprowadził w stronę wielkiego trawnika, za którym widać było jezioro.

- Dziękuję - powiedziała.

Miała na sobie, jak zauważył, bladoniebieską suknię z pasującą do niej peleryną. Czepek był nieco ciemniejszy. Po raz pierwszy widział ją bez żałoby. Wydawała się odrobinę bardziej pociągająca niż zwykle.

- Czym mogę pani służyć? - zapytał wprost, kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu służby stajennej.

- Cóż - powiedziała, wciągnawszy głośno powietrze - zastanawiałam się, czy byłby pan skłonny ożenić się ze mną.

Zdażył już puścić jej łokieć - i pewnie dobrze się stało. Mógłby złamać jej jakąś kość, kiedy jego dłonie zacisnęły się mimowolnie. Ale czy na pewno dobrze usłyszał?

- Ożenić się z panią? - zapytał szokująco zwyczajnym głosem.

- Tak. - Wydawało się, że brakuje jej tchu, jakby przebiegła pięć mil bez odpoczynku. - To znaczy, jeśli pan nie miałby nic przeciwko temu. Sądziłam, że zależy panu na tym, aby poślubić kogoś odpowiedniego, a ja do takich osób należę. Jestem siostrą hrabiego i wdową po synu baroneta. Sądzę też, że poza tym zależy panu, aby poślubić jedną z nas, co ułatwiłoby wprowadzenie nas w towarzystwo. Wiem, że myślał pan o Meg. Wiem, że nawet mnie pan nie lubi, ponieważ pokłóciłam się z panem przy niejednej okazji. Ale tak naprawdę wcale nie jestem kłótliwa z natury. Wręcz przeciwnie, zwykle wprawiam otoczenie w dobry humor. I nie mam nic przeciwko...

Mówiła szybko, niemal jednym tchem. Teraz urwała nagle i zapadła cisza.

Nie, nie przesłyszał się. Ani też nie zrozumiał źle.

Stał gwałtownie, odwracając się do niej twarzą. Zatrzymała się także i spojrzała mu prosto w oczy. Jej oczy były szeroko otwarte, twarz zaczerwieniona.

Trudno, żeby było inaczej.

Niezwykle rzadko tracił mowę.

- Proszę coś powiedzieć - odezwała się, ponieważ milczał już około dziesięciu sekund. - Wiem, że jest pan zaskoczony. Nie mógł pan się tego spodziewać. Ale proszę pomyśleć. Nie kocha pan przecież Meg, prawda? Prawie jej pan nie zna. Wybrał ją pan,

ponieważ jest najstarsza - i ponieważ jest piękna. Mnie pan także, oczywiście, nie zna, choć może się tak panu wydawać. Ale nie powinno sprawić większej różnicy, z którą z nas pan się ożeni, prawda?

Wiem, że jest pan zaskoczony. Tylko zaskoczony? Miałby ją poślubić? Panią Dew? Czy ta kobieta oszalała?

Zagryzła wargę i jej oczy stały się jeszcze większe.

- Wyjaśnijmy jedno, pani Dew - powiedział, marszcząc brwi.

- Czy dobrze zrozumiałem pani pochlebną propozycję? Czy nie poświęca pani siebie przypadkiem w charakterze owieczki ofiarnej?

- Och, Boże. - Na chwilę odwróciła od niego wzrok. - Nie, naprawdę. To nie ma nic wspólnego z poświęceniem. Myślę, że chciałabym ponownie wyjść za mąż i mogłabym równie dobrze zrobić to z praktycznych względów, tak jak pan. To byłoby wygodne, gdybyśmy się pobrali, czyż nie? Ułatwiłoby życie Meg i Kate, także Stephenowi. I może pańska matka nie byłaby zbyt przeciwna temu, żeby to nie była Meg, chociaż oczywiście ja nie jestem taka piękna jak ona - zresztą w gruncie rzeczy, w ogóle piękna. Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby mnie zaakceptowała, kiedy pogodzi się z tą myślą.

- Moja matka? - zapytał słabym głosem.

- Wczoraj dała do zrozumienia - powiedziała pani Dew - że

jest gotowa przyjąć Meg jako przyszłą synową. Nie powiedziała tego, rzecz jasna, otwarcie, ponieważ to należy do pana. Jednak zrozumialiśmy ją.

Przekleństwo!

- Pani Dew? - Splótł dłonie za plecami i pochylił się ku niej lekko. - Czy przypadkiem nie w ten sposób wyszła pani za pana Dew?

Przez chwilę miał wrażenie, że zapada się w jej oczach. A potem opuściła powieki, zamykając przed nim duszę. Zmarszczył brwi, patrząc na czubek jej czepka.

- Och - powiedziała. - Tak, tak było istotnie. Widzi pan, on umierał. Ale był bardzo młody i tyle chciał zrobić ze swoim życiem, także ożenić się ze mną. Kochał mnie. Pragnął mnie. Wiedziałałam o tym. Tak więc nalegałam, żeby się ze mną ożenił, chociaż on nie chciał, jak się wyraził, wciągać mnie w pułapkę. - Uniosła powieki i spojrzała mu w oczy. - Sprawiałam, że ostatni rok jego życia był bardzo, bardzo szczęśliwy. Nie oszukuję się co do tego. Wiem, jak uszczęśliwić mężczyznę.

Dobry Boże! Czy odczuł przed chwilą dreszcz podniecenia? Niemożliwe! Ale jeśli nie, to co to było?

Pokręcił lekko głową i odwrócił się, żeby pójść dalej w stronę jeziora. Ruszyła obok niego.

- Przykro mi. - W jej głosie brzmiało przygnębienie. -

Narobiłam bałaganu, prawda? Ale nie było innego sposobu, żeby się do pana zbliżyć i wyjaśnić to wszystko.

- Czy mam rozumieć - zapytał chłodno - że panna Huxtable nie będzie rozczarowana, jeśli odkryje, że sprzątnęła mnie pani jej sprzed nosa?

- Och, nie, wcale nie - zapewniła. - Meg nie chce wyjść za pana, ale obawiam się, że to zrobi, jeśli pan się oświadczy, ponieważ ma ogromne poczucie obowiązku i będzie się upierać, żeby zrobić to, co uważa za dobre dla nas, chociaż wcale nie musi już tego robić.

- Rozumiem. - Ledwo powstrzymał się, żeby nie wrzasnąć z wściekłości albo żeby nie parsknąć śmiechem. - A nie pragnie wyjść za mnie za mąż, ponieważ...?

Zwolnił kroku i spojrzał na nią badawczo. Zaczął się zastanawiać, czy nie obudzi się lada moment, żeby stwierdzić, że całe to dziwaczne spotkanie mu się przyśniło. To nie mogła być prawda.

- Ponieważ jest beznadziejnie zakochana w Crispinie - wyjaśniła.

- Crispin? - Wydawało mu się, że już słyszał to imię.

- Crispin Dew, starszy brat Hedleya. Wyszłaby za niego cztery lata temu, kiedy wstępował do regimentu, ale nie chciała nas zostawić. Łączy ich jednak porozumienie.

- Jeśli są zaręczeni, dlaczego boi się pani, że mogłaby przyjąć moje oświadczenia?

- Bo nie są - odparła. - Nie było go w domu cztery lata ani też nie przysłał Meg żadnej wiadomości.

- Czy jest coś, czego nie zrozumiałem? - zapytał po chwili milczenia.

Doszli do brzegu jeziora i się zatrzymali. Świeciło słońce, rzucając iskry na wodę.

- Tak - przyznała. - Serca kobiety. Serce Meg jest zranione, może nawet złamane. Wie, że on nigdy do niej nie wróci, ale póki pozostaje samotna, zawsze jest nadzieja. Nadzieja to wszystko, co jej zostało. Naprawdę wolałabym, żeby pan się jej nie oświadczał. Prawdopodobnie przyjęłaby pana i byłaby dobrą, obowiązkową żoną przez resztę - waszego życia. Ale nigdy nie powstałoby między wami nic więcej.

Nachylił się ku niej.

- A powstałoby między panią a mną? - Wciąż nie był pewien, czy ta przedziwna rozmowa budzi w nim gniew, czy rozbawienie. Podejrzewał jednak, że jedno albo drugie dojdzie lada chwila do głosu.

Zarumieniła się, patrząc mu znowu w oczy.

- Wiem, jak zadowolić mężczyznę - wyznała niemal szeptem i przygryzła dolną wargę.

Uznałby te słowa i gest za zachowanie doświadczonej kokietki, gdyby nie jej rumieniec i szeroko otwarte oczy. Pomimo krótkiego małżeństwa z umierającym człowiekiem była zapewne niewinna jak dziecko. Czy zdawała sobie sprawę, co mówi? Czy wiedziała, że igra z ogniem?

- W sypialni? - zapytał z rozmysłem.

Oblizła wargi - kolejny prowokacyjny gest, zupełnie, jak się domyślił, nieświadomy.

- Tak. Nie jestem dziewicą, jeśli nad tym pan się zastanawiał. Hedley był w stanie... Cóż, nieważne. Tak, wiedziałabym, jak zadowolić pana w łóżku. I poza nim także. Wiem, jak poprawiać ludziom humor. Wiem, jak sprawić, żeby się śmiali.

- A mnie trzeba wprawiać w dobry humor i pobudzać do śmiechu? - zapytał, mrużąc oczy. - I pani potrafi to uczynić, nawet jeśli nie mam poczucia humoru?

Odwróciła wzrok, spoglądając na jezioro.

- Zraniłam pana, prawda? Z jakiegoś powodu to się wydaje najgorszą obelgą. Ludzie przyznają się do wszelkich wad i przywar z wyjątkiem braku poczucia humoru. A ja właściwie nie powiedziałam, że go panu brakuje. Ja tylko zauważyłam, że pan się nigdy nie uśmiecha. Miałam na myśli to, że pan bierze życie zbyt poważnie.

- Życie jest poważne - powiedział z naciskiem.

- Nie, nie jest. - Ponownie spojrzała na niego. - Nie zawsze, a nawet niezbyt często. Zawsze jest coś, czym się można zachwycać. Zawsze można znaleźć powód do radości i śmiechu.

- A jednak straciła pani męża w szczególnie okrutny sposób. Czy to nie poważna strata życia?

- Nie było dnia - odparła z nagle rozjaśnionymi oczami - kiedy nie zachwycaliśmy się pięknem świata i cudem naszego wspólnego życia. Nie było dnia bez śmiechu. Z wyjątkiem ostatniego. Ale nawet wtedy się uśmiechnął. To była ostatnia rzecz, jaką zrobił, umierając.

Boże! Nie potrzebował tego. Czekał niecierpliwie, żeby się obudzić i stwierdzić, że jest wciąż bezpieczny we własnym łóżku. To jednak nie był sen.

- Ale odeszliśmy od tematu - stwierdził. - Czy ożeni się pan ze mną zamiast z Meg?

- Dlaczego z którąś z was? - zapytał. - Czy nie wolałaby pani wolności, jeśli zapewnię, że nie oświadczę się pani siostrze?

Popatrzyła na niego wielkimi oczami.

- Och - jęknęła - pan naprawdę mnie nie chce, prawda?

Oczywiście, że jej nie chciał. Dobry Boże! Była z pewnością ostatnią kobietą, której mógłby kiedykolwiek pragnąć. Nie miała niczego - niczego! - co by za nią przemawiało.

Otworzył usta, żeby potwierdzić jej podejrzenie.

A jednak coś w niej było. Jak określiła to wczoraj jego matka? Lojalność i poświęcenie. Dwie rzeczy Miała je obydwie i okazywała to swojej rodzinie.

A teraz miał ją upokorzyć w być może najgorszy możliwy sposób. Ofiarowała mu siebie, a on zamierzał brutalnie odrzucić ten dar.

I dobrze jej tak, pomyślał ze złością, robiąc srogą minę.

Ale zamknął usta.

- Nie jestem nawet ładna, prawda? - zapytała. - I byłam już zamężna. To było strasznie głupie z mojej strony myśleć, że mój plan się powiedzie, a pan zechce się ożenić ze mną. Czy jednak obieca pan, że nie oświadczy się Meg? Ani Kate? Ona potrzebuje kogoś innego.

- Kogoś bardziej ludzkiego? - zapytał, gniewnie mrużąc oczy. Spuściła na chwilę powieki.

- Nie to miałam na myśli - sprostowała. - Chodziło mi tylko o to, że potrzebuje kogoś młodszego i... i...

- Z poczuciem humoru? - podpowiedział.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się nieoczekiwanie - wesoło i psotnie.

- Czy ma pan wciąż nadzieję, że obudzi się pan i stwierdzi, że to wciąż wczorajsza noc? - zapytała. - Ja tak. Zachowałam się jak głupia gęś. I nie mogę nawet prosić, żeby pan zapomniał, co się

stało. To chyba niemożliwe.

Tak, raczej niemożliwe. Nagle znowu ogarnął go gniew. Pochylił się i musnął wargami jej usta. Zadrżała, cofając się gwałtownie.

- Chciałbym jedynie jakiegoś drobnego dowodu, że to, co pani mówiła, to nie zwykłe przechwałki.

Przez chwilę patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

- Ze wiem, jak zadowolić mężczyznę? - Jej oczy znowu stały się ogromne, policzki stanęły w ogniu.

- Tak - powiedział cicho. - Właśnie to miałem na myśli.

- To nie były przechwałki.

Stał bez ruchu; uniosła ręce i objęła jego twarz, po czym złożyła delikatny pocałunek na jego ustach.

Pocałunek niewinny jak pieszczota dziecka.

Ale to, pomyślał, kiedy spojrzała mu niespokojnie w oczy, zdecydowanie był dreszcz zmysłowej rozkoszy. A nawet coś więcej niż dreszcz.

Dobry Boże!

- Czepek i rękawiczki tylko nam przeszkadzają, prawda? - Rzucił na trawę własne rękawiczki i rozwiązał wstążkę pod jej szyją. Stała teraz z gołą głową.

Zsunęła rękawiczki, zagryzając wargi.

- A zatem, może pani spróbować raz jeszcze.

Ponownie objęła jego twarz dłońmi - były ciepłe i miękkie; spojrzała mu w oczy, a potem pocałowała lekko rozchylonymi wargami. Wsunęła palce w jego włosy. Dotknęła delikatnie ustami jego brody, policzków, spuszczonej powiek i skroni. A potem znowu ust, wysuwając język.

Stał nieruchomo, z opuszczonymi rękami, zaciskając powoli dłonie.

Odstąpiła krok do tyłu.

- Musi pan zrozumieć, że Hedley nie miał żadnego doświadczenia w tych sprawach, zanim mnie poślubił. Ja także nie, rzecz jasna. A po ślubie większość czasu był bardzo, bardzo chory. Ja nie... Przykro mi. To przechwałki.

Spojrzał w dół, schylił się, podniósł płaski kamyk i cisnął go na wodę, tak że odbił się kilka razy.

Uświadomił sobie, że już za późno, by odrzucić jej niesłychaną propozycję. Zachęcił ją do pocałunku i zrobiła to. Jeśli jeszcze jej nie skompromitował, to co najmniej igrał z jej uczuciami.

Teraz była to sprawa honoru.

- Tak, to były przechwałki - przyznał niemal złośliwym tonem. - Widzi pani, pani Dew, ja mam doświadczenie i stawiałbym żonie większe wymagania niż chory człowiek. Śmiem twierdzić, że wycofałaby pani swoją ofertę, gdybym zrobił to, o co

prosiłem panią.

- Na pewno nie - odparła z błyszczącymi oczami. - Nie jestem dzieckiem. I nie ma powodu, żeby pan się gniewał. Może mi pan przecież odmówić, choć mam nadzieję, że potem jednak nie oświadczy się pan Meg. Proszę udzielić mi lekcji, o której pan wspomniał, a ja zdecyduję, czy chcę się wycofać.

Patrzyła na niego gniewnie.

Wyciągnął rękę i rozpiął jej pelerynę pod szyją. Rzucił ją na trawę obok czepka i rękawiczek.

- Jeśli będzie pani chłodno, to tylko przez chwilę - obiecał, rozpinając płaszcz, choć go nie zdjął.

Objął ją - otaczając jedną ręką jej ramiona, drugą kibić. Owinął ją płaszczem, zsuwając dłoń na jej pośladki i przyciągając mocniej do siebie.

- Och - westchnęła, patrząc na niego wielkimi, przestraszonymi oczami.

Była bardzo szczupła. A jednak wydawała się bardzo kobieca.

Schylił głowę i pocałował jej nabrzmiące wargi, wsuwając pomiędzy nie język.

Jęknęła cicho.

Nie przejął się tym; dłonią przytrzymał delikatnie od tyłu jej głowę.

Wolną ręką rozpiął guziki sukni, obnażył jej ramiona i przesunął dłońmi po plecach, a potem objął jej małe, jędrne, wysoko uniesione przez stanik piersi. Palcem wskazującym i kciukiem pieścił jej sutki.

Całował jej szyję; czuł, jak zaciska palce w jego włosach.

Chciał jej dać nauczkę - impertynentce, która nie rozumiała, że igra z ogniem. Ale sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Nie spodziewał się, że się podnieci. I jeśli zaraz nie położy temu kresu, rzuci ją na trawę, nie przejmując się zimowym chłodem i wilgocią i...

Nie robiła nic, żeby go powstrzymać - niewinna i nieświadomie niebezpieczna.

Dobry Boże! To była pani Nessie Dew! I nie był to jakiś dziwaczny sen; trwałby zbyt długo.

Przesunął obie dłonie na jej biodra i podniósł głowę.

Jej oczy wydawały się ciemniejsze i głębsze niż zwykle. Zauważył, że były jednak niebieskie i stanowiły ozdobę jej twarzy.

- Pana twarz zawsze powinna wyglądać tak jak teraz - powiedziała.

- To znaczy jak? - Zmarszczył brwi.

- Maluje się na niej uczucie. Ma pan rysy stworzone do tego, żeby wyrażać namiętność, a nie dumę i lekceważenie, jak to się

często panu zdarza.

- Aha. Znowu wróciliśmy do tego?

- Nadal nie chcę wycofać propozycji. Nie przestraszył mnie pan. Jest pan w końcu tylko mężczyzną.

Schylił się po jej ubranie i zarzucił jej pelerynę na ramiona. Zadrżała, choć nie był pewien, czy z zimna.

- Wiem jednak, że pan tego nie chce - dodała. - I trudno się dziwić. Powinnam popatrzeć na siebie w lustrze, kiedy po raz pierwszy przyszło mi to do głowy. Ale to nie ma znaczenia. Nie sądzę, żeby pan się teraz oświadczył Meg, a tylko to się tak naprawdę liczy.

Włożyła czepek i zawiązała wstążki pod brodą. Odwrócił się znowu w stronę jeziora.

- Wracam do domu - oświadczyła. - Przepraszam, jeśli pana uraziłam. To nie jest tak, że Meg pana nie lubi. Tylko że ona kocha Crispina. Jestem pewna, że w Londynie znajdzie pan kobietę, która chętnie wyjdzie za pana.

Uniósł brwi i spojrzał przez ramię. Wciąż tam stała, wciągając rękawiczki, zaczerwieniona i z włosami w nieładzie. Zaciekawilo go nagle, czy wie o nim coś jeszcze.

- Czy miała pani ambicję, by zostać księżną? - zapytał. Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

- Ależ nie - odparła. - Wcale nie. Co miałabym robić z

księciem? Poza tym żadnego nie znam.

- Zna pani dziedzica książęcego tytułu - oznajmił.

- Tak?

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, póki nie ujrzał na jej twarzy przebłysku zrozumienia.

- Mój tytuł jest tytułem honorowym - wyjaśnił. - Dziadek nosił go w młodości, potem przeszedł na mojego ojca, a po jego śmierci, na mnie. Jeśli przeżyję dziadka, pewnego dnia zostanę księciem Moreland.

Jej usta ułożyły się na kształt litery „O”, lecz nie wydały żadnego dźwięku. Pobladła nagle. Nie, nie wiedziała.

- Czy teraz panią przestraszyłem?

- Oczywiście, że nie - rzekła, przyjrząwszy mu się chwilę w milczeniu. - Nadal jest pan tylko mężczyzną. Chyba już pójdę...

Odwróciła się, chcąc odejść.

- Proszę poczekać! - zawołał. - Jeśli ma pani powtórnie wyjść za mąż, to powinna pani mieć wspomnienie oświadczyn ze strony mężczyzny. Jak pani sama zauważyła, jestem dumny. Nie mogę przystać na to, żeby przyszła żona mi się oświadczyła.

Spojrzała na niego zaskoczona.

A jeśli tak miało być, to czemu nie zrobić tego jak należy, pomyślał, chociaż nie zrobiłby czegoś takiego dla panny Huxtable. Ukląkł na jednym kolanie i spojrzał jej w oczy.

- Pani Dew - zaczął - czy uczyni mi pani zaszczyt i zostanie moją żoną?

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem...

A potem rumieniec, ożywienie, uśmiech w mgnieniu oka wróciły na jej twarz i przez parę niezwyklej sekund ogarnęło go oszołomienie.

- Och - westchnęła. - Och... To wspaniałe z pana strony! Wygląda pan niezwykle romantycznie. Ale czy jest pan pewien?

- Gdybym nie był - odparł z irytacją - czy robiłbym z siebie takiego durnia? I czy nie drżałbym ze strachu, że pani się przypadkiem zgodzi? Czy wyglądam, jakbym się trząsł ze strachu?

- Nie - stwierdziła... - Ale może pan mieć przemoczone spodnie. W nocy padało. Niech pan wstanie.

- Nie, zanim nie otrzymam odpowiedzi. Wyjdzie pani za mnie?

- Ależ oczywiście, że wyjdę. Czyż nie pierwsza pana poprosiłam? Nie pożałuje pan. Wiem, jak...

- Uszczęśliwić mężczyznę - przerwał jej. Wstał, patrząc smętnie na ciemną plamę wilgoci na prawym kolanie. - A pani, pani Dew? Wierzy pani, że uczynię panią szczęśliwą?

- Nie wiem, dlaczego miałoby być inaczej. Mnie nietrudno zadowolić.

Zarumieniła się.

- Dobrze zatem. - Podniósł z trawy porozrzucane części garderoby. - Sądzę, że powinniśmy pójść do domu i zawiadomić pani rodzeństwo.

- Tak.

Uśmiechnęła się do niego. Ale zanim przyjęła jego ramię, odwróciła wzrok. Zdążył jednak odczytać w jej oczach coś, co bardzo przypominało strach.

Z pewnością nie bała się bardziej niż on.

Co on takiego właśnie zrobił?

Cokolwiek to było, klamka zapadła.

Na miłość boską, był narzeczonym pani Nessie Dew.

Która irytowała go za każdym razem, kiedy miał wątpliwe szczęście ją spotkać.

Krzywił się na sam dźwięk jej imienia.

Ona nie pochwałała niemal niczego w jego osobie, a on nie pozostawał jej dłużny.

Diabelski pakt.

Ruszyli oboje w stronę domu.

Szli w milczeniu.

Poprzedniej nocy uznała, że to świetny pomysł. Nie wierzyła, żeby zrezygnował ze swoich planów względem Meg, gdyby go tylko poprosiła. Spojrzałyby na nią z wyższością, zaciskając szczęki, a potem zrobiliby to, co zamierzał. A wiedziała, że Meg nie odmówiłaby.

Należało działać bardziej zdecydowanie, a wiedziała, jak.

Słowa jego matki wzmocniły jej postanowienie.

„Ale pani miała swoją szansę, pani Dew. Pani starsza siostra jej nie miała”.

To była prawda. Miała swoją szansę. Poślubiła Hedleya. Nie miało znaczenia, że żył tylko rok i cały ten czas był chory. Miała swoją szansę.

Meg nie należało pozbawiać szansy na poślubienie człowieka, którego kochała, nawet jeśli była tak wątła.

Tak więc ona sama poślubi wicehrabiego Lyngate zamiast Meg.

Stanie się owieczką ofiarną, chociaż nie myślała o tym w ten sposób, dopóki on tego nie powiedział.

W gruncie rzeczy nie miało znaczenia, że nie pałali do siebie szczególną sympatią. To można zmienić. Jeśli się pobiorą, postara się uczynić go szczęśliwym. Sama także postara się uczynić swoje

życie szczęśliwym. Zrobiła to już kiedyś - zresztą w dużo trudniejszych okolicznościach.

I nie mogła zaprzeczyć, że fizycznie bardzo ją pociągał. Na samą myśl o ślubie doznawała dziwnych, niemal bolesnych odczuć.

To nie będzie trudne...

Zeszłej nocy wydawało się to znakomitym pomysłem. Dzisiaj nie była już taka pewna.

Jej przechwałki okazały się bezpodstawne. Jakże blado wypadł jej pocałunek w porównaniu z jego pocałunkiem.

Wiedziała, że zrobił to tylko, żeby jej coś udowodnić, a nie dlatego, by miał naprawdę ochotę.

Odniosła jednak wrażenie, że uwolniła jakieś niebezpieczne moce, nad którymi nie panowała.

Wciąż czuła ból w miejscach, o których istnieniu niemal zapomniała.

W dodatku okazało się, że był dziedzicem książęcego tytułu. Zaoferowała swoją rękę przyszłemu księciu!

A to znaczyło, że ona sama zostanie pewnego dnia księżną.

Gdy tylko wyjdzie za niego, zostanie wicehrabiną - i chociaż do niedawna nie wyprawiała się dalej niż parę mil poza Throckbridge, przedstawi ją królowej.

A ten mężczyzna będzie jej mężem.

Jeśli całował w ten sposób, stojąc nad jeziorem w pełnym świetle dziennym, co z nią zrobi, kiedy...

Cóż.

Potknęła się o kępę trawy, a on przycisnął mocniej jej rękę do swego boku i spojrzał na nią przelotnie - strofująco, jakby mówił, że taka niezręczność u przyszłej księżnej jest niedopuszczalna.

Co powiedzą na to Meg, Kate i Stephen?

Co powie jego matka?

I jego dziadek?

Dlaczego zmienił zdanie i oświadczył się jej? To była ostatnia rzecz, jakiej oczekiwała w tamtym akurat momencie. Miała wtedy zamiar odczołgać się gdzieś i ukryć w głębokiej, ciemnej jamie, najlepiej na zawsze.

- Pani Dew - przemówił, kiedy weszli na taras. Przystanął i znowu na nią spojrzał. - Wciąż ma pani czas, żeby zmienić zdanie. Wyczułem pani niepokój. Czy pragnie pani wyjść za mnie, czy też nie? Ma pani moje słowo honoru, słowo dżentelmena, że niezależnie od odpowiedzi, nie ożenię się z żadną z pani sióstr.

Szansa na ułaskawienie!

Spojrzała mu w oczy i pomyślała, raczej bez związku z jego pytaniem, że ktokolwiek sprawił - Bóg? - że były niebieskie, a nie ciemne, jak należało się spodziewać przy jego śródziemnomorskiej urodzie, okazał się doprawdy bardzo mądry.

Tak, pragnęła tego, mimo wszystko. Ale...

- A czy pan chce mnie poślubić?

Jego nozdrza rozděły się, a usta zacisnęły surowo.

- Nie należy - odparł szorstko - odpowiadać pytaniem na pytanie. Jednak odpowiem. Oświadczyłem się pani. Zatem życzę sobie małżeństwa z panią. Nie jestem człowiekiem niezdecydowanym, pani Dew. Teraz chcę usłyszeć pani odpowiedź.

Ach. Mężczyzna przywykły do wydawania rozkazów. Jeśli się pobiorą, będzie miał prawo rozkazywać jej i tyranizować ją do końca życia. To znaczy, jeśli mu na to pozwoli.

- Oczywiście, że chcę wyjść za pana. Pierwsza pana o to prosiłam, pamięta pan?

- Wątpię, żebym kiedykolwiek zapomniał - odparł. Ukłonił się lekko i podał jej ramię. Zachichotała mimowolnie.

- Czy to była nasza pierwsza kłótnia? - zapytała.

- Wolałbym, aby pani nawet nie próbowała liczyć - odparł, kiedy wsunęła dłoń pod jego ramię. - Jeszcze zanim ślub się odbędzie, być może stwierdzi pani, że to niemożliwe.

Roześmiała się głośno.

A potem znów spoważniała.

- Kto im powie? - zapytała, kiedy wchodzili do domu po marmurowych stopniach.

- Ja - odparł stanowczo ponurym tonem.

Nie sprzeciwiała się. W gruncie rzeczy kamień spadł jej z serca. W jaki sposób ona miałaby to zrobić?

Stephen wychodził właśnie z gabinetu.

- Ach, lord Lyngate, zjawia się pan w najbardziej odpowiednim momencie. Meg właśnie dała znać, że podano herbatę. Przyłączy się pan do nas? A ty jesteś dzisiaj na niebiesko, Nessie. Nie na szaro czy lawendowo? Nareszcie, najwyższa pora.

Wchodząc po schodach za Stephenem, Vanessa zastanawiała się, czy to prawda, że serce może wyskoczyć z piersi.

Katherine siedziała przy oknie, przeglądając album modnych strojów, który panna Wallace zostawiła jej wczoraj. Margaret siedziała przy tacy z herbatą ubrana w swoją najlepszą suknię. Kiedy zobaczyła wicehrabiego Lyngate, wydawała się zdecydowana, a jednocześnie onieśmielona. Na pewno zbiera siły, żeby przygotować się na oświadczyzny, które, jak sądziła, miały za chwilę nastąpić, pomyślała Vanessa.

- Milordzie - powiedziała - zjawił się pan w samą porę, żeby napić się herbaty. Zechce pan usiąść?

- Oczywiście - odparł - choć najpierw chciałbym powiedzieć coś, co dotyczy was wszystkich.

Margaret przeraziła się wyraźnie - jakby spodziewała się publicznej deklaracji tu i teraz. Stephen spojrział na niego z

ciekawością, a Katherine podniosła głowę znad albumu.

- Pani Dew - oznajmił wicehrabia - uczyniła mi właśnie wielki zaszczyt, godząc się wstąpić ze mną w związek małżeński.

Vanessa żałowała, że nie usiadła od razu po wejściu do salonu. Teraz było jednak za późno. Musiała stać tam w miejscu, choć czuła, że ma nogi jak z waty.

Nastąpiła okropna cisza, która, choć trwała najwyżej sekundę lub dwie, wydawała się ciągnąć wieki.

- O rany. - Stephen pierwszy odzyskał mowę. - Och, powiadam, a to niespodzianka.

A potem chwycił dłoń wicehrabiego, ściskając ją ze wszystkich sił; następnie objął Vanessę w niedźwiedzim uścisku, uśmiechając się do niej szeroko.

Katherine skoczyła na równe nogi i przebiegła przez pokój.

- Och - zawołała - to naprawdę wspaniale. W ogóle niczego nie podejrzewałam. Czy powinnam? Żadne z was nie dało po sobie poznać w najmniejszym stopniu, że... Ależ, oczywiście - tańczyliście razem na balu. I pan nie tańczył z nikim innym.

Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby miała się rzucić w jego ramiona, ale zreflektowała się i podeszła do Vanessy.

Margaret nie ruszyła się z miejsca. Vanessa napotkała jej wzrok ponad ramieniem Katherine; nie potrafiła odczytać wyrazu jej oczu.

- Nessie? - odezwała się, nie obdarzając wicehrabiego Lyngate nawet spojrzeniem.

Vanessa podeszła do niej, wyciągając ramiona.

- Meg, życz mi szczęścia. Życz nam szczęścia. Na twarzy Meg pojawił się wymuszony uśmiech.

- Ależ oczywiście. - Ujęła dłonie Vanessy i ścisnęła je mocno. - Życzę ci szczęścia i wszystkiego najlepszego na świecie. Panu również, lordzie Lyngate.

Uklonił się jej - kobiecie, której miał się dzisiaj oświadczyć.

A potem, kiedy wszystko zostało powiedziane, gdy minęło zaskoczenie i podniecenie spowodowane tą nowiną, usiedli do herbaty, jak każdego zwykłego popołudnia.

Tylko że rozmowa była taka całkiem inna. Wicehrabia Lyngate oznajmił, że porozmawia z matką, która w najbliższym tygodniu wybierała się do Londynu, żeby zaopatrzyć córkę w odpowiednie stroje w związku ze zbliżającym się sezonem. Z pewnością chętnie zabierze jego narzeczoną, pomoże jej dobrać suknię ślubną i przygotuje ją do prezentacji u dworu. On sam zaś dopilnuje, żeby bez dalszej zwłoki dano na zapowiedzi w obu parafiach, tak żeby ceremonia odbyła się najdalej za miesiąc.

...za miesiąc...

Wszyscy słuchali go uprzejmie - nawet Vanessa. Wszyscy wypytywali go o szczegóły - z wyjątkiem Vanessy.

Po około pół godzinie wicehrabia zaczął się żegnać; kłaniał się każdemu z osobna, a dłoń Vanessy uniósł do ust.

- Jeśli pani pozwoli - powiedział - zabiorę panią jutro po południu do Finchley Park, żeby złożyć wizytę mojej matce. Będzie sobie tego życzyła.

- Sprawি mi to wielką przyjemność - odparła, rozpaczliwie naciągając prawdę.

Opuścił salon, zabierając Stephena na przejażdżkę.

Po paru minutach Katherine także wyszła z pokoju wypełnionego paplaniną i żywiołowymi uściskami. Zamierzała napisać do przyjaciół w Throckbridge i przekazać im nowiny.

Co przypomniało Vanessie, że ona także musi niezwłocznie powiadomić państwa Dew. Miała nadzieję, że ta wiadomość nie wprawi ich w przygnębienie.

Ale pomyśli o tym później. Znalazła się nagle sam na sam z Margaret, która wciąż siedziała na tym samym krześle, chociaż tacę z herbatą zabrano.

Milczenie przerwała Margaret.

- Nessie, coś ty zrobiła?

Vanessa uśmiechnęła się wesoło.

- Zaręczyłam się z przystojnym, bogatym i wpływowym mężczyzną - odparła. - Zapytał mnie, czy chcę go poślubić, a ja powiedziałam: „Tak”.

- Jesteś pewna, że to się odbyło w ten sposób? - zapytała Margaret, patrząc jej w oczy. - A może to ty oświadczyłaś się jemu?

- To byłoby bardzo niewłaściwe - zauważyła Vanessa.

- Ale przedtem już raz postąpiłaś podobnie - przypomniała jej Margaret.

- Byłam szczęśliwa z Hedleyem.

- Tak, wiem. - Siostra zmarszczyła brwi. - Ale czy będziesz szczęśliwa z lordem Lyngate? Miałam wrażenie, że niezbyt go lubisz.

- Będę szczęśliwa - odparła Vanessa, wygładzając dłonią fałdy sukni.

- Zrobiłaś to dla mnie, prawda? - powiedziała Margaret.

- Zrobiłam, ponieważ tego chciałam - stwierdziła Vanessa, patrząc na nią. - Czy bardzo masz mi to za złe, Meg? A może chciałaś go dla siebie? Teraz, kiedy jest za późno, boję się, że może tak jest. Albo było.

- Zrobiłaś to dla mnie - powtórzyła Margaret, zaciskając dłonie tak mocno, że Vanessa widziała, jak zbieleły jej kostki. - Zrobiłaś to dla nas. Och, Nessie, czy musisz robić z siebie męczennicę dla naszego dobra?

- Ty zawsze to robisz.

- To co innego. Moim obowiązkiem jest was chronić i

dopilnować, żebyście mieli szansę na jak najlepsze życie. Tak bym chciała, żebyście byli szczęśliwi. Wyszłaś za Hedleya dla niego, a teraz poślubisz lorda Lyngate dla nas. Nie wolno ci tego robić, Nessie. Nie pozwolę na to. Napiszę do niego list i każę go natychmiast wysłać do Finchley. Ja nie...

- Nie zrobisz niczego takiego - zaprotestowała Vanessa. - Mam dwadzieścia cztery lata, Meg. Jestem wdową. Nie możesz przeżyć mojego życia za mnie. Ani też nie możesz tego zrobić za Kate i Stephena. Twoim zadaniem nie jest wyrzekanie się własnych marzeń i szansy na szczęście z naszego powodu. Wszyscy jesteśmy prawie dorośli. Kate będzie miała szansę, kiedy wprowadzę ją do towarzystwa. A Stephenem zajmą się wicehrabia Lyngate, pan Samson i nauczyciele, którzy mają go kształcić, póki nie wstąpi na uniwersytet. Już pora, żebyś zaczęła żyć na własny rachunek.

Margaret wydawała się przygnębiona. Gdyby tylko Crispin wyjechał, wymieniając z Meg jedynie słowa pożegnania, pomyślała Vanessa, nie kochałaby go do tej pory.

- Och, Meg - dodała - to nie jest tak, że już cię nie potrzebujemy. Zawsze będziemy. Potrzebujemy cię jako najstarszej siostry. Potrzebujemy twojej miłości. Ale nie potrzebujemy twojego życia. Chcesz, żebyśmy byli szczęśliwi. Cóż, my chcemy tego samego dla ciebie.

- Marzyłam, żebyś znowu znalazła miłość - powiedziała Margaret z oczyma pełnymi łez. - Miłość, która tym razem trwałaby całe życie. Zaslugujesz na „żyli długo i szczęśliwie” bardziej niż ktokolwiek.

- I to nie będzie mi dane? - zapytała Vanessa. - Meg, on jest dziedzicem tytułu książęcego. Powiedział mi o tym. Nie miałam pojęcia. Czy to nie jest niezwykle? Jak mogłabym nie być szczęśliwa przez resztę życia? Pewnego dnia zostanę księżną.

- Książę? - zdziwiła się Meg. - Och, Nessie, ja też nie miałam pojęcia. Jak sobie poradzisz? Ale oczywiście poradzisz sobie. Jesteś dorosła, jak sama powiedziałaś. Naturalnie, że dasz sobie radę, i to bardzo dobrze. Ciekawa jestem, czy wicehrabia Lyngate zdaje sobie sprawę, jakie ma szczęście, żeniąc się z tobą.

- Nie przypuszczam. - Oczy Vanessy błyszczały rozbawieniem. - Ale uświadomi to sobie. Zamierzam być z nim szczęśliwa. Cudownie szczęśliwa.

Siostra pochyliła głowę na bok, przyglądając się jej uważnie.

- Och, Nessie - szepnęła.

A potem obie wstały i rzuciły się sobie w ramiona i z jakiegoś niewyjaśnionego powodu obie zaczęły płakać.

Vanessa myślała o tym, że się właśnie zaręczyła. Jej łzy były łzami szczęścia. Tak jest.

Znowu miała wyjść za mąż. Za wicehrabiego Lyngate. Który

nie pokocha jej i za milion lat. Ona też go nie kochała, oczywiście, ale mimo to...

- Co powiedziała? - zapytała Vanessa.

Siedziała obok wicehrabiego Lyngate, w jego powozie. Jechali do Finchley Park. Gęsty deszcz zacierał widoki za oknami. Jechała, aby złożyć wizytę matce wicehrabiego.

- Bardzo chciałyby panią zobaczyć.

- Ale ja pytam, co powiedziała. Spodziewała się, że oświadczy się pan Meg, prawda? A potem wrócił pan do domu i oznajmił, że oświadczył się mnie. Jak to przyjęła?

- Była trochę zaskoczona - przyznał - ale ucieszyła się, usłyszawszy, że pani jest tą damą, którą pragnąłem poślubić.

- Naprawdę tak pan powiedział? A ona uwierzyła? Założę się, że nie. I założę się, że wcale nie była zadowolona.

- Damy - oznajmił - się nie zakładają.

- Och, do licha - powiedziała. - Jest nieszczęśliwa, prawda? Wolałabym to wiedzieć, zanim się z nią spotkam.

Cmoknął ze zniecierpliwienia.

- Dobrze zatem. Jest nieszczęśliwa albo raczej trochę niezadowolona. Nie jest pani najstarszą siostrą i była już pani zamężna.

- I nie jestem piękną - dodała.

- Co mam na to powiedzieć? - odparł wyraźnie

zdesperowany. - Nie jest pani brzydka. Nie jest pani przeciwieństwem piękności.

Oto słowa namiętnej miłości!

- Sprawię, że mnie polubi - zapewniła żarliwie. - Obiecuję, że tak będzie. Polubi mnie, kiedy się przekona, że mogę panu zapewnić wygodę.

- Ach. Dzisiaj jest mowa tylko o wygodzie, tak? Wczoraj wiedziała pani, jak mnie zadowolić i uczynić szczęśliwym.

Przyglądał jej się z ukosa. Przymknął powieki, co nadawało jego twarzy niepokojący, jakby senny wyraz, jaki pamiętała z balu.

- Wygoda też jest ważna - oświadczyła zdecydowanie.

- Cóż - stwierdził - mam zatem szczęście.

- Tak - przyznała, parszając śmiechem.

- Kiedy wczoraj odjechałem, żałowałem, że nie zostałem zamieniony w pajaka na dywanie w waszej bawialni. Zwłaszcza kiedy zostałąście same z najstarszą siostrą.

- Nie była nieszczęśliwa, jeśli to ma pan na myśli - powiedziała. - Przynajmniej nie z tego powodu, że oświadczył się pan mnie, a nie jej.

- Jestem zdruzgotany.

- Dobrze nam życzy - zapewniła.

- W to - odparł - jestem w stanie uwierzyć. Jest do pani

bardzo przywiązana. Nie okazała jednak zadowolenia, dowiedziawszy się, że poświęciła się pani niczym owieczka ofiarna na ołtarzu rodziny. Prawda?

- Nie zamierzam robić niczego takiego. Będę pana żoną, wicehrabiną. Nauczę się dobrze odgrywać swoją rolę. Zobaczy pan.

- Przed końcem roku skończę trzydzieści lat - wyjaśnił. - Najważniejszym motywem, który skłonił mnie do małżeństwa jeszcze w tym roku, jest to, że potrzebuję dziedzica.

Patrzył wprost na nią spod rzęs - celowo, oczywiście, starając się ją wprawić w zmieszanie.

- Och. - Zarumieniła się. - Ależ naturalnie. To całkowicie zrozumiałe. Zwłaszcza że spodziewa się pan zostać pewnego dnia księciem.

- Czy z panem Dew była mowa o dzieciach? Pokręciła głową, zagryzając wargi.

- Powiedziała mi pani, że nie jest dziewicą, i przyjąłem to do wiadomości. Ale może to nie w pełni prawda?

Odwróciła gwałtownie głowę. Nie mogła ufać własnemu głosowi. Patrzyła na strumienie wody spływające wężykami po szybie. To się zdarzyło w sumie trzy razy. I po dwóch Hedley płakał.

- Proszę o wybaczenie - powiedział Lyngate, kładąc dłoń w

rękawiczce na jej rękawie. - Nie chciałem pani sprawić przykrości.

- To zrozumiałe - zgodziła się - że chciałby pan wiedzieć, czy mogę urodzić panu dziecko. O ile wiem, jestem. Taką mam nadzieję.

- Jesteśmy prawie w Finchley - zauważył. - Zobaczysz pani za następnym zakrętem.

Nachylił się obok niej, żeby wytrzeć rękawem płaszcza zaparowane okno.

Była to rezydencja z szarego kamienia starsza od Warren Hall. Zbudowano ją na planie kwadratu, dach zdobiła attyka z posążkami, ściany częściowo porastał bluszcz. Dom otaczały trawniki ze starymi drzewami o jeszcze nagich gałęziach. Na odległej łące pasły się owce. Nieco dalej, nad brzegiem jeziora wznosił się drugi, o wiele mniejszy dom.

Finchley Park nie miało nowomodnej wspaniałości Warren Hall, ale Vanessie pałac wydał się dostojny, spokojny i przyjazny - choć to ostatnie słowo przypomniało, co ją czekało w jego murach w ciągu następnych paru minut. Oparła się głębiej na siedzeniu.

- W słońcu wygląda lepiej - rzekł.

- Teraz też jest piękny.

Kiedy powóz zatrzymał się przed wejściem, wciągnęła

głęboko powietrze, po czym wydała głośne westchnienie.

- Przypuszczam - powiedziała, kiedy zszedł po schodkach i odwrócił się, żeby pomóc jej wysiąść - że powinnam była pomyśleć, co nastąpi po tym, jak poproszę pana o rękę.

- Owszem - zgodził się - może pani powinna. Ale tego pani nie zrobiła, prawda?

- A zastanawiać się „co by było, gdyby” nie ma sensu. Sam pan tak powiedział w dniu, kiedy przyjechaliśmy do Warren Hall.

- W istocie - przyznał. - Jest pani na mnie skazana, pani Dew. A ja... - Przerwał nagle.

- A pan jest skazany na mnie.

Często znajdowała powód do śmiechu w najdziwniejszych sytuacjach. Roześmiała się.

Płacz nie sprzyjał ani dobremu samopoczuciu, ani nie wyrażał dumy.

Uniósł brwi i podał jej ramię.

Lady Lyngate wyglądała we własnym salonie jeszcze wspanialej niż w Warren Hall. Może dlatego, że tam była jedynie matką wicehrabiego Lyngate, pomyślała Vanessa, podczas gdy tutaj była jej przyszłą teściową.

Była tu sama. Vanessa nigdzie w pobliżu nie dostrzegła nawet śladu panny Wallace.

Lady Lyngate była łaskawa. Przywitała Vanesę serdecznie, poprowadziła ją do krzesła przy kominku i usiadła naprzeciwko.

Wicehrabia Lyngate, po przedstawieniu narzeczonej, został odprawiony, jakby rozmowa miała go zupełnie nie dotyczyć. Ukłonił się, zapewnił Vanesę, że wróci za godzinę i odwiezie ją do domu, po czym wyszedł.

- Przypuszczam - odezwała się Vanessa, przystępując do ofensywy, ponieważ bardzo się bała - że była pani zaskoczona i niezbyt zadowolona, kiedy wicehrabia Lyngate wrócił wczoraj do domu i poinformował panią, że poprosił o rękę mnie, a nie Meg?

Lady Lyngate uniosła brwi, przybierając na chwilę bardzo arystokratyczny i wyniosły wygląd - zupełnie jak syn.

- Byłam zaskoczona, owszem - przyznała. - Myślałam, że zamierza się oświadczyć pani starszej siostrze. Jak widać, myliłam się. Przyjmuję, że miał słuszne powody, wybierając panią. Ufam, że wybrał mądrze.

Vanesę ogarnęło poczucie winy.

- Sprawię, że będzie szczęśliwy - zapewniła wicehrabinę, pochylając się lekko. - Obiecałam mu to. Zawsze potrafiłam sprawić, że ludzie czują się szczęśliwi.

Ale czy to się powiedzie z wicehrabią Lyngate? Wyzwanie wyglądało poważne.

Wicehrabina przyglądała jej się badawczo, w milczeniu, z uniesionymi brwiami. Wniesiono herbatę i dopóki jej nie nalano, a służba się nie oddaliła, mówiła o pogodzie i o tym, że w końcu nadejdzie wiosna.

- Ma pani figurę - powiedziała wreszcie - na której najnowsze fasony będą dobrze leżeć. Nie są to bujne kształty, ale odpowiednio udrapowane w jedwabie i muśliny będą wyglądać elegancko. A w tej niebieskiej sukni jest pani dużo lepiej niż w szarej, w której widziałam panią przed dwoma dniami, chociaż fason nie należy do modnych i prawdopodobnie nigdy nie należał. Mądrze z pani strony, oczywiście, że zaręczając się, zrzuciła pani żałobę. Musimy sprawdzić, w jakich kolorach jest pani najlepiej. Przypuszczam, że raczej w pastelach, w których nie będzie się pani wydawała bezbarwna. A pani włosy bez wątpienia da się ułożyć, mimo że w obecnym uczesaniu nie wygląda pani najlepiej. Tym zajmą się eksperci. Uśmiech służy pani urodzie. Powinna pani starać się utrzymywać ożywiony wyraz twarzy, kiedy

znajdzie się pani w towarzystwie. Sądzę, że dobrze sobie pani poradzi.

Vanessa tylko patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Mam nadzieję, że nie oczekiwała pani, iż będzie to czysto towarzyskie spotkanie, podczas którego będziemy wymieniać nic nieznaczące banały - rzekła wicehrabina. - Zostanie pani żoną mojego syna, pani Dew. Jak pani na imię?

- Vanessa, milady.

- Będziesz żoną mojego syna, Vanesso. Po mnie zostaniesz wicehrabina Lyngate. A pewnego dnia może zostaniesz księżną Moreland. Trzeba cię zatem wyszkolić i nie mamy czasu do stracenia. Ty i twoje siostry - jak również brat - wywarliście na mnie bardzo dobre wrażenie, ale dla londyńskiego towarzystwa to za mało. Twoje maniery są przyjemne i pozbawione afektacji i sądę, że zostaniesz uznana za osobę czarującą, ale musisz się nauczyć ubierać inaczej i zachowywać z większą pewnością siebie, a także poznać obowiązującą w towarzystwie etykietę i zasady hierarchii. Wejdiesz w nowy świat i nie możesz wydać się niezręczną. Czy zdołasz opanować to wszystko?

Vanessa przypomniała sobie pierwsze spotkanie z lady Dew, gdy zaręczyła się z Hedleyem. Lady Dew uściskała ją, ucałowała i rozplakała się, zapewniając, że jest aniołem zesłanym z niebios.

- Co prawda byłam żoną syna baroneta - odparła. - Ale sir

Humphrey rzadko opuszcza swój dom, za bardzo go kocha. A ja nigdy nie byłam dalej niż parę mil od Throckbridge, póki nie przyjechałam do Warren Hall. Nie wstydzę się tego, jaka jestem. Jednakże w pełni rozumiem potrzebę nabycia nowych umiejętności, skoro okoliczności się zmieniły i mają się zmienić jeszcze bardziej. Z największą chęcią nauczę się wszystkiego, co zechce mi pani przekazać.

Lady Lyngate nie spuszczała z niej wzroku.

- A zatem nie widzę powodu, dla którego nie miałybyśmy się dobrze rozumieć - powiedziała. - W przyszłym tygodniu zabieram Cecily do miasta, żeby zamówić nowe stroje, jakich będzie potrzebowała w sezonie. Pojedziesz z nami, Vanesso. Musisz mieć strój ślubny i suknię, w której wystąpisz na dworze. Bowiem wkrótce po ślubie zostaniesz przedstawiona królowej. A ja codziennie poświęcę tyle czasu, ile zdołam, żeby nauczyć cię wszystkiego, co konieczne.

- Czy wicehrabia Lyngate pojedzie z nami? - zapytała Vanessa.

- Z pewnością nas odprowadzi - odrzekła lady Lyngate. - George Bowen wyszukał paru kandydatów na nauczycieli dla twojego brata. Elliott chce z nimi porozmawiać. Ale wróci, nie zwlekając - ma obowiązki zarówno w Warren Hall, jak i tutaj. Dla nas zresztą nie będzie przydatny. Mężczyźni tylko przeszkadzają

w takich sytuacjach. Nie będzie ci potrzebny aż do dnia ślubu.

Vanessa się roześmiała.

- Musisz wiedzieć - oznajmiła lady Lyngate, patrząc na nią surowo - że zamierzam trzymać cię za słowo, jeśli chodzi o obietnicę uczynienia Elliotta szczęśliwym. Przez parę lat szumiało mu w głowie, ale później wziął na siebie obowiązki przynależne jego pozycji i zrobił to bez skargi. Czy żywisz dla niego uczucie?

- Ja... - Vanessa zagryzła wargi. - Zrobię wszystko, aby być dla niego dobrą żoną. I mam nadzieję, że powstanie między nami uczucie.

Lady Lyngate przez dłuższą chwilę patrzyła na nią w milczeniu.

- Nie sędzę, abym źle zrozumiała, kiedy wczoraj Elliott udał się do Warren Hall - powiedziała. - Myślę, że naprawdę zamierzał oświadczyć się twojej starszej siostrze. Nie przyzna się do tego, oczywiście, i nie spodziewam się, żebyś ty to zrobiła, gdybym zapytała cię wprost. Z jakiegoś powodu zmienił zdanie albo został przekonany, żeby je zmienić, co nieczęsto się zdarza w jego wypadku. Ufam jednak, że mówiłaś prawdę o swoich uczuciach do niego i chęci uczynienia go szczęśliwym. W ten sposób najpewniej go zatrzymasz. Czy mogłabyś teraz wstać i pociągnąć za sznur od dzwonka? Cecily czeka z pewnością niecierpliwie, żeby złożyć wyrazy szacunku przyszłej bratowej.

Vanessa zrobiła, o co ją proszono.

- Mam nadzieję - powiedziała - że nie była zbytnio rozczarowana tą wiadomością.

- Och, nie - zapewniła ją wicehrabina. - Nie wykazuje najmniejszego zainteresowania ludźmi w tak poważnym wieku jak jej brat, a nawet ty. Ale odpowiada jej, że Elliott ożeni się z siostrą panny Katherine Huxtable, którą ogromnie polubiła.

Tak więc, uznała Vanessa, jedna wielka przeszkoda została pokonana. Przyszła teściowa zaakceptowała ją i przyjęła, choć może nie całym sercem. Teraz tylko od niej samej zależy, czy zdobędzie pełną aprobatę lady Lyngate.

A w przyszłym tygodniu wyruszy do Londynu i stanie się damą z towarzystwa, przyszłą wicehrabiną i księżną.

Kto mógł przewidzieć taką zmianę dwa tygodnie temu?

A potem dotarło do niej echo słów, które padły przed chwilą.

„Przez parę lat szumiało mu w głowie..”.

Oczywiście, powiedział jej wczoraj, że ma duże doświadczenie, a przecież nigdy nie był żonaty.

To wtedy nauczył się tak całować...

Ale z pewnością teraz nie był czas ani miejsce, żeby rozpamiętywać pocałunki wicehrabiego Lyngate.

Przyszła teściowa powiedziała coś jeszcze.

„Ufam, że mówiłaś prawdę o swoich uczuciach do niego i

chęci uczynienia go szczęśliwym. W ten sposób najpewniej go zatrzymasz”.

Czy zatem nie skończył jeszcze całkiem z szaleństwami młodości? Czy było możliwe, że ją zostawi, jeśli nie będzie z nią szczęśliwy?

Jakże była naiwna. Tak niewiele wiedziała o świecie, do którego wkraczała. Z pewnością dobre towarzystwo mogło patrzeć przez palce na niewierność małżeńską swoich żonatych przedstawicieli.

Nie byłaby w stanie znieść, gdyby...

Ale jak mogłaby rywalizować, jeśli...

Elliott spędził niemal cały miesiąc przed ślubem, podróżując między Finchley Park a Warren Hall. Normalnie spędziłby chociaż kilka dni marca w Londynie, zamawiając garderobę, odwiedzając swoje ulubione kluby, wymieniając nowiny i poglądy ze znajomymi i bywając na przyjęciach, jakie urządzano w tej wczesnej porze roku. Oraz, z pomocą Anny, kładąc kres przeciągającemu się celibatowi.

Ale wystarczył jeden dzień, żeby przebadać nauczycieli, jakich sprowadził George, odwiedzić krawca, szewca i załatwić parę innych spraw. Nie było powodu, żeby zostać na dłużej. Anna postanowiła obrazić się śmiertelnie na wiadomość o jego rychłym ślubie. Rzuciła mu w twarz parę twardych słów i parę twardszych

przedmiotów. A kiedy kilka minut później wybuchnęła płaczem i była gotowa pójść z nim do łóżka, stwierdził, że nie jest w nastroju, i uciekł, wymawiając się niezręcznie spotkaniem, o którym nagle sobie przypomniał.

Nie był w nastroju nawet później, wieczorem, kiedy przecież mógł do niej wrócić. Pozostał razem z matką i narzeczoną. Gdyby je zostawił, okazałby się niegodny swojego ojca i dziadka.

Tak więc zaledwie dwa dni później opuścił rodzinną rezydencję przy Cavendish Square i wyjechał na wieś. I tak by to zrobił, ale matka dała mu jasno do zrozumienia, że jego obecność nie jest niezbędną.

Wyjechał chętnie. Panie rozmawiały głównie o modzie, materiałach, koronkach i tym podobnych błahostkach.

Oczy pani Dew śmiały się do niego za każdym razem, kiedy na nią spojrzeł. Po dwóch dniach spędzonych w Londynie pożegnał się z nią ukłonem, z bardzo niestosownym, jak na kochającego narzeczonego, pośpiechem.

Wkrótce miał przestać myśleć o niej i zwracać się do niej „pani Dew”, jakby wciąż była cudzą żoną. Ale choćby miał zasłużyć na wieczne potępienie, nigdy nie będzie mówić do niej „Nessie”.

Napisał do dziadka i dostał odpowiedź od babci. Wybierali się do Finchley na ślub.

Wszystko nabierało realnych kształtów.

Jeździł do Warren Hall niemal codziennie, chociaż wkrótce stało się dla niego oczywiste, że nie będzie musiał tego robić przez całe cztery lata, czyli do pełnoletniości Mertona. Chłopiec znalazł się pod skrzydłami Samsona i Philbina, kamerdynera, którego George przysłał z Londynu. Był to bardzo wyniosły dżentelmen, pokojowiec dżentelmena, gotów łaskawie udzielić swojemu panu wszelkich rad na temat mody i wyglądu. Był także pan Claybourne, nowy nauczyciel, który miał przekazać mu wszystko, co młodzieniec musiał wiedzieć o polityce i brytyjskiej arystokracji. I nierozstający się z książką chudy, jękający się pan Bigley, łacinnik. Zresztą panna Margaret wciąż nie spuszczała z młodszego brata czujnego, macierzyńskiego oka.

Elliott miał nadzieję, że jak Huxtable'owie zostaną wprowadzeni do towarzystwa i zajmą w nim należne miejsce, będzie mógł wrócić do własnego życia, a opieka nad młodym hrabią przestanie go tak absorbować.

Tyle że nie będzie mógł już wrócić do tego, co było i co znał tak dobrze. Wkrótce jego życie miało wkroczyć na zupełnie nowe tory.

Czekał na powrót narzeczonej.

W jego pamięci stała się jeszcze chudsza i bardziej pozbawiona kobiecych kształtów, jeszcze pospolitsza i w ogóle

nieładna. Jej sposób mówienia bardziej impertynencki, wesołość irytująca. Pocałunki - jak pocałunki dziecka albo zakonnicy.

Coraz mniej go pociągała.

A sam był sobie winien, że się z nią związał. Dobry Boże, mógł się przecież nie zgodzić, kiedy zadała swoje niesłychane pytanie...

Od kiedy to pozwalał, żeby jakakolwiek kobieta dyktowała mu, co ma robić? I to w sprawie tak ważnej, jak reszta jego życia!

„A pan jest skazany na mnie”.

Nigdy nie wypowiedziała prawdziwszych słów.

Zaproszenia ślubne rozesłano, ceremonię i śniadanie weselne przygotowano w najdrobniejszych szczegółach.

Zycie toczyło się niepowstrzymanie, a on mógł tylko przyglądać się bezradnie i liczyć dni.

Wielkanoc zbliżała się w alarmującym tempie. Ślub wyznaczono na dwa dni po niedzieli wielkanocnej.

Każdego wieczoru, kładąc się do łóżka, Vanessa spodziewała się, że nie zdoła zasnąć po tylu wrażeniach, dowiedziawszy się tylu nowych rzeczy. I każdej nocy zasypiała wyczerpana, gdy tylko jej głowa dotknęła poduszki.

Zwiedzała miasto - widziała Wieżę Londyńską, opactwo Westminster, pałac St. James, Carlton House, Hyde Park i mnóstwo innych sławnych miejsc, o których zobaczeniu marzyła.

Odwiedzała krawców, rękawiczników, kapeluszników, jubilerów i dziesiątki innych sklepów, aż zapomniała, gdzie była i po co zdejmowano z niej miarę. A nawet co zostało kupione. Często zaglądała do szuflad i szaf w swoim pokoju i zastanawiała się, czyje to nocne koszule i aksamitne pantofle, czyj to wzorzysty szal.

Nigdy nie miała wątpliwości co do dworskiej sukni - tej, w której miano ją po ślubie przedstawić królowej. Nie sposób jej było zapomnieć. Z jakiegoś dziwnego powodu królowa wymagała, aby ubierano się według kanonów mody ubiegłego stulecia, tak więc suknia miała szeroką spódnicę na halce, długi tren, ozdobny trójkąt z błyszczącego materiału nad talią, wysokie pióra do wpięcia we włosy i wiele innych staromodnych dodatków.

Vanessa musiała nauczyć się wchodzić, a następnie wychodzić w tym stroju z sali, nie potykając się o tren i nie przewracając - nie wolno było, rzecz jasna, na koniec audiencji odwracać się do monarchini plecami. Musiała też nauczyć się kłaniać tak, że nosem niemal dotykała podłogi - jednakże z bezgranicznym wdziękiem.

Podczas tych ćwiczeń śmiała się często - tak samo jak Cecily. Nawet wicehrabina, zamiast użalać się na niezręczność przyszłej synowej, czasem wybuchała śmiechem.

- Ale musisz przyrzec... Musisz koniecznie, Vanesso, że nie

roześmiejesz się w tym dniu, jeśli popełnisz błąd, od czego Boże uchroni. Ale jeśli już tak się zdarzy, usuniesz się możliwie najspokojniej.

Potem znowu chichotały, wyliczając wszelkie możliwe katastrofy, jakie mogły spotkać Vanessę.

- Vanesso - powiedziała przyszła teściowa, kiedy w końcu zabrakło im pomysłów - nie wiem, kiedy śmiałam się tyle co teraz, odkąd jesteś z nami.

Cecily pobierała lekcje tańca, żeby odświeżyć swoje umiejętności; Vanessa także z nich korzystała. Musiała nauczyć się tańczyć walca. Niewiele słyszała o tym tańcu, nie miała też okazji go oglądać. Ale nie wydawał się trudny, kiedy zdołała się już przyzwyczaić, że tańczy tylko z jednym partnerem, którego się trzyma - i który trzyma partnerkę - przez cały czas.

Vanessie obcięto włosy. Na początku fryzjer zamierzał skrócić je zaledwie o parę cali, ale kiedy odkrył, że mocno falują, obciął je krótko według najnowszej mody i uczesał tak, że układały się wdzięcznie.

- Vanesso! - wykrzyknęła wicehrabina na jej widok. - Zawsze wiedziałam, że twoje włosy dadzą się ułożyć. Mówiłam ci, prawda? Ale nie w pełni zdawałam sobie sprawę, że krótko obcięte, falujące mogą uczynić twoją wąską twarz pełniejszą. Podkreślają owal policzków i wielkość oczu. Uśmiechnij się do

mnie.

Vanessa uśmiechnęła się, ale nie czuła się pewnie. Miała wrażenie, że jest łyśa.

- Tak. - Wicehrabina przyjrzała się jej krytycznie. - Naprawdę wyglądasz bardzo ładnie. Oryginalnie. Jesteś wyjątkowa.

Był to, jak przypuszczała Vanessa, komplement.

Ale i tak czuła się łyśa.

Wszystkie nowe stroje były w odcieniach pastelowych. Suknia ślubna miała kolor bladozielony - jaśniejszy nieco niż ta, którą kiedyś kupił jej Hedley.

Gdyby nie była tak zmęczona w dzień i tak wyczerpana wieczorami, chętnie by się rozplakała, przywołując wspomnienia, żałując, że nie ma przy niej Hedleya, z którym mogłaby dzielić podniecenie. Jednak bezwzględnie odsuwała takie myśli - i poczucie winy - chyba że pojawiły się nagle ni stąd, ni zowąd.

Starła się także możliwie najmniej myśleć o wicehrabim Lyngate, którego żoną miała zostać za niecały miesiąc.

W jej pamięci stał się bardziej arogancki, wyniosły, ponury.

Czekała ją straszliwa praca, jeśli chciała dotrzymać obietnicy i uczynić go szczęśliwym, zadowolić go i... Co jeszcze? Ach, tak. Zapewnić mu wygodę.

I zapewnić sobie jego wierność.

Miesiąc upływał stanowczo za szybko. Nie była gotowa. Potrzebowała więcej czasu.

Ale na co?

Na wszystko!

Czas jednak, oczywiście, nie chciał zwolnić. W końcu nadszedł dzień, w którym ponownie znalazła się w powozie wicehrabiego Lyngate wraz z lady Lyngate i Cecily, zmierzając w kierunku Finchley Park i Warren Hall. Pan Bowen jechał konno obok - miał być drużbą wicehrabiego.

Za parę dni.

Goście powinni już zacząć się zbierać.

A wśród nich sir Humphrey, lady Dew, Henrietta i Eva. I pani Thrush.

A także księżę i księżna Moreland.

Już wkrótce ujrzy znowu swojego narzeczonego.

Żołądek podszedł Vanessie do gardła, co przypisała chorobie lokomocyjnej.

Z Londynu wróciły trzy dni przed ślubem. Tak więc zostały mi niecałe trzy dni, pomyślał Elliott, żeby lepiej poznać przyszłą żonę.

Może nie było czego żałować.

Dziadkowie przybyli z Kent. Przyjechały ciotki i wujkowie, a także kuzyni z rodzinami. Kuzyni ze strony ojca. Con, chociaż zaproszony na życzenie Huxtable'ów, wymówił się. Oczywiście zameżne siostry Elliotta także przybyły z mężami i dziećmi. W Finchley Park zrobiło się tłoczno.

Wszyscy byli zachwyceni. Ale to babka wyraziła słowami, co wszyscy podzielali. Swoją opinię wyraziła po wizycie w Warren Hall, dokąd udała się z dziadkiem, żeby poznać narzeczoną Elliotta.

- Ona nie jest piękną, Elliotcie - stwierdziła, mówiąc tak, że słyszała ją reszta rodziny z wyjątkiem dzieci Jessiki. - I to sprawiło mi ulgę. Widocznie wybrałaś ją ze względu na zalety charakteru. Jest niezwykle miła w obejściu, choć ze zrozumiałych względów była nieco wystraszona spotkaniem ze mną i Morelandem. Cieszę się, że okazałaś tyle zdrowego rozsądku.

- A może, babciu - odezwała się Averil - Elliott się w niej zakochał. Muszę wyznać, że polubiłam ją ogromnie, chociaż byłam raczej zaskoczona, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy.

Nie sądziłabym, że może pociągać Elliotta. Ale o mało nie udusiłam się ze śmiechu, kiedy zaczęła opisywać swoje przygody z trenem sukni. Podobają mi się ludzie, którzy potrafią śmiać się z samych siebie.

- Mam nadzieję, że jest zakochany - powiedziała babcia, patrząc na niego przenikliwie. - Jesteś, Elliotcie?

Uniósł brwi i odął wargi, świadom, że spoczywają na nim oczy wszystkich kobiet.

- Mam dla niej pewne względy, babciu - odparł ostrożnie. - Z czasem, jak sądzę, zakocham się w niej.

- Och, mężczyźni! - Jessica podniosła oczy do sufitu. - Uważaj, żebyś jej nie zabił swoją namiętnością, Elliott.

Nie była pięknoscią, jak stwierdziła babcia. Nie, nie była. Jednak zdumiał się, zobaczywszy ją ponownie - w towarzystwie dziadków, matki i sióstr. Ledwie ją poznał.

Nie nosiła już paskudnej lawendowej sukni. Ani też, jak stwierdził, zerknąwszy na jej lewą dłoń, obrączki ślubnej. Miała na sobie prostą, ale szykowną bladocytrynową suknię z wysokim stanem. Zarówno kolor, jak i fason bardzo do niej pasowały.

Ale krótko obcięte włosy sprawiały, że była niemal nie do poznania. W nowej fryzurze wyglądała doskonale. Jej twarz wydawała się pełniejsza i nie tak blada. Kości policzkowe były wyraźniejsze, oczy większe. W jakiś sposób zwracało się

mimowolnie uwagę na jej usta, o pięknym kształcie z kącikami niemal zawsze lekko wygiętymi.

Na jej widok poczuł znajomy dreszcz pożądania. Zdumiewało go to, ponieważ nawet teraz wciąż nie była prawdziwą piękną.

Wyglądało na to, że przed ślubem nie zdołają zamienić słowa na osobności. Oboje musieli zająć się swoimi rodzinami.

Sir Humphrey i lady Dew zjawili się wraz z córkami. Przywieźli ze sobą panią Thrush, dawną gospodynię Huxtable'ów. Byli jedynymi gośćmi w Warren Hall, ale obecność sir Humphreya sprawiała, że cały dom wydawał się pełen. A Elliott rozsądnie trzymał się z daleka, żeby nie dać się wciągnąć w niekończące się dyskusje.

Był zaskoczony, że państwo Dew w ogóle przybyli. Może było dla nich zbyt bolesne patrzeć, jak wdowa po ich synu wychodzi za mąż?

W ostatnich dniach wolności starał się nie tracić pogody ducha. Nawet gdyby chciał, nie mógł się już wycofać. Nie chciał sobie zadawać tego pytania. To już nie miało znaczenia.

W dniu ślubu ubrał się z niezwykłą starannością i pozostał we własnych pokojach najdłużej, jak się dało. Ten podstęp nie mógł się udać. Jeśli nie zszedłby na dół przywitać się z rodziną, oni przyszliby do niego na górę. I zrobili to oczywiście.

Tak więc musiał ścierpieć uściski, obcałowywanie i szloch w ciasnocie swojej garderoby.

A ponieważ nagle dotarło do niego z całą mocą, że to w istocie dzień jego ślubu, że tego dnia jego życie zmieni się na zawsze, odwzajemniał uściski i o mało nie wyrwał dziadkowi powykęcanej ze starości dłoni.

W końcu ruszył w drogę do rodzinnej kaplicy w parku Warren Hall. Obok niego w powozie siedział George Bowen.

- Ani słowa - poinstruował go zdecydowanie, kiedy usłyszał, że przyjaciel wciąga powietrze, żeby coś powiedzieć. - Dość sentymentalnych bzdur usłyszałem dziś rano, żeby dostać mdłości. Ani jednego słowa.

- A jeśli chodzi o kilka słów? - odparł George z uśmiechem. - Czy masz obrączki? Miałeś mi je dać po śniadaniu, ale nie zszedłeś na dół. Obawiam się, że je zapodziałeś. Podobno śluby działają w ten sposób.

Elliott wyjął z kieszeni i wręczył George'owi obrączki kupione w Londynie.

- Nereczki były świetnie przyrządzone - rzekł George, jakby do siebie. - Smaczne i tłuste, tak jak lubię.

- Jeśli także lubisz być moim sekretarzem - powiedział Elliott - takie myśli, a także wszystkie inne, do końca tej podróży zachowasz wyłącznie dla siebie.

Przyjaciel roześmiał się i zamilkł.

Jeśli Vanessa miała nadzieję na rozmowę na osobności ze swoim narzeczonym - a miała - to straciła ją zaraz po powrocie z Londynu. Chciała raz jeszcze zapytać go, czy naprawdę chce się z nią ożenić, czy też woli, aby zwróciła mu wolność.

Przed ślubem ujrzała go tylko dwa razy - raz, kiedy eskortował księcia i księżną Moreland i dwie swoje starsze siostry do Warren Hall, i drugi, kiedy prowadził swoje ciotki i wujów wraz z ich dziećmi.

Przy obu okazjach wydawał się ponury, niczym ciemnowłose grecki bóg, którego za jakąś straszliwą przewinę wygnano z Olimpu.

Za każdym razem rozmawiał z Margaret, Katherine i Stephenem, a Vanessie kłaniał się ceremonialnie, pytając o zdrowie.

Te spotkania niewątpliwie nie wpłynęły dobrze na system trawienny Vanessy.

Podobnie jak wizyta księcia i księżnej; oboje byli bardzo łaskawi i uprzejmi - nieomal wyznała księciu, że to ona oświadczyła się ich wnukowi pierwsza, ale wicehrabia Lyngate stał niedaleko, a nie sądziła, żeby mu się to spodobało.

Tak czy inaczej, to byli prawdziwi, żywi książę i księżna. Była oszołomiona. W dodatku miała poślubić ich dziedzica.

Obecność jej teściów i ich córek także nie poprawiła jej nastroju. Tacy byli uszczęśliwieni, że znowu są razem, że widzą Meg, Kate i Stephena. I tak się cieszyli, że Vanessa wychodzi za mąż za wicehrabiego Lyngate. Sir Humphrey poczytywał to sobie nawet za swoją wyłączną zasługę i powiedział o tym parze księżęcej - kiedy wicehrabia mógł go usłyszeć. Vanessa miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Ale kochała państwa Dew. I wiedziała, że oni ją kochają. Wkrótce już nie miała nosić ich nazwiska. Zostanie żoną kogoś innego.

Musiało im być trochę smutno z tego powodu.

I tak było rzeczywiście. W noc przed ślubem, kiedy mówiła wszystkim dobranoc, Vanessa pocałowała lady Dew w policzek i objęła ją, tak jak robiła kiedyś każdego wieczoru, a później uśmiechnęła się, jak zwykle, do sir Humphreya. Ale potem objęła go bardzo mocno, wtulając twarz w jego ramię i czując się tak, jakby serce miało jej pęknąć.

- Wszystko w porządku. - Poklepał ją po plecach. - Byłaś dobra dla naszego chłopca, Nessie. Więcej niż dobra. Umarł szczęśliwy. O wiele za młodo, to prawda, ale szczęśliwy. Dzięki tobie. Ale my musimy żyć dalej. Musisz być szczęśliwa, a my będziemy cieszyć się twoim szczęściem. Wicehrabia Lyngate to dobry człowiek. Sam go dla ciebie wybrałem.

- Papo - roześmiała się - czy nadal mogę tak cię nazywać? I ciebie, mamó?

- Obrazilibyśmy się śmiertelnie, gdybyś kiedykolwiek zwróciła się do nas inaczej - odrzekł.

- Kiedy będziesz miała dzieci, Nessie - powiedziała lady Dew - muszą nazywać nas babcią i dziadkiem. To będą nasze wnuki, tak jakbyś je miała z Hedleyem.

Tego już prawie nie dało się znieść.

Vanessa była zadowolona, że następnego dnia nie przyszli do jej garderoby. Pani Thrush, rzecz jasna, nalegała, żeby się tam zjawić; kręciła się wokół Vanessy, wchodząc w drogę pokojówce, która przyjechała z Londynu, żeby pomagać również Meg i Kate. Pozostali też przyszli.

- Boże, Nessie - powiedział Stephen, przyglądając jej się od stóp do głów. Vanessa miała na sobie jasnozieloną suknię i pelisę, a do tego niezwykle strojny, ozdobiony kwiatami słomkowy kapelusz, który Cecily wypatrzyła w Londynie. Włosy, zakręcone w loki, wystawały spod randa. - Wyglądasz świetnie. I o wiele młodziej niż kiedy jechałaś do Londynu.

Stephen też prezentował się dużo lepiej niż wówczas, kiedy opuszczali Throckbridge. Vanessa powiedziała mu to, a on machnął tylko ręką.

Kate zagryzła dolną wargę.

- I pomyśleć - odezwała się - że zaledwie parę tygodni temu Meg cerowała pończochy, Stephen tłumaczył łacińskie teksty, ja uczyłam dzieci w szkole, a ty, Nessie, mieszkałaś w Rundle Park. A teraz jesteśmy tutaj. A dzisiaj dokona się największa zmiana.

Jej oczy wypełniły się łzami, znowu zagryzła wargę.

- Dzisiaj - oznajmiła zdecydowanie Meg - Nessie zaczyna swoje „i żyli długo i szczęśliwie”. I naprawdę wygląda wspaniale.

Miała suche oczy i obojętny wyraz twarzy. Ale w jej spojrzeniu było tyle czułości, że Vanessa nie mogła długo patrzeć jej w oczy w obawie, że się załamie.

Poprzedniej nocy siedziały długo, Vanessa wsparta na poduszkach, Meg w nogach łóżka, z kolanami podciągniętymi pod brodę.

- Chcę, żebyś mi przyrzekła - powiedziała - że nie stracisz swojej radości życia i chęci uszczęśliwiania innych wokół siebie, Nessie. Bez względu na wszystko. Nie wolno ci zatracić siebie. Przyrzeknij.

Bała się, że małżeństwo z lordem Lyngate źle wpłynie na usposobienie Vanessy. Chyba niepotrzebnie. Z pewnością Vanessa sprawi, że to wicehrabia nauczy się śmiać i będzie szczęśliwy.

Obiecała mu to. Także jego matce. Co ważniejsze, obiecała to sobie.

- Przysięgam - odparła z uśmiechem. - Nie obawiaj się, Meg. Nie idę jutro na szafot. Idę na własny ślub. Nie mówiłam ci wcześniej, ale pocałował mnie wtedy, nad jeziorem, w dniu, kiedy poprosił mnie o rękę.

Margaret otworzyła szeroko oczy.

- To mi sprawiło przyjemność - przyznała Vanessa. - Naprawdę mi się podobało. Myślę, że jemu także. - To ostatnie pewnie nie było prawdą, ale nie skłamała, ponieważ nie wiedziała tego na pewno, przecież go nie pytała. W każdym razie, na pewno jej pragnął.

Margaret kołysała się w przód i w tył, obejmując ramionami kolana.

- Potrzebuję pocałunków, Meg - powiedziała Vanessa. - I czegoś więcej niż pocałunków. Muszę znowu wyjść za mąż. Myślę, że czasami mężczyźni sądzą, że tylko oni potrzebują... pocałunków. Ale mylą się. Kobiety też mają takie potrzeby. Cieszę się, że znowu wychodzę za mąż.

Nie było to kłamstwo. Naprawdę pragnęła pocałunków, a także czegoś więcej.

Chciała także miłości i szczęścia. Jeśli bardzo się postara, może coś osiągnie.

Rano jednak, kiedy Stephen podał jej ramię, żeby sprowadzić ją po schodach do powozu, wcale nie była pewna, czy tego chce.

Miała poślubić obcego człowieka. Przystojnego, męskiego, łatwo wpadającego w złość, niecierpliwego ponuraka i szydercę...

O, Boże.

Który ukląkł przed nią, żeby się oświadczyć, choć to było niepotrzebne, jako że ona już to zrobiła - i prawdopodobnie zniszczył sobie spodnie na mokrej trawie.

Usiadła na ławeczce w powozie, robiąc obok miejsce dla Stephena, i poczuła się jednak trochę tak, jakby jechała na egzekucję.

Niedorzecznie zatęskniła za Hedleyem.

Weselnych gości było najwyżej trzydzieścioro. A i tak niemal wypełnili małą rodzinną kaplicę.

Ceremonia nie trwała długo. To zawsze zaskakiwało Vanesę na ślubach.

Jakim sposobem taka ważna i nieodwracalna zmiana w życiu dwojga ludzi może się dokonać tak szybko i tak zwyczajnie? Jedyna dramatyczna chwila nastąpiła wówczas, kiedy ksiądz zapytał, czy ktoś zna powód, dla którego małżeństwo nie powinno zostać zawarte.

Podobnie jak na innych ślubach, w których Vanessa uczestniczyła, nikt się nie odezwał i ceremonia potoczyła się ustalonym torem do nieuniknionego końca.

Kiedy Stephen włożył jej dłoń w dłoń wicehrabiego Lyngate,

zdała sobie sprawę, że jej ręka jest zimna, a jego silna i ciepła. Zwróciła uwagę na jego pozbawiony ozdób czarno - biały strój, a także wzrost i szerokie ramiona. Czowała zapach jego wody kolońskiej.

Serce biło jej szybko.

Miała też świadomość, że teraz, kiedy zmieniła nazwisko i stała się Vanessą Wallace, wicehrabiną Lyngate, rozpoczął się nowy etap jej życia.

Hedley odszedł w jeszcze odleglejszą przeszłość, a ona musiała się z tym pogodzić.

Teraz należała do innego mężczyzny.

Do tego obcego mężczyzny.

Spojrzała mu w oczy, kiedy wsunął jej obrączkę na palec.

Jak to możliwe, żeby wyjść za mąż za obcego?

A ona właśnie to robiła.

Tak samo on. Czy w ogóle zdawał sobie sprawę, jak mało ją zna? Czy to miało dla niego znaczenie?

Kiedy obrączka znalazła się na palcu, podniósł wzrok.

Uśmiechnęła się.

Nie odwzajemnił uśmiechu.

A potem, po paru chwilach, które minęły oszałamiająco szybko, stali się mężem i żoną. A co Bóg złączył, żaden człowiek nie mógł rozłączyć. Żaden mężczyzna, żadna kobieta.

Podpisali się w kościelnej księdze, a potem przeszli razem krótką nawą kaplicy. Vanessa rozsyłała uśmiechy na prawo i lewo. Meg miała suche oczy, Kate nie. Stephen uśmiechał się od ucha do ucha. Podobnie jak pan Bowen. Wicehrabim - obecnie wicehrabina matka - wycierała oczy koronkową chusteczką. Księżę przyglądał im się spod krzaczastych brwi, marszcząc czoło. Księżna uśmiechała się łagodnie i kiwała głową. Sir Humphrey wycierał nos.

Wszystko inne widziała jak przez mgłę.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła Vanessa, kiedy wyszli - wchodząc, nie zwróciła na to uwagi - były krokusy, pierwiosnki i kępy żonkili na trawie wokół kaplicy.

Wiosna nadeszła niezauważona. Jak mogła to przegapić? Wiosna zawsze była jej ulubioną porą roku.

- Och - powiedziała, patrząc z promiennym uśmiechem na mężczyznę stojącego obok - spójrz na te kwiaty. Czyż nie są śliczne?

Był piękny, słoneczny dzień. Niebo miało kolor jasnego błękitu.

- Te na twoim kapeluszu? Tak jest, w istocie.

I przez krótką chwilę, zanim goście zaczęli się wylewać z kościoła, wydawało jej się, że jego oczy niemal się uśmiechają.

Roześmiała się z niemądrego dowcipu - i nagle zabrakło jej

tchu, i ugięły się pod nią kolana. Ten mężczyzna był jej mężem. Właśnie przysięgła go kochać, szanować i być mu posłuszną przez resztę życia.

- Cóż, Vanesso - szepnął.

Ach. Nikt jej nigdy tak nie nazywał - poza matką. Jakie to jednak ładne imię, pomyślała, uśmiechając się do niego.

To były ostatnie słowa, jakie udało im się zamienić na osobności. Nawet podczas jazdy powozem do Finchley Park na śniadanie weselne mieli towarzystwo: ciotka wicehrabiego, Roberta, znudziła się narzekaniami siostry na przeciąg i chorobę lokomocyjną, kiedy jechały na ślub - i postanowiła wracać z siostrzeńcem i jego żoną. A ponieważ chciała ostrzec młodego Mertona przed niebezpieczeństwami, jakie czyhały na niego w zepsutym Londynie, nalegała, żeby też z nimi jechał.

Dzwony kaplicy dźwięczały wesoło na pożegnanie.

Vanessa słuchała ich zamyślona. Nikt inny nie wydawał się zwracać na nie uwagi.

Na parę tygodni przed ślubem Elliott postanowił - gdy tylko zorientował się, że cała rodzina będzie chciała uczestniczyć w uroczystości - że nie spędzą nocy poślubnej w Finchley Park. Chociaż rezydencja była na tyle duża, że mogła pomieścić wszystkich, a on miał w niej swoje prywatne apartamenty, nie zamierzał przed zabraniem żony do łóżka życzyć wszystkim

dobrej nocy ani też witać się z nimi następnego dnia przy śniadaniu.

Kazał przygotować dla nich dom nad jeziorem. Przeniósł tam kilkoro służby, w tym swojego kamerdynera i nową pokojówkę żony. I oznajmił wszystkim, że po śniadaniu zarówno dom, jak i cały teren wokół jeziora będą dla gości niedostępne przez trzy dni.

Trzy dni w odosobnieniu to wydawało się długo, ale miał nadzieję, że nie pożałuje swojej decyzji - zresztą zawsze mogli wrócić wcześniej, jeśli znudziliby się swoim towarzystwem. Uznał jednak, że potrzebuje paru dni, żeby ustanowić jakąś więź ze swoją żoną. Seksualną przynajmniej, jeśli żadna inna nie okazałaby się możliwa.

Opuścili rezydencję późnym wieczorem. Kiedy szli krętą ścieżką pomiędzy trawnikami, zmierzając ku jezioru, zabawa jeszcze trwała. Noc była jasna od gwiazd i księżyca, którego światło odbijało się szeroką smugą w jeziorze. Powietrze było chłodne, ale nie czuło się wiatru. Wreszcie pachniało wiosną.

To wszystko wydawało się takie niepokojąco romantyczne. Vanessa trzymała wicehrabiego pod ramię, ale po pożegnaniach w domu nie odzywali się do siebie. Powinien coś powiedzieć. To do niego niepodobne, żeby czuł się zmieszany i nie mógł znaleźć słów.

Milczenie przerwała Vanessa.

- Czy to wszystko nie jest niewiarygodnie piękne? Jak kraina z bajki. Czyż nie jest romantycznie, milordzie?

Mógł po prostu przyznać jej rację. Coś podobnego jemu także przyszło do głowy. Ale uznał za stosowne przyczepić się do dwóch słów.

- Milordzie? - odparł zirytowany. - Jestem twoim mężem, Vanesso. Mam na imię Elliott. Używaj tego imienia.

- Elliott. - Podniosła na niego oczy.

Miała na sobie zieloną suknię, w której brała ślub. I włożyła z powrotem niezwykle słomkowy kapelusz. Był ładny i musiał przyznać, że dobrze w nim wygląda.

Doszli do miejsca, w którym ścieżka skręcała w stronę frontowych drzwi domu. Z jakiegoś powodu zatrzymali się oboje.

- Czy nie cenisz piękna? - zapytała, przechylając lekko głowę na bok.

Kolejne oskarżenie.

- Oczywiście, że tak - odparł. - Wyglądałaś dzisiaj bardzo ładnie.

Była to tylko lekka przesada. Stwierdził, że spogląda na nią częściej, niż wypadało takiego dnia. Promieniała ożywieniem, kiedy bawiła gości. Była cała w uśmiechach.

Wydawała się szczęśliwa.

W świetle księżyca widział znowu śmiech w jej oczach.

- Miałam na myśli piękno natury - zauważyła. - Nie domagałam się komplementów. Wiem, że nie jestem ładna.

- Nie wiesz także, jak przyjmować komplementy - zauważył. Śmiech zniknął z jej twarzy.

- Przepraszam. Dziękuję za miłe słowa. Twoja matka wybrała suknię. Cecily kapelusz.

Nikt, jak nagle sobie uświadomił, nigdy nie nazwał jej ładną. Jak się czuła, dorastając w otoczeniu swego urodziwego rodzeństwa? A jednak wciąż potrafiła się uśmiechać i cieszyć życiem.

Uniósł jej brodę i pochylił się, żeby przelotnie pocałować ją w usta.

- Cóż - powiedział - teraz widzę, że też są ładne. To jest, suknia i kapelusz.

- Och, dobrze - roześmiała się. Brakowało jej tchu.

Za długo żyłem w celibacie, pomyślał. Niecierpliwie czekał na noc poślubną.

- Lepiej wejdźmy do domu - zaproponował. - Jeśli nie chcesz się czegoś napić, zaprowadzę cię do twojego pokoju. Pokojówka czeka tam na ciebie.

- Do mojego pokoju?

- Odwiedzę cię tam później.

- Och. - Był pewien, że się zaczerwieniła, choć ciemność nie

pozwalala tego dostrzec.

W milczeniu podeszli do drzwi frontowych; otworzył je i gestem zaprosił ją do środka. Dozorca i jego żona czekali w holu, żeby ich powitać. Elliott odprawił ich szybko.

Poprowadził Vanessę po jasno oświetlonych schodach. Była jego żoną. Dziś w nocy będzie się z nią kochać - i do końca ich życia nie będzie innej poza nią.

To było przyrzeczenie, jakie złożył sobie niedawno, choć dziwił się, że podjęcie decyzji zajęło mu tak dużo czasu. Po ślubie, jak postanowił jeszcze przed powrotem z Londynu, pozostanie niezmiennie monogamiczny, niezależnie od tego, czy pożycie małżeńskie okaże się satysfakcjonujące. Inne postępowanie niosłoby zbyt wiele bólu.

Wystarczyło posłuchać matki i babki, żeby to zrozumieć. Ojciec i dziadek wyrządzili im niepowetowaną krzywdę. I obie obawiały się, że Elliott pójdzie w ślady przodków.

Nie zrobi tego. Po prostu.

Nie było to może szczęśliwe rozwiązanie, wzięwszy pod uwagę, z kim się ożenił. Ale podjął nieodwołalną decyzję.

Zatrzymawszy się przed drzwiami garderoby, podniósł dłoń Vanessy do ust. Pokojówka już czekała.

Ruszył w stronę swojego pokoju.

Okna pokoju Vanessy wychodziły na jezioro. Księżyc rzucał na nie szeroką srebrną wstęgę. Widok naprawdę zapierał dech w piersiach. I sam dom - jak zdołała zauważyć - był śliczny.

Ale nie mogła skupić myśli ani na księżycu, ani na domu, który miała obejrzeć jutro.

Była w swoim pokoju.

A nie w jego.

Czy wspólnym.

Z Hedleyem dzieliła pokój od dnia ślubu. Uznała, że tak jest ze wszystkimi małżeństwami. Z Hedleyem...

Ale dzisiaj nie będzie o nim myśleć. Nie wolno jej. Teraz należała do kogoś innego.

Kiedy szli tutaj, nazwał ją ładną. Ściśle mówiąc, bardzo ładną. Żartował, mówiąc, że jej strój też jest ładny - mając na myśli, że ona jest ładniejsza, że to ją zauważył najpierw.

Pochlebca! Westchnęła, uśmiechając się jednocześnie.

Miał jednak jakieś poczucie humoru. Nie był nieładny.

Oczywiście, że nie był.

Dotknęła czołem chłodnej szyby i zamknęła oczy.

Łóżko za jej plecami zostało przygotowane. Miała cały czas świadomość, że tam stoi. Może powinna się już położyć. Ale pamiętała, jak miesiąc wcześniej oskarżył ją, że oddaje się jak

owieczka ofiarna. Wyglądałaby - czułaby się jak ofiara - gdyby czekała na niego, leżąc.

Czuję się jak dziewczica czekająca na pierwszą noc, pomyślała z pewnym niesmakiem. Nie była dziewczicą. Była doświadczoną kobietą.

Cóż, przynajmniej trochę doświadczoną.

Jeśli natychmiast nie zapanuje nad kłębowiskiem myśli, to z pewnością zwariuje.

Rozległo się pukanie do drzwi, które otworzyły się, zanim zdążyła przejść przez pokój, czy odpowiedzieć.

Miał na sobie długi do kostek szlafrok w kolorze czerwonego wina. Wyglądał groźnie. A także wspaniale.

Jego twarz nie odzwierciedlała żadnych myśli. Patrzył na nią uważnie spod przymkniętych powiek, jak za pierwszym razem, kiedy go zobaczyła, i nie mogła nie wyobrazić sobie, o czym teraz myślał.

Rzadko pragnęła niemożliwego, ale czasami marzyła, żeby być piękną. Na przykład teraz.

Miała na sobie koszulę z błękitnego jedwabiu z koronkami, specjalnie wybraną na tę noc - nie przez nią, tylko przez teściową. Bała się, że głęboki dekolt zbyt wiele odsłania i że jej ciało prześwieca przez materiał.

Może nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby uważała, że

jest co oglądać.

Wstydziała się własnej figury czy też jej braku.

- Przypuszczam - powiedziała - że do tego przywyknijemy.

Uniósł brwi.

- Zapewne - zgodził się, idąc w jej stronę. - Nie boisz się, oczywiście? Jesteś przecież kobietą doświadczoną? Taką, która potrafi zadowolić mężczyznę w łóżku.

Jeśli to miał być żart, nie była w nastroju, żeby się śmiać.

- Wiesz, że to były przechwałki - powiedziała. - Przyznałam się. Byłoby nieładnie wypominać mi to przy każdej okazji.

W szlafroku i domowych pantoflach, o dziwo, bardziej wydawał się potężny niż w płaszczu i butach. A może to wrażenie brało się stąd, że patrzyła na niego w sypialni w ich noc poślubną.

- Cóż, Vanesso. - Podniósł rękę, kładąc ją pieszczotliwym gestem na jej szyję i policzki. - Pora się przekonać, w jakim stopniu to były przechwałki.

Ogolił się. Czowała zapach wody kolońskiej. Był to męski zapach, który wdychała z przyjemnością.

Przełknęła ślinę.

Jego wargi dotknęły jej ust, ciepły, wilgotny język wsunął się do środka.

Wciągnęła powietrze przez nos.

To, czego doznawała, było czystym, fizycznym pożądaniem.

Przeżyła coś podobnego nad jeziorem w Warren Hall w dniu, kiedy poprosił ją o rękę. Wtedy stłumiła w sobie to uczucie. Teraz nie zdołałaby tego zrobić.

Odchylił lekko głowę, a ona - zaszokowana - zdała sobie sprawę, że nie dotknął jej jeszcze nigdzie poniżej szyi. Ich wspólna noc dopiero się zaczynała.

- Miejmy nadzieję - powiedział - że wiesz, jak mnie zadowolić, jako że jesteś moją żoną i towarzyszką łoża do końca życia.

Miał wciąż opuszczone powieki i mówił głosem, który, jak sobie wyobrażała, był głosem sypialnianym. Czysty aksamit.

- Pan przemówił - szepnęła. - Miejmy nadzieję, że wiesz, jak mnie zadowolić, jako że jesteś moim mężem i towarzyszem łoża do końca życia.

Patrzył na nią badawczo przez długą chwilę. A potem ręka, obejmująca jej twarz i szyję, zsunęła się niżej, wzdłuż ramienia. Wśliznęła się pod nocną koszulę, odsłaniając ramię i pierś Vanessy.

A potem wolną ręką zsunął koszulę z jej drugiego ramienia, a ponieważ była luźna, spłynęła w dół na podłogę.

Tylko jej stopy były przykryte. Mała pociecha.

Ujął ją powyżej łokci i odstąpił krok do tyłu.

I spojrział.

Cóż, przypuszczała, że sama się o to prosiła. Rzuciła mu wyzwanie, a on odpowiadał bez słów.

W męski sposób.

Patrząc mu w oczy, pociągnęła pasek jego szlafroka. Rozsunął się na boki.

Pod nim był nagi.

Spojrzał na nią i opuścił ręce. Ach, zaproszenie. Zsunęła szlafrok z jego ramion. Spadł w jednej chwili.

Och, wielkie nieba.

Wyglądał jak wyidealizowana rzeźba greckiego boga. Miał skórę o ciemnej karnacji. Szeroką, silnie umięśnioną pierś porastały ciemne włosy. Czowała ciepło jego ciała, choć stali w odległości paru cali od siebie. Widziała, jak jego pierś wznosi się i opada z każdym oddechem.

Miał wąskie biodra i długie nogi o mocno umięśnionych udach.

Był podniecony. I ta część jego ciała także była wielka i mocna.

Patrzyła w jego oczy. Uświadomiła sobie, że przyjrzała mu się równie otwarcie, jak on jej.

Zupełnie nie pasowali do siebie fizycznie.

Ale on był podniecony.

Dotknęła opuszkami palców jego piersi, potem przesunęła

dłonie na ramiona.

Nigdy w życiu nie była tak przerażona.

- Zdaje się - przypomniał jej - że miałem się o czymś przekonać.

Uczucie w dole brzucha przypominało ból.

- Tak - przyznała.

Ale zamiast czekać, aż Vanessa podejdzie do łóżka, schylił się, wziął ją na ręce, zaniósł do łóżka i położył na środku materaca. Odsunął kołdrę, po czym położył się obok. Nagie ciało dotknęło nagiego ciała.

Miała wrażenie, że płonie żywym ogniem.

Nie zgasił świec.

A zatem to, co miało się stać, nie dokona się pod osłoną ciemności i pościeli.

Przewrócił się na bok, oparł na łokciu i pochylił, żeby znowu ją pocałować. Tym razem otworzyła usta, a kiedy wsunął do środka język, zaczęła go ssać.

Wydał gardłowy pomruk.

Silną, ciepłą dłonią o zręcznych palcach badał jej ciało. Znalazł jej piersi, tak jak nad jeziorem, i zaczął je pieścić aż do bólu.

Przestał ją całować i teraz robił to ustami i językiem. Pieszczoty sprawiły, że zanurzyła ręce w jego włosy i ścisnęła

mocno.

Ona też nie pozostawała bezczynna. Przekręciła się lekko na bok i ułożyła nogę wzdłuż jego nogi. Przysunęła się bliżej, ocierając się o niego biodrami.

Pożądanie stało się bolesne.

A potem przewrócił ją na plecy i ułożył się na niej. Był wielki i ciężki.

Cudowny ciężar.

Kolanami rozsunął jej uda. Podniosła nogi, oplatając go, podczas gdy on wsunął pod nią ręce, unosząc ją nieco i wszedł w nią do środka jednym zdecydowanym ruchem.

Wciągnęła powietrze i miała wrażenie, że nie jest w stanie go wypuścić.

Nie bolało, ale czuła się rozciągnięta, wypełniona. Nie wiedziała, że jest w niej tyle miejsca.

Co za głupia myśl!

Przez chwilę trwał nieruchomo, a ona objęła go mocniej nogami. Chciała czuć wszystko od początku do końca.

Teraz on z kolei wciągnął ostro powietrze.

A potem się poruszył.

To była czysta rozkosz. Każdy ruch wzmacniał, ale i łagodził ból pożądania. Vanessa nauczyła się rytmu jego ruchów i dostosowała do niego.

To, co mu powiedziała, nie było aż taką przechwałką.

Wiedziała, jak zadowolić mężczyznę.

On, rzecz jasna, wcale się nie przechwalał.

Chciała, żeby to trwało wiecznie, ta rozkosz, której nie potrafiłaby sobie wyobrazić. Ale, rzecz jasna, nie trwało wiecznie. I w końcu odczuła zadowolenie, że tak było. Gdyby nie nagły, konwulsyjny skurcz mięśni - i odczucia, jakie mu towarzyszyły, a na określenie których brakowało jej słów - straciłaby rozum.

Uświadomiła sobie, że znieruchomiał.

Objęła go ramionami. Był rozgrzany i spocony.

Tak samo jak ona.

Jak dziwnie pociągający może być zapach potu.

Zrobiło jej się nagle zimno, kiedy zsunął się z niej i położył obok. Zadrżała, a on sięgnął ręką i nakrył oboje kołdrą. Jedną rękę wsunął jej pod szyję, drugą przełożył w poprzek ciała. Poczowała ciepło.

I senność.

A potem zasnęła.

Tak więc stało się.

Ożenił się przed trzydziestką, jak oczekiwał tego dziadek i jak sam zamierzał. Dla wygody poślubił jedną z sióstr Huxtable. Teraz pozostałe dwie mogły debiutować w towarzystwie, a on nie będzie już czuł się za nie odpowiedzialny.

Ożenił się, małżeństwo zostało skonsumowane i wkrótce, jak miał nadzieję, jego żona zajdzie w ciążę. A jeśli będzie miał szczęście, powije chłopca i w ten sposób dopełni się kolejny obowiązek.

Obowiązek! To było coś, co ciążyło mu od ponad roku. Jak bardzo tęsknił czasami za dawnym, beztroskim życiem. Ale nie można cofnąć czasu.

Elliott przez dłuższy czas leżał, nie śpiąc.

Nawet dziś w nocy chciała się z nim kłócić, dając do zrozumienia, że jest mu równa. Jeśli ona musi go zadowalać jako żona i kochanka, to on też musi zadowalać ją z tych samych powodów.

Nie miała, oczywiście, obycia towarzyskiego, które nakazałoby jej nie narzucać się ze swoją równością i przyjąć swoją podległą pozycję w milczeniu i z godnością.

„Pan przemówił. Miejmy nadzieję, że wiesz, jak zadowolić mnie, jako że jesteś moim mężem i towarzyszem łoża na resztę życia”.

Jego wargi zadrżały mimo woli.

Vanessa poruszyła się w jego ramionach, szepnęła coś i wtuliła się mocniej.

Dziwne, ale zadowolila go.

Nie był wcale pewien, dlaczego. Nigdy nie był w łóżku z

kobietą o tak mało zmysłowym ciele. I pozbawioną jakichś nadzwyczajnych umiejętności.

Może to tylko urok nowości.

Nowość polegająca na posiadaniu takiej kochanki z pewnością wkrótce spowszednieje. A potem? Nie była to przyjemna perspektywa, choć sądził, że zawsze należy mieć nadzieję. Coś takiego właśnie powiedziała o swojej siostrze, że nadzieja na powrót oficera nadawała sens jej życiu.

Nadzieja.

Marna szansa na szczęście.

- Mmm - mruknęła, wzdychając. Twarz miała przytuloną do jego piersi.

Nowością można się było cieszyć, póki była nowością. Uniósł jej brodę i pocałował.

Smakowała snem. Miała ciepłe, miękkie ciało; spała płytko. Odwrócił ją na plecy, nakrył własnym ciałem, rozsunął jej nogi i wszedł w nią głęboko.

- Mmm - mruknęła znowu, obejmując go nogami i unosząc biodra. - Jeszcze raz?

Wydawała się zaspana i w jej głosie brzmiało uniesienie. Na pół uśmiechnął się w ciemności.

- Tak, jeszcze raz - szepnął jej do ucha. - Właśnie po to są noce poślubne?

Zaśmiała się cicho. Jeszcze parę dni temu, w Londynie, jej śmiech wydawał się irytujący. Tej nocy było inaczej. Gardłowy śmiech Vanessy wyrażał szczere rozbawienie.

I był zmysłowy.

Przywarła do niego nogami i dłońmi. Nie poruszała się. To było mądre albo wynikało z jej niewinności. Dzięki temu mógł dłużej smakować fizyczną przyjemność.

Ale po kilku minutach uświadomił sobie, że już nie jest bierna. Przyciskała go do siebie, jakby chciała w sobie zatrzymać.

Poczuł, jak zadrżała na chwilę przed spełnieniem.

Musi jej przypomnieć, pomyślał tuż przed zaśnięciem, że dopełnił swojej części umowy. Potrafił ją zadowolić.

Obudził się w jakiś czas później, wciąż leżąc na niej, wciąż będąc w niej. Odsunął się i położył obok.

- Wybacz. Muszę ważyć tonę.

- Myślę, że tylko pół tony - odparła. - Nie musisz przeproszać. Nigdy nie przepraszaj.

- Nigdy? Z żadnego powodu? Westchnęła, zasypiając.

- Muszę się nad tym zastanowić. Może uda nam się tak ułożyć sobie życie, żebyśmy nigdy nie musieli za nic przeproszać.

Zdał sobie sprawę, że znowu niemal się uśmiecha w mroku - świeca najwidoczniej się wypaliła.

- I żyli długo i szczęśliwie? - spytał. - Czy naprawdę

wierzysz w coś takiego?

- Nie - oznajmiła, zastanowiwszy się chwilę. - I nie jestem pewna, czy chciałabym tego, nawet gdyby to było możliwe. Na co moglibyśmy mieć wtedy nadzieję? O co mielibyśmy się starać? Wolę zwykłe szczęście od bajkowego zakończenia.

- Co to jest szczęście? - zapytał.

- Chwila radości - odparła bez zastanowienia.

- Tylko chwila? Nie wydaje się zatem, aby warto się o to starać - powiedział.

- Och, mylisz się. Całe życie jest chwilą. Nie ma niczego poza obecną chwilą.

W jego doświadczeniu chwile mijały i odchodziły w przeszłość na zawsze.

- Zatem całe życie jest radością? Całe jest szczęściem? Nie mogła chyba być aż tak naiwna.

- Nie, oczywiście, że nie - powiedziała. - Ale chwila szczęścia może nadać sens życiu, jak zaczyn w chlebie. Może pokazać, jakie może być życie i jakie powinno być. Może dać nadzieję w ciężkich czasach. Może pomóc zachować wiarę w przyszłość. Czy nigdy nie byłeś szczęśliwy?

Ogarnęła go nagle ogromna tęsknota za dawnym życiem - życiem, jakie wiódł dawno, dawno temu. Wieki temu.

- Byłem szczęśliwy przed paroma minutami.

- Chyba kpisz sobie ze mnie. Spodziewasz się, że cię zbesztam za to, że uważasz, że s... - Wciągnęła powietrze i dokończyła. - Za to, że myślisz, że seks może dać szczęście. Ale tak jest. Miłość fizyczna to oddawanie czci życiu, byciu razem i miłości.

- Sądziłem, że mnie nie kochasz.

Te słowa sprawiły, że na moment zamilkła.

- Ale to nie ja powiedziałam, że byłam szczęśliwa przed paroma minutami.

- A więc to ja oddawałem cześć miłości?

- Och, niemądry. Oczywiście, że tak. Jest wiele rodzajów miłości. Nie jesteś we mnie zakochany. Nawet mnie nie kochasz. Ale kochasz... tę noc.

- Naszą noc poślubną. Seks.

- Tak.

- Seks jest miłością?

- Chcesz się ze mną kłócić - stwierdziła, opierając się na łokciu. - Przyznaj.

Być może miała rację, może to właśnie próbował zrobić. Poślubił dzisiaj kobietę, którą ledwie znał, która go często wprawiała w złość i która nawet nie była pociągająca. Kochał się z nią, ponieważ to była ich noc poślubna i był usatysfakcjonowany, ponieważ ostatnio miał kobietę przed Bożym Narodzeniem.

I nawet tej nocy, nawet teraz, musiała go irytować. Była romantyczką ze swoją wiarą w szczęście i miłość. Dla niej nawet seks był miłością. Wierzyła, że w życiu niemal w każdej sytuacji można odnaleźć szczęście.

A jednak jej mąż umarł młodo na gruźlicę - powolną, okrutną śmiercią. Zapewne go kochała.

- Powinnaś spać, zamiast filozofować - rzucił ostrzej, niż zamierzał. - Mogę cię jeszcze chcieć, zanim noc się skończy.

- Ty także powinieneś spać - odparowała. - Być może to ja będę chciała ciebie.

Omali nie roześmiał się głośno. Wrócili do miejsca, z którego zaczęli tej nocy.

- Może - powiedział - powinniśmy zaspokoić nasze „chcenie” teraz, kiedy oboje nie śpimy, a potem spać.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Przełożyła nogę nad jego ciałem, a potem zbliżyła twarz do jego twarzy, żeby dalej się z nim całować.

Nowość zdecydowanie nie straciła jeszcze uroku. A minęła dopiero połowa nocy.

Szczęście nie zawsze trwało ulotną chwilę. Czasami zostawało trochę dłużej.

Vanessa nie miała, oczywiście, złudzeń. To nie było małżeństwo z miłości i nigdy takie nie miało być. On jej nie kochał ani ona jego nie kochała - w każdym razie nie w całym znaczeniu tego słowa.

Ale była w nim zadurzona i z pewnością - choć to dziwne - on także był w niej zadurzony.

Przynajmniej w tej chwili. I jeszcze przez jakiś czas.

Mieli przed sobą najbardziej romantyczny okres w życiu - miesiąc miodowy.

Kochali się częściej w ciągu tych trzech dni i czterech nocy, niż Vanessa była w stanie policzyć. No, bez przesady. W sumie trzynaście razy. Później pomyślała, że gdyby była przesądna, ta liczba wydałaby się jej złowieszczą. Nie powinna była liczyć.

Nic nie dało jej tyle radości niż tych trzynaście razy. Był piękny, męski, zręczny i czuły.

Ale chodziło nie tylko o miłość fizyczną.

Jedli razem posiłki i rozmawiali przy stole. Rozmawiali o książkach i odkryli, że niewiele było takich, które oboje czytali. Ale to można było zmienić.

- Przeczytam wszystkie książki, które czytałeś - powiedziała -

tak żebyśmy mogli o nich rozmawiać.

- Na pewno nie przeczytam wszystkiego, co ty czytałaś - oznajmił. - Historia nigdy nie była moim ulubionym przedmiotem w szkole. Za to możesz mi opowiedzieć wszystko, co powinienem wiedzieć o przeszłości.

- O Boże - westchnęła. - Od czego miałabym zacząć?

- Od początku? Od Adama i Ewy?

- Zacznę od Rzymian w Brytanii - zdecydowała - jako że bardzo niewiele wiadomo o plemionach, które były tutaj przed nimi. Rzymianie są fascynujący, Elliotcie. Wiedli życie pod wieloma względami bardziej wyrafinowane i pełne luksusu od naszego. A jednak uważamy naszą cywilizację za bardziej rozwiniętą. Czy wiedziałaś, na przykład, że potrafili ogrzewać domy, nie paląc drewna czy węgla w każdym pokoju?

- Nie wiedziałem.

Słuchał, jak się wydawało, z zainteresowaniem, kiedy opowiadała o Rzymianach w Brytanii i o tym, jak wpłynęli na życie Brytyjczyków.

- Zwłaszcza na język. Masz pojęcie ile angielskich słów wywodzi się z łaciny?

- Czy bylibyśmy skazani na życie w milczeniu, gdyby Rzymianie się nie pojawili? - zapytał. - Albo, Boże uchroni, mówilibyśmy wszyscy po walijsku albo gaelicku?

Roześmiała się.

- Język stale się rozwija - powiedziała. - Angielski bez Rzymian byłby po prostu inny.

Podejrzewała - w gruncie rzeczy wiedziała - że jego wiedza o przeszłości była dużo większa, niż przyznawał. Ostatecznie żaden wykształcony dżentelmen nie mógł nie mieć pojęcia o historii własnego kraju i cywilizacji. Ale nie dbała o to, jeśli tylko przekomarzał się z nią, udając ignorancję. Historia była jej pasją, a nie zawsze znajdowała chętnych słuchaczy.

Poza tym interesujące było dowiedzieć się, że potrafił się przekomarzać.

Każdego dnia parę godzin spędzali na dworze. Pogoda była zbyt piękna, żeby siedzieć w domu. Była wiosna, słońce świeciło na bezchmurnym niebie, powietrze było ciepłe. Nie mogli sobie wymarzyć lepszej pogody.

Spacerowali nad jeziorem i nigdzie nie spotkali żywej duszy. Nikt nie chciał zakłócać im spokoju.

Któregoś przedpołudnia doszli do szopy z łodziami i jedną spuścili na wodę, chociaż było trochę chłodno. Vanessa upierała się, żeby wiosłować, i zdołała nawet dowieźć ich bezpiecznie do brzegu. Ale ponieważ od dawna nie wiosłowała, dość długo zmagala się z wiosłami i kręciła w kółko, zamiast wdzięcznie ślizgać się po jeziorze i podziwiać widoki.

- Imponujące - stwierdził jej mąż, kiedy wrócili. - Może następnym razem pozwolisz mi wziąć wiosła, żeby sprawdzić, czy też na tobie wywrę podobne wrażenie.

Parsknęła śmiechem.

- Ale że to była świetna zabawa, musisz przyznać. Czy bałeś się o swoje życie?

- Umiem pływać - powiedział. - A ty?

- Mniej więcej równie dobrze, jak wiosłuję - odparła ze śmiechem. - Zawsze bałam się zanurzyć twarz w wodzie.

Innym razem doszli do końca drewnianego mola niedaleko szopy i przyglądali się rybom. Powiedział, że jako chłopiec często tam nurkował, próbując łapać ryby gołymi rękami.

- Czy kiedyś ci się udało? - zapytała.

- Nigdy - przyznał. - Ale nauczyłem się, jak to jest marnować siły na coś nieosiągalnego.

- To cię powstrzymało?

- Nie.

Przypomniała sobie kamień, który puścił na wodę w Warren Hall, kiedy zaproponowała mu małżeństwo. Poprosiła, żeby teraz jej to pokazał jeszcze raz, a potem sama spróbowała - bez powodzenia. Chciał ją nauczyć, ale nie potrafiła opanować tego ruchu nadgarstka, który, jak się wydawało, stanowił klucz do sukcesu. Udało jej się tylko wyrzucić kamień w górę, tak że oboje

musieli uciekać, żeby nie dostać po głowie, kiedy spadał.

Śmiała się, a potem patrzyła, jak on to robi.

- Dwanaście odbić - powiedziała z podziwem. - To nowy rekord.

- Pomyśl, o ile łatwiejsze masz zadanie niż ja - zauważył. - Muszę dojść do trzynastu, żeby pobić swój rekord, a tobie wystarczy jedno odbicie.

- Myślę, że to, czego się nauczyłam, to nie trwonić energii na to, co nieosiągalne.

Cisnęła ostatni kamień - podskoczył trzy razy Zapiszczała z radości i odwróciła się do niego triumfalnie.

- Cóż - skwitował, unosząc brwi - może powinienem zanurkować i sprawdzić, czy uda mi się złowić rybę.

Któregoś dnia, pomyślała, zdołam sprawić, że się uśmiechnie. A nawet zacznie się śmiać. Nie miało znaczenia, że teraz tego nie robił. Bawił się równie dobrze, jak ona. Tego była pewna.

Może nie byli idealnie dobranym małżeństwem i może nigdy nie pokochają się naprawdę. Ale nie było powodu, dla którego nie mieliby być razem szczęśliwi. Przyrzekła mu szczęście, przyjemność i wygodę, czyż nie?

Trzeciego dnia dotarli do odległego zakątka nad jeziorem i natrafili na stromy brzeg cały porośnięty żonkilami. Z przeciwległego

brzegu nie było ich widać, ponieważ przesłaniała je kępa wierzb o zwisających aż do wody gałęziach. Żółte kwiaty chwiały się i falowały na lekkim wietrze.

- Och, spójrz, Elliotcie! - zawołała, jakby mógł tego nie zauważyć. - Tylko popatrz!

Wbiegła między kwiaty, rozkładając ramiona. Zakreśliła się w kółko i podniosła twarz ku słońcu.

- Czy widziałeś kiedyś coś piękniejszego? - zapytała i zatrzymała się, nie opuszczając rąk.

Stał na skraju łąki, przyglądając się jej.

- Prawdopodobnie tak. Ale w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć, co to mogło być. Sądzę jednak, że to miejsce to twoja tajemnica, Vanesso, ponieważ twój strój do niego pasuje. Jak sprytnie to obmyśliłaś.

Spojrzała na siebie. Miała na sobie cytrynową suknię, narzutkę i słomkowy kapelusz.

- Chciałam wywrzeć na tobie wrażenie - uśmiechnęła się promiennie.

- Wywarłaś.

Podszedł bliżej, podczas gdy ona miała spuszczonego wzrok. I zbliżał się coraz bardziej, a z jej twarzy zniknął uśmiech. Kiedy podszedł dość blisko, pochylił się i dotknął ustami jej warg, a ona objęła go za szyję, odwzajemniając pocałunek.

Uwielbiała to jego spojrzenie spod opuszczonych powiek. Sprawiało, że czuła się pożądana. W to, że jej pożądał, wciąż nie mogła uwierzyć. Ale tak było. Z pewnością teraz nie myślał jedynie o ewentualnym potomstwie. Popatrzyła mu w oczy, kiedy przestał ją całować, i znowu się uśmiechnęła.

To była jedna z najszcześniejszych chwil w tych szczęśliwych trzech dniach. Niemal czuła, że go kocha, mimo wszystko. A on ją.

- Nawet gdybym nie polecił rodzinie i ogrodnikom trzymać się z dala od jeziora, byłoby tu pusto. To dobrze ukryte miejsce. Nie przypominam sobie, że bym je kiedyś wcześniej widział.

Nie ulegało wątpliwości, o czym myśli. Vanessa poczuła narastające znajome pulsowanie pomiędzy udami.

- Nikt tu nie przyjdzie? - zapytała, zwilżając językiem nagle wyschłe wargi.

- Nikt.

Zrzucił z siebie płaszcz, rozłożył na trawie wśród kwiatów i wskazał go gestem.

Kochali się w otoczeniu wiosennej zieleni i złota, w promieniach słońca, które pod osłoną drzew, kwiatów i pochyłego brzegu wydawały się niemal gorące.

To było szybkie, zmysłowe i cudownie niestosowne, ponieważ, rzecz jasna, w każdej chwili ktoś jednak mógł się

pojawić. Było coś niezwykle podniecającego w uprawianiu miłości w ubraniu.

- Zerwę trochę żonkili do domu - oznajmiła, kiedy wstali i poprawili ubranie. - Czy mogę?

- To twój dom. Jesteś panią Finchley Park, Vanesso. Możesz zrobić, co ci się podoba.

Uśmiechnęła się promiennie.

- W granicach zdrowego rozsądku - dodał pośpiesznie.

- Pomóż mi - poprosiła, schylając się nad kwiatami i zrywając długie łodygi.

- Czy to wystarczy? - zapytał, kiedy zerwał około tuzina, a ona dwa razy tyle.

- Skądże - odparła. - Zerwiemy tyle, ile zdołamy unieść. Napełnimy dom słońcem i wiosną, Elliotcie.

Gdy mieli już pełne naręcza żonkili, ruszyli wokół jeziora w stronę domu.

- Mam nadzieję - powiedziała, kiedy zbliżali się do drzwi - że jest dość wazonów i waz. W każdym pokoju musi być przynajmniej jeden bukiet.

- Służba tego dopilnuje - zapewnił, otwierając drzwi z pewnym trudem i czekając, aż Vanessa wejdzie do środka.

- Wykluczone! - sprzeciwiła się. - Układanie kwiatów to jedna z największych przyjemności w życiu, Elliotcie. Pokażę ci.

Pomóż mi.

- Będę się przyglądał, jak to robisz. Jeszcze mi podziękujesz za to, że ci nie pomagam. Nie mam do tego oka.

Jednak pomagał. Napełniał naczynia wodą, dzielił kwiaty i liście na kupki i przycinał łodygi według jej wskazówek. Pomagał ustawiać wazony w pokojach, podczas gdy ona patrzyła na to krytycznym okiem.

- Pół cala w prawo - poleciała, wskazując ręką. - A teraz ćwierć cala do tyłu. Doskonale!

Spojrzał na nią badawczo. Roześmiała się.

- Zawsze należy dążyć do doskonałości - oznajmiła - chociaż nie zawsze można ten stan osiągnąć. Wszystko, czemu warto poświęcić wysiłek, powinno być zrobione dobrze.

- Tak, pani - przytaknął. - Co się stanie z kwiatami, kiedy jutro wrócimy do pałacu?

Nie chciała tam wracać. Chciała zostać tu na zawsze. Nie można jednak, nawet gdyby ktoś bardzo tego pragnął, zatrzymać czasu.

- Jutro nie istnieje, dopóki nie nadejdzie - zauważyła. - Nie musimy myśleć o tym dzisiaj. Dzisiaj będziemy się cieszyć żonkilami.

- Czy znasz wiersz? - zapytał.

- Williama Wordswortha? O złotych żonkilach? Och, tak,

oczywiście. A teraz wiemy, jak się czuł, kiedy je znalazł.

- Pewne rzeczy czytaliśmy jednak oboje - stwierdził.

- Rzeczywiście.

Vanessa patrzyła uszczęśliwiona na wazony pełne kwiatów. Czekał ją jeszcze jeden szczęśliwy wieczór i jeszcze jedna noc.

Ale już padło słowo „jutro”.

Jutro wrócą do pałacu i wszystkiego, co tam zostawili.

A przecież nadal będą połączeni węzłem małżeńskim.

Vanessa starała się o tym nie myśleć. Kiedy jej się to zdarzało, ogarniało ją niejasne, nienazwane przeczucie czegoś niepokojącego.

Następnego dnia po śniadaniu wrócili spacerem do pałacu; szare chmury na niebie zapowiadały deszcz.

Dom był opustoszały. Zastali w nim tylko służbę i pana Bowena. Goście weselni wyjechali poprzedniego dnia, a lady Lyngate i Cecily udały się do Londynu z samego rana. Vanessa i Elliott mieli ruszyć za nimi następnego dnia.

Vanessa oglądała swoją nową sypialnię i garderobę, podczas gdy Elliott w gabinecie rozmawiał z sekretarzem i przeglądał listy, które nadeszły w ciągu ostatnich trzech dni.

Ale nie siedział tam długo. Zapukał do drzwi Vanessy po niecałej pół godzinie i wszedł do środka.

- Jest ogromny - stwierdziła, rozkładając ramiona. - Co

najmniej dwa razy taki, jak ten w domu nad jeziorem.

- Oczywiście - odparł, wzruszając ramionami. - To pokój wicehrabiny.

Vanessa uświadomiła sobie, że nie całkiem jeszcze dotarło do niej, że weszła w zupełnie inny świat.

- Wybieram się konno do Warren Hall, żeby zobaczyć, jak Merton sobie radzi z nauczycielami. Chcesz jechać? Jeśli tak, to wezmę powóz. Tak pewnie będzie rozsądniej. Znosi się na deszcz.

- Oczywiście, że chcę jechać - ucieszyła się.

Podczas ich trzydniowego miesiąca miodowego miała wrażenie, że czas jakby się zatrzymał. Prawie nie myślała o siostrach, bracie czy kimkolwiek innym. Mały dom i jezioro były jej światem, a ona i Elliott jedynymi ludźmi, którzy w nim istnieli.

Jak Adam i Ewa w rajskim ogrodzie.

Teraz nagle uświadomiła sobie, że minęły całe trzy dni i niecierpliwiła się, żeby zobaczyć rodzeństwo.

Zanim dotarli do Warren Hall, spadły pierwsze krople deszczu i zerwał się chłodny, porywisty wiatr.

Jak dobrze, że mieli dla siebie te trzy dni pięknej wiosny, pomyślała Vanessa. Zmiana pogody sprawiła, że wydawały się nierealne i bardzo odległe - jakby skończyły się przed paroma tygodniami, a nie dziś rano.

Margaret była sama w salonie. Dygnęła przed Elliottem i mocno objęła Vanesę. Goście wyjechali poprzedniego dnia. Stephen siedział w bibliotece z nauczycielem. Wrócił późno z porannej przejażdżki z panem Graingerem i został za to surowo zbesztany. Katherine wyszła na spacer.

- Mam nadzieję, że wkrótce wróci - powiedziała Margaret, zerkając na pokryte kroplami deszczu okno. - Zanim całkiem przemoknie.

Wydaje się zmęczona i jest trochę blada, pomyślała Vanessa, kiedy usiadły przy kominku, a Elliott poszedł do biblioteki.

- Dobrze się czujesz, Meg? - zapytała Vanessa. - Czy coś się stało?

- Absolutnie nic. - Margaret uśmiechnęła się. - A ty, Nessie? Jak się miewasz?

Vanessa oparła się na krześle.

- Czy pogoda nie była cudowna? - spytała. - Dom nad jeziorem w Finchley Park to takie piękne miejsce, Meg, a jezioro jest śliczne. Pływaliśmy łódką, a wczoraj nazrywaliśmy mnóstwo żonkili, a zostało ich jeszcze setki. W każdym pokoju ustawiliśmy wazon z kwiatami. Wyglądały wspaniale.

- My - zauważyła Meg. - A zatem wszystko dobrze, Nessie? Nie żałujesz? Wyglądasz na szczęśliwą.

- Cóż, oczywiście - odparła Vanessa - teraz wracamy do

prawdziwego życia. Jutro wyjeżdżamy do Londynu, a w przyszłym tygodniu zostanę przedstawiona królowej - dość przerażająca perspektywa.

I będę musiała poznać mnóstwo ludzi, i odwiedzić mnóstwo miejsc, i ... I tak dalej. Ale oczywiście, że nie żałuję, ty gąsko. Chciałam tego. Mówiłam ci od początku.

- Och, Nessie. - Margaret oparła się w krzesło; wydawała się znużona. - Jeśli ty jesteś szczęśliwa, to ja też.

Vanessa przyjrzała jej się uważnie. Ale zanim zdążyła zadać kolejne pytanie - bo coś jednak musiało się zdarzyć - drzwi otworzyły się i weszła Katherine. Miała błyszczące oczy i zaróżowione policzki.

- Ojej - zawołała, przyciskając rękę do piersi - brak mi tchu. Nie wiedziałam, czy schronić się w kaplicy, czy pędem biec do domu.

- Jak rozumiem, wybrałaś to drugie - stwierdziła Vanessa, wstając z krzesła.

- I teraz się z tego cieszę. - Katherine przebiegła przez pokój, żeby uściskać siostrę. - Zobaczyłam pod drzwiami powóz wicehrabiego Lyngate i miałam nadzieję, że przywiózł cię ze sobą.

- Jak widzisz - odparła Vanessa z uśmiechem.

- Nie potrafię wyrazić, jak pięknie wyglądaliście oboje w

dniu ślubu - powiedziała Katherine, siadając. - Czy przyjemnie spędziłaś te trzy dni?

- O tak! - odparła Vanessa, mając nadzieję, że się nie czerwieni. - To naprawdę idylliczne miejsce. Byłabym bezgranicznie szczęśliwa, mogąc tam zostać na zawsze. A wam było przyjemnie z gośćmi przez tych kilka dni?

Katherine pochyliła się nagle na krześle, z oczami roziskrzonymi z podniecenia.

- Och, Nessie - westchnęła. - Nie ty jedna wstąpiłaś ostatnio w związek małżeński. Czy Meg ci mówiła? List do sir Humphreya i lady Dew wysłano z Rundle Park i zdążył dotrzeć tutaj, zanim odjechali. Czy Meg ci mówiła?

- Nie.

Vanessa zerknęła na starszą siostrę. Siedziała wyprostowana w fotelu, z rękoma zaciśniętymi na poręczach, z półuśmiechem na twarzy.

- List był od Crispina Dew - uzupełniła Katherine.

- Och, Kate - zawołała Vanessa - chyba nie został ranny?

Ale wtedy przypomniała sobie początek rozmowy i znowu rzuciła niespokojne spojrzenie na Margaret.

- Nie, nic podobnego - oznajmiła Katherine. - Właśnie się ożenił z jakąś hiszpańską damą. Możesz sobie wyobrazić, ile zamieszania powstało, zanim powóz odjechał do Throckbridge.

Lady Dew było smutno, że nie mogła być na ślubie. Tak samo Evie i Henriecie.

Vanessa nie odrywała wzroku od Margaret. Siostra odpowiedziała spojrzeniem, wciąż z zastygłym uśmiechem na wargach.

- Żartowałam sobie z Meg - paplała Katherine. - Pamiętam, że kiedy byłam młodsza, ona i Crispin robili do siebie słodkie oczy, tak jak ty i Hedley.

- Powiedziałam Kate - odezwała się Meg - że nawet nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, jak on wygląda. To wszystko było lata temu. Życzę jemu i jego żonie wszystkiego najlepszego.

A potem przyłączyli się do nich Stephen i Elliott, pili kawę, jedli herbatniki i rozmawiali, między innymi o Londynie, gdzie wszyscy mieli się znaleźć w następnym tygodniu.

Elliott wymówił się grzecznie od zaproszenia na lunch. Miał jakąś sprawę do załatwienia po południu.

Margaret, Stephen i Katherine zeszli na dół, żeby odprowadzić siostrę i szwagra, ale nie wyszli na taras, bo zaczęło już mocno padać.

Vanessa nie miała okazji, żeby porozmawiać z Margaret na osobności. Zresztą Margaret wydawała się jej unikać.

Cóż za ironia losu, myślała Vanessa, wchodząc do powozu. Poślubiła Elliotta, żeby nie pozbawiać siostry nadziei.

Ale teraz ta nadzieja przestała istnieć.

Byłoby dużo lepiej dla Meg, gdyby Crispin Dew zginął w bitwie.

Okropnie było tak myśleć, ale jednak...

- Tęsknisz za domem? - zapytał Elliott, kiedy powóz toczył się w stronę bramy.

- Och. - Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego promiennie. - Nie, oczywiście, że nie. Finchley Park jest teraz moim domem.

Wyciągnęła rękę, a on wziął ją i położył na swoim udzie; jechali w milczeniu.

Czy byłaby jego żoną, zastanawiała się, gdyby list Crispina dotarł do nich jakieś pięć czy sześć tygodni wcześniej?

Czy to Meg siedziałaby teraz na jej miejscu?

Czuła ciepło jego uda i cieszyła się w skrytości ducha, że list nie doszedł wcześniej.

Jakże on mógł? Jak Crispin Dew mógł potraktować Meg tak podle?

Oparła się na ramieniu Elliotta. Przełknęła szybko ślinę, wydając przy tym cichy pomruk.

Vanessa nie mogła otrząsnąć się z przygnębienia. Nieczęsto pozwalała sobie na takie uczucia. Prawie zawsze można było coś zrobić, z kimś porozmawiać, o czymś pomyśleć, przeczytać coś, co poprawiłoby jej nastrój. I prawie zawsze można się było czymś zachwycić, do czegoś uśmiechnąć, z czegoś roześmiać.

Śmiech jest o wiele lepszy dla duszy niż smutek.

Czasami jednak przygnębienie pojawiała się jak kamienny mur. Zwykle wtedy, gdy zebrało się kilka powodów i w żaden sposób nie dawało się go uniknąć.

Skończył się ich krótki miesiąc miodowy. A chociaż niespodziewane szczęście, jakiego zaznali w domku nad jeziorem, z pewnością było możliwe także tutaj i w Londynie, nie mogła pozbyć się myśli, że teraz wszystko się zmieni, że ona i Elliott nigdy już nie będą sobie tak bliscy, jak wtedy.

Gdyby chodziło tylko o to, odegnałaby pewnie z łatwością ponure myśli. To od niej zależało, jak ułoży się jej małżeństwo. Jeśli będzie się spodziewała, że wszystko zmieni się na gorsze, niemal na pewno tak się stanie.

Ale Elliott wyjechał na popołudnie, żeby dopilnować spraw posiadłości. To było zrozumiałe. Nie oczekiwała, że będzie z nią spacerował, pływał łódką i zrywał żonkile przez resztę życia. Ale dzisiaj nie powinna była zostać sama.

Crispin Dew ożenił się z jakąś hiszpańską damą.

Meg musiała być w najgłębszej rozpacz, ale Vanessa nie mogła jej pomóc w żaden sposób. Cierpienie ukochanej osoby wywołuje poczucie całkowitej bezradności. Wiedziała o tym z własnego, gorzkiego doświadczenia.

Oczywiście ta myśl, myśl o Hedleyu, kazała jej pobiec do pokoju i otworzyć wielki kufer, który przyjechał tu z Warren Hall, ale nie został rozpakowany, bo jutro miał być zabrany do Londynu. Dokładnie w tym miejscu, gdzie, owinąwszy starannie, umieściła go własnymi rękami, znalazła przedmiot, z którym właśnie postanowiła się rozstać. W ostatniej chwili wsunęła go jednak w lewy, przedni róg kufra.

Usiadła na kozetce i rozwinęła aksamit, który chronił skarb przed zniszczeniem. Patrzyła na oprawioną w ramkę miniaturkę Hedleya, którą lady Dew dała jej po jego śmierci.

Namalowano ją, kiedy miał dwadzieścia lat, dwa lata przed ślubem, zanim okazało się, że jest bardzo, bardzo ciężko chory.

Chociaż już wtedy można było to zauważyć, że jest niezdrów.

Przesunęła palcem po owalnej ramce.

Oczy miał wielkie, twarz wychudzoną. Byłaby blada, gdyby artysta nie dodał nieco koloru.

Ale nawet wtedy był piękny, tak jak do samego końca. Miał

delikatną urodę. Nigdy nie był silny. Nigdy nie był w stanie uczestniczyć w szalonych zabawach dzieci z sąsiedztwa. Nigdy jednak nie odsuwano go ani nie ponizano z tego powodu. Kochali go wszyscy.

Ona też go kochała.

Umarłaby zamiast niego, gdyby to było możliwe.

Teraz patrzyły na nią z portretu wielkie, świetliste oczy. Takie rozumne i pełne nadziei.

Nie stracił jej niemal do końca, a kiedy wreszcie ją stracił, zrobił to z wdziękiem i godnością.

- Hedley - szepnęła.

Dotknęła palcem jego ust.

Coś sobie uświadomiła. Poza przelotnym wspomnieniem w noc poślubną nie myślała o nim wcale podczas tych trzech dni.

To byłoby straszne, gdyby myślała. Była ze swoim nowym mężem, któremu przysięgała wierność.

Ale nawet wtedy...

Jeszcze całkiem niedawno było nie do pojęcia, żeby minął choćby jeden dzień, w którym nie pomyślałaby o nim co najmniej sto razy.

Teraz minęły trzy dni.

Trzy dni cudownego szczęścia z mężczyzną, który jej nawet nie kochał. Którego nawet nie kochała.

W każdym razie nie tak, jak kochała Hedleya. Nie potrafiłaby kochać innego mężczyzny tak, jak kochała jego.

Ale z Hedleyem nie zaznała zmysłowego szczęścia, jakiego właśnie doświadczyła z Elliottem. Kiedy się pobrali z Hedleyem, choroba uczyniła go już niemal niezdolnym do fizycznej miłości. Było to dla niego źródłem okropnej frustracji, choć nauczyła się uspokajać go i zadowalać.

A teraz doznała fizycznego spełnienia z innym mężczyzną.

Nie myślała o Hedleyu przez całe trzy - właściwie cztery dni.

Czy w końcu całkiem o nim zapomni?

Czy będzie tak, jakby nigdy nie istniał?

Ogarnęły ją ogromny żal i poczucie winy, tym większe, że zupełnie nieuzasadnione. Dlaczego miałyby się czuć winna z tego powodu, że odsuwa od siebie wspomnienia związane z pierwszym mężem, skoro wyszła za mąż po raz drugi? Dlaczego miałyby czuć się tak, jakby oszukiwała zmarłego? Dlaczego miała wrażenie, że go rani?

Czuła to wszystko.

- Musisz żyć dalej, Nessie - oświadczył kiedyś w ostatnich dniach życia, gdy trzymała go za rękę i wycierała chusteczką rozpalone gorączką czoło. - Musisz znowu kochać i być szczęśliwa. Musisz wyjść za mąż i mieć dzieci. Musisz. Przyrzekasz?

Nazwała go głupcem i odmówiła składania jakichkolwiek obietnic.

- Śmieję się przynajmniej - poprosił. - Obiecuję, że często będziesz się śmiać.

- Zawsze, kiedy coś mnie rozbawi - przyrzekła i podniosła jego dłoń do ust, a on zapadł w półsen z osłabienia.

Śmiała się jeszcze parę razy w ciągu następnych kilku dni, ale potem długo się nie śmiała.

- Hedley - szepnęła znowu i uświadomiła sobie, że już nie widzi portretu wyraźnie. Zamrugła, żeby powstrzymać łzy. - Wybacz.

To, że zrobiła, o co ją błagał - to, że żyła i znowu była szczęśliwa. To, że znowu wyszła za męża. Ze znowu się śmiała.

To, że nie pamiętała o nim przez prawie całe cztery dni.

Pomyślała o tym, jak namiętnie kochał się z nią Elliott, i zamknęła miniaturkę w dłoni. W którymś momencie przygnębienie przeszło w rozpacz; oddychała z trudem przez ściśnięte gardło.

Gdyby Hedley choć raz był w stanie...

Zamknęła oczy i zakołysała się w przód i w tył.

- Hedley - szepnęła znowu.

Pociągnęła nosem, gdy popłynęły łzy, próbowała wytrzeć je dłońmi, a potem zaczęła szukać chusteczki. Nie znalazła, ale nie

miała siły wstać.

W końcu znowu pociągnęła nosem, otarła go wierzchem dłoni i uznała, że musi się podnieść, porządnie wydmuchać nos i umyć twarz zimną wodą, żeby pozbyć się śladów łez.

Jakie to byłoby okropne, gdyby Elliott zobaczył, że płakała. Co by sobie pomyślał?

Ale gdy odłożyła miniaturkę na poduszkę, nad oparciem kozetki pojawiła się duża męska dłoń z chusteczką.

Elliott.

Wszedł widocznie przez swoją i jej garderobę - drzwi były za jej plecami.

Zamarła na chwilę. Ale nie mogła zrobić nic innego, jak tylko wziąć chusteczkę, osuszyć oczy, wytrzeć nos, myśląc o jakimś sensownym wyjaśnieniu.

Ale nawet biorąc chusteczkę z jego ręki, była dojmująco świadoma, że miniaturka, portretem do góry, leży obok niej na siedzeniu.

Elliott naprawdę nie miał tego dnia wiele do roboty. Przed ślubem ciężko pracował, żeby wszystko doprowadzić do porządku, wiedząc, że wkrótce pojedzie na parę miesięcy do Londynu.

Skończył w niecałą godzinę, a kurtuazyjna wizyta u jednego z dzierżawców, z którym pozostawał w przyjacielskich

stosunkach, nie doszła do skutku, jako że ani jego, ani jego żony nie było w domu.

Cieszył się, że wraca dużo wcześniej, niż się spodziewał. Jak dotąd był zadowolony ze swojego małżeństwa. Dzisiejszego ranka, opuszczając dom nad jeziorem, czuł dziwną niechęć i żal. Miał absurdalne wrażenie, że pryśnie jakiś czar.

To, co się zdarzyło, nie miało, oczywiście, nic wspólnego z magią czy czarami. Przez trzy dni i cztery noce miłość fizyczna dała mu zdumiewającą satysfakcję. Przekonał się, że ciało kobiety nie musi mieć bujnych kształtów, żeby budzić pożądanie.

Jednak to był nie tylko seks. Zona postanowiła nie kłócić się z nim przez te trzy dni i jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność.

Dobry Boże, pozwolił jej wiosłować, choć widać było, że sobie z tym nie radzi. Znosił jej wybuchy śmiechu, kiedy przez czysty przypadek rzucony przez nią kamień odbił się trzykrotnie na tafli jeziora. A także nazbierał więcej żonkili niż kiedykolwiek w życiu, a potem biegał i pomagał ustawiać bukiety w domu, który za parę godzin mieli opuścić.

Musiała rzucić na niego jakiś czar.

I dlaczego wszystko miałoby się zmienić na gorsze teraz, kiedy wrócili do rezydencji, a jutro wyruszali do Londynu?

Może, mimo wszystko, ich związek okaże się udany.

Tak więc wrócił do domu w pośpiechu, nie przejmując się wewnętrznym głosem, który mówił mu, że powinien odwiedzić innych dzierżawców.

Wczoraj kochali się wśród żonkili. Gdyby pogoda się utrzymała, mogliby tam dzisiaj wrócić i nazrywać kwiatów do pałacu. Można by też wypróbować łóżko w sypialni Vanessy, a czy może być odpowiedniejsza pora niż deszczowe popołudnie, kiedy żadne z nich nie miało nic lepszego do roboty?

Nie znalazł jej w żadnym z pokoi na dole. Widocznie poszła do sypialni. Być może położyła się, nadrabiając nieprzespane noce.

Elliott wchodził po dwa stopnie naraz. Najpierw jednak wszedł do własnej garderoby, żeby wysuszyć włosy i ściągnąć buty, nie wzywając nawet służącego. Garderoba Vanessy przytykała do jego własnej. Przeszedł przez pokój, stąpając cicho na wypadek, gdyby spała - i tak zamierzał ją obudzić za parę minut.

Drzwi do jej sypialni były lekko uchylone. Otworzył je powoli, nie pukając.

Nie spała. Siedziała na kozetce, plecami do niego, z pochyloną głową. Czytała? Przeszło mu przez myśl, żeby podejść na palcach i pocałować ją w kark.

Jak by się zachowała? Krzyknęłyby? Roześmiałyby się?

Wzruszyła ramionami, wzdychając zmysłowo?

Pociągnęła nosem.

Zrozumiał, że płacze. Łkała z rozpaczy.

Elliott zamarł. W pierwszym odruchu chciał porwać ją w ramiona i zapytać, co ją wytrąciło z równowagi. Vanessa tak była pochłonięta żalem, że nie zwracała uwagi na to, co się działo wokół.

Potem, kiedy już miał dotknąć ręką jej ramienia, położyła coś na poduszce obok siebie i nagle stwierdził, że jest to miniaturowy portret delikatnego, niemal pięknego młodego mężczyzny.

W jednej chwili Elliott domyślił się, że ów młody człowiek musiał być Hedleyem Dew. Jego poprzednikiem.

Ogarnął go gniew.

Wściekła złość.

Zimna złość.

Wyciągnął z kieszeni czystą chusteczkę i podał Vanessie bez słowa.

Osuszyła oczy i wytarła nos, a on wszedł dalej do pokoju i stanął przy oknie, tyłem do Vanessy, z rękami złożonymi na plecach. Poprzez zasłonę deszczu patrzył na park, jezioro i mały dom nad jego brzegiem.

Ale, w gruncie rzeczy, niczego nie widział.

Nie był w stanie pojąć, dlaczego tak się rozgniewał. Oboje

zawarli to małżeństwo bez złudzeń. Dla obojga było to małżeństwo z rozsądku.

- Przypuszczam - odezwał się, kiedy pociąganie nosem i wydmuchiwanie ucichło - że kochałaś go nad życie.

Nawet nie próbował ukryć ironii.

- Kochałam go - przyznała po dłuższej przerwie. - Elliott...

- Proszę, nie czuj się zobowiązana do wyjaśnień. To niepotrzebne i byłyby to zapewne same kłamstwa.

- Nie muszę kłamać - odparła. - Kochałam go i straciłam, a teraz jestem twoją żoną. I to wszystko. Nie musisz...

- I uznałaś za stosowne sprowadzić jego portret do mojego domu - zauważył - i płakać nad nim w skrytości.

- Tak. Przywiozłam go ze sobą. Stanowił dużą część mojej przeszłości. Był - i jest - częścią mnie. Nie miałam pojęcia, że wrócisz tak wcześnie. Ani że wejdiesz do mojego pokoju, nawet nie pukając.

Odwrócił się gwałtownie, patrząc na nią lodowatym wzrokiem. Wciąż siedziała na kozetce z jego chusteczką zwiniętą w dłoni. Na twarzy miała wypieki. Nie wyglądała ładnie.

- Muszę pukać, wchodząc do pokoju żony?

Jak to miała w zwyczaju, odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Gdybym weszła do twojego pokoju bez pukania - spytała - czy czułbyś się dobrze? Zwłaszcza jeśli robiłbyś coś, czego nie

chciałbyś mi pokazywać?

- To całkiem co innego. Oczywiście, że nie czułbym się dobrze.

- Ale mnie nie wolno? Ponieważ jestem tylko kobietą? Jedynie żoną? Jedynie rodzajem lepszej służącej? Nawet służba potrzebuje trochę prywatności.

W jakiś sposób odwracała sytuację. To ona robiła jemu wyrzuty. Atakowała go.

Przez ostatnich kilka dni, jak sobie uświadomił, liczyła się tylko miłość fizyczna. Zgodnie z jego zamierzeniem. Nie było sensu oburzać się na coś, o czym wiedział - i czego chciał.

Z pewnością nie chciał, żeby się w nim zakochała.

Ale i tak...

- Twojemu życzeniu stanie się odtąd zadość, pani - rzekł, kłaniając się sztywno. - Ten pokój pozostanie twoją prywatną domeną z wyjątkiem tych okazji, kiedy tu wejdziesz, aby egzekwować swoje prawa małżeńskie. A nawet wtedy najpierw zapukam i możesz wysłać mnie do wszystkich diabłów, jeśli nie będziesz chciała mnie przyjąć.

Przechyliła głowę na bok, przyglądając mu się przez kilka chwil w milczeniu.

- Kłopot z mężczyznami - stwierdziła - polega na tym, że nie są w stanie dyskutować spokojnie i racjonalnie. Nigdy nie

słuchają. Robią tylko dużo szumu, obrażają się i wygłaszają oświadczenia. To najbardziej nieracjonalne ze wszystkich istot. Nic dziwnego, że toczy się tyle okrutnych wojen.

- Mężczyźni toczą wojny - rzucił przez zaciśnięte zęby - żeby uczynić świat bezpiecznym dla swoich kobiet.

- Och, bzdura! - wykrzyknęła.

Powinna, rzecz jasna, okazać pokorę i milczeć, gdy on mówił, odpowiadać na pytania jedynie monosylabami. Wówczas mógłby wymaszerować z pokoju bez poczucia urażonej dumy, zamiast skakać z tematu na temat.

Ale to była Vanessa, zaczynał rozumieć, że nie należy po niej oczekiwać zachowania właściwego dla dam, z jakimi miał zwykle do czynienia.

A on był jej mężem. Pretensję mógł mieć tylko do siebie.

- Gdyby mężczyźni naprawdę chcieli sprawić swoim kobietom przyjemność - oznajmiła - rozmawialiby z nimi.

- Pani - odparł - możesz sądzić, że odwrócisz moją uwagę. Ale to się nie uda. Nie żądam tego, czego nie możesz mi dać i czego ja nawet nie chcę, nie domagam się twojej miłości. Ale domagam się twojej bezwzględnej wierności. To moje prawo jako męża.

- Masz ją - odparła. - I po to, żeby ją mieć, nie musisz marszczyć się tak groźnie ani zwracać się do mnie pani, tak

jakbyśmy się dopiero poznali.

- Nie mogę i nie będę rywalizować ze zmarłym - oświadczył.

- Nie wątpię, że kochałaś go ogromnie, Vanesso, i że jego odejście w tak młodym wieku było dla ciebie okrutnym ciosem. Ale teraz jesteś moją żoną i spodziewam się, że publicznie będziesz okazywać mi oddanie.

- Publicznie? Ale prywatnie nie muszę go okazywać? Prywatnie mogę być uczciwa i okazywać obojętność albo niechęć, albo nienawiść czy też jakiegokolwiek inne uczucie, jakie mnie ogarnie?

Patrzył na nią zdesperowany.

- Chciałabym - wyznała - żebyś pozwolił mi wyjaśnić.

- To, co zastałem, kiedy naruszyłem twoją prywatność i wszedłem tutaj? Wolałbym, doprawdy, żebyś tego nie robiła.

- Crispin Dew się ożenił - oznajmiła.

Patrzył na nią w milczeniu. Czy powiedziała to zupełnie bez związku, czy też w pokrętnym sposobie myślenia jego żony istniał jakiś logiczny związek z tym, o czym mówili przedtem?

- Kate powiedziała mi o tym dziś rano. Lady Dew dostała od niego list, kiedy była jeszcze w Warren Hall. Ożenił się z Hiszpanką, tam, gdzie stacjonuje jego regiment.

- I, jak przypuszczam - zauważył - twoja starsza siostra ma złamane serce. Choć dlaczego tak jest, nie rozumiem. Jeśli odszedł

cztery lata temu i nie odezwał się do niej ani słowem, powinna się czegoś takiego spodziewać.

- Jestem pewna, że tak było - powiedziała. - Ale myśleć, że coś może się zdarzyć, i fakt, że to się właśnie zdarzyło, to dwie różne rzeczy.

Doznał nagle olśnienia.

- Zatem mogła jednak wyjść za mnie - stwierdził.

- Tak - przyznała.

W końcu dostrzegł związek.

- Uświadomiłaś to sobie, kiedy wyszedłem po południu - powiedział. - Uświadomiłaś sobie, że ten list przyszedł za późno. Nie musiałaś składać się w ofierze na ołtarzu małżeństwa.

- Biedna Meg - odparła, nie przyjmując ani nie odrzucając oskarżenia. - Tak bardzo go kochała. Ale upierała się, żeby zostać z nami, kiedy on chciał się z nią ożenić i zabrać ze sobą. Nie pozwoliłaby mi zająć swojego miejsca.

- Nie wtedy - uściślił. - Tym razem jednak nie miała wyboru. Odbyłaś ze mną rozmowę, zanim się dowiedziała, co zamierzasz zrobić.

- Elliotcie, chciałabym prosić, żebyś mi co chwila nie przerywał.

- Ha! - Machnął ręką. - Teraz to ty chcesz złożyć oświadczenie i unikasz racjonalnej dyskusji.

- Ja tylko próbuję wyjaśnić.

Złożył dłonie za plecami i pochylił się ku niej lekko.

- Wyjaśnij zatem, jeśli musisz. Nie przerwę ci.

Popatrzyła na niego, wzdychając. Mięła w dłoniach chusteczkę. Odłożyła ją zdecydowanie na bok, zerknęła na miniaturkę, która wciąż leżała na poduszce obok, i odwróciła ją portretem w dół.

- Bałam się, że o nim zapomnę. I rozumiałam, że byłoby lepiej, gdybym zapomniała. Jestem twoją żoną i jestem ci winna to, co dałam jemu: bezwzględną uwagę, wierność i poświęcenie. Ale bałam się, Elliotcie. Był moim życiem przez jedyny rok naszego małżeństwa, tak jak ty będziesz moim życiem znacznie, mam nadzieję, dłużej. Muszę o nim zapomnieć, ale to się wydaje niewłaściwe. On nie zasługuje na to, żeby o nim zapomnieć. Kochał mnie bardziej, niż to sobie wyobrażałam. I miał tylko dwadzieścia trzy lata, kiedy umarł. Jeśli o nim zapomnę, to miłość także może umrzeć, a ja zawsze wierzyłam, że miłość jest czymś stałym, jedyną rzeczą, która nie umiera w tym życiu, a nawet przez wieczność. Płakałam, ponieważ muszę o nim zapomnieć. A nie chcę, aby tak się stało.

Powiedział, że nie będzie rywalizować z umarłym. Ale jednak tak się stało, czyż nie?

Jak się wydaje, kobiecie nie można rozkazać, żeby nie

kochała. Tak samo, jak nie da się rozkazać, żeby kochała.

- Zabiorę portret do Warren Hall - powiedziała. - A jeszcze lepiej, odeślę go do Rundle Park. Lady Dew dała mi go po śmierci Hedleya i pewnie ucieszy się, dostając go z powrotem. Powinnam była pomyśleć, żeby go jej oddać przez ślubem, ale nie przyszło mi to do głowy. Dochowam przysięgi, jaką tobie złożyłam, Elliotcie. I nie będę więcej płakać nad Hedleyem. Ukryję go w sekretnym kąciuku serca z nadzieją, że całkiem o nim nie zapomnę.

Przysięga małżeńska. Ze będzie go kochać, szanować i być mu posłuszną.

Nie chciał jej miłości. Nie spodziewał się posłuszeństwa - wątpił, żeby była do niego zdolna. Tak więc pozostawał szacunek.

Prywatnie obiecała mu więcej - wygodę, przyjemność, szczęście.

I dała mu to wszystko w ciągu trzech dni po ślubie. A on, jak głupiec, brał, nie pytając.

Ona tylko spełniała obietnicę.

I chociaż nie wątpił, że dał jej fizyczną przyjemność, zrozumiał teraz, że cieszyła się jedynie tym, czego pozbawiła ją choroba pierwszego męża.

Chodziło tylko o seks.

Nic innego.

Tak samo, jak dla niego. Tak, jak zamierzał i chciał. Nie

pragnął niczego więcej.

Dlaczego więc, do wszystkich diabłów, mimo że jego gniew już się prawie rozwiął, czuł się, jakby przygniatał go ogromny kamień?

Jego żona dotrzyma przynajmniej części ślubów małżeńskich.

On także.

Hedleya Dew z pewnością żadne z nich nie wspomni więcej na głos. Będzie go kochać w skrytości serca, dochowując wierności drugiemu mężowi.

Skłonił się ponownie.

- Pożegnaj cię teraz. Mam pewne sprawy do załatwienia. Czy mogę zasugerować, żebyś umyła twarz, zanim pokażesz się służbie? Zobaczymy się przy kolacji. A później w nocy odwiedzę na krótko twoją sypialnię, zanim pójdę do siebie.

- Och, Elliotcie - westchnęła. - Nie zdołałam ci tego wyjaśnić, prawda? Może dlatego, że sama sobie nie potrafię tego do końca wyjaśnić. Wiem tylko, że to nie jest tak, jak myślisz, ani tak, jak wyraziłam to słowami.

- Być może kiedyś w przyszłości będziesz w stanie napisać książkę. Odpowiadałaby ci romantyczna powieść pełna niezrozumiałych pasji, górnolotnych emocji i pompy.

Mówiąc to, przeciął pokój i wszedł do garderoby Vanessy,

zamykając starannie za sobą drzwi, po czym udał się do swojej i także zamknął drzwi.

Znowu był zły. Miał wrażenie, że w jakiś sposób zrobił z siebie durnia. Nie pozwoliła narzucić sobie reguł, jakie miały, w jego przekonaniu, obowiązywać w tym małżeństwie. Zamiast tego zwabiła go w słowne labirynty i sprawiła, że poczuł się jak nadęty głupiec.

Czy był taki w istocie?

Ściągnął gniewnie brwi.

Czy należało wziąć żonę w ramiona i szeptać jej słodkie słowa pociechy, podczas gdy wypłakiwała sobie oczy nad mężczyzną, którego kochała, a który przypadkiem nie był nim?

I do tego nie żył.

Niech to diabli. Do czego doprowadziło go to małżeństwo?

Spojrzał za okno sypialni i stwierdził, że deszcz pada coraz mocniej. A wiatr kołysze gałęziami drzew.

Pogoda jak dla niego.

Dziesięć minut później wyjeżdżał ze stajni konno.

Dokąd jechał?

Nie miał pojęcia. Gdzieś daleko od Vanessy i tego małżeństwa. I tego koszmarnego portretu delikatnego, pięknego chłopca, z którym nie chciałby rywalizować, nawet jeśli byłoby to możliwe.

Mogła go kochać z jego błogosławieństwem.

Do diabła z nią.

I z Hedleyem Dew także.

Kiedy zrozumiał, że myśląc w ten sposób, zachowuje się dziecinnie, spiął konia do galopu i zdecydował, że nie okrzyki żywopłotu przed sobą, ale go przeskoczy.

Skoro zachowywał się dziecinnie, to równie dobrze mógł postępować lekkomyślnie.

To wszystko było absolutnie okropne.

Po pierwsze, jej twarz jakoś nie chciała wrócić do normalnego stanu. Im dłużej obmywała ją zimną wodą i smarowała kremem, tym bardziej podpuchnięte wydawały się jej oczy, a policzki bardziej czerwone.

W końcu dała za wygraną i zaczęła chodzić sprężystym krokiem po domu, z promiennym uśmiechem na twarzy, choć patrzyły na nią jedynie portrety na ścianach i marmurowe popiersia.

Wrócił do domu i pojawił się w salonie tylko na kilka chwil przed kolacją. Weszli do jadalni i przez całą godzinę prowadzili wymuszoną konwersację na użytek służby. Vanessa uważała, aby uśmiech nie schodził z jej twarzy.

Usiedli potem w salonie, po obu stronach kominka, z lekturą. Liczyła, ile razy odwrócił kartkę w ciągu następnej półtorej

godziny - cztery razy. Za każdym razem pamiętała, żeby odwrócić stronę w swojej książce, zmienić pozycję i uśmiechnąć się z zadowoleniem.

Dopiero po pół godzinie zauważyła, że wzięła modlitewnik.

Przybrała poważniejszy wyraz twarzy.

Mniej więcej w tej samej chwili zastanowiła się, dlaczego właściwie wszedł do jej sypialni bez pukania - i dlaczego wrócił wcześniej do domu. Czy może...

Kiedy jednak spojrzała na niego, marszczył czoło nad książką i zupełnie nie kojarzył jej się z namiętym kochankiem.

Kiedy wreszcie nadeszła pora, żeby pójść do łóżka, odprowadził ją do drzwi garderoby, pochylił się nad jej dłonią i zapytał - och, tak, naprawdę zapytał! - czy wolno mu będzie wkrótce złożyć jej wizytę.

Przyszedł, a ona leżała na łóżku, zastanawiając się, co mogłaby powiedzieć czy zrobić, żeby naprawić sytuację. Ale jedyne, co zrobiła, to uśmiechnęła się do niego, podczas gdy on zgasił świecę - po raz pierwszy od czasu ślubu.

Kochał się z nią bez pieszczot i pocałunków, szybko i pożądliwie. Skończył na długo przedtem, zanim mogła nawet pomyśleć o przyjemności, jakiej doznawała zawsze podczas ich poprzednich trzynastu razy, a która teraz nie nadeszła.

Pozostała z bólem niezaspokojonej tęsknoty.

Wstał z łóżka zaraz potem, włożył szlafrok i wyszedł przez jej garderobę.

Zanim zamknął drzwi, podziękował jej.

Podziękował.

Odczuła to jako ostateczną zniewagę.

I była to zniewaga. To wszystko razem. Jak przypuszczała, w pełni zamierzona.

Jeśli interesowała ją tylko pozycja żony i posiadanie dzieci, wydawało się mówić jego zachowanie tego wieczoru i w nocy, to on był szczęśliwy, dając jej to, czego chciała.

Mężczyźni są tacy głupi.

Albo, jeśli było to zbyt uogólnienie, krzywdzące dla niezliczonych tysięcy osobników płci męskiej, ujmie to inaczej.

Elliott Wallace, wicehrabia Lyngate, jest głupcem!

Tyle że to wszystko było z jej winy.

Choć o tym nie wiedział i nigdy by się do tego nie przyznał, zraniła go.

Nie wiedziała jednak, co z tym zrobić. Coś musiała zrobić. Była mu winna coś więcej niż łzy nad innym mężczyzną zaledwie cztery dni po ślubie.

Była mu winna to, co obiecała. Byłaby mu to winna, nawet gdyby nie składała obietnicy.

Poza tym nie chciała, żeby wspomnienie miesiąca

miodowego odeszło w przeszłość, słodkie wspomnienie czegoś, co mogło nie powtórzyć się już nigdy. Była szczęśliwa przez te trzy dni i miała też całkowitą pewność, że on także - choć bez wątpienia nie przyznałby się do tego szczególnego uczucia nawet na torturach.

Byli szczęśliwi.

Czas przeszły.

Jej zadaniem jest przywrócenie temu stwierdzeniu czasu teraźniejszego z jasnymi perspektywami na czas przyszły.

Dla dobra ich obojga.

Wygodnie byłoby zadowolić się czymś w rodzaju połowicznego małżeństwa. Vanessa zaczęła podejrzewać, że większość małżeństw, przynajmniej wśród ludzi z towarzystwa, tak właśnie wygląda.

Co wydawało się zupełnie zrozumiałe w sferze, w której pary dobierały się ze względów praktycznych.

Ona jednak zaznała innego pożycia i nie zamierzała zadowolić się pozorami.

Po wyjeździe do Londynu rzadko widywała Elliotta. Wychodził po śniadaniu i wracał późnym popołudniem. A jeśli nawet był w domu, to jednocześnie z matką i młodszą siostrą.

Jedynie w nocy Vanessa była z nim sam na sam; odbywali wówczas krótki rytuał fizycznej miłości, jeśli można tak to nazwać. Usiłował splodzić z nią dziedzica, a ona próbowała cieszyć się tymi krótkimi chwilami. Miała nadzieję, że on odnosi większy sukces niż ona. Zaraz potem wracał do siebie. Wychodząc, zawsze jej dziękował.

Traktował ją z chłodną kurtuazją; jego matka westchnęła, kiedy pewnego ranka po śniadaniu wyszedł z pokoju.

- A taką miałam nadzieję, że Elliott będzie inny - westchnęła.
- Inny? - Vanessa spojrzała na nią, unosząc brwi.
- Mężczyźni z rodu Wallace są zawsze dzicy i szaleni przed

ślubem - wyjaśniła lady Lyngate - a potem zachowują się nienagannie pod każdym względem, przynajmniej na zewnątrz. Bardzo starannie dobierają sobie żony i traktują je z najwyższą kurtuazją. Nigdy nie żenią się z miłości. Podobne uczucia byłyby poniżej ich godności i za bardzo ograniczałyby ich wolność. Trudno mężczyźnie zerwać z rodzinną tradycją, zwłaszcza jeśli rodzina jest tak świetna, jak ta. Jednak myślałam, że Elliott się na to zdobędzie. Może zawsze wierzymy, że syn będzie inny niż ojciec. I zawsze, rzecz jasna, z całej duszy pragniemy, aby był szczęśliwy.

Te słowa podziały jak wiadro zimnej wody.

- Wciąż zamierzam uczynić go szczęśliwym - zapewniła Vanessa, pochylając się nad stołem. - To ja sprawiłam, że jest nieszczęśliwy. Albo że przynajmniej uraziłam jego dumę. Trzy dni po ślubie zrywał ze mną żonkile - ogromne naręcza kwiatów. A kiedy wróciliśmy do domu, nalewał wodę do wazonów i pomagał ustawiać je w pokojach.

- Elliott to robił? - zdumiała się lady Lyngate.

- A następnego dnia - dodała Vanessa - zastał mnie we łzach. Płakałam nad portretem mojego zmarłego męża, ponieważ przez całe trzy dni byłam szczęśliwa, ale czułam się winna i bałam się, że mogę o nim zapomnieć.

- O mój Boże. - Teściowa, marszcząc brwi. - Czy wyjaśniłaś

to Elliottowi?

- Tak - odparła Vanessa. - Przynajmniej tak mi się wydawało. Chociaż samej sobie nie bardzo potrafiłam tego wyjaśnić. Ale on najwidoczniej nie zrozumiał. A jednak uczynię go szczęśliwym. Jestem tego pewna.

Z łatwością można było zagubić się w wirze londyńskiego życia. Codziennie było mnóstwo zajęć - zakupy, biblioteka, popołudniowe wizyty w towarzystwie teściowej i szwagierki, odwiedziny w Merton House przy Berkeley Square u rodzeństwa, przeglądanie niezliczonej liczby zaproszeń i wybieranie najciekawszych, z których można będzie, oczywiście, skorzystać dopiero po prezentacji u dworu. I sama prezentacja, która spędzała jej sen z powiek - oraz bal tego samego wieczoru. Na tym balu miała zadebiutować Cecily, ale w pewien sposób miał to być debiut Vanessy, a także Meg i Kate.

Należało spotkać się z wieloma osobami, zapamiętać ich twarze i nazwiska.

Spotykała się na ogół z kobietami. Vanessa odnosiła wrażenie, że damy i dżentelmeni z towarzystwa prowadzili na co dzień odrębne życie, a spotykali się jedynie przy okazji takich wydarzeń, jak bale, pikniki i koncerty. Najbliższy bal miał być właśnie taką okazją.

Mogła dać się porwać nowemu życiu i dosłownie zapomnieć

o Elliotcie, który przepadał gdzieś na całe dni.

Ale tęskniła za nim. Wiele rozmawiali podczas trzech dni „miesiąca miodowego”, kiedy razem spędzali czas. Kochali się często i długo. Spali razem.

Nawet wtedy nie był to idealny związek. Czuła jego rezerwę, jego niechęć do tego, żeby zapomnieć o wszystkich troskach i po prostu cieszyć się życiem. Ale była to tylko częściowa rezerwa. Miała wrażenie, że on także był wtedy szczęśliwy, choć sam nigdy by się do tego nie przyznał.

Tak więc istniała nadzieja na coś więcej.

Teraz nie był szczęśliwy, w każdym razie nie w domu.

A to wszystko z jej winy.

Mogła się zadowolić takim połowicznym małżeństwem, mogła znajdować przyjemność, wypełniając sobie czas różnymi zajęciami.

Ale to jej nie wystarczało.

Rano, w przeddzień prezentacji na dworze, usłyszała, że wychodził z garderoby. Było bardzo wcześnie. Zawsze wstawał wcześnie, żeby spędzić trochę czasu w biurze z panem Bowenem, potem znikał z domu na resztę dnia, zajmując się sprawami, o których nie miała pojęcia.

Matka, a czasami nawet Cecily, jadły z nim śniadanie. Jej też się to zdarzało, ale wówczas nie było możliwości, żeby szczerze

porozmawiać.

Vanessa pobiegła do swojej garderoby, ściągając po drodze nocną koszulę. Nie zadzwoniła po pokojówkę. Umyła się szybko w zimnej wodzie i pośpiesznie włożyła bladoniebieską suknię. Przeciągnęła szczotką po włosach, spojrzała na swoje odbicie w dużym lustrze, chcąc się upewnić, czy nie wygląda okropnie, po czym zbiegła na dół za mężem.

Był w gabinecie, tak jak się spodziewała. Trzymał w dłoni otwarty list, choć go nie czytał. Rozmawiał z panem Bowenem. W stroju do konnej jazdy i wysokich butach, wyglądał doskonale.

Odwrócił się, kiedy stanęła w drzwiach, i uniósł brwi ze zdumienia.

- Ach, moja droga - powitał ją. - Wcześnie dziś wstałaś. Ostatnio publicznie zwracał się do niej „moja droga”. To było żałośnie nieprawdziwe.

- Nie mogłam spać.

Skinęła głową panu Bowenowi, który podniósł się zza biurka.

- Czym mogę ci służyć? - zapytał Elliott.

- Mógłbyś pójść ze mną do biblioteki - odparła. - Chciałabym z tobą porozmawiać.

Pochylił głowę.

- Później podyktuję odpowiedź, George - zwrócił się do swego sekretarza, machając listem w powietrzu i odkładając go na

biurko. - Nie ma szczególnego powodu do pośpiechu.

Ujął ją za łokieć i wprowadził do sąsiedniego pokoju, gdzie ogień płonął już wesoło na kominku.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Vanesso? - zapytał, wskazując skórzany fotel obok kominka i stając tyłem do ognia. Był uprzejmy, ale lekko zniecierpliwiony.

Usiadła.

- Pomyślałam, że moglibyśmy porozmawiać. Rzadko kiedy mamy okazję.

Ponownie uniósł brwi.

- Nie przy kolacji? Ani później w salonie?

- Twoja matka i siostra zawsze tam są. Miałam na myśli tylko nas oboje, ciebie i mnie.

Popatrzył na nią uważnie.

- Potrzebujesz więcej pieniędzy? - zapytał. - W każdej chwili możesz powiedzieć o tym George'owi. Nie możesz mnie posądzać o skąpstwo.

- Nie, oczywiście, że nie - odparła. - Nic nie wydałam z tego, co mi dał dwa dni temu. Och, z wyjątkiem subskrypcji w bibliotece. Rozejrzałam się po sklepach, ale naprawdę nie znalazłam niczego, czego bym potrzebowała i co nie stanowiłoby zbyt dużego wydatku. Już w tej chwili mam więcej sukien niż kiedykolwiek w życiu.

Wciąż jej się przyglądał i uświadomiła sobie, w jak niedogodnej pozycji ją usadowił - celowo? Ona siedziała, podczas gdy on stał. Górował nad nią.

- Nie o pieniądzach chciałam rozmawiać - oznajmiła - ale o nas, o naszym małżeństwie. Myślę, że cię zraniłam.

Spojrzał na nią zimno.

- Sądzę, pani, że nie masz takiej mocy.

Zatem miała rację. Ktoś, kto został zraniony, często próbował odpłacić pięknym za nadobne - i to w dwójnasób.

- Jeśli to wszystko, co miałaś do powiedzenia, to proszę, żebyś...

- Oczywiście, że nie wszystko. Boże! Elliotcie, czy przez resztę naszego małżeńskiego życia mamy zachowywać się w ten sposób, tak jakbyśmy nie byli dla siebie nikim więcej, jak tylko obcymi ludźmi traktującymi się nawzajem z chłodną uprzejmością? Jeszcze parę dni temu puszczałeś kaczki nad jeziorem w Finchley Park, ja wiosłowałam, kręcąc się w kółko i razem zrywaliśmy żonkile. Czy to nic dla ciebie nie znaczyło?

- Z pewnością nie oczekiwałaś, że tych kilka dni będzie czymś więcej niż dość przyjemnym interludium przed powrotem do normalnego życia...

- Ależ naturalnie, że oczekiwałam - powiedziała. - Elliotcie...

- A teraz chciałbym życzyć ci miłego przedpołudnia. Czy

mam cię odprowadzić do saloniku? Może moja matka zdążyła już zejść na dół.

Podał jej ramię.

- Te trzy dni i noce - a właściwie cztery noce - to był najcudowniejszy czas mojego życia. - Pochylając się nieco na krześle i patrząc mu prosto w oczy. Widziała, jak wciąga powietrze, żeby odpowiedzieć, ale nie pozwoliła sobie przerwać. - Kochałam Hedleya. W gruncie rzeczy uwielbiałam go. Umarłabym zamiast niego, gdyby to było możliwe. Ale nigdy nie byłam w nim zakochana. Nigdy... - Przełknęła ślinę i zamknęła oczy. Nigdy przedtem nie mówiła o tym głośno. Starła się najusilniej, aby nawet o tym nie myśleć. - Nigdy mnie nie podniecał. Nigdy nie pragnęłam go w ten sposób. Był moim najdroższym przyjacielem na świecie. - Zapadło okropne milczenie. - Ale on kochał mnie ogromnie - ciągnęła z trudem. - Oczywiście, nie z powodu mojej urody. Myślę, że to sprawiła moja wesołość, śmiech i to, że chciałam z nim być. Był taki chory i słaby. Gdyby był zdrowy i silny, pewnie nie kochałby mnie wcale, chociaż zostałby moim przyjacielem. Zakochałby się w jakiejś ładniejszej dziewczynie.

Elliott nie odzywał się, a ona spuściła wzrok. Patrzyła na swoje ręce, w których czuła teraz silne mrowienie.

- Ty jesteś potężny, silny i zdrowy. To, co zdarzyło się

między nami, było... cóż. Nigdy w życiu nie odczuwałam takiej przyjemności. A potem, kiedy wróciliśmy do pałacu i dowiedziałam się o Crispinie, i uświadomiłam sobie, jaka Meg musi być okropnie nieszczęśliwa, ty wyszedłeś na całe popołudnie, byłam sama i padał deszcz, i cóż, przypominałam sobie o Hedleyu. I przypominałam sobie, że włożyłam jego portret do kufra, kiedy wyjeżdżałam z Warren Hall. I wtedy go wyjęłam. Myślałam o nim i opłakiwałam jego wczesną śmierć i to, że nigdy nie kochałam go w taki sposób, jak on myślał, że kocham. Czułam się winna, że z tobą było mi tak dobrze, podczas gdy z nim nigdy nie czułam czegoś podobnego. A potem z kolei ogarnęło mnie poczucie winy z tego powodu, że w ogóle czułam się winna, ponieważ nie powinnam czuć się winna dlatego, że jest mi dobrze z kolejnym mężem, prawda? W istocie powinnam choćby próbować cieszyć się wszystkim. I zaplątałam się w słowach, kiedy tak bardzo chciałam ci to wszystko jasno wytłumaczyć.

Przerwała i słuchała, jak wciągnął głęboko powietrze, a potem je wypuścił.

- Obawiam się, że niezbyt dobrze sobie radzę z dramatami rodem ze szkoły dla panienek w Cheltenham - zauważył. - Mam się zatem czuć uszczęśliwiony, ponieważ nie byłaś zakochana w Dew, chociaż go kochałaś? Domyślam się, że jest jakaś różnica? Mam być podwójnie uszczęśliwiony z tego powodu, że budziłem

w tobie takie pożądanie w ciągu tych trzech dni po ślubie - i udało mi się je zaspokoić tak - że zupełnie zapomniałaś o człowieku, którego kochałaś, ale w którym nigdy nie byłaś zakochana?

Udało mu się jej wyznanie uczynić banalnym. Obnażyła przed nim duszę, a on pozostał zimny.

Podniosła wzrok. Patrzył wprost na nią.

- Mam nadzieję, że nie jesteś zakochana we mnie, czyż tak? - zapytał.

W tej chwili go nienawidziła.

- Nie, oczywiście, że nie. Poślubiłam cię, żeby zapewnić siostrze wejście do towarzystwa, tak jak ty ożeniłeś się ze mną, żeby rozwiązać problem, jakim byłyśmy dla ciebie wszystkie trzy, i żeby spłodzić dziedzica. Ale nawet małżeństwo z rozsądku nie musi być nieszczęśliwe, Elliotcie, ani też takie, w którym małżonkowie rzadko kiedy rozmawiają czy spędzają razem czas. Chcę, żebyśmy byli dobrym małżeństwem. Wiem, że mogłeś wybrać dużo piękniejszą i bardziej odpowiednią kobietę, gdybyś dłużej zwlekał, ale to ty uznałeś, że nie chcesz czekać. Co innego mogłam zrobić, kiedy szedłeś oświadczyć się Meg, jak tylko ofiarować siebie na jej miejsce?

Patrzył na nią przymrużonymi oczami.

- Może lepiej, że nie jesteśmy w sobie zakochani - przyznała.

- Wtedy może nawet nie próbowalibyśmy być szczęśliwi.

Zaufalibyśmy euforii, jaką z pewnością niesie miłość, i nie zadawalibyśmy sobie trudu, żeby stworzyć trwałą, przyjazny związek. Ale możemy być znowu szczęśliwi, jeśli się postaramy.

- Znowu? - Uniósł brwi. - A w jaki sposób mielibyśmy się postarać, Vanesso? Jeśli spodziewasz się, że co chwila będę mówił o swoich uczuciach, to czeka cię rozczarowanie. To dobre wyłącznie dla kobiet.

- Cóż, na początek - odparła - z pewnością nie musisz codziennie wychodzić z domu na tyle godzin. Ani ja. Czasami moglibyśmy robić razem coś, co dałoby nam obojgu przyjemność.

- Na przykład pójście do łóżka? - zapytał.

Nie odwróciła wzroku, chociaż czuła, że jej policzki płoną.

- Na dłużej niż pięć minut za jednym razem? - spytała. - To już byłoby coś. Chociaż udany związek opiera się na czymś więcej. Jutro ma być bal, oczywiście, ale to tylko jedna rzecz i z pewnością będzie okropnie oficjalny. Ale codziennie przeglądam z twoją matką stopy zaproszeń. Czy nie moglibyśmy we dwoje wybrać kilku, które by nam odpowiadały?

Schylił głowę, nic nie mówiąc.

- Do małżeństwa niełatwo się przyzwyczaić - powiedziała. - I sądzę, że dla mężczyzn jest to często trudniejsze. Kobiety zwykle są od kogoś zależne i myślą o innych tak samo jak o sobie. Mężczyźni nie.

- A zatem jesteśmy samolubnymi łajdakami? - zapytał.

Była zaszokowana. Nigdy dotąd nie wypowiedziano przy niej na głos tego rodzaju słów.

Uśmiechnęła się powoli.

- Skoro takie są pozory... - stwierdziła.

Przez chwilę w jego oczach pojawił się błysk, który mógł oznaczać rozbawienie.

- Czy widziałaś kolekcję Towneleya w Muzeum Brytyjskim?

- zapytał.

- Nie.

- To starożytne rzeźby. Niektóre damy nie chciałyby ich oglądać, a niektórzy mężczyźni nie zabraliby ich tam, nawet jeśli by wyraziły takie życzenie. Nie są... hm... ubrane. Szczerze mówiąc, są szokująco nagie. Stwarzają jednak wspaniałą okazję, żeby zbliżyć się do jednej z największych cywilizacji świata. Chciałabyś pójść?

Otworzyła szeroko oczy.

- Teraz?

- Przypuszczam - obrzucił ją wzrokiem - że najpierw będziesz chciała zjeść śniadanie i przebrać się w coś bardziej stosownego.

Skoczyła na równe nogi.

- Kiedy mam być gotowa? - zapytała.

- Za godzinę?

- Będę gotowa za pięćdziesiąt pięć minut - oznajmiła, posyłając mu promienny uśmiech i wybiegając z pokoju.

Miała wyjść z Elliottem!

Zabierał ją, żeby obejrzała kolekcję Towneleya, cokolwiek to było. Byłaby zachwycona, oglądając pole błota, jeśli miałby ochotę ją tam zabrać.

Wpadła do garderoby i zadzwoniła na pokojówkę.

Zapytał, czy była w nim zakochana - dodając, że ma nadzieję, że nie.

A była?

To by skomplikowało życie, które i bez tego okazało się trudne.

Czy była zakochana? W Elliotcie?

Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. A może nie chciała.

Nagle jednak poczuła pod powiekami piekące łzy.

- Przejrzałem pocztę - rzekł George Bowen, kiedy Elliott wrócił do gabinetu. - Zaproszenia do przejrzania dla dam są w tym stosiku. Listy, którymi sam mogę się zająć, leżą tutaj. Te, które wymagają twojej uwagi, położyłem tutaj. Ten na wierzchu...

- .. będzie musiał poczekać - przerwał Elliott, nie patrząc na stos korespondencji ani na sekretarza. - Spędzę przedpołudnie z wicehrabiną.

Nastąpiła krótka przerwa.

- Ach, tak - odezwał się George, poprawiając z największą starannością trzeci stosik listów.

- Zabieram ją do Muzeum Brytyjskiego na wystawę zbioru Towneleya - wyjaśnił Elliott. Później żałował, że dodał jeszcze: - Pani życzy sobie, żebyśmy spędzali razem więcej czasu.

- Niektóre żony takie są - stwierdził George, przygotowując pióro do pisania, choć nie wydawało się, żeby miał go użyć natychmiast. - Tak słyszałem.

- Muszę iść na górę, żeby się przebrać - powiedział Elliott.

- Tak jest. - Przyjaciel przyjrzał mu się krytycznie od stóp do głów. - Czy mogę coś zasugerować, Elliotcie?

Elliott podchodził już do drzwi. Westchnął, obejrzawszy się przez ramię.

- Przypuszczam, że pomysł pójścia do muzeum na tę wystawę wyszedł od ciebie - powiedział George. - To dobry pomysł. Ale zabierz ją później do Guntera. Przypuszczam, że nigdy nie próbowała lodów. Spodoba jej się. Uzna to za romantyczny gest z twojej strony.

Elliott odwrócił się twarzą do sekretarza.

- Czy stałeś się nagle znawcą romantycznych gestów, George? - zapytał.

Sekretarz odchrząknął.

- Nie trzeba być znawcą - odparł. - Wystarczy obserwować damy, żeby wiedzieć, co im sprawia przyjemność. A założę się, że twojej damie łatwo sprawić przyjemność. To takie radosne stworzenie. Cieszy się, nawet jeśli nie ma szczególnych powodów do radości.

- Chcesz mi coś dać do zrozumienia, George? - zapytał jego chlebodawca ze złowieszczym spokojem.

- Kłopot z tobą - stwierdził George - polega na tym, że nie masz w sobie krzyny romantyzmu, Elliott. Jedyne, co potrafisz, jeśli chodzi o kobiety, to iść z nimi do łóżka. Nie to, żebym cię obwiniał. Prawdę mówiąc, często ci zazdrościłem. Ale faktem jest, że damy potrzebują czegoś więcej albo przynajmniej... Cóż, mniejsza o to. Mają romantyczne dusze i powinniśmy choć od czasu do czasu dać im to, czego pragną, jeśli należą do nas, a nie są jedynie kochankami.

Elliott otworzył szeroko oczy.

- Dobry Boże! Jakiego potwora w przebraniu sekretarza trzymałem pod własnym dachem?

George przybrał skruszoną minę, ale dodał:

- Najpierw rzeźby, jeśli naprawdę musisz, Elliotcie - powiedział. - Sądzę, że twoja dama ma dość sił, żeby potem nie musieć używać soli trzeźwiących. Sądzę, że nawet będzie się dobrze bawić. Ale potem zabierz ją do Guntera, mój stary.

- W tak wczesnej porze roku?

- Nawet gdyby był styczeń - zapewnił George. - Zwłaszcza że była sama przez cztery dni, nie licząc towarzystwa innych dam. I to niecały tydzień po ślubie.

- Jesteś impertynentem - rzekł Elliott, mrużąc oczy.

- Jestem tylko spostrzegawczy - odparł przyjaciel. - Lepiej idź i przebierz się przed śniadaniem.

Elliott wyszedł.

Idąc po schodach do swojego pokoju, nie był w najlepszym nastroju - zresztą przez ostatnich sześć dni humor także mu nie dopisywał. W każdym razie nie wtedy, kiedy był w domu. Czuł się dosyć zadowolony w swoich klubach, u Tattersalla, w bokerskich salonach Jacksona, gdzie obracał się wśród przyjaciół i znajomych, rozmawiając o rządzie, wojnach, zbliżających się wyścigach i meczach bokerskich.

Doszedł do wniosku, że pozwalając Vanessie Dew przekonać się, żeby się z nią ożenił, popełnił największy błąd w życiu.

Chociaż jeśli nie ona, byłby ktoś inny. Gdyby nie poślubił jej ani jej siostry, to panny Huxtable wciąż wisiałyby mu na szyi niczym kamień młyński.

Kochała Hedleya Dew, na miłość boską, ale nie była w nim zakochana. Miłość fizyczna z Dew nie dawała jej satysfakcji, nieszczęśnik był zapewne zbyt chory, żeby było inaczej. Za to

fizyczne zbliżenia z nim, z Elliottem, sprawiały jej przyjemność - dopóki nie przypominała sobie zmarłego męża i nie zaplątała się w pajęczynie żalu i poczucia winy tak gęstej, że dostawał zawrotu głowy na samą myśl, że miałby spróbować ją rozplatać - choć wcale nie miał takiego zamiaru.

Zastanawiał się, czy istnieje kobieta o bardziej pokrętnym umyśle niż jego żona. Poważnie w to wątpił.

Uznała jednak trzy dni i cztery noce po ich ślubie za najwspanialsze w swoim życiu.

To stanowiło jakąś pociechę.

Dobry Boże, czy spodziewała się, że będzie z nią rozmawiał o wszystkich głupstwach, drobnych problemach, jakie pojawią się w ich małżeństwie przez resztę życia? Czy mają wszystko analizować aż do śmierci?

Czy życie miało się tak beznadziejnie skomplikować?

Oczywiście, że tak. Był żonaty, czyż nie? I do tego z Vanessą.

A teraz rezygnował z przyjemnego przedpołudnia w klubie White'a, gdzie czytałby gazety i prowadził towarzyską konwersację. Żeby zabrać ją do muzeum... A potem na lody do cukierni Guntera...

Wcale nie musiał tego robić. Nie zamierzał dopuścić, żeby sekretarz dyktował mu każdy krok. Ani beształ za to, że

zaniedbuje żonę.

Ale byłoby przyjemnie zabrać Vanessę do Guntera.

Dobry Boże!

Czyż nie obiecała kiedyś, że zapewni mu wygodę?

Jak dotąd małżeństwo okazało się najbardziej niewygodną rzeczą, jakiej doświadczył.

Jakkolwiek pierwsze dni były całkiem przyjemne. W gruncie rzeczy więcej niż przyjemne.

Tak czy inaczej, utkwił w tym związku do końca życia.

A to wydawało się diabelnie długo.

Zadzwoił na kamerdynera.

Vanessie podobały się rzeźby. Spędziła dużo czasu, oglądając każdą po kolei, zupełnie niezmiészana ich nagością i niezniechęcona tym, że większość z nich była jedynie fragmentami.

- Nie mogę uwierzyć - rzekła w pewnym momencie - że patrzę na przedmioty stworzone przez starożytną cywilizację. To aż zapiera dech w piersi.

Ale nie paplała bez przerwy, jak zauważył Elliott. Poświęciła całą uwagę kolekcji. Uświadomił sobie w pewnym momencie, że od czasu do czasu patrzy na niego, tak samo jak patrzyła na eksponaty - badawczo, krytycznie. Zauważył to, ponieważ sam patrzył na nią może więcej czasu niż na rzeźby - ostatecznie widział je już przedtem.

Ubrała się na różowo - kolor, w którym powinna wyglądać okropnie, ale wcale tak nie było. Wydawała się delikatna i kobieca. A jej cera świeża i rumiana. Wyglądała naprawdę całkiem ładnie.

Oczywiście, jej strój był świetnie uszyty, a absurdalnie malutki kapelusik - budka stanowił najnowszy krzyk mody.

Przejął jedno z jej spojrzeń i uniósł brwi.

- Wszystkie są białe albo szare - powiedziała - tak jakby starożytni Grecy byli całkiem bladzi. Ale to niemożliwe, prawda?

Przypuszczam, że kiedyś te rzeźby były pomalowane żywymi kolorami. Tamci ludzie musieli przypominać ciebie. Mieli ciemną karnację, jeszcze ciemniejszą, bo żyli cały czas pod gorącym słońcem. Musieli być piękniejsi od tych rzeźb.

Zastanawiał się, czy to komplement?

- To wszystko jest twoim dziedzictwem - stwierdziła, kiedy już wyszli z muzeum. - Czy czujesz, jak poruszają się jakieś struny w twoim sercu, Elliotcie?

- Sądzę - odparł - że w tym organie nie ma strun.

Za tę próbę żartu został nagrodzony szerokim, pełnym zachwyty uśmiechem.

- Ale tak - przyznał. - Zawsze pamiętam o moim greckim dziedzictwie.

- Czy byłeś kiedyś w Grecji? - zapytała.

- Dawno, jako dziecko. Matka zabrała mnie i Jessice w odwiedzinach do dziadka i licznych krewnych. Niewiele pamiętam, poza hałaśliwymi rodzinnymi spotkaniami, jasnym słońcem, błękitną wodą i tym, że zgubiłem się w Partenonie, bo nie trzymałem się matki.

- Nigdy nie myślisz o tym, żeby tam pojechać? - zapytała, kiedy pomagał jej wsiąść do powozu.

- Myślę. Ale nie zrobiłem tego, kiedy mogłem. Teraz, od czasu śmierci ojca, jestem zbyt zajęty. Poza tym pod względem

politycznym Grecja to bardzo niepewna część świata.

- Powinieneś jechać tak czy inaczej - zdecydowała. - Przecież masz tam rodzinę, prawda?

- Zbyt liczną, żeby ją spamiętać.

- Powinniśmy pojechać razem - oznajmiła. - To byłby znowu miesiąc miodowy.

- Miesiąc miodowy? - Na dźwięk tego słowa zawsze się krzywił. - Znowu?

- Jak te trzy dni w domu nad jeziorem - wyjaśniła. - Tam było nam dobrze, czyż nie?

To był ten miesiąc miodowy?

- Muszę doglądać majątku - rzekł. - I właśnie zostałem opiekunem siedemnastoletniego chłopca, który powinien jeszcze wiele nauczyć, zanim przejmie swoje obowiązki.

- I jest początek sezonu - zauważyła, kiedy powóz toczył się Great Russell Street - i trzeba wprowadzić w towarzystwo Meg i Kate.

- Tak - zgodził się.

- A ty musisz zapełnić pokój dziecinny bez dalszej zwłoki.

- Tak.

Zerknął na nią z ukosa. Patrzyła prosto przed siebie z uśmiechem.

- To nie są dobre wymówki.

- Wymówki? - Uniósł brwi.

- Członkowie twojej rodziny starzeją się - stwierdziła. - Czy twój dziadek jeszcze żyje?

- Tak.

- Życie szybko płynie. Wydaje mi się, że jeszcze wczoraj byłam dziewczyną, a teraz zbliżam się do dwudziestych piątych urodzin. Ty masz prawie trzydzieści lat.

- Praktycznie jesteśmy staruszkami - rzucił sarkastycznie.

- Będziemy, zanim się spostrzeżemy - odparła. - To jest, jeśli będziemy mieć tyle szczęścia, żeby się zestarzeć. Życiem należy się cieszyć w każdej chwili.

- Do diabła z obowiązkami?

- Nie, oczywiście, że nie - odparła. - Ale czasami łatwiej jest ukryć się za obowiązkami niż przyznać, że nasza obecność nie jest aż tak niezbędna, i cieszyć się pełnią życia.

- Wybacz - powiedział, marszcząc czoło - ale czyż nie spędziłaś, Vanesso, większości swojego życia w Throckbridge? Czy masz prawo radzić mi, abym porzucił obowiązki i udał się pierwszym statkiem do Grecji?

- Już tam nie mieszkam - zauważyła. - Zdecydowałam się przenieść z siostrami i bratem do Warren Hall, choć była to wielka niewiadoma. A potem postanowiłam wyjść za ciebie, a Bóg widzi, że jesteś wielką niewiadomą. Jutro zostanę przedstawiona

królowej. Potem wezmę udział w debiutanckim balu Cecily i wprowadzę Meg i Kate do towarzystwa. A potem nastąpi tysiąc i jedno podobnych wydarzeń. Czy jestem przerażona? Tak, oczywiście, że jestem. A czy zrobię to wszystko? Naturalnie.

Odał wargi.

- Myślę - powiedział - że nie pojedziemy do Grecji w najbliższym czasie.

- Oczywiście, że nie pojedziemy - uśmiechnęła się do niego promiennie. - Ponieważ mamy obowiązki i wiem, że muszę się nauczyć, iż nowe życie nie oznacza całkowitej, nieograniczonej wolności. Ale nie możemy dać się pognębić obowiązkom, Elliotcie. Być może dopuściłeś do tego po śmierci ojca. Nawet w życiu pełnym obowiązków można znaleźć radość.

Zastanowił się, czy to był opis jej pierwszego małżeństwa. Czy, nie będąc naprawdę szczęśliwą, zmusiła się do radości? Jeśli nie będzie uważał, to zacznie się wdawać w jakieś gry słowne, tak jak ona. Czym różni się szczęście od radości?

- Któregoś dnia - ciągnęła - kiedy nic pilnego nie zatrzyma cię w domu, a Stephen będzie mógł sam się zająć swoimi sprawami, pojedziemy do Grecji, odwiedzimy twoją rodzinę i przeżyjemy drugi miesiąc miodowy. A jeśli do tego czasu będziemy mieli dzieci, to po prostu pojedą z nami.

Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. Zaczerwieniła się

nagle, uświadomiwszy sobie, co właśnie powiedziała. Chociaż nie rozumiał, czemu miałyby się czerwienić po dwóch tygodniach regularnego pożycia małżeńskiego.

- Powóz przystaje - zauważyła, wyglądając przez okno ponad jego głową. - Ale jeszcze nie dojechaliśmy do domu.

- Jesteśmy przed cukiernią Guntera - powiedział. - Zjemy lody.

- Lody? - Otworzyła szeroko oczy.

- Pomyślałem, że może miałybyś ochotę na coś odświeżającego po godzinie pobytu w muzeum, przyglądaniu się zimnym marmurom i wdychaniu kurzu. Choć raczej ci się to podobało, prawda?

- Lody - powtórzyła, nie odpowiadając na jego pytanie. - Nigdy nie jadłam lodów. Podobno mają boski smak.

- Nektar bogów? - zapytał, pomagając jej wysiąść na ulicę. - Być może. Sama osądzisz.

Łatwo przywyknąć do luksusu i przywilejów, myślał Elliott w ciągu następnej pół godziny, obserwując, jak żona rozkoszuje się lodami. Nabierała na łyżeczkę odrobinę, a przed połknięciem, przez parę sekund trzymała lody w ustach. Na początku nawet zamykała oczy.

- Mmm - zamruczała. - Czy może być coś pyszniejszego?

- Gdybym się postarał, prawdopodobnie mógłbym wymienić

tuzin rzeczy równie smacznych. Ale smaczniejszych? Wątpię.

- Och, Elliotcie - westchnęła, nachylając się ku niemu przez stół - czy to nie było cudowne przedpołudnie? Czy nie miałam racji? Czy to nie świetna zabawa spędzać razem czas?

Zabawa?

Kiedy jednak pomyślał o przedpołudniu u White'a, stwierdził, że nie żałuje. Rzeczywiście dobrze się bawił.

Kiedy wychodzili od Guntera, wpadli na lady Haughton i jej bratanicę; eskortował je lord Beaton.

Elliott skłonił się damom i kiwnął głową Beatonowi.

- Och, lady Haughton - odezwała się Vanessa - i panna Flaxley. Czy także idą panie na lody? Byliśmy w Muzeum Brytyjskim i oglądaliśmy starożytne rzeźby, a potem przyszliśmy tutaj. Czyż to nie piękny dzień?

- Ach, lady Lyngate - odparła lady Haughton, uśmiechając się, co zdarzało jej się nieczęsto. - To w istocie śliczny dzień. Czy poznała pani mojego bratanka, lorda Beatona? Lady Lyngate, Cyril.

Vanessa dygnęła, uśmiechając się promiennie do młodego dandysa.

- Bardzo mi miło pana poznać - oznajmiła. - Czy zna pan mojego męża, wicehrabiego Lyngate? - roześmiała się. - Ależ z pewnością musi pan go znać.

- Żeńska połowa populacji Londynu nosi zbiorową żalobę, Lyngate - oznajmiła lady Haughton. - A ty, moja droga, możesz spodziewać się wielu zazdrosnych spojrzeń w nadchodzącym sezonie. Wykradłaś z rynku matrymonialnego jednego z najświetniejszych kawalerów.

Vanessa się roześmiała.

- Mój brat także jest w mieście - powiedziała, patrząc na Beaton. - Jest nowym hrabią Merton i ma dopiero siedemnaście lat. Z pewnością byłby zachwycony, mogąc poznać nieco starszego młodego człowieka.

- To będzie dla mnie prawdziwa przyjemność, pani - odrzekł, kłaniając się, wyraźnie ucieszony.

- Czy będzie pan jutro wieczorem na balu w Moreland House? - zapytała Vanessa. - Tam go panu przedstawię, jeśli można. Będziecie państwo wszyscy?

- Przyjdziemy z całą pewnością - odparła lady Haughton, a Beaton ukłonił się znowu. - Każdy, kto jest kimś, będzie na tym balu, lady Lyngate.

- Widzę - zagaił Elliott parę minut później, kiedy siedzieli w powozie, w drodze do domu - że zawarłaś już wiele znajomości.

- Bywałam w różnych miejscach z twoją matką. Starłam się zapamiętać nazwiska. To nie zawsze jest łatwe, ale na szczęście zapamiętałam lady Haughton i pannę Flaxley.

- A więc moje towarzystwo nie jest ci zatem aż tak potrzebne. Spojrzała na niego uważnie.

- Och, Elliotcie - powiedziała - to tylko znajomi. Nawet twoja matka, Cecily, Meg, Kate i Stephen są tylko rodziną. Ty jesteś moim mężem. To różnica. Ogromna różnica.

- Ponieważ idziemy razem do łóżka? - zapytał.

- Och, ty niemądry człowieku. Owszem, z tego powodu też. Ponieważ to jest symbol bliskości naszego związku. Największej możliwej bliskości.

- A jednak - zauważył - nie lubisz, kiedy wchodzę do twoich prywatnych pokoi bez pukania. Twierdziłaś, że potrzebujesz trochę prywatności, nawet przy mnie.

Westchnęła.

- To pozorna sprzeczność - odparła. - Ale rzecz w tym, że dwoje ludzi nigdy nie staje się jednością, choćby byli sobie najbliżsi. I nie byłoby to dobre, nawet jeśli byłoby możliwe. Co by się stało, gdyby jedno z nich umarło? Drugie byłoby jedynie połową, a to byłoby straszne. Każde z nas musi być całością i dlatego każde z nas potrzebuje trochę prywatności, żeby pobyć ze sobą i swoimi myślami. Ale związek małżeński jest intymny i o tę intymność należy dbać. To powinien być najlepszy ze związków. Co za strata prowadzić niemal oddzielne życie, gdy można wspólnie cieszyć się szczęściem.

- Najwyraźniej wiele o tym myślałaś - powiedział.

- Miałam wiele czasu na myślenie, kiedy... - Nie dokończyła zdania. - Wiele myślałam. Wiem, co to jest szczęśliwe małżeństwo. - Odwróciła głowę i wyjrzała przez okno. Mówiła tak cicho, że ledwie rozumiał słowa. - I wiem, czym może być szczęśliwsze małżeństwo.

Jak to się stało, że zaczęli o tym mówić? Jak to się stało, że w ogóle zaczął rozmowę na jakiś temat ze swoją żoną?

Jedno zaczynał sobie uświadamiać coraz jaśniej. Nie ma co marzyć o wygodnym życiu, które choć trochę przypominałoby to, które prowadził w stanie kawalerskim.

A niech to diabli, zamierzała zmusić go, żeby był szczęśliwy. I pełen radości.

Jakkolwiek różniłyby się od siebie te dwie rzeczy.

- Elliott - odezwała się, kiedy powóz stanął przed domem. Położyła dłoń w rękawiczce na jego rękawie. - Bardzo ci dziękuję za dzisiejsze przedpołudnie, za muzeum, za lody. Było mi przyjemniej, niż potrafię to wyrazić.

Podniósł jej dłoń do ust.

- Dziękuję, że ze mną poszłaś. Jej oczy lśniły wesoło.

- Dzisiaj po południu możesz robić, co ci się podoba - powiedziała. - Wybieram się po zakupy z Meg i Kate. Cecily też idzie. Nie proponuję, żebyś się z nami wybrał. Zobaczymy się

przy kolacji?

- Tak. Jeśli chcesz, każ ją podać wcześniej. Moglibyśmy pójść wieczorem do teatru. Na Drury Lane wystawiają *Wieczór Trzech Króli* Szekspira. Może Merton i twoje siostry też skorzystają z mojej łoży.

- Och, Elliotcie! - Jej twarz rozjaśniła się taką radością, że przez chwilę zaparło mu dech. - Naprawdę nie umiem sobie wyobrazić, co sprawiłoby mi większą przyjemność. I jakie to miłe z twojej strony, że chcesz zaprosić mojego brata i siostry.

Uświadomił sobie, że wciąż trzymają za rękę. A woźnica stał przy otwartych drzwiach powozu i patrzył w głąb ulicy z lekkim uśmiechem na twarzy.

- A zatem wrócę do domu na wczesną kolację - rzekł Elliott, podając Vanessie rękę, żeby pomóc jej wysiąść.

Uśmiechała się ciepło i radośnie.

I rzeczywiście dobrze jej było w różowym.

Jeszcze parę miesięcy wcześniej zabawa w Throckbridge wydawała się niezwykle podniecającym wydarzeniem. A teraz zajmowali miejsca w łoży Elliotta, byli tutaj, ona, jej brat i siostry na przedstawieniu sztuki Szekspira w Teatrze Królewskim na Drury Lane, w Londynie. Jutro miała zostać przedstawiona królowej, wieczorem zaś miał się odbyć wielki bal.

I to wszystko zaledwie początek.

Czasami miała wrażenie, że zaraz się obudzi w swoim łóżku w Rundle Park.

Teatr wypełniał się dżentelmenami i damami w olśniewających strojach ozdobionych wspaniałą biżuterią. A ona i jej rodzeństwo należeli do tego towarzystwa. Vanessa też błyszczała. Na szyi miała łańcuszek z białego złota z nieprzyzwoicie wielkim brylantem, który Elliott przyniósł po południu i włożył jej tuż przed wyjściem. Brylant błyszczał olśniewająco.

- Nawet gdyby przedstawienie się nie odbyło - zwróciła się Katherine do Cecily, chociaż jej głos dotarł do wszystkich - to byłby pamiętny wieczór.

- W istocie - zgodziła się Cecily z zapalem, wachlując się i patrząc na dół.

A na parterze, jak wyjaśniła Vanessie teściowa, siadywali nieżonaci kawalerowie, żeby obserwować damy. Miała rację. I one - w każdym razie Meg, Kate i Cecily - stanowiły w dużym stopniu przedmiot ich uwagi. Niektórzy dżentelmeni używali nawet w tym celu lornetek. Meg i Kate miały na sobie nowe niebieskie suknie, Kate jaśniejszą, Meg ciemniejszą. Obie wyglądały prześlicznie. Podobnie jak Cecily - cała w bieli.

Vanessa uśmiechnęła się radośnie do siedzącego obok Elliotta.

- Wiedziałam, że zwrócą uwagę - ucieszyła się. - To jest Kate, Meg i Cecily. Są takie śliczne.

W jednej ręce trzymała wachlarz. Ujął jej wolną dłoń i położył na swoim rękawie. Nakrył ją swoją dłonią.

- A ty nie jesteś? - zapytał. Roześmiała się.

- Oczywiście, że nie. Poza tym jestem zamężną damą, która nikogo nie interesuje.

Uniósł brwi.

- Nawet własnego męża? Roześmiała się znowu.

- Nie domagałam się komplementów. Oczywiście, jeśli chcesz mi je prawić...

- Z uśmiechem na ustach i w oczach - szepnął - i w sukni w tym szczególnym odcieniu zieleni, wyglądasz jak uosobienie wiosny, Vanesso.

- Och, zręcznie powiedziane. Czy dodasz za chwilę, że tak samo wyglądają wszystkie obecne damy?

- Wykluczone - odparł. - Żadna tak nie wygląda. Tylko ty. A wiosna to, jak wiesz, powszechnie lubiana pora roku.

Spoważniała na chwilę i przez chwilę ogarnęła ją tęsknota - sama nie wiedziała, za czym.

- Tak myślisz? - powiedziała cicho. - Dlaczego?

- Myślę, że wiosna to nowe życie, nowe nadzieje i obietnica lepszej przyszłości.

- Och...

Nie była pewna, czy wydała jakiś dźwięk. Czy był to wyłącznie komplement? Oczywiście, że tak. Czy miał na myśli to, o czym marzyła? Czy też użył zręcznego sposobu, żeby nie powiedzieć jej wprost, że w istocie nie jest tak ładna, jak jej trzy towarzyszki.

Ich oczy się spotkały i znowu otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

- Och - odezwał się nagle Stephen radosnym głosem - tam jest Constantine.

- Gdzie? - zapytały jednocześnie Katherine i Cecily.

Stephen wskazał łożę niemal dokładnie naprzeciwko. Vanessa spojrzała w tamtą stronę i stwierdziła, że rzeczywiście siedzi tam Constantine Huxtable wśród gromadki dam i dżentelmenów. Zobaczył ich i uśmiechnął się, podnosząc rękę w geście powitania; przechylił głowę na bok, słuchając czegoś, co mówiła dama obok. Ona także patrzyła w kierunku ich łoży.

Vanessa pomachała im wachlarzem, uśmiechając się wesoło.

- A zatem przyjechał do Londynu - zwróciła się do Elliotta. - Jest tutaj przyjmowany?

- Mimo że jest z nieprawego łoża? Ależ oczywiście. Jest synem poprzedniego hrabiego i hrabiny Merton i tak go wychowano. Na jego imieniu nie ciąży żadne piętno. Tyle że

zgodnie z prawem nie może korzystać z przywilejów pierworodnego syna.

- Czy ma jakieś pieniądze? - zapytała. - To jest, czy otrzymał coś w spadku?

- Ojciec go zabezpieczył. Niezbyt hojnie, ale wystarczająco.

- Cieszę się. Zastanawiałam się nad tym, zwłaszcza po tym, jak przyjechaliśmy do Warren Hall i właściwie wyrzuciliśmy go z jego własnego domu.

- Con zawsze znajdzie sposób, żeby o siebie zadbać. - W jego głosie zabrzmiała twarda nutka, wzrok spochmurniał. - Nie ma powodu, żeby się o niego martwić, Vanesso. Czy zwracać na niego zbyt wiele uwagi.

- To twój kuzyn.

- Pokrewieństwo, o którym lepiej zapomnieć - stwierdził. - A jego należy ignorować.

Zmarszczyła brwi.

- Ale o ile nie wyjaśnisz mi dokładnie, o co chodzi - powiedziała - nie możesz się spodziewać, że o nim zapomnę tylko dlatego, że ty go nienawidzisz. Nie wierzę, żeby istniał jakiś sensowny powód.

Uniósł brwi, wciąż patrząc chłodnym wzrokiem. Ale akurat w tej chwili w teatrze zapadła cisza. Zaczynało się przedstawienie.

Vanessa bała się, że wieczór przynajmniej częściowo został

zepsuty. Jej dłoń wciąż spoczywała na ramieniu Elliotta, a jego dłoń nadal ją przykrywała, ale nie było w tym geście prawdziwego ciepła; zastanawiała się, czy przypadkiem nie było to zachowanie na pokaz, a nie spontaniczny wyraz uczuć.

Spojrzała na Margaret, która uśmiechała się; jej uwagę pochłonęło to, co działo się na scenie. Odkąd przyjechali do Londynu, niemal nie przestawała się uśmiechać, uśmiech zastygł na jej twarzy niczym maska. Vanessa mogła sobie tylko wyobrazać, co się pod nią kryło. Meg starannie unikała wszelkich osobistych rozmów.

A potem zaczęła się sztuka.

I wszystko inne popadło w niepamięć.

Było tylko to, co się działo na scenie.

Vanessa pochyliła się nieświadoma otoczenia, nieświadoma tego, że mocniej ściska ramię Elliotta, nie zauważając, że mąż poświęca jej niemal tyle samo uwagi, co sztuce.

Dopiero później, kiedy skończył się pierwszy akt, odchyliła się na krześle i westchnęła.

- Och, czy widzieliście kiedyś coś cudowniejszego? - zapytała. Było jasne, że czwórka jej towarzyszy nie widziała. Wszyscy zaczęli mówić naraz. Nawet uśmiech Meg wydawał się szczery.

- Przypuszczam - rzekła Vanessa, zwracając się do Elliotta,

który zachował spokój - że widziałeś tysiąc podobnych przedstawień i jesteś dosyć znudzony.

- Dobry teatr nigdy się nie nudzi - odparł.

- A ten jest dobry? - zapytała Katherine.

- Bez wątpienia - zapewnił. - I zgadzam się ze wszystkim, co powiedziano w ciągu ostatniej minuty. Jeśli chcecie, możemy przed następnym aktem wyjść z łoży, żeby rozprostować nogi.

W zatłoczonym foyer panował zgiełk; wymieniano powitania i uwagi na temat przedstawienia.

Elliott przedstawił swoją gromadkę kilku znajomym i Vanessa z zadowoleniem zauważyła zainteresowanie, jakie okazywano Stephenowi. Pomyślała z czułością, że nawet w tak olśniewającym otoczeniu wydaje się promienny i przystojny, i bardzo młody. Niejedna dama rzuciła mu drugie, a nawet trzecie spojrzenie.

A potem w tłumie ukazał się Constantine. Musiał obejść pół teatru, żeby ich spotkać. Pod ramię trzymała go dama, która siedziała obok niego w łoży. Była niezwykle piękna, jak zauważyła Vanessa. Miała lśniące jasne włosy i figurę, którą mogła rywalizować nawet z Meg.

- Ach, drodzy kuzyni - powiedział Constantine, kiedy znalazł się bliżej. - Co za miłe spotkanie.

Wszyscy odpowiedzieli z zachwytem - poza, rzecz jasna,

Elliottem, który tylko sztywno się uklonił.

Cecily pisnęła radośnie i uczepiła się jego wolnego ramienia.

- Con! - krzyknęła. - Czy to nie wspaniałe? Tak się cieszę, że tu jesteś. Nie możesz zapomnieć o moim jutrzejszym debiucie. Przynajmniej mi taniec.

- Wydaje mi się, Cece - odparł - że wręcz cię o to błagałem. A zatem proszę, żebyś dotrzymała słowa i zarezerwowała dla mnie jeden z tańców. Z pewnością nie będziesz mogła się opędzić od wielbicieli. Podobnie jak moja kuzynka Katherine.

Uśmiechnął się do Kate, a nawet lekko do niej mrugnął.

- Lady Lyngate, panno Huxtable, panno Katherine, panno Wallace, hrabio Merton - ciągnął Constantine - czy mogę mieć przyjemność przedstawić państwu panią Bromley - Hayes? Sądzę, że z Elliottem już się poznali.

Nastąpiła wymiana ukłonów, dygnięć i uprzejmości. A zatem jest to dama zameżna, pomyślała Vanessa. A może wdowa. Z Constantine'em tworzyli wyjątkowo piękną parę.

- Moje gratulacje, lordzie Merton - odezwała się dama - w związku ze spadkiem. A państwu, lordzie i lady Lyngate, z powodu niedawnego ślubu. Życzę wam dużo szczęścia.

Miała niski, melodyjny głos. Uśmiechała się do Elliotta, poruszając leniwie wachlarzem. Vanessa pomyślała, że z pewnością przyjemnie jest zostać obdarzonym przez los taką

urodą.

- Czy widzieliście kiedyś - wtrącił Stephen - lepsze przedstawienie?

Rozmawiali o sztuce, póki nie nadszedł czas, żeby wrócić do łóż.

Elliott nie wziął tym razem Vanessy za rękę. Spojrzenie miał twarde jak kamień, szczęki zaciśnięte. Postukiwał palcami w obitą aksamitem poręcz fotela.

- Co mieliśmy zrobić? - zapytała cicho. - Zignorować twojego kuzyna, choć był tak uprzejmy, żeby nas odnaleźć i przywitać się?

Skierował na nią wzrok.

- Nie powiedziałem ani słowa wyrzutu - powiedział.

- Nie musisz - odparła, rozwijając wachlarz i chłodząc sobie twarz. - Wyglądasz na rozgniewanego. Co by pomyślała pani Bromley - Hayes, gdybyśmy udawali, że ich nie znamy?

- Nie mam pojęcia. Nie mogę wiedzieć, co myśli owa dama.

- Czy jest wdową? - zapytała.

- Tak - odparł. - Zdarza się często, że przy różnych okazjach towarzyskich zamężne damy czy wdowy zapewniają sobie towarzystwo dżentelmenów, którzy nie są z nimi spowinowaceni.

- Czy powinnam zawrzeć znajomość z jakimś miłym dżentelmenem, żeby oszczędzić ci kłopotu zabierania mnie do

muzeum i do Guntera, do teatru i w inne miejsca?

- Kto powiedział, że to kłopot? - Zdjął rękę z poręczy fotela i zwrócił się do niej. Położył sobie znowu jej dłoń na rękawie i poklepał ją lekko. - Czy przypadkiem nie próbujesz sprowokować mnie do kłótni?

- Wolę, kiedy się złościysz, niż kiedy jesteś taki zimny - odparowała i się uśmiechnęła.

- Bo miewam tylko te dwa nastroje? Biedna Vanessa. Jakim sposobem uczynisz takiego człowieka szczęśliwym? Albo zadowolonym? W jaki sposób sprawisz mu przyjemność?

Patrzył na nią w sposób, który określała jako „spojrzenie z sypialni”. Powieki miał na półprzymknięte. Ogarnęło ją podniecenie.

- Och, coś wymyślę - zapewniła, pochylając się ku niemu lekko. - Jestem niezwykle pomysłowa.

- Ach - wyszeptał, zanim zaczął się spektakl.

Cieszyła się przedstawieniem. Oglądała je z zachłanną uwagą. Ale nie była aż tak skupiona, jak wcześniej. Czowała, ani razu nie odwróciwszy głowy, że palce męża gładzą delikatnie wierzch jej dłoni.

Rozpaczliwie pragnęła znaleźć się z nim w łóżku - chociaż odkąd skończył się ich miesiąc miodowy, każdej nocy spędzali tam około pięciu minut.

Czy teraz z nią flirtował?

Co za śmieszna myśl. Dlaczego Elliott miałby z nią flirtować?

Ale jak można było nazwać to inaczej?

Elliott odesłał kamerdynera, a potem długo stał w sypialni, wpatrując się w noc za oknem, postukując palcami w parapet. Nocny stróż, kołysząc latarnią przy każdym kroku, obchodził plac dookoła. Gdy się oddalił, znowu zapadła ciemność.

Elliott zastanawiał się, czy Con zrobił to celowo. To by do niego pasowało. Razem płatali ludziom podobne figle w czasach młodości. Świetnie się bawili, obserwując zmieszanie ofiary. Choć nie przypominał sobie, żeby kiedyś był złośliwy i starał się zranić kogoś Bogu ducha winnego.

Czy Vanessa poczułaby się zraniona? Z pewnością.

Skąd jednak Con mógł wiedzieć, że dziś wieczorem będą w teatrze? Elliott, aż do dzisiejszego przedpołudnia, sam o tym nie wiedział.

Ale Con, rzecz jasna, nie wiedział na pewno. Mógł się jednak domyślać, gdzie będzie można w tygodniu spotkać Elliotta i Vanessę. Nie było tajemnicą, że przyjechali do Londynu. Gdyby tego wieczoru nie przyszli do teatru, to na pewno pojawiliby się wkrótce w tym czy innym miejscu.

Tak, zrobił to z całą świadomością. Oczywiście, że tak. Bez żadnych wątpliwości.

Ciekaw był, czy Anna Bromley - Hayes też wzięła w tym udział świadomie.

Gdyby było inaczej, dlaczego przyszła na przerwie, żeby spotkać jego gości i zostać przedstawiona jego żonie? Gdyby nie zrobiła tego specjalnie, czy raczej nie unikałaby takiego spotkania?

Tak, to było ukartowane. Nie spodziewałby się po niej takiego zachowania, ale nie miał prawa niczego żądać. Z pewnością ją zranił. Zlekceważył jej uczucia i postawił przed faktem dokonanym.

Czy pod wpływem Vanessy pojawiła się nowa u niego skłonność, żeby wszystko analizować i zastanawiać się nad uczuciami innych ludzi?

Tak czy inaczej, jego żona i była kochanka nie tylko stanęły twarzą w twarz, ale zostały sobie przedstawione. Dla niego był to wyjątkowo trudny moment, a dla postronnych świadków intrygujące widowisko.

Co Con, rzecz jasna, przewidział. Podobnie jak Anna.

Zemsta okazała się dla Anny ważniejsza niż dobry smak czy godność osobista.

Wyglądała pięknie. Con, jak zwykle czarujący i gotów do kpin - Elliott znał doskonale te dwie strony jego charakteru. W młodości nigdy jednak nie przyszłoby mu do głowy, że pewnego dnia stanie się jedną z ofiar Cona.

Vanessa z pewnością czeka na niego, pomyślał nagle,

wracając do chwili obecnej. Prawdopodobnie nie śpi. Jeśli nie zamierzał jej odwiedzić dzisiejszej nocy, powinien ją o tym uprzedzić.

Czy naprawdę pragnął zostać u siebie?

Ten dzień - przedpołudnie i wieczór - upłynął przyjemnie do chwili, kiedy młody Merton zwrócił ich uwagę na obecność Cona i Elliott zobaczył nie tylko jego, ale również Annę. Ich oczy spotkały się i, pomimo odległości, wyczytał w nich wyzwanie.

Do tamtej chwili bawił się dobrze. Było mu przyjemnie w towarzystwie żony; fascynowała go, choć nie umiał tego wyjaśnić.

Przez chwilę mocniej wybijał palcami takt na parapecie.

Oddalił się od okna i wszedł do garderoby, zostawiając drzwi otwarte, tak żeby wpadało tam światło świecy.

Powinien teraz pójść do pokoju Vanessy i wyjawić jej wszystko. Chciała wiedzieć, dlaczego pokłócił się z Conem i z jakiego powodu miała go unikać. Powinien po prostu to zrobić. Con był złodziejem i rozpustnikiem. Obrabował własnego brata, który ufał mu całkowicie, ale w swojej łatwowierności nie był w stanie pojąć, że nadużyto jego zaufania. Wykorzystywał też służące i kobiety z okolicy, czego nie zrobiłby żaden przyzwoity dżentelmen.

Ale jak mógłby powiedzieć o tym Vanessie, skoro nie był w stanie powiedzieć matce czy siostrze, choć sądził, że powinny o

tym wiedzieć dla własnego dobra... Jak mógłby okazać się tak niedyskretny. .. Poza tym nie miał niezbitych dowodów. Con nie zaprzeczył oskarżeniom, ale także nie przyznał się do niczego. Uniósł tylko brew i wysłał Elliotta do wszystkich diabłów.

Jak można było kogoś zniesławiać, opierając się jedynie na podejrzeniach? Nawet jeśli miało się pewność, że są uzasadnione?

A niech to, wciąż nie mógł uwierzyć, że Con był zdolny do takiego łajdactwa. Zawsze był gotów do psot, błazenady i wygłupów - tak samo jak do niedawna Elliott. Nigdy jednak nie dopuszczali się łajdactw.

I trudno było pogodzić się z tym, że Con tak go nienawidził i nie wahał się zranić Vanessy, żeby tę nienawiść okazać.

Otworzył drzwi do jej garderoby. Drzwi sypialni były uchylone; odkąd zażądała, żeby pukał do jej pokoju, zawsze zostawiała je otwarte. Przez szparę wydobywało się światło świecy.

Staął w progu, przypominając sobie inną okazję, kiedy zrobił to bez zaproszenia. Tym razem jednak leżała uśpiona w łóżku.

Przeszedł przez pokój i zatrzymał się, patrząc na nią. Włosy rozsypały się wokół jej głowy na poduszce. Usta miała lekko rozchylone. W świetle jedynej świecy jej policzki wydawały się zarumienione.

Robiła wrażenie drobnej, dziewczęcej. Jej piersi ledwie unosiły kołdrę. Miała szczupłe ręce.

Przez chwilę pomyślał mimowolnie o Annie. Ale, co dziwne, nie były to myśli, których trudno mu się było pozbyć.

Vanessa miała w sobie coś szczególnego. Nie nazwałby jej piękną. Ani nawet ładną. Wyglądała zwyczajnie. Ale miała coś... Nie była zmysłowa, nie miała bujnych kształtów. Stanowiła przeciwieństwo tych dwóch cech. Nie było w niej nic fizycznie pociągającego.

A jednak...

Nie przestał jej pożądać podczas, jak to nazwała, ich miodowego miesiąca - co za określenie! Pożądał jej każdej nocy od tamtej pory mimo że kochał się z nią krótko i bez czułości, ponieważ...

Właściwie dlaczego? Ponieważ nadal kochała zmarłego męża i on poczuł się upokorzony? Zraniony? Nie, z pewnością nie dlatego. Ponieważ chciał ją ukarać, dać jej odczuć, że spełnia tylko jedną funkcję w jego życiu?

Czy naprawdę był tak małostkowy? Nie była to przyjemna myśl.

Pożądał jej teraz. Tak było, w gruncie rzeczy, przez cały dzień - od chwili, gdy przed śniadaniem pojawiła się niespodziewanie w drzwiach gabinetu George'a.

Co takiego miała w sobie?

Przyłożył dwa palce do jej policzka i delikatnie pogłaskał.

Otworzyła oczy, spojrzała na niego sennym wzrokiem i uśmiechnęła się.

Na tym zdecydowanie polegał jej urok. Nigdy przedtem nie widział, żeby czyjeś oczy zapalały się w uśmiechu niemal natychmiast i promieniały szczerym... czym? Ciepłem? Szczęściem? Jednym i drugim?

Czy była szczęśliwa, widząc go? Mimo że obrażał ją swoim zachowaniem w sypialni przez wiele ostatnich nocy?

- Nie spałam. Dawałam oczom odpocząć - powiedziała i roześmiała się.

I ten jej śmiech. Szczery. Ciepły. Zaraźliwy.

Pomyślał, że niektórzy ludzie po prostu rodzą się szczęśliwi. Vanessa do nich należała. I była jego żoną.

Rozwiązał pasek przy szlafroku i strząsnął go z siebie. Miał na sobie nocną koszulę, tak jak każdej nocy, odkąd zastał ją we łżach tamtego popołudnia w Finchley Teraz ją ściągnął i rzucił na podłogę, czując na sobie wzrok Vanessy.

Położył się obok niej, osłaniając oczy przedramieniem. Czy istniało coś takiego, jak dobre małżeństwo? Czy to było możliwe? Rzecz w tym, że ludzie z towarzystwa tego nie oczekiwali, w każdym razie nie takiego małżeństwa, w którym „dobre”

oznaczało „szczęśliwe”. Małżeństwo miało tworzyć więź społeczną, często także ekonomiczną. Zaspokojenia pragnień fizycznych i uczuciowej satysfakcji szukano gdzie indziej, o ile istniała taka potrzeba.

Tak jak jego ojciec. I dziadek.

Vanessa leżała na boku; wiedział, że mu się przygląda. Tej nocy zostawił świecę zapaloną.

- Elliotcie - szepnęła - to był piękny dzień. Taki, który długo będę pamiętała. Powiedz, że nie nudziłeś się straszliwie.

Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Uważasz, że jestem niezdolny, żeby się czymś cieszyć? - zapytał.

- Nie - odparła. - Ale zastanawiałam się, czy będziesz potrafił cieszyć się czymś ze mną. Nie jestem ani piękna, ani obyta, ani...

- Nikt cię nigdy nie nazwał piękną? - zapytał, zanim zdołała wymyślić kolejne słowo na określenie swojej brzydoty.

Milczała przez chwilę.

- Ty - rzekła. - Na balu walentynkowym. - Roześmiała się. - A potem dodałeś, że wszystkie damy bez wyjątku też są śliczne.

- Czy lubisz wiosnę? - zapytał. - Czy sądzisz, że daje światu piękno niespotykane w żadnej innej porze roku?

- Tak. To moja ulubiona pora roku.

- Nazwałem cię dzisiaj częścią wiosny - przypomniał. -

Mówiłem poważnie.

- Och - westchnęła. - Jak cudownie. Ale przecież ty musisz mówić mi takie rzeczy. Jesteś moim mężem.

- Jesteś zatem zdecydowana uważać się za brzydactwo? Czy ktoś tak cię nazwał, Vanesso?

Zastanowiła się.

- Nie - odparła. - Nikt w moim świecie nie byłby taki okrutny. Ale ojciec mawiał, że powinien był mnie nazwać Maryską, ponieważ byłam taką zwyczajną Maryską. Ale mówił to z czułością.

- Z całym szacunkiem dla świętej pamięci wielebnego Huxtable'a - oznajmił - uważam, że zasłużył na powieszenie, utopienie i poćwiartowanie.

- Och, Elliotcie. - Jej oczy zrobiły się okrągłe. - Jak możesz mówić coś tak okropnego.

- Gdybym nadal był kawalerem i miał dokonać wyboru między tobą a twoimi siostrami, kierując się jedynie wyglądem, wybrałbym ciebie.

Jej oczy znowu się śmiały, a usta też ułożyły w uśmiech.

- Jesteś moim rycerzem. Dziękuję ci, panie.

- Nie jestem zatem zwykłą mieszaniną chłodu i złości? - zapytał.

Śmiała się.

- Jak wszyscy ludzie - stwierdziła - kryjesz w sobie oszałamiające bogactwo rozmaitych cech i nie powinieneś zwracać uwagi, kiedy mówię, że jesteś taki czy siaki. Śmiem twierdzić, że masz tysiące oblicz, a ja odkryję ich setki w trakcie naszego małżeństwa. Ale nie wszystkie. Nigdy nie jesteśmy w stanie poznać do końca drugiego człowieka.

- A samych siebie jesteśmy w stanie poznać? - zapytał.

- Też nie - odparła. - Zawsze możemy siebie zaskoczyć. Ale czy życie nie byłoby nudne, gdybyśmy byli do końca przewidywalni? Jak moglibyśmy się uczyć, dorastać i przystosowywać do nowych warunków życia?

- Znowu rozmawiamy o filozofii? - zapytał.

- Jeśli zadajesz pytania, musisz się liczyć z tym, że na nie odpowiem.

- Wiesz, jak zmienić mnie na lepsze.

- Naprawdę? - Spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem.

- „Wymyślę jakiś sposób. Jestem niezwykle pomysłowa”. - Cytował jej słowa, które wypowiedziała wcześniej w teatrze.

- Och. - Roześmiała się. - Naprawdę to powiedziałam?

- Kiedy tu leżałaś przed chwilą, nie śpiąc, tylko dając oczom odpocząć, czy wtedy myślałaś? Czy miałaś jakieś pomysły?

Roześmiała się cicho.

- Jeśli nie, to obawiam się, że przez resztę nocy będę chłodny i zły. Będę tu leżał i próbował zasnąć.

Zamknął oczy.

Usłyszał, jak zaśmiała się cicho jeszcze raz, a potem nastąpiła cisza - aż poczuł, jak materac się kołysze i usłyszał szelest zdejmowanej koszuli.

Podniecił się natychmiast. Ale leżał nieruchomo, jakby spał.

Po chwili poczuł jej dłoń na piersi. Jej palce zataczały kółka, pieściły go, przesuwając się w stronę pępka.

Potem uniosła się na kolanach i pochyliła nad nim, pieszcząc go obiema rękoma, ustami, oddechem.

Nie otwierał oczu i starał się leżeć spokojnie. Była jednak cudownie zręczna.

Musiał użyć całej siły woli, żeby się nie poruszyć.

Była wspaniała. Była czystą magią.

A potem usiadła na nim, obejmując udami jego biodra; jej małe piersi ocierały się o niego. Wplotła palce w jego włosy, całowała jego oczy, skronie, policzki, aż sięgnęła ust.

Spojrzał na nią po raz pierwszy.

Jej oczy lśniły od łez.

- Elliotcie - szepnęła, dotykając językiem jego warg, a potem wsuwając go do środka. - Elliotcie.

Ujął ją za biodra i przyciągnął mocno.

Krzyknęła; kiedy krew przestała mu szumieć w uszach, uświadomił sobie, że głośno łka. Płakała na jego ramieniu, nadal obejmując go kolanami, z palcami wplątanymi w jego włosy.

Najpierw zaniepokoił się, nawet poczuł pewną irytację. Ponieważ, oczywiście, kochała się z nim - do pewnego stopnia - tak jak z pierwszym mężem. Wyksztąpiła w sobie te cudowne umiejętności na użytek umierającego, którego kochała.

Tylko że nie była w nim zakochana. Nie pożądała go. Sprawiała mu przyjemność, ponieważ go kochała.

Zaczynał rozumieć tę subtelną różnicę.

Jak dobrze być kochanym przez Vanessę Wallace, wicehrabinę Lyngate.

Jego żonę.

Opanował gniew. Rozpoznał jej łzy - łzy szczęścia i spełnienia. A jeśli był w nich także żal z powodu męża, któremu nie dane było cieszyć się pełnią miłości, cóż, byłby małoduszny, obrażając się na nią.

Hedley Dew, biedaczysko, nie żył.

Elliott Wallace żył.

Zaczepił stopą o prześcieradło i pociągnął, nakrywając ich oboje. Wytarł jej oczy jego rogiem.

- Wybacz mi, Elliotcie. Proszę, wybacz. To nie tak, jak myślisz.

- Wiem - stwierdził.

- Jesteś... och, jesteś taki piękny. Piękny? Cóż.

Uniósł jej głowę i ujął twarz w obie dłonie. Pociągnęła nosem i się roześmiała.

- Wyglądam okropnie - jęknęła.

- Vanesso - rzekł. - Chcę, żebyś mnie posłuchała. I chcę, żebyś mi uwierzyła. W gruncie rzeczy to rozkaz, którego musisz posłuchać. Jesteś piękna. Już nigdy nie wolno ci w to wątpić.

- Och, Elliotcie - znowu pociągnęła nosem - jakie to cudowne z twojej strony. Ale naprawdę nie musisz...

Położył opuszek kciuka na jej ustach.

- Ktoś musi powiedzieć ci prawdę i równie dobrze to może być twój mąż. Ukrywałaś swoją urodę. Ukrywałaś ją przed wszystkimi prócz tych, którzy mogli kąpać się w twoich uśmiechach i patrzeć w twoje oczy. Każdy, kto to zrobi, szybko odkryje twoją tajemnicę. Jesteś piękna.

Dobry Boże, skąd się to wszystko wzięło? Chyba sam w to wierzył? Jej oczy napełniły się łzami.

- Jesteś dobrym człowiekiem - powiedziała. - Potrafisz być zimny, potrafisz się złościć i potrafisz być dobry. Jesteś piekielnie skomplikowany. Tak się cieszę.

- I piękny? Roześmiała się.

- Tak, to też.

Położył jej głowę na swoim ramieniu. Nakrył ich oboje pościelą.

- Myślałam, że dzisiejszej nocy nie przyjdiesz - powiedziała.

- Zasnęłam, martwiąc się o jutro.

Jutro? Ach, tak, prezentacja u królowej. Jeden z najważniejszych dni w jej życiu. A potem ten piekielny bal wieczorem.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił. - A ja myślałem, że dawałaś tylko odpocząć oczom.

- Mmm. Jestem taka zmęczona. Ziewnęła głośno i niemal natychmiast zasnęła.

Prawie nic nie ważyła. Ale była ciepła i pachniała kusząco mydłem i seksem.

Piękna?

Czy była piękna?

Zamknął oczy i usiłował wyobrazić ją sobie taką, jaką ją widział po raz pierwszy - stojącą z przyjaciółką na balu walentynkowym, ubraną w fatalnie uszytą lawendową suknię.

Piękna?

Ale potem przypomniał sobie, że gdy tylko poprowadził ją do tańca i rozbrzmiała muzyka, uśmiechnęła się i rozpromieniła szczęściem. A kiedy powiedział ten żaloszny żart, że wszystkie damy, tak samo jak ona, są olśniewająco piękne, odrzuciła głowę

do tyłu i wybuchnęła śmiechem, wcale niezmartwiona, że komplement nie odnosił się wyłącznie do niej.

A teraz leżała naga i spała w jego ramionach.

Piękna?

Z pewnością coś w niej było.

Poszedł za jej przykładem i zasnął.

Jako zamężna dama, a nie młoda dziewczyna debiutująca w towarzystwie, Vanessa nie musiała ubrać się na biało. Z korzyścią dla siebie. W bieli wyglądałaby nieciekawie.

Atłasowa spódnica, ułożona na szerokich obręczach, miała bladoniebieski kolor lodu. Podobnie jak ozdobny trójkąt z przodu sukni, na którym lśnił srebrny haft. Koronkowe nakrycie gorsetu i spódnicy, otwarte na bokach, było nieco ciemniejsze, tak samo jak długi tren oraz welon spływający ze srebrnej opaski na głowie. Nad jej głową powiewały pióra bladoniebieskie i srebrne. Srebrne rękawiczki sięgały za łokcie.

- O, Boże - powiedziała, patrząc na siebie w lustrze, kiedy służąca skończyła ją ubierać. - Naprawdę jestem piękna. Elliott miał rację.

Roześmiała się z zachwytem, ponieważ naprawdę uznała, że jak na siebie, wygląda świetnie. Mogłaby zawsze ubierać się w ten sposób. Powinna urodzić się pięćdziesiąt lat wcześniej. Tyle że wtedy mogłaby być babcią Elliotta, a to by jej się nie podobało.

- Oczywiście, że jesteś piękna - zawołała Katherine, wysuwając się naprzód, żeby uściskać siostrę, choć zrobiła to bardzo ostrożnie, żeby nie uszkodzić stroju. - Nie dbam o to, ilu ludzi zżyma się, że dla królowej trzeba wkładać takie staromodne stroje. Myślę, że są wspaniałe. Żałuję, że nadal ich nie nosimy na co dzień.

- Ja też tak myślę - rzekła Vanessa.

Ale Meg zwróciła uwagę na to, co siostra powiedziała wcześniej.

- Wicehrabia Lyngate powiedział, że jesteś piękna? - zapytała.

- Zeszłej nocy - odparła Vanessa, poprawiając lewą rękawiczkę. - Był niemądry.

- Był tylko spostrzegawczy - stwierdziła Margaret. - A więc wszystko dobrze się układa, Nessie?

Vanessa uśmiechnęła się, patrząc w pełne niepokoju oczy siostry. Naprawdę był bardzo niemądry zeszłej nocy. Nie wiedziała, co w niego wstąpiło. Ale cokolwiek to było, sprawiło, że tego ranka czuła się szczęśliwa. Kazał jej myśleć o sobie jako piękności, a biorąc z nim ślub przysięgła, że zawsze będzie mu posłuszna.

Niemądry!

Obudziła się wcześniej rano, tak jak zasnęła, leżąc wygodnie

w jego ramionach, z policzkiem wtulonym w jego ramię. Kochali się jeszcze raz, zanim wrócił do swojego pokoju.

Tym razem jej nie podziękował. To ją bardzo ucieszyło.

Od tamtej chwili go nie widziała. Pokojówka przyniosła jej śniadanie do łóżka - na jego polecenie. Potem Vanessa nie wychodziła z garderoby. Jej nastrój wahał się między podnieceniem a głębokim niepokojem. Teściowa i Cecily wchodziły i wychodziły, obserwując wysiłki pokojówki. Zjawily się Meg i Kate. Przyszedł Stephen. Był na dole z Elliottem. Też mieli udać się na królewski dwór. Elliott podjął się przedstawić Stephena księciu Walii podczas jednego z jego rannych przyjęć.

- Kate miała rację - powiedziała Margaret. - Naprawdę wyglądasz ślicznie, Nessie. I to nie tylko kwestia ubrania. Jeśli to lord Lyngate sprawił, że twoja twarz promienieje takim blaskiem, to wybaczę ci, że się mu oświadczyłaś.

- Co zrobiła? - Katherine spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Obie wiedziałyśmy, że idzie, żeby oświadczyć się Meg - wyjaśniła pośpiesznie Vanessa. - Meg go nie chciała. Ja tak. Tak więc ofiarowałam mu swoją rękę, zanim on zdążył zaproponować Meg małżeństwo.

- Och, Nessie! Jak mogłaś odważyć się na coś takiego? Ale dlaczego nie chciałaś poślubić lorda Lyngate, Meg? Jest niezwykle przystojny, pomijając wszystko inne. Przypuszczam, że

uznałaś, że musisz zostać nieco dłużej ze Stephenem i ze mną.

- Nie chcę wychodzić za mąż - oznajmiła zdecydowanie
Meg. - Za nikogo.

W tej chwili weszły wicehrabina matka i Cecily. Cecily
pisnęła z zachwytem.

Wicehrabina matka spojrzała na Vanessę z aprobatą i skinęła
głową.

- Wypadniesz bardzo dobrze, Vanesso - powiedziała. -
Miałyśmy rację co do koloru. Wydajesz się w nim młoda,
delikatna i naprawdę ładna.

- Piękna - dodała Katherine z czułym uśmiechem. -
Uznałyśmy milady, że wygląda pięknie.

- Opinia, z którą zgadzam się całkowicie - rzekła Vanessa ze
śmiechem. - Jeśli zdołam utrzymać pióra nad głową, a nie
pozwolę, żeby mi spadły na oczy, i jeśli nie potknę się o tren i nie
przewrócę w obecności Jej Wysokości, będę z siebie całkiem
zadowolona.

- Pani także wygląda pięknie, milady - uprzejmie i zgodnie z
prawdą zauważyła Margaret.

Teściowa Vanessy miała na sobie suknię w kolorze
czerwonego wina, który znakomicie podkreślał jej
śródziemnomorską urodę. To ona miała dzisiaj przedstawić
Vanessę królowej.

Czas naglił. Z pewnością nie wypadałoby się spóźnić na najważniejsze spotkanie jej życia.

Panie stanęły u szczytu schodów, tak żeby mogła zejść pierwsza. Zrozumiała dlaczego, gdy tylko zaczęła schodzić. Elliott i Stephen stali w holu z podniesionymi głowami.

- Och, Nessie - zawołał Stephen, patrząc na nią z podziwem.

- Czy to naprawdę ty?

Mogła o to samo zapytać jego. Był ubrany w ciemnozielony, świetnie skrojony surdut z haftowaną złotem kamizelką i spodnie do kolan w barwie starego złota. Koszula lśniła bielą. Wydawał się wyższy i szczuplejszy niż zwykle. Starannie uczesane włosy zaczynały już zdradzać objawy buntu. Oczy płonęły tłumionym podnieceniem.

Ale tak naprawdę Vanessa tylko część uwagi poświęciła bratu. Elliott także prezentował się wspaniale.

Jak dotąd nie widział jej dworskiego stroju, znał go tylko z opisu. Wiedział, jakiego był koloru. On sam nosił bladoniebieski surdut i srebrne spodnie oraz haftowaną srebrem kamizelkę w odcieniu mocniejszego błękitu. Jego koszula była również śnieżnobiała.

W jasnych barwach, ze swoją grecką urodą sprawiał oszałamiające wrażenie.

Jaka szkoda, pomyślała, że nie pojawią się razem. Ale może

tak było lepiej. Kto byłby w stanie oderwać od niego wzrok, żeby poświęcić jej choć jedno spojrzenie?

Zbliżył się do schodów i wyciągnął do niej rękę. Położyła na niej dłoń i roześmiała się.

- Spójrz tylko - powiedziała. - Czyż nie jesteśmy wszyscy wspaniali?

- Sądzę, że tak - odparł. - Ale ty, milady, jesteś piękna.

Jeśli będzie to częściej powtarzał, zacznie w to wierzyć.

- Też tak myślę - rzekła, trzepocząc żartobliwie powiekami.

A potem ruszyli w drogę, choć usadowienie dam w dworskich strojach w powozie zajęło dużo czasu.

- Jednak - powiedziała Vanessa, kiedy już pomachała Margaret, Katherine i Cecily - chyba powinnam się cieszyć, że nie urodziłam się wtedy, kiedy takie stroje noszono na co dzień.

- Ja także się z tego cieszę - stwierdził Elliott, który siedział naprzeciwko ze Stephenem. Oczy miał lekko zmrużone.

Czy to możliwe, zastanawiała się Vanessa, uśmiechając się do niego, że zaczynała żyć „długo i szczęśliwie”? Raczej nie wierzyła w coś takiego. Ale czy było możliwe, żeby jej małżeństwo okazało się szczęśliwe? Czy mogła się zakochać we własnym mężu? Cóż, oczywiście, że było to możliwe. To już się, w gruncie rzeczy, stało. Po co się oszukiwać? Czy jednak mogła go także kochać?

Co ważniejsze, czy on mógłby kiedyś odwzajemnić to uczucie?

Czy już kochał ją choć trochę?

Tego ranka wszystko wydawało się możliwe. Nawet to, że nie zrobi z siebie widowiska w obecności królowej.

Tego ranka nawet „długo i szczęśliwie” wydawało się możliwe. A nawet upragnione.

Słońce świeciło na błękitnym niebie. Na horyzoncie pojawiły się chmury, ale zbyt daleko, żeby się nimi przejmować. Na pewno nie zapowiadało się na deszcz.

Prezentacja przebiegła gładko. Vanessa nie ściągnęła na siebie niepotrzebnej uwagi. Dygnęła zgrabnie, nie tracąc równowagi ani nie topiąc się w obszernej, usztywnionej spódnicy. I wycofała się przed oblicza majestatu, nie zaplątawszy się w tren.

Od czasu do czasu spoglądała na królową i miała ochotę uszczypnąć się, żeby sprawdzić, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Znajdowała się w tej samej sali, co królowa Anglii. Królowa spojrzała na nią, kiedy ją przedstawiono, i wypowiedziała parę uwag - Vanessa nigdy potem nie była w stanie przypomnieć sobie dokładnie jej słów.

Na koniec odczuła ogromną ulgę. Wiedziała jednak, że tego wydarzenia nie zapomni, choćby żyła sto lat.

W tym samym czasie Stephena przedstawiono księciu Walii, który rozmawiał z nim parę minut. To oczywiście nic nadzwyczajnego. Stephen był hrabią Merton. Ale i tak trudno było w to uwierzyć.

Jak to możliwe, by ich życie zmieniło się tak bardzo w tak krótkim czasie.

Vanessa wciąż sobie zadawała to pytanie, ubierając się na wieczorny bal - prawdziwy bal londyńskiego sezonu. Sala balowa w rezydencji Moreland została udekorowana tak, że przypominała

ogród z masą różowych i białych kwiatów oraz mnóstwem zieleni. Kandelabry pod połączanym sufitem wypolerowano i zaopatrzone w nowe świece. W powietrzu cały dzień unosiły się smakowite zapachy - przygotowywano dania na wieczorny bankiet. A orkiestra złożona z zawodowych muzyków zajęła właśnie miejsca na podwyższeniu. Kiedy Vanessa zeszła do sali balowej, Elliott, wicehrabim matka i Cecily czekali już, gotowi na powitanie gości.

Margaret i Katherine zeszły na dół wcześniej. Margaret włożyła lśniąca suknię w kolorze szmaragdowozielonym, Katherine białą z delikatnego muślinu haftowaną w maleńkie bławatki. Jakże inaczej wyglądały niż zwykle, jakże elegancko, godnie i... bogato.

- Żałuję, że nie ma mocniejszego określenia niż piękny - powiedziała Vanessa, patrząc z czułością na obie. - Pasowałyby do was.

- Och, Nessie - rozczuliła się Katherine - czy czasami nie tęsknisz za Rundle Park, tak jak ja tęsknię za moimi dziećmi ze szkoły? To wszystko jest takie przerażające, a jednocześnie tak niezwykle ekscytujące.

Vanessa roześmiała się. Tak, czasami tęskniła za domem, chociaż nie była już taka pewna, gdzie on był. Domek w Throckbridge? Rundle Park? Warren Hall, Finchley Park? Dom nad jeziorem? Może dom jest miejscem, z którym nas łączy

poczucie przynależności. Może dom znajdował się teraz tam, gdzie ona i Elliott byli razem. O, Boże, naprawdę muszę być zakochana, pomyślała.

- Jestem bardzo szczęśliwa z twojego powodu, Nessie - powiedziała Meg. - To wszystko twoje i do tego masz udane małżeństwo. Jest udane, prawda?

Spojrzała na siostrę niemal błagalnie.

- Jest udane. - Vanessa uśmiechnęła się, mając nadzieję, że mówi prawdę. W jej związku z Elliottem będą zapewne jeszcze jakieś cienie, ale z pewnością najgorsze mieli za sobą. Niewątpliwie pojawiła się szansa na szczęście albo przynajmniej zadowolenie.

Nie mogły dłużej rozmawiać. Przybywali pierwsi goście i Vanessa stanęła obok męża.

Przez następne pół godziny uśmiechała się i wymieniała powitania z, jak się wydawało, niekończącą się kolejką gości, których większości nigdy nie widziała. Usiłowała rozpaczliwie zapamiętać twarze, nazwiska i tytuły, ale bała się, że to przekracza jej siły.

- Wkrótce poznasz wszystkich - rzekł Elliott, przysuwając głowę do jej głowy, kiedy tłum gości przerzedził się nieco. - W najbliższych tygodniach będziesz spotykać tych ludzi na wszystkich imprezach towarzyskich.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Nie oczekiwał od niej niemożliwego. Wyglądał niezwykle przystojnie w bieli i czerni. Powiedziała mu to wcześniej, kiedy przyszedł do jej garderoby, żeby ją sprowadzić na dół, ale on odezwał się pierwszy. Stwierdził, że ładnie wyglądała w różowym. Użył tego właśnie słowa - ładnie.

Nie uwierzyła mu, rzecz jasna, ale i tak sprawiło jej to przyjemność. W obecności Elliotta zaczynała czuć się i ładna, i piękna.

Gdyby mu wtedy powiedziała, jaki był przystojny, mogłoby się wydawać, że czuje się jedynie zobowiązana, żeby odpłacić komplementem za komplement.

- Chciałbym - oznajmił - rozpocząć bal z tobą, Vanesso, ale muszę zatańczyć z Cecily.

- Oczywiście. To jej debiut, nie mój. Rozmawialiśmy już o tym. Mogę poczekać.

Ale jakże byłoby cudownie... Tańczyli razem na rozpoczęciu balu walentynkowego.

- Chodź - zaproponował, kiedy wydawało się, że wszyscy goście już przybyli. - Przedstawię twoim siostronom lorda Bretby i jego brata.

- A potem zapytasz dobitnie Meg i Kate, tak żeby oni słyszeli, czy obiecały już komuś pierwszy taniec? - zapytała.

Patrzył na nią przez chwilę zaskoczony, a potem w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia, a może nawet rozbawienia.

- Ach - powiedział - wspomnienie Humphreya Dew i pewnego balu w Throckbridge.

- Pragnęłam, żeby ziemia rozstąpiła się pode mną i mnie pochłoneła.

- O mój Boże, czy byłem aż tak niepożądanym partnerem? Roześmiała się i przyjęła ofiarowane sobie ramię.

Lord Bretby i pan Ames nie potrzebowali zachęty Lord Bretby poprosił o taniec Meg. A pan Ames Kate.

Jakie to łatwe, pomyślała Vanessa. Musiała tylko poślubić Elliotta, żeby jej siostry zostały wprowadzone do towarzystwa.

Stephen był tu także. Wszyscy uważali, że to jak najbardziej właściwe, żeby - pomimo młodego wieku - wziął udział w balu w domu szwagra. Wyglądał niezwykle przystojnie. I zwracał na siebie uwagę. Zwłaszcza bardzo młode damy przyglądały mu się z żywym zainteresowaniem.

Jednak okazało się, że gospodarze zbyt wcześnie skończyli witać gości. Właśnie przybyła jeszcze jedna para.

- Och! - zawołał Stephen, kiedy Vanessa odwróciła głowę, żeby spojrzeć w kierunku drzwi. - Kuzyn Constantine. A z nim pani Bromley - Hayes.

Vanessa usłyszała, że Elliott wciąga gwałtownie powietrze, i

popatrzyła w jego stronę. Utkwił wzrok w drzwiach. W jego oczach malowała się zimna wściekłość. Szczęki miał zaciśnięte.

- Wiedziałaś, że on się pojawi - domyśliła się, mocniej ściskając jego rękę. - Cecily chciała, żeby przyszedł. Został zaproszony.

- Ale ona nie - powiedział szorstko.

Pani Bromley - Hayes miała na sobie lśniąca suknię ze złocistego materiału tak delikatnego, że przylegał do każdego zaokrąglenia jej ciała i wydawał się niemal przezroczysty. Głęboko wycięty dekolt był w zgodzie z panującą modą. Zapewne wspaniałość jej piersi sprawiała, że zwracał większą uwagę niż u innych dam. Jej gęste, lśniące, jasne włosy były upięte wysoko i pozbawione ozdób. Nie potrzebowały ich.

Vanessa westchnęła cichutko. I ona śmiała czuć się ładna w różowym?

- Musimy podejść, żeby ich przywitać - zwróciła się do Elliotta, idąc w stronę drzwi. Uśmiechnęła się serdecznie na powitanie. Constantine był kuzynem i lubiła go wbrew ostrzeżeniom Elliotta.

- Ach, kuzynko. - Skłonił się nisko. - Proszę wybaczyć, że zjawiamy się tak późno. Musiałem przekonać Annę, że będzie tu mile widziana, choć przez jakieś przeoczenie nie dostała zaproszenia.

- Ależ oczywiście, że jest mile widziana - odparła Vanessa, wyciągając rękę do damy. Miała śliczne jasnobrązowe oczy; Vanessa podejrzewała, że przyciemniała rzęsy. - Proszę wejść i rozgościć się, pani Bromley - Hayes. Tańce zaraz się zaczną. Elliott ma tańczyć pierwszy taniec z Cecily, jako że to jej bal debiutancki. Ja poproszę Stephena...

Constantine podniósł dłoń do góry.

- Vanesso, nie tańcz z bratem. Zatańcz ze mną. Zaskoczona przeniosła spojrzenie na panią Bromley - Hayes, ale dama nie wydawała się zmartwiona. Uśmiechała się do Elliotta.

- Dziękuję, Constantine. To bardzo miłe. Ale czy będziesz czuł się zobligowany, żeby przetańczyć pół wieczoru z kuzynkami? Wiem, że obiecałeś zatańczyć z Cecily i Kate, a one na pewno dopilnują, żebyś o tym nie zapomniał.

- I jest jeszcze Margaret - zauważył. - Jestem najszczęśliwszym mężczyzną w sali, ponieważ nie potrzebuję, aby mnie przedstawiono najpiękniejszemu damom. Czy Elliott pomyślał o tym, żeby ci powiedzieć, jak ślicznie wyglądasz?

- Tak, uważa, że ładnie mi w różowym.

Roześmiała się, na pół rozbawiona, na pół zmieszana, że powiedziała coś takiego w obecności damy, która nie potrzebowała takich zapewnień.

- Podoba mi się także twoja fryzura - stwierdził Constantine.

- Wybaczcie, proszę - odezwał się Elliott szorstko. - Muszę poprowadzić Cecily i rozpocząć tańce.

Vanessa odwróciła głowę, żeby się do niego uśmiechnąć, ale już go nie było.

Pani Bromley - Hayes odeszła w stronę pobliskiej grupki gości.

- To okropne niedopatrzenie ze strony mojej teściowej, że jej nie zaprosiła - powiedziała Vanessa, kiedy Constantine prowadził ją na parkiet taneczny. - Mówiła, że zaprosiła po prostu wszystkich.

- Może nie takie niedopatrzenie - odparł Constantine. - Anna jest szacowną wdową, ale ma także reputację osoby, hm, nieco zbyt życzliwej wobec pewnych dżentelmenów.

Przez chwilę Vanessa nie rozumiała, co miał na myśli, a potem poczuła się ogromnie zmieszana.

- Och - westchnęła.

Zbyt życzliwa. Miała kochanków? Nic dziwnego, że cnotliwe damy z towarzystwa, takie jak wicehrabina matka, pomijały ją przy rozsyłaniu zaproszeń. ^

Czy Elliott zdawał sobie z tego sprawę? Z pewnością tak. Czy dlatego tak się irytował? Był to, ostatecznie, bal na cześć jego najmłodszej siostry, która miała zaledwie osiemnaście lat.

- Wobec tego zachowałeś się niezbyt ładnie, przekonując ją,

żeby ci towarzyszyła, Constantine. Może powinieneś przeprosić moją teściową.

- Może powinienem - zgodził się, patrząc na nią śmiejącymi się oczami.

- Ale nie zrobisz tego - domyśliła się.

- Ale nie zrobię.

Przechyliła głowę na bok, przyglądając mu się z uwagą. Nadal się uśmiechał, ale było w wyrazie jego twarzy coś szyderczego, coś, co zauważyła już wcześniej. A także jakiś twardy rys, którego przedtem nie dostrzegła. Constantine Huxtable, jak się domyślała, był człowiekiem o wielu obliczach, w gruncie rzeczy nie знаła go i prawdopodobnie nigdy nie pozna. Ale był kuzynem i nigdy nie okazał się nieżyczliwy wobec niej czyjej rodzeństwa.

- Dlaczego ty i Elliott tak bardzo się nienawidzicie? - zapytała. Może od niego to usłyszy.

- Nie czuję do niego nienawiści - powiedział. - Ale, widzisz, uraziłem go, kiedy Jon jeszcze żył. Namawiałem chłopca, żeby mu robił psikusy, nie zdając sobie sprawy, że Elliott tak poważnie to potraktuje. Miał poczucie humoru, zanim wuj umarł i zostawił mu mnóstwo obowiązków. Był gotów na każde szaleństwo. Ale gdzieś po drodze zatracił zdolność śmiania się z samego siebie - czy też, prawdę mówiąc, z czegokolwiek. Może ty pomożesz mu

odzyskać poczucie humoru, Vanesso. Nie nienawidzę go.

To brzmiało prawdziwie. Ale kiedy stała w szeregu dam, patrząc, jak zajmuje miejsce naprzeciwko, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że kryło się za tym coś więcej. Elliott miewał zmienne nastroje, często był skłonny do złości i ponuractwa. Sama oskarżała go o brak poczucia humoru. Ale z pewnością nie miałby wciąż za złe Constantine'owi, że ten od czasu do czasu namawiał Jonathana do psot.

Rozbrzmiała muzyka i Vanessa poddała się radości tańca na prawdziwym balu londyńskiej arystokracji. Rozglądała się, ciesząc oczy pięknem kwiatów, wdychając ich zapach, uśmiechając się do gości.

Napotkała wzrok Elliotta i wydawało jej się, że czyta w jego oczach... Cóż, może nie miłość. Ale jednak coś. Może czułość? Posłała mu promienny uśmiech.

Więc tak, ich małżeństwo naprawdę zapowiadało się pomyślnie.

Była szczęśliwa.

Elliotta natomiast zalewała wściekłość i dziwił się, że jeszcze panuje nad sobą.

W pierwszym odruchu chciał ją poprosić, żeby wyszła - poprosić, żeby wyszli oboje.

Zażądać tego.

Wyrzucić ich za drzwi, ściśle mówiąc.

Zrobić to osobiście.

Ale jak mógłby to zrobić, nie wywołując skandalu? Starannie przemyśleli moment pojawienia się na balu - późno, ale nie za późno. Wiedzieli, że nie zrobi sceny wobec tylu ludzi i to we własnym domu.

Jednak wielu obecnych gości musiało wiedzieć. Jego własna matka też!

Żaden szanujący się dżentelmen nie sprowadziłby kochanki - nawet byłej kochanki - do swojego domu. Zwłaszcza pod obecność żony. Oraz matki i sióstr.

Oczywiście, Con też wiedział - i to Con ją przyprowadził. Był tak samo winien, jak ona. Prawdopodobnie nawet bardziej. Taki pomysł prędzej jemu przyszedłby do głowy niż jej.

Elliott usiłował skupić całą uwagę na tańcu z Cecily. Oczy jej lśniły, paplała podniecona. Ten wieczór miała zapamiętać jako jeden z najważniejszych w swoim życiu. W trakcie balu zatańczy z kilkoma, starannie wybranymi przez matkę, młodymi kawalerami. Jeden z nich może zostanie w przyszłości jej mężem.

Ale trudno mu było utrzymać skupienie. O czym Con rozmawiał z Vanessą? Chyba niewiele mówili. Uśmiechał się do niej, a ona promieniała - tak jak na zabawie w Throckbridge. Zatem nie mógł jej sprawić przykrości.

Anna nie tańczyła. Stała z boku, z grupką ludzi, ale nie brała udziału w rozmowie. Wachlowała leniwie twarz, uśmiechając się lekko i obserwując Elliotta, jak tańczy. Nie próbowała nawet tego ukryć.

Miała na sobie złotą suknię, którą kupił jej w zeszłym roku; była tak śmiała, że niemal wulgarna; powiedział jej wtedy, że tylko ona, jedyna ze wszystkich kobiet, ma figurę, na której ta suknia będzie pięknie wyglądać. Nosila ją zawsze w domu, tylko dla niego, kiedy razem jedli kolację albo siedzieli w jej buduarze.

Uznał, że musi jej starannie unikać przez resztę wieczoru, mając nadzieję, że na tym się skończy. Postara się, żeby także Vanessa nie miała z nią styczności.

Dobry Boże, jaka ciekawość musi drażnić niektórych z gości, jak muszą ich obserwować i czekać na coś - nie wiadomo, na co.

Z trudem udawało mu się jej unikać. Gdy tylko skończył tańczyć z Cecily, podszedł Con, żeby prosić ją o następny taniec. Vanessa była z bratem i siostrami, których przedstawiała pannie Flaxley, lordowi Beatonowi i sir Wesleyowi Hidcote. Lord Trentam, mąż Jessiki, mówił coś Vanessie do ucha, a ona uśmiechnęła się i położyła dłoń na jego rękawie. Pewnie prosił ją o kolejny taniec.

A potem obok niego pojawiła się Anna z wachlarzem; uśmiechała się lekko. Nie miał wyboru, jak tylko ukłonić się

uprzejmie i wysłuchać, co miała do powiedzenia.

- Obawiam się, Elliotcie - odezwała się niskim, melodyjnym głosem - że obraziłeś się na mnie śmiertelnie.

Uniósł brwi.

- Wydaje mi się, że mój pantofel trafił cię w ramię. Zapomniałam, rzucając nim, że ma ostry obcas. Czy cię zraniłam?

- Oczywiście, że nie - odparł.

- Mam zmienne usposobienie. Ale przecież o tym wiedziałeś. Wiesz także, że równie szybko odzyskuję panowanie nad sobą, jak wpadam w złość. Powinieneś był wrócić tamtego dnia. Czekałam na ciebie.

- Naprawdę? - Nie pamiętała, być może, że opanowała się, jeszcze zanim wyszedł.

- Ależ naturalnie.

- Byłem zajęty. Od tamtego czasu jestem ciągle zajęty.

- Ach tak. Biedny Elliott - szepnęła współczująco. - Spełniasz obowiązek? To musi być przykre zadanie.

Znowu uniósł brwi.

- Nie możesz mieć z tego wiele przyjemności - powiedziała, śmiejąc się w sposób, który zawsze wprawiał go w podniecenie.

- Doprawdy?

- Przyjemność i obowiązek nigdy nie idą w parze - stwierdziła - i dlatego małżeństwo między nami byłoby nieudane.

Jesteś mądry, że zauważyłeś to wcześniej ode mnie. Kiedy mogę się ciebie spodziewać?

Uważał, że ich romans dawno się skończył. Ale takie słowa nigdy między nimi nie padły. Kłócili się już przedtem kilka razy i zawsze do siebie wracali.

- Jestem żonaty, Anno - przypomniał jej.

- Tak, biedaku. - Spojrzała na niego znad wachlarza. - Ale nie wszystko stracone. Jestem tu po to, żeby cię pocieszyć, i nie mam żadnych złych zamiarów. Jutro po południu mogę być wolna, jeśli chcesz. Czy mam być wolna?

- Źle mnie zrozumiałaś - odparł, zdając sobie sprawę, że rozmawiają za długo i zaczynają przyciągać uwagę, budząc różne domysły. - Mam na myśli to, że mam żonę, Anno.

Otworzyła szeroko oczy, mocniej poruszając wachlarzem.

- Nie mówisz poważnie. Elliotcie, ona jest okropna! To żart!

- Jest moją żoną - oznajmił stanowczo. - Życzę ci miłego wieczoru, Anno. Muszę się teraz zająć gośćmi.

Ruszył w stronę pokoju do gry w karty, ale w ostatniej chwili zawrócił do biblioteki. Musiał pobyć trochę sam przed powrotem na salę.

Należało postawić kropkę nad „i” podczas ostatniego spotkania z Anną. Byli ze sobą całe dwa lata. Zaslugiwała na lepsze potraktowanie. Na szczerą rozmowę w cztery oczy.

Ale Con - Con zrobił to specjalnie. Nie wziąłby mu tego tak bardzo za złe, gdyby chodziło tylko o niego. Ale Conowi nie wolno było wciągać w to Vanessy. I obrażać własnej ciotki i kuzynów tak nikczemnym postępowaniem.

Kiedy po upływie kwadransa wrócił do sali balowej, Anna już zniknęła. W ogóle nie tańczyła.

Należało mieć nadzieję, że teraz wszystko między nimi skończone.

Choć zastanawiał się, czy nie powinien złożyć jej kurtuazyjnej wizyty któregoś z następnych paru dni. Nigdy wcześniej nie naraziła się na jego gniew i należało się jej, być może, jakieś wyjaśnienie.

Vanessa bawiła się świetnie. W zachwyty wprowadzała ją, że tańczy cały czas. Mimo że była mężatką i otaczała ją mnóstwo młodszych i piękniejszych dam.

Co ważniejsze, Meg i Kate także nie odpoczywały. Podobnie jak Stephen. I Cecily, co naturalnie, nie powinno budzić zdumienia. Dziewczyna była młoda i piękna i to ona debiutowała dzisiejszego wieczoru. Wychowano ją właśnie do takiego życia. Przyciągała uwagę mężczyzn i grała swoją rolę tak, jakby się do niej urodziła.

A teraz zbliżał się jeden z dwóch zaplanowanych na wieczór walców. Wicehrabina matka postanowiła je uwzględnić pomimo

faktu, że Cecily nie mogła go zatańczyć, ponieważ młode damy potrzebowały zgody jednej z patronek Almanachu, żeby wykonywać ten taniec na publicznym balu. Uznano, że Kate także nie powinna go tańczyć, chociaż Meg, jako starsza mogła - o ile zostanie poproszona. Podobnie jak, rzecz jasna, Vanessa.

Vanessa i Cecily udzielały lekcji Meg, Kate i Stephenowi, choć może należałoby powiedzieć, że Cecily uczyła Stephena, podczas gdy Vanessa skupiała się na siostrach.

Nie kto inny, jak markiz Allingham poprosił Meg do tańca. Co było miłe, nawet jeśli nie dorównywał jej wzrostem. Cecily i Kate znalazły się w ożywionej grupie bardzo młodych ludzi, którzy bawili się, obserwując, jak starsi tańczą.

Vanessa miała nadzieję, że ktoś poprosi ją do walca. Chociaż miała, oczywiście, nadzieję, że...

- Pani - usłyszała głos za plecami - czy mogę mieć nadzieję, że zechcesz uczynić mi ten zaszczyt i zatańczysz ze mną walca?

Odwróciła się i uśmiechnęła, uszczęśliwiona.

- Nie zawiodę twojej nadziei, panie - odparła. - Zatańczę z tobą walca.

Położyła rękę na jego rękawie.

- Och, Elliotcie czy to nie najcudowniejszy wieczór w naszym życiu?

- Zapewne - zgodził się, prowadząc ją na parkiet - gdybym

pomyślał dłużej, przypomniałbym sobie parę innych wieczorów, które były równie cudowne. Ale z pewnością nie bardziej.

- Zawsze mówisz coś takiego. - Roześmiała się. - Dopiero niedawno nauczyłam się kroków. Mam nadzieję, że nie zapłacę się we własne nogi. Albo, co byłoby gorsze, nie potknę się o twoje.

- Oboje wiemy, że ważysz tonę - powiedział. - Do końca życia miałbym zniekształcone stopy.

- Pół tony. Nie przesadzaj.

- Gdybym jednak dopuścił do tego, żebyś się potknęła o moje stopy, poszedłbym do domu i zastrzeliłbym się.

- Jesteś w domu - przypomniała.

- Ach - odparł. - Tak jest. Wyrok zatem odroczoney.

To, że mogła wygadywać przy nim głupstwa, a on odpowiadał podobnymi, stanowiło jedną z miłszych niespodzianek w ich związku.

- Czy wciąż gniewasz się na Constantine'a za to, że przyprowadził ze sobą panią Bromley - Hayes? - zapytała. - Powtórzył mi opinie, jakie o niej krążą; sądzę, że wiesz, o czym mówię. Ale ucieszyłam się, widząc, że z nią rozmawiasz. To ładnie z twojej strony. Wyszła bardzo wcześnie. Mam nadzieję, że nie czuła się niezręcznie.

- Nie rozmawiajmy o tej damie ani o Conie, dobrze? -

poprosił. - Cieszymy się walcem.

- Mam nadzieję, że nie...

Ale on pochylił się ku niej tak blisko, jedną dłoń kładąc na jej plecach, a drugą ujmując za rękę, że przez chwilę przestraszyła się, że pocałuje ją na środku sali balowej, na oczach londyńskiej śmietanki towarzyskiej.

- Nie zrobisz z siebie widowiska - powiedział. - Zaufaj mi. I zaufaj sobie.

Uśmiechnęła się.

- Pamiętam, że wcześniej zapewniłem cię, że wyglądasz ładnie. Pomyliłem się.

- Och.

- Nie wyglądasz ładnie - oznajmił. - Wyglądasz pięknie.

- Och - powtórzyła tylko.

W tej właśnie chwili rozbrzmiała muzyka.

Pokochała walca, od chwili, gdy zaczęła się go uczyć. Uznała, że jest śmiały, romantyczny, pełen wdzięku i... Och, i mnóstwo innych rzeczy.

Ale nigdy dotąd nie tańczyła walca na prawdziwym balu.

I nigdy, aż dotąd, nie tańczyła walca z Elliottem.

Nigdy nie tańczyła walca wśród kwiatów, zapachu perfum, w szumie jedwabiu, atlasu, muślinu i koronek, w migotliwym blasku klejnotów. Nigdy dotąd nie tańczyła walca przy muzyce

prawdziwej orkiestry.

Nigdy przedtem nie tańczyła walca z mężczyzną, którego kochała.

Ponieważ, oczywiście, to było coś więcej niż zwykłe zakochanie.

Elliott ją poprowadził, a ona natychmiast przestała się bać, że pomyli kroki i ośmieszy się na oczach wszystkich.

Zapomniała, że nie jest naprawdę piękna, że on nie kocha jej naprawdę. Tańczyła i wydawało jej się - czy też wydawałoby się, gdyby miała czas na świadome zastanowienie - że w całym swoim życiu nie przeżyła nic wspanialszego.

Nie spuszczała oczu z klasycznie pięknej, smagłej twarzy męża i uśmiechała się, patrząc w jego błękitne oczy. A on odpowiadał jej spojrzeniem pełnym czułości.

Czuła się piękna.

Czuła się kochana.

W przebłyskach światła i kolorów dostrzegała splendor otoczenia, ale jedynie naprawdę widziała Elliotta.

Uśmiechnęła się jeszcze bardziej promiennie.

I w końcu, ach, wreszcie, w jego oczach pojawił się uśmiech, a kąciki ust uniosły leciutko ku górze.

To była z pewnością najszczęśliwsza chwila w jej życiu.

- Och - westchnęła, kiedy muzyka zaczęła cichnąć, i

uświadomiła sobie, że to pierwszy dźwięk, jaki wydało któreś z nich od początku walca. - Tak szybko?

- Tak - odparł. - Zapomniałem wydać orkiestrze dyspozycje, żeby grali bez końca.

Roześmiała się, patrząc mu w oczy, które wciąż się uśmiechały.

- Co za niedopatrzenie z twojej strony - powiedziała.

- W istocie.

Nadeszła pora kolacji i musieli zająć się gośćmi.

Vanessa uznała ten wieczór za jeden z najbardziej pamiętnych w życiu. Pomijając wszystko inne, tego wieczoru zakochała się po uszy w Elliotcie - tak mocno, że różnica między miłością a zakochaniem straciła znaczenie.

Poświęciła jedną, smutną chwilę zadumy Hedleyowi, a potem łagodnie odsunęła od siebie wszelkie myśli o nim.

Tamto było wówczas.

To było teraz.

A teraz to doskonały moment, żeby żyć.

Vanessa poszła następnego dnia do rezydencji brata przy Berkeley Square, żeby odwiedzić siostry. Obie zastała w domu; Stephen poszedł z Constantine'em obejrzeć modne dwukółki, chociaż zdaniem Margaret był o wiele za młody, żeby poruszać się tak niepraktycznym i niebezpiecznym pojazdem.

- Boję się - powiedziała, kiedy wszystkie usiadły w bawialni - że może zacząć szaleć. Londyn i nowi znajomi wywarli na nim ogromne wrażenie. Rzecz w tym, że on także wywarł na wszystkich wrażenie, nawet na dżentelmenach sporo od niego starszych. Oby nie sprowadzili go na manowce.

- On tylko próbuje skrzydeł, Meg - tłumaczyła chłopca Katherine. - Nawet ich jeszcze nie rozwinął. Ale to nieuniknione. Musimy zaufać, że ma dość silny charakter, by nie stracić poczucia odpowiedzialności.

- Zgadzam się z Kate - odezwała się Vanessa. - Trzeba pozwolić Stephenowi, aby stał się młodym dżentelmenem i znalazł własną drogę.

- Och, przypuszczam, że obie macie rację - przyznała Meg z westchnieniem. - W gruncie rzeczy wiem, że macie rację. Ale on jest taki młody. Za młody, by narażać się na pokusy, jakie tu czyhają.

- Jeśli to cię pocieszy - powiedziała Vanessa - to Elliott

traktuje swoje obowiązki względem niego bardzo poważnie. Będzie miał na niego baczenie w męskim świecie, do którego nie mamy dostępu. Do tego właśnie świata, bardzo mądrze, wycofał się dziś rano. Przy śniadaniu mowa była tylko o balach, przystojnych mężczyznach i podbojach miłosnych. Cecily dostała pięć bukietów od dżentelmena, z którym tańczyła. Uznała, że odniosła niebywały sukces, i wszystkie się z nią zgodziłyśmy.

- A ty chciałaś uciec, przychodząc tutaj? - zapytała Katherine.

- Rozglądałaś się dookoła siebie, Nessie?

Vanessa zrobiła to teraz i roześmiała się. Meg zawsze trzymała w domu dużo kwiatów, ale nigdy nie było takiej liczby ozdobnych bukietów, jak dzisiaj.

- Kolejne sukcesy? - Zaciekawiała się. - Kolejni przystojni dżentelmeni?

- Liczba pojedyncza w moim wypadku - odparła Margaret. - Białe róże są moje. Markiz Allingham był tak uprzejmy, że mi je przysłał. Pozostałe bukiety należą do Kate - cztery.

- Nigdy w życiu nie byłam taka zaskoczona - oznajmiła Katherine. - Zeszłego wieczoru, pomimo tego całego pięknego stroju, czułam się jak krewna z prowincji. To wszystko jest dość niezwykle.

- Wcale nie - powiedziała Vanessa. - Obie byłyście piękniejsze niż inne damy i wzbudziłyście wielkie

zainteresowanie.

- Wszystko dzięki Stephenowi - stwierdziła Margaret.

- Cóż, no tak - zgodziła się Vanessa. - Bez Stephena wszystkie byłybyśmy teraz w Throckbridge i wiodły nasze dawne życie. Ale nawet tam miałyście więcej adoratorów, niż to zwykle bywa. Ale dość gadania. Jest piękny dzień. Może pójdziemy na spacer do parku?

Propozycja przypadła im do gustu. Wychowały się na prowincji, a rozległy Hyde Park wydawał się kawałkiem wsi przeniesionym w sam środek ruchliwego Londynu.

Spacerowały po cichych alejkach, unikając jeźdźców, powozów i spacerowiczów w częściej odwiedzanych miejscach.

- Markiz Allingham zaprosił Margaret na przejażdżkę po parku jutro po południu - powiedziała Katherine.

- Naprawdę? - Vanessa spojrzała z podziwem na starszą siostrę. - A ty przyjęłaś zaproszenie, Meg?

- Tak. Ładnie z jego strony, że mi to zaproponował. Markiz jest wdowcem.

- A ty, Kate? - zapytała Vanessa z uśmiechem. - Czy spotkałaś wczoraj na balu kogoś szczególnego?

- Wszyscy byli szczególni - odparła Kate, jak można się było spodziewać. - Bawiłam się cudownie. Ale czy to nie wspaniałe spacerować tutaj, w parku i wdychać zapach trawy i drzew?

Tęsknię za Warren Hall. I bardzo tęsknię za Throckbridge.

- Przywykniemy do nowego życia - zapewniła Vanessa. - I będziemy miały tyle nowych wrażeń w najbliższych miesiącach, że nie starczy czasu na tęsknotę.

- Constantine zabierze mnie w tym tygodniu do Wieży - powiedziała Katherine - i wszędzie, gdzie będę sobie życzyła. Ogromnie go lubię. Żałuję, że nie poznałyśmy go wcześniej. Szkoda, że nie znałyśmy Jonathana.

Margaret i Vanessa przytaknęły.

Szły przed siebie, nic nie mówiąc. Znały się tak dobrze, że milczenie nie wprawiało ich w zakłopotanie.

Vanessa wciąż na nowo przeżywała wczorajszy dzień - prezentację na dworze, bal, walc z Elliottem. Ich wspólną noc.

Z pewnością nie mogła być szczęśliwsza.

Zeszłego wieczoru tańczyła tylko z Elliottem, ale niczego więcej nie pragnęła.

Na zawsze zapamięta ich pierwszy walc.

Choć zmęczeni po dniu pełnym niezwykłych przeżyć, kochali się całą noc.

Dzisiaj naprawdę była zmęczona. Czasami jednak zmęczenie bywa nawet przyjemne.

Jej okres opóźniał się trzy dni. Zaledwie trzy dni. Nie powinna robić sobie wielkich nadziei. Ale zwykle nie było

żadnych przesunięć.

Miała nadzieję... Och, miała nadzieję.

W końcu dróżka zawiodła je w bardziej uczęszczaną część parku, gdzie każdego popołudnia cały londyński światek zażywał świeżego powietrza.

Markiz Allingham pierwszy zatrzymał się, by je powitać. Jechał sam wysokim faetonem.

- Lady Lyngate, panno Huxtable, panno Katherine - odezwał się, dotykając batem runda cylindra. - Jak się panie miewają?

Zapewniły, że miewają się wyśmienicie, a Margaret podziękowała za kwiaty.

- Podobno - powiedział - jutro może padać.

- Och - westchnęła Margaret - jaka szkoda.

- Być może, gdyby siostry nie miały nic przeciwko temu, panno Huxtable, zechciałaby pani odbyć przejażdżkę teraz. Za godzinę odwiozę panią bezpiecznie pod drzwi domu.

Margaret spojrzała pytająco na siostry.

- Ależ, oczywiście, Meg - powiedziała Vanessa. - My z Kate pójdziemy do domu.

Markiz pomógł Margaret usadowić się obok siebie.

- Cieszę się - odezwała się Vanessa, kiedy patrzyły z Kate, jak odjeżdżają - że zgodziła się w końcu na towarzystwo kogoś innego.

- Kogoś innego? - zapytała Katherine.

- Innego niż Crispin Dew - odparła Vanessa. - Widzisz, kochała go całe życie. Z naszego powodu nie wyszła za niego, kiedy ją poprosił o rękę. Ale kiedy odjeżdżał, złożyli sobie obietnicę.

- Nessie! - wykrzyknęła Katherine. - A on właśnie ożenił się z jakąś Hiszpanką. Biedna Meg! Naprawdę nie miałam pojęcia. I pomyśleć, że kiedy dowiedziałyśmy się o tym w Warren Hall, żartowałam, że się w nim kiedyś podkochiwała. Jakże to musiało ją zranić!

- Nie możesz się obwiniać. Meg nie zwykła mówić o sobie ani okazywać swoich uczuć - powiedziała Vanessa. - Sądzę, że byłam jej jedyną powiernicą w dziewczęcych czasach, choć teraz nie zwierza się nawet mnie. Będę szczęśliwa, jeśli zdoła kogoś pokochać i zapomnieć o Crispinie.

- Może markiza? - miała nadzieję Katherine. - Nie jest oszłamiająco przystojny, to prawda, ale wydaje się bardzo miły. I nie może być starszy od Meg o więcej niż dziesięć lat.

- I jest markizem - dodała Vanessa z uśmiechem. - Stajemy się cyniczne, jeśli chodzi o takie rzeczy.

- Jednak to nie księżę - stwierdziła Katherine i obie wybuchnęły śmiechem.

Cecily spacerowała z grupką młodych dam; służące posuwały

się za nimi w pewnej odległości. Właśnie przystanąły, żeby zamienić parę słów z młodymi dżentelmenami na koniach, gdy Vanessa i Katherine zbliżyły się do nich - Vanessa rozpoznała je z balu. Wymieniły powitania, śmiejąc się wesoło.

Cecily poprosiła z uśmiechem, żeby się do nich przyłączyły.

- Wybieramy się obejrzeć jezioro Serpentine - wyjaśniła.

- Też chciałabym je zobaczyć - powiedziała Katherine.

Vanessa także miała podobne pragnienie, ale raczej nie chciałaby tego robić w tłumie rozbawionych młodych dziewcząt. Stwierdziła ze smutkiem, że chyba się starzeje.

- Idź - zwróciła się do Katherine. - Ja i tak muszę wracać do domu. Może Elliott już tam jest. Cecily ze służącą z pewnością cię odprowadzą.

- Ależ oczywiście - zapewniła Cecily. - Żałuję, że nie zabrałyście ze sobą brata.

- Szkoda, w istocie - zauważyła jedna z dam. - Jest boski. Te loki! Panny zachichotały.

Vanessa patrzyła, jak odchodzą. Ale została teraz bez towarzystwa czy służby i nie miała na co czekać. Może kiedy wróci do domu, położy się na godzinę i nadrobi nieco brak snu przez ostatnie dwie noce. Chyba że Elliott już wrócił. Wtedy być może...

Przyśpieszyła kroku.

Trzy damy w modnych kapeluszach i czepkach zbliżały się do niej w otwartym powozie. Vanessa przyglądała im się z podziwem, póki dama siedząca tyłem do koni nie odwróciła głowy i Vanessa nie rozpoznała pani Bromley - Hayes.

Dama zauważyła ją w tej samej chwili i obie uśmiechnęły się do siebie serdecznie.

- Zatrzymaj się - zawołała pani Bromley - Hayes do woźnicy, kiedy powóz zrównał się z Vanessą.

- Lady Lyngate! Osoba, którą miałam nadzieję dzisiaj spotkać. Muszę pani podziękować, że była pani tak miła zeszłego wieczoru. Bal był wspaniały. Zostałabym dłużej, gdybym nie miała innych zobowiązań.

- Cieszę się - odparła Vanessa. - Miałam nadzieję, że czuła się pani mile widziana. To było zwykłe niedopatrzenie, że nie wysłano pani zaproszenia.

- Jest pani niezwykle uprzejma - powiedziała dama, patrząc na swoje towarzyszki. - Pospaceruję chwilę z lady Lyngate. Jedźcie dalej beze mnie. Trafię sama do domu.

Woźnica zeskoczył z kozła i wkrótce olśniewająco piękna i modnie ubrana pani Bromley - Hayes szła obok Vanessy, ujmując ją pod ramię.

- Elliott mówił, że była pani zmęczona po wczorajszym balu - rzekła pani Bromley - Hayes. - Miło widzieć panią na spacerze

dzisiejszego popołudnia.

Elliott?

- Widziała go pani dzisiaj? - zapytała Vanessa.

- Och, tak, oczywiście - odparła dama. - Odwiedził mnie wcześniej, tak jak często to robi.

Po co?

- Naprawdę?

- Och, nie ma powodów do niepokoju - roześmiała się Anna.

- Mężczyźni z rodu Wallace są zawsze bardzo dyskretni i publicznie całkowicie oddani swoim żonom. Elliott nigdy nie postawi pani w kłopotliwej sytuacji. A pani będzie miała jego dom i dziedziców. Już ma pani tytuł. Doprawdy, lady Lyngate, to ja powinnam pani zazdrościć, a nie pani mnie.

O czym ona mówiła? Ale nawet głupiec czy też ktoś, kto spędził większość życia na spokojnej wsi, nie mógł się pomylić co do sensu jej słów.

Była kochanką Elliotta!

„Anna jest szacowną wdową, ale krążą o niej także opinie, że, hm, bywa czasem zbyt przyjazna wobec pewnych dżentelmenów”.

Vanessa przypomniała sobie wyraźnie słowa Constantine'a z poprzedniego wieczoru, tak jakby wypowiedział je teraz, idąc obok niej.

„Oczywiście, że jej nie zaproszono”.

- Och, mój Boże - powiedziała pani Bromley - Hayes głosem, w którym brzmiało rozbawienie - proszę nie mówić, że pani nie wiedziała.

- Sądzę - zauważyła Vanessa, poruszając z trudem zdrewniałymi wargami - że zdawała pani sobie sprawę z mojej niewiedzy.

- Zapomniałam - ciągnęła dama - że przybyła pani niedawno z prowincji i nigdy nie miała do czynienia z londyńskim towarzystwem. Trudno się spodziewać, aby znała pani obowiązujące w nim sekretne zasady. Biedna lady Lyngate. Ale chyba nawet pani z pewnością nie może wierzyć, że Elliott zdecydował się na to małżeństwo z powodów innych niż praktyczne.

Oczywiście. Nie przyszło mu do głowy ożenić się z nią, zanim ona go o to nie poprosiła.

- Wystarczy, że popatrzy pani na siebie w lustrze - ciągnęła pani Bromley - Hayes. - Co nie znaczy, że chcę powiedzieć, że jest pani brzydka. Nie jest pani i należy się pani pochwała za dobieranie najlepszych strojów, na jakie pozwala pani figura. Ale widzi pani, Elliott zawsze słynął ze swojego świetnego gustu, jeśli chodzi o kobiety.

Zona i kochanka, pomyślała Vanessa, spacerowały obok

siebie, ramię przy ramieniu w miejscu, gdzie po południu przewijało się mnóstwo ludzi z towarzystwa. Musiały przedstawiać interesujący widok. Naturalnie, wszyscy wiedzieli. Tylko ona jeszcze przed chwilą nie wiedziała.

- Świetnego w jakim sensie? - zapytała.

W tej chwili nie było jej stać na nic lepszego. W głowie jej szumiało, jakby zamieszkała tam chmara pszczoł. Dama zaśmiała się cicho.

- Ach, kotka pokazuje pazury? Ale spokojnie, lady Lyngate, nie ma powodu, dla którego nie miałybyśmy się zaprzyjaźnić. Dlaczego mamy pozwolić, żeby między nami stanął mężczyzna? Mężczyźni to takie niemądre stworzenia. Potrzebujemy ich do pewnych rzeczy - cóż, przynajmniej jednej - ale większość czasu możemy się bez nich obywać i żyć dużo przyjemniej.

- Wybacz pani - rzekła Vanessa, uwalniając ramię. - Szłam do domu, kiedy panią spotkałam. Czekają na mnie.

- Elliott? - prychnęła dama. - Biedna lady Lyngate. Wątpię. Bardzo w to wątpię.

- Miłego popołudnia - powiedziała Vanessa, przyśpieszając kroku i nie oglądając się.

Z chaosu, jaki zapanował w jej głowie, wyłaniały się kolejno różne myśli.

Ze była pospolita.

Ze Elliott nazwał ją piękną, tak jak się uspokaja dziecko nieszczerymi pochwałami.

Ze póki nie zmusiła go do rozmowy, nie było go w domu całymi dniami, odkąd przyjechali do Londynu.

Ze jego matka powiedziała na początku ich pobytu w Londynie, iż miała nadzieję, że Elliott będzie inny niż jego ojciec.

Ze to, że się z nią często kochał, nie miało nic wspólnego z miłością, że chodziło wyłącznie o spłodzenie potomka.

Ze rozmawiał wczoraj przez parę minut z panią Bromley - Hayes.

Ze jej widok w teatrze wytrącił go z równowagi tak, że postukiwał palcami w poręcz fotela.

Ze on i Constantine pokłócili się - i to Constantine przyprowadził tę damę do teatru i na bal. Żeby postawić Elliotta w kłopotliwej sytuacji.

Ze dzisiaj widział się i rozmawiał z panią Bromley - Hayes i powiedział jej, że ona, Vanessa, zmęczyła się dniem wczorajszym. Jak dziecko, któremu pozwolono na zbyt wiele atrakcji.

Ze był niezwykle przystojny i atrakcyjny i zapewne nie mógł zadowolić się taką żoną, jak ona.

Ze była szalona i głupia.

Naiwna, łatwowierna, głupia.

Nieszczęśliwa.

Skrzywdzona.

Z trudem dotarła do domu.

Na szczęście - doprawdy bardzo szczęśliwa okoliczność - nie było go, kiedy wróciła. Teściowa, jak poinformował ją lokaj, przyjmowała gości.

Vanessa, stąpając cicho, poszła na górę do swojego pokoju. Sprawdziła, czy drzwi do garderoby i sypialni są dobrze zamknięte, po czym całkowicie ubrana, zdjawszy tylko buty i czepek, położyła się na łóżku i naciągnęła kołdrę na głowę.

Pragnęła umrzeć tu i teraz.

Pragnęła tego z całej duszy.

- Hedley - szepnęła.

Ale nawet to było nie w porządku. Nie dochowała wiary mężczyźnie, który kochał ją całym sercem, zdradzając go z człowiekiem, który nie wiedział, co to jest miłość.

I który był jej mężem.

Choć to wydawało się niewiarygodne, zasnęła.

Elliott spędził godzinę w klubie bokserskim Jacksona. Jego sparring partner narzekał, że traktuje trening, jakby to była prawdziwa walka.

Piętnaście minut posiedział w Klubie White'a, a potem wyszedł, mimo że znajomi, których towarzystwo lubił, chcieli, żeby się do nich przyłączył.

Jeździł bez celu ulicami Londynu, omijając park i inne miejsca, gdzie mógł wpaść na kogoś znajomego, z kim musiałby się wdać w uprzejmą konwersację.

W końcu jednak wrócił do domu. George Bowen siedział w biurze. Popchnął w stronę pracodawcy wysoki stos listów. Elliott przejrzał je, wszystkie wymagały jego uwagi. Gdyby było inaczej, George, rzecz jasna, sam by się nimi zajął, nie zwracając mu głowy.

- Pani wicehrabina w domu? - zapytał.

- Są obie panie - odparł George. - Chyba że wymknęły się niepostrzeżenie schodami dla służby.

- Dobrze. - Elliott odłożył listy i udał się na górę.

Nie mógł pozbyć się uczucia, że zranił Annę. Kiedy ją odwiedził, zachowywała się bardzo spokojnie. Wysłuchiła go z lekkim uśmiechem na ustach. A potem powiedziała, że jego wizyta była niepotrzebna, że uświadomiła sobie poprzedniego wieczoru, jak to dobrze, że znowu jest wolna i może związać się przyjaźnią z kimś innym. Dwa lata to długo, jak na taki związek, czyż nie? Wolność była tym, co ceniła sobie najbardziej w stanie wdowieńskim. A ich związek nieco spowszedniał, chyba mógł się z nią co do tego zgodzić?

Nie zgodził się - to byłoby nietaktowne. Poza tym ich związek go nie znudził, tylko stał się... nie na miejscu. Ale tego

także by jej nie powiedział.

Zawdzięczał Vanessie to, że cały dzień zastanawiał się nad tym, czy zranił Annę. Vanessa i uczucia! Zanim ją spotkał, nigdy nie przejmował się specjalnie ludzkimi uczuciami - własnymi też.

Nie było jej w salonie. Nie było także jego matki i Cecily.

Przypuszczał, że musi być w sypialni. Drzwi były zamknięte. Zapukał delikatnie, ale nie uzyskał odpowiedzi. Jednak musiała tam być. Pewnie mocno zasnęła.

Uśmiechnął się do siebie i postanowił nie pukać mocniej. Nie pozwolił jej spać większość nocy po wczorajszym, ciężkim dniu. Czy też to ona nie dała mu spać. Oboje nawzajem nie dali sobie spać.

Wciąż się dziwił, że tak go pociąga. Nie należała do typu kobiet, jakie zwykle wybierał. Może na tym polegała atrakcja.

Zszedł na dół i przejrzał kilka listów, choć nie był w stanie podyktować odpowiedzi na żaden. George skończył pracę na ten dzień i wyszedł.

Elliott wrócił na górę, ogolił się i przebrał. Zbliżała się pora kolacji, ale w pokoju Vanessy wciąż panowała cisza. Może jej nawet tam nie było. Może George się mylił i nadal była poza domem, chociaż nie miał pojęcia, gdzie mogłaby się podziewać o tej porze.

Ponownie zapukał do drzwi, a kiedy nie było odpowiedzi,

otworzył je ostrożnie i zajrzał do środka.

Pościel na łóżku była wzburzona. Wzgórek na środku był zapewne jego żoną, choć żadna część jej ciała nie była widoczna.

Wszedł do pokoju i podszedł bliżej do owego wzgórka. Uniósł róg kołdry. Leżała zwinięta w kłębek, całkowicie ubrana, z rozczochranymi włosami i zaczerwienionym policzkiem.

Musiała być zmęczona. Uśmiechnął się.

- Śpiochu - szepnął - jeszcze trochę, a przegapisz kolację. Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Zaczęła się uśmiechać.

A potem odwróciła się gwałtownie i zwinęła w jeszcze ciaśniejszy kłębek.

- Nie jestem głodna - odparła.

Czy zaczerwienienie oznaczało gorączkę? Dotknął wierzchem dłoni jej policzka, ale odepchnęła jego rękę i mocniej wtuliła twarz w materac.

Podniósł dłoń i zatrzymał ją zawieszoną w powietrzu.

- O co chodzi? - zapytał. - Czy źle się czujesz?

- Nie.

- Coś się stało?

- Nic. - Jej głos był stłumiony. - Odejdź.

- Odejdź? Leżysz tutaj, kiedy pora na kolację? I nic się nie stało? - Jakaś myśl przyszła mu nagle do głowy. - Okres? - zapytał. - Właśnie się zaczął?

- Nie.

A zatem może o to chodziło? Ale te dolegliwości pojawiały się chyba rano?

- Vanesso - powiedział - spojrzysz na mnie?

- Czy to rozkaz? - zapytała, przewracając się niemal ze złością na plecy i patrząc na niego gniewnie. - Tak, panie. Cokolwiek każesz, panie.

Zmarszczył brwi.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli powiesz mi, co się stało. Ogarnęło go nagle przecucie. Con.

- Nie zamierzam. - Odgarnęła włosy z twarzy. - Możesz powiedzieć, że nie mam wyboru, ponieważ za ciebie wyszłam. I możesz powiedzieć, że jestem zmuszona cię słuchać i wypełniać swoje obowiązki małżeńskie, kiedy ci się spodoba skorzystać ze swoich praw. Ale jeśli jedna osoba może złamać przysięgę, to druga też może to zrobić, nawet jeśli jest tylko kobietą, a więc nikim. Będę krzyczeć bardzo, bardzo głośno, jeśli kiedyś spróbujesz znowu mnie dotknąć. To nie jest pusta groźba.

Ach, tak. Con.

- Widzę, że nie. O co jestem oskarżony?

- O to, że masz kochankę, chociaż jesteś żonaty - rzuciła. - Nie ma znaczenia, że ona jest piękna, a ja nie. Wiedziałaś o tym, zanim mnie poślubiłaś. I nie ma znaczenia, że to ja poprosiłam

ciebie o rękę. Mogłeś odmówić. Ale nie zrobiłeś tego. Ożeniłeś się ze mną. Złożyłeś świętą przysięgę. I złamałeś ją. Będiesz moim mężem, już tylko z nazwy.

- Czy jesteś pewna - zapytał, wstrząśnięty i nieco rozgniewany - że Con cię nie oszukał, Vanesso?

- Ha! Zamierzasz się tego wyprzeć, tak? Byłeś czy nie byłeś dzisiaj w domu pani Bromley - Hayes?

Ach. A więc jednak to nie Con.

- Widzisz? - powiedziała, kiedy milczał, zamiast odpowiedzieć natychmiast. - Nie możesz zaprzeczyć, prawda?

- Anna tu była? - zapytał.

- Anna! - rzuciła z goryczą. - A ona o tobie mówi „Elliott”. Jakie to słodkie! Spotkałam ją w parku. Odejdź. Nie chcę cię dzisiaj widzieć. Wolałabym już nigdy cię nie zobaczyć.

- Pozwolisz mi wyjaśnić?

- Odejdź - powtórzyła.

- Kiedy zastałem cię zapłakaną nad portretem zmarłego męża, chciałaś, żebym pozwolił ci wyjaśnić - przypomniał jej - i w końcu cię wysłuchałem. Sprawy nie zawsze wyglądają tak, jak nam się wydaje.

- Nie jest twoją kochanką? - W jej głosie brzmiało więcej goryczy niż poprzednio.

- Nie - odparł.

- Ha! Zatem pani Bromley - Hayes kłamie?

- Nie wiem, co ci powiedziała. Czekaj.

Odrzuciła nakrycie i przełożyła nogi przez krawędź łóżka. Wstała i przesunęła dłońmi po pięknej, nowej sukni, która wymagała obecnie dużo więcej zachodu, żeby odzyskać poprzedni wygląd. Przygładziła włosy palcami odwrócona do niego tyłem.

- Słucham - powiedziała.

- Anna była moją kochanką przez prawie dwa lata - oznajmił.

- Jeśli czujesz się urażona z tego powodu, to przykro mi, Vanesso, ale nie mogę zmienić tego, co było, i nie zrobiłbym tego, nawet gdybym mógł. Nie byłem wtedy żonaty i nawet cię nie znałem.

- Nie sądzę, abym mogła z nią konkurować, nawet gdybyś mnie znał - powiedziała.

- Kiedy przywiozłem cię, moją matkę i Cecily do miasta przed naszym ślubem - ciągnął - odwiedziłem Annę, żeby jej powiedzieć, że się żenię. Pokłóciła się ze mną gwałtownie i wyszedłem. Myślałem, że to koniec tej historii, ale widać, że się myliłem. Pojawiła się w teatrze i na balu i uświadomiłem sobie, że nie powiedziałem jej jasno i wyraźnie, że nasz romans się skończył. I dlatego odwiedziłem ją dziś rano.

- I powiedziałaś jej także, że byłem zmęczona po wczorajszym dniu.

Zawahał się.

- Chyba rzeczywiście - przyznał.

- Jak śmiałeś choćby wymienić przy niej moje imię - powiedziała, odwracając się i patrząc mu w twarz.

- Przepraszam. To było w złym guście. Czy utrzymywała, że nadal jesteśmy kochankami, uważając, że nigdy mi o tym nie powiesz i że to kłamstwo zatruje ci życie? Ona cię nie zna, prawda? Nie jesteśmy kochankami i nie byliśmy, odkąd się z tobą zaręczyłem. Nie spodziewałem się, że jest zdolna do takiej złośliwości, ale myliłem się. Żałuję z całego serca, że cię zraniła.

- Czy ty masz serce? - zapytała. - Spędziłeś zeszłą noc w tym łóżku ze mną. Myślałam, że zaczyna ci na mnie zależeć. A jednak pierwszą rzeczą, jaką zrobiłeś rano, była wizyta u kochanki.

- Poszedłem do byłej kochanki, owszem - przyznał. - Wyjaśniłem, dlaczego uważałem za potrzebne, żeby tam pójść.

- Ale nie uważałeś za potrzebne, żeby mi o tym powiedzieć?

- Nie.

- Dlaczego zakończyłeś ten romans? - zapytała.

- Ponieważ jestem żonaty. Uśmiechnęła się przelotnie.

- Nie dlatego, że jesteś żonaty ze mną? - zapytała. - Tylko dlatego, że jesteś żonaty? Cóż, to już coś, jak sędzę. Coś godnego podziwu, być może. Ale ile czasu upłynie, zanim to szlachetne poszanowanie zasad moralnych osłabnie i weźmiesz kolejną kochankę?

- Nigdy. Dopóki oboje żyjemy.

- Przypuszczam - dodała, patrząc na swoje dłonie - że miałeś przed nią inne kochanki.

- Tak - odparł.

- Wszystkie piękne.

- Tak.

- Jak mogę... - zaczęła.

Przerwał jej, mówiąc raczej ostrym tonem.

- Dość tego, Vanesso. Dość! Powiedziałem ci, że jesteś piękna, i nie kłamałem. Nawet jeśli nie potrafisz zaufać moim słowom, z pewnością nie możesz nie wierzyć w to, co robię. Czy to, jak się kochamy, nie mówi ci, że jesteś dla mnie piękna i pociągająca?

Jej oczy wypełniły się łzami, odwróciła się do niego plecami.

Uświadomił sobie, że niepewność co do własnego wyglądu musiała być u niej mocno zakorzeniona. Prawdopodobnie nawet sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Pogoda ducha stanowiła antidotum. Ale kiedy odbierano jej powody do radości, stawała się bezradna i łatwo było ją zranić.

- Szkoda, że była twoją kochanką - szepnęła. - Nie lubię jej. Nie mogę znieść myśli o tym, że...

- Tak jak ja nie mogę znieść myśli o tobie i Hedleyu - powiedział. - Przypuszczam, że niezależnie od okoliczności,

wszyscy życzylibyśmy sobie, żeby nasz partner na całe życie był czysty jak łza, żeby w jego życiu nie było nikogo innego poza nami. Ale to niemożliwe. Ty przeżyłaś prawie dwadzieścia cztery lata, zanim mnie poznałaś. Ja przeżyłem prawie trzydzieści, zanim poznałem ciebie. A jednak, gdyby było inaczej, nie bylibyśmy tymi samymi ludźmi, którymi teraz jesteśmy. A mnie podobasz się taka, jaka jesteś teraz. Myślałem, że ja także zaczynam ci się podobać.

Westchnęła i spuściła głowę.

- Czyj to był pomysł, żeby podejść do nas w teatrze i przyjść na bal? - zapytała. - Jej? Czy Constantine'a?

- Nie wiem. Pewnie obojga. Powinienem pozbawić ich jadu, natychmiast wyznając ci wszystko: och, tak przy okazji, dama, która siedzi obok Cona, to moja była kochanka, która chyba nawet nie wie, że jest była. Przepraszam i przyrzekam, że przez resztę życia będę grzecznym chłopcem. To by oszczędziło nam bólu głowy, prawda?

Obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła lekko, choć twarz miała znużoną.

- Zepsułbyś mi przedstawienie.

- Tak? Skinęła głową.

- A czy teraz ta wiedza zrujnowała twoje małżeństwo? - zapytał. - Czy zniszczyła resztę twojego życia?

- Elliotcie - rzekła - mówisz mi całą prawdę?

- Tak. - Popatrzył na nią z powagą. Westchnęła i stanęła twarzą do niego.

- Nigdy nie wierzyłam ani nawet nie chciałam żadnego „żyli długo i szczęśliwie” - powiedziała. - Jakie to niemądre, że wczoraj i dziś rano myślałam, że coś takiego właśnie znalazłam. Ale nic nie zostało nieodwołalnie zniszczone. Będę żyła. Będziemy żyli. Czy naprawdę uważasz, że jestem piękn... Czy naprawdę jestem dla ciebie choć trochę atrakcyjna?

- Tak - odparł. Mógł w tej chwili obejść łóżko i chwycić ją w ramiona, ale to byłoby niewłaściwe. Mogłaby zwątpić w jego szczerość. - Ale nie użyłem słowa atrakcyjna, choć to prawda. Ale to za mało. Użyłem słowa piękna.

- Och. Naprawdę nie wiem, dlaczego. Wyglądam okropnie. - Popatrzyła na siebie.

- W tej chwili rzeczywiście - zgodził się. - Gdyby w domu były myszy, pewnie uciekłyby z piskiem. Widzisz, ta suknia nie była przeznaczona, żeby w niej spać. A włosy należy czesać co parę godzin.

- Och - roześmiała się cicho, niepewnie.

- Pozwól, że wezwę pokojówkę. Zejdę na dół i powiem mamie i Cecyli, że nie muszą siedzieć głodne, że za pół godziny zejdziesz.

- To będzie herkulesowa praca - powiedziała, kiedy skierował się do jej garderoby - sprawić, żebym się mogła pokazać ludziom za pół godziny.

- Ależ nie. - Pociągnął za sznurek od dzwonka. - Wszystko, co musisz zrobić, Vanesso, to się uśmiechnąć. Twój uśmiech to czysta magia.

- To blef, głuptasie, powinnam dowieść tego, schodząc teraz z tobą na dół, z uśmiechem na twarzy. Twoja matka dostałaby waporów.

- Wrócę za dwadzieścia pięć minut - oznajmił, wchodząc do swojej garderoby i zamykając drzwi.

Stał za nimi przez parę minut z zamkniętymi oczami.

Miał wiele do naprawienia. Ludzie, którym ufał, zawiedli go i zranili w ciągu ostatnich paru lat i dlatego skupił się wyłącznie na obowiązkach, zapominając o miłości, o tym, co w życiu piękne i radosne.

Ranił innych ludzi.

Miłość, radość i śmiech.

Wszystko to uosabiała jego żona, którą poślubił tak niechętnie i tak cynicznie.

Poślubił skarb, na który nie zasłużył w żaden sposób.

Co powiedziała przed kilkoma minutami? Zmarszczył brwi w zadumie.

„Nigdy nie wierzyłam ani nawet nie chciałam żadnego »żyli długo i szczęśliwiec Jakie to niemądre, że wczoraj i dziś rano myślałam, że coś takiego właśnie znalazłam”.

Była szczęśliwa wczoraj i dzisiaj rano. Szczęśliwa jak w bajce.

Dobry Boże!

Była szczęśliwa. Ależ oczywiście.

Tak samo jak on.

Vanessa spodziewała się, że wprowadzenie sióstr w towarzystwo okaże się dużo trudniejszym zadaniem. Była przecież taką samą nowicjuską, jak one, nawet jeśli wyszła za mąż za wicehrabiego, dziedzica tytułu książęcego. Nie znała nikogo i wiedziała bardzo niewiele o londyńskiej arystokracji.

Przeżyła miłe rozczarowanie. Wystarczyło, że wyszła z mąż za wicehrabiego, a dzięki temu zapewniła sobie odpowiednią pozycję.

Trzy siostry wciąż budziły żywe zainteresowanie. Vanessa, ponieważ poślubiła niedawno jednego z najbardziej pożądanых kawalerów w Anglii. Margaret i Katherine, ponieważ były siostrami nowego hrabiego Merton, który okazał się bardzo młody, bardzo przystojny i niezwykle atrakcyjny pomimo - a może właśnie z powodu - pewnego braku miejskiej ogłady. Ponadto Margaret i Katherine należały do wyjątkowych piękności.

Towarzystwo, jak szybko odkryła Vanessa, wykazywało zachłanne zainteresowanie nowymi twarzami, nowymi historiami i skandalami. Opowieści o nowym hrabim i jego siostrach, którzy mieszkali w małej wiosce, w domku, mniejszym niż szopa ogrodowa, podziały na zbiorową wyobraźnię; przez co najmniej tydzień nie rozmawiano o niczym innym. No, jeszcze o tym, że jedna z sióstr zdobyła rękę, jeśli nie serce osobistości tej miary co

wicehrabia Lyngate. Nie była piękną i nikt raczej nie podejrzewał, że to małżeństwo zostało zawarte z miłości - choć dziwiono się, że nie poślubił w takim razie najstarszej siostry. Zainteresowanie wzrosło, kiedy rozeszła się wieść, że pani Bromley - Hayes, kochanka wicehrabiego, została odrzucona niczym rozgrzana cegła po tym, jak widziano ją pewnego popołudnia w Hyde Parku w towarzystwie lady Lyngate.

Prestiż wicehrabiny wzrósł znacząco.

Huxtable'ów zapraszano wszędzie, gdzie bywali członkowie eleganckiego towarzystwa - na bale, wieczorki, koncerty, pikniki, weneckie śniadania, do teatru... Lista ciągnęła się bez końca. Mogli, w rzeczy samej, bawić się co dzień od świtu do nocy. Cóż, może nie od samego świtu. Większość ludzi nie wstawała aż do południa po nocy spędzonej na tańcach, grze w karty, konwersacji czy innych rozrywkach.

Odkrycie, że zaproszenie na śniadanie było w gruncie rzeczy zaproszeniem na posiłek w środku popołudnia, bardzo ubawiło Vanessę. Zdumiewało ją, że większości tych ludzi doskonale odpowiadało to, że zaczynali dzień po południu, a kończyli nad ranem.

Co za smutne marnotrawstwo światła i słońca!

Towarzyszyła siostronom przy wielu okazjach, ale nie musiała podejmować specjalnego wysiłku, żeby je przedstawiać ludziom,

których nazwisk często nie pamiętała, czy też znajdować im towarzystwo do konwersacji albo partnerów do tańca. Jak przepowiedział Elliott, spotykały tych samych ludzi niemal wszędzie i coraz lepiej pamiętały nazwiska, twarze, tytuły.

Margaret i Katherine wkrótce zyskały przyjaciół i znajomych, a także grono adoratorów - podobnie jak zaskoczona tym faktem Vanessa. Młodzi dżentelmeni, których imiona ledwie pamiętała, prosili ją do tańca, proponowali, że przyniosą napoje czy też oprowadzą po ogrodzie. Jeden czy dwóch chciało nawet zabrać ją na przejażdżkę po Hyde Parku albo konny spacer po Rotten Row.

Nie było niczym niezwykłym, rzecz jasna, że zameężna dama miała wielbicieli. Pamiętała też, jak Elliott mówił jej w teatrze, że zameężnym damom w miejscach publicznych dość często towarzyszą mężczyźni, którzy nie należą do ich rodzin.

To wiele mówiło Vanessie o kondycji małżeństw w tym środowisku, ale nie miała ochoty naśladować takich zachowań. Pod nieobecność Elliotta wolała towarzystwo sióstr czy teściowej niż jakiegoś obcego dżentelmena.

Nie była nieszczęśliwa od chwili prezentacji u dworu.

Nie była też za bardzo szczęśliwa.

Od dnia, kiedy odbyli poważną rozmowę na temat pani Bromley - Hayes, panowała między nimi pewna rezerwa. Nie żyli

osobno. Często jej towarzyszył, zwłaszcza wieczorem. Rozmawiał z nią, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Kochał się z nią każdej nocy. Spał w jej łóżku.

Ale było... coś. Jakieś napięcie.

Wierzyła mu, jednak czuła urazę. Nie o to, że miał kochankę, zanim ją poślubił - to nie miało sensu. Może o to, że odwiedzał byłą kochankę po ślubie i nie przyznałby się, gdyby sama tego nie odkryła. Być może także o to, że pani Bromley - Hayes była taka piękna - przynajmniej fizycznie.

Vanessa powtarzała sobie wciąż, że z jej małżeństwem nie dzieje się nic złego. Właściwie wszystko układało się jak najlepiej. Mąż poświęcał jej uwagę, był wierny i przysiągł dochować wierności. To był prawdziwy dar niebios. Czego jeszcze mogła sobie życzyć?

Żeby zdobyć jego serce?

Jeśli dostało się gwiazdkę z nieba, czy wypada jeszcze pożądać słońca?

Wydawało się, że jednak tak.

Katherine traktowała grono swoich wielbicieli tak samo jak w Throckbridge. Wszystkim okazywała życzliwość, jednakowo obdarowując każdego swoją uwagą. Ale zapytana wprost, odpowiadała, że żaden z wielbicieli nie jest tym wyjątkowym, którego chciałaby spotkać.

- A może nie chcesz nikogo takiego w swoim życiu? - zapytała Vanessa pewnego ranka, kiedy przechadzały się po niemal opustoszałym parku.

- Oczywiście, że chcę - odparła Katherine z lekkim westchnieniem. - Ale właśnie o to chodzi, Nessie. Musi być wyjątkowy. Zaczynam obawiać się, że ktoś taki nie istnieje, że pragnę niemożliwego. Ale to chyba nieprawda? Hedley był dla ciebie kimś wyjątkowym, a teraz jest lord Lyngate. Jakże ci zazdrościłam, kiedy patrzyłam, jak tańczysz z nim walca. Jeśli ty przeżyłaś wielką miłość dwa razy, czy za dużo żądam, marząc, aby mnie zdarzyło się to chociaż raz?

- Och, zdarzy się - zapewniła Vanessa, ściskając jej ramię. - Cieszę się, że nie zadowolisz się niczym innym poza miłością. A co z Meg?

Siostry z nimi nie było. Pojechała z Allinghamem do biblioteki Hookhama.

- Z markizem? - powiedziała Katherine. - Sądzę, że zaleca się do niej poważnie.

- A ona przyjmuje jego zaloty? - zapytała Vanessa.

- Nie wiem - przyznała Katherine. - Wydaje się go wyróżniać. Nie zwraca uwagi na innych, równie interesujących dżentelmenów, których nie brakuje w naszym otoczeniu. Ale przecież nie zachowuje się, jakby była zakochana, prawda?

Miała rację. Margaret więcej czasu poświęcała Stephenowi, Katherine, a nawet Vanessie niż układaniu własnego życia.

Jednak markiz, bardzo miły dżentelmen, ani myślał się poddać.

A Crispin Dew ożenił się. Należało o nim po prostu zapomnieć. Ach, jej łatwo to mówić, pomyślała Vanessa.

- Meg nigdy nie powie nic o sobie, prawda? - stwierdziła Katherine. - Nigdy przedtem tego nie zauważyłam, ale teraz to widzę. Dlatego pewnie nie dowiedziałam się o Crispinie Dew. Och, Nessie, czy jej tak bardzo na nim zależało?

- Obawiam się, że bardzo. Ale być może z czasem spotka kogoś innego. Być może będzie to nawet markiz Allingham. Wydaje się lubić jego towarzystwo.

Płonne nadzieje, jak się wkrótce okazało.

Kiedy pewnego popołudnia, mniej więcej tydzień później, Vanessa zjawiała się w Merton House, zastała Stephena w holu; właśnie szykował się do wyjścia, czekał tylko na Constantine'a. Mieli iść na wyścigi. Stephen marszczył brwi.

- A niech to, Nessie - powiedział - kiedy Meg nauczy się, że jest moją siostrą, nie moją matką? I kiedy się nauczy, że mam prawie osiemnaście lat i że jestem za duży, żeby mnie prowadzić w szelkach?

- O mój Boże! Co się stało?

- Allingham był tu wcześniej - odparł - i poprosił mnie o rozmowę. To niezwykle przyzwoite z jego strony, ponieważ ja mam niespełna osiemnaście lat, a on pewnie dwa razy tyle, a Meg ma dwadzieścia pięć. Przyszedł, żeby prosić mnie o pozwolenie na to, żeby starać się o jej rękę.

- Och, Stephen - wyszeptała Vanessa, przyciskając rękę do piersi. - I...?

- I, rzecz jasna, zgodziłem się. Byłem zachwycony. Nie ma może najlepszego krawca czy szewca, ale świetnie jeździ konno i ma reputację wspaniałego kumpla i naprawdę nie ma znaczenia, że nie jest bardzo wysoki. Ma prezencję. A wiadomo, że Meg spędzała z nim ostatnio dużo czasu. Można by pomyśleć, że się ucieszy.

- Ale nie przyjęła jego propozycji?

- Odmówiła z miejsca.

- Ach - westchnęła Vanessa. - A więc jednak nie podobał jej się aż tak?

- Nie mam pojęcia. Nie chce o tym mówić. Twierdzi, że to nieważne. Złożyła tę piekielną obietnicę papie i niestety zamierza jej dotrzymać, aż ja skończę dwadzieścia jeden lat, a Kate wyjdzie za mąż.

- Ach tak. Myślałam, że zrozumiała, że coś się zmieniło.

- Owszem, zmieniło się. Teraz jestem hrabią Merton, Nessie.

Mam ziemię, majątek i swoje życie. Mam nowych przyjaciół. Mam przyszłość. To nie tak, że nie kocham Meg. To nie tak, że nie jestem wdzięczny za wszystko, co zrobiła od czasu śmierci papy. Nigdy tego nie zapomnę i zawsze będę wdzięczny. Ale mam żal o to, że muszę się spowiadać ze wszystkiego, co robię. I mam żal o to, że to rzekomo ja jestem powodem, dla którego odrzuca najlepszą ofertę małżeńską, jaka mogła jej się trafić. Jeśli jej się nie dość podoba, to w porządku. Podziwiam ją za to, że odmówiła. Ale jeśli nie w tym rzecz... Jeśli to przeze mnie... Ach, to na pewno Constantine.

Poweselał wyraźnie.

Vanessa nie miała ochoty stawać twarzą w twarz z kuzynem. Poklepała Stephena po ramieniu.

- Zobaczą, co ona ma do powiedzenia - oznajmiła. - Baw się dobrze.

- Och, będę - zapewnił. - Constantine to świetny kompan. Tak samo, szczerze mówiąc, jak Lyngate. Ma mnie na oku, to prawda, ale nie próbuje prowadzić za rączkę.

Wyszedł, nie czekając, aż Constantine zapuka do drzwi. Margaret przybrała niechętny wyraz twarzy, kiedy Vanessa weszła do salonu i oznajmiła, że przed chwilą rozmawiała ze Stephenem.

- Nasz brat zachowuje się tak - zauważyła Margaret - jakby nagle przybyło mu cztery lata. A prawda jest taka, Nessie, że on

wciąż jest chłopcem i to chłopcem, który zaczyna się buntować przeciwko opiece dorosłych.

- Jest chłopcem, który być może potrzebuje, żeby mu nieco popuszczono cugli - odparła Vanessa.

- Och, tylko nie ty. - W głosie Margaret brzmiała niemal rozpacz. - Powinien być w Warren Hall z nauczycielami.

- I wkrótce będzie - przypomniała jej Vanessa. - Musi także poznać świat, w który wejdzie po osiągnięciu pełnoletności. Ale nie kłóćmy się z jego powodu. Markiz Allingham ci się oświadczył?

- Wzruszył mnie. Ale, rzecz jasna, odmówiłam.

- Rzecz jasna? - Vanessa uniosła brwi. - Myślałam, że ci się podoba.

- Zatem się myliłaś. Ty, lepiej niż inni, powinnaś rozumieć, że małżeństwo dla mnie nie istnieje, póki nie wywiążę się z obowiązków, jakich podjęłam się osiem lat temu.

- Ale ja z Elliottem mieszkamy blisko Warren Hall - zauważyła Vanessa. - A Kate za parę miesięcy będzie już dorosła. Stephen pójdzie na uniwersytet i stanie się dorosły, zanim skończy studia.

- Ale ten czas jeszcze nie nadszedł.

Vanessa przechyliła głowę na bok, przyglądając się siostrze badawczo.

- Czy nie chcesz wyjść za mąż, Meg? - zapytała. - Nigdy?
Margaret położyła dłonie na kolanach, wpatrując się w nie.

- Jeśli tego nie zrobię - powiedziała - nadejdzie czas, kiedy panią Warren Hall zostanie żona Stephena. A ja będę musiała z nimi mieszkać albo z tobą w Finchley Park, albo z Kate i jej mężem. Sądzę, że kiedyś wyjdę za kogoś, kto zechce mi to zaproponować. Ale jeszcze nie teraz.

Vanessa patrzyła na jej pochyloną głowę. Milczały dłuższą chwilę.

- Meg - odezwała się w końcu - Stephen prawdopodobnie nie wie o... o Crispinie, chyba że Kate coś mu powiedziała. Myśli, że odmówiłaś markizowi Allingham tylko ze względu na niego.

- I tak jest - stwierdziła Margaret.

- Nie, wcale nie - sprzeciwiła się Vanessa. - Chodzi o Crispina. Margaret podniosła głowę, patrząc na siostrę ze zmarszczonymi brwiami.

- Stephen musi o tym wiedzieć - powiedziała Vanessa. - Musi wiedzieć, że nie odpowiada za to, że nie jesteś szczęśliwa.

- Stephen jest moim szczęściem - oznajmiła Margaret stanowczym tonem. - Tak samo jak ty i Kate.

- Chciałabyś, żebyśmy wszyscy trzymali się twojej spódnicy. Kocham cię serdecznie, Meg. Kocham także Kate i Stephena. Ale nie nazwałabym żadnego z was swoim szczęściem. Moje

szczęście nie bierze się z drugiej osoby.

- Nawet lorda Lyngate? Albo Hedleya? Vanessa pokręciła głową.

- Ani nawet Hedleya czy Elliotta. Moje szczęście musi wypływać ze mnie, inaczej będzie zbyt kruche i stanie się ciężarem dla moich bliskich.

Margaret wstała i podeszła do okna, żeby wyjrzeć na Berkeley Square.

- Nie rozumiesz, Nessie - powiedziała. - Nikt nie rozumie. Kiedy składałam przyrzeczenie papie, wiedziałam, że zobowiązuję się na dwanaście lat, dopóki Stephen nie osiągnie pełnoletności. Minęło już osiem. Nie zamierzam zwolnić się z pozostałych czterech, tylko dlatego, że okoliczności się zmieniły; ty szczęśliwie wyszłaś za mąż, o Kate ubiega się tuzin znakomitych dżentelmenów, a Stephen gryzie wędzidło, łaknąc swobody. Albo dlatego, że zaproponowano mi korzystny mariaż i mogłabym pojechać do Northumberland, żeby zacząć nowe życie, a Kate i Stephena powierzyć waszej opiece, to jest twojej i lorda Lyngate. To nie ma nic wspólnego z Crispinem Dew.

Liczy się tylko obietnica, którą złożyłam z własnej woli, i dotrzymuję z radością. Kocham was wszystkich. Nie porzucę obowiązków, nawet jeśli to złości Stephena. Nie zrobię tego.

Vanessa podeszła do niej, obejmując ją w pasie.

- Chodźmy na zakupy - zaproponowała. - Widziałam wczoraj przepiękny kapelusik, ale był w kolorze królewskiego błękitu i nie byłoby mi w nim do twarzy. A na tobie będzie wyglądał wspaniale. Chodź i obejrzyj, zanim ktoś go kupi. A tak przy okazji, gdzie jest Kate?

- Na przejażdżce z panną Flaxley, lordem Bretby i panem Ames. Mam tyle kapeluszy, że nie wiem, co z nimi robić, Nessie.

- A więc jeden więcej nie zaszkodzi - rzekła Vanessa. - Chodźmy.

- Och, Nessie. - Margaret roześmiała się drżącym głosem. - Co ja bym bez ciebie zrobiła?

- Miałybyś więcej miejsca w szafie, to pewne - odparła Vanessa i obie parsknęły śmiechem.

Jednak Vanessa wróciła parę godzin później do rezydencji Moreland z ciężkim sercem. Nieszczęście kogoś ukochanego czasem trudniej znieść niż własne, a Meg była niewątpliwie nieszczęśliwa.

Nie to, żeby ona też była nieszczęśliwa. Tyle tylko, że...

Cóż, zaznała niezwykłego szczęścia w domu nad jeziorem, a także potem, ale pragnęła teraz czegoś więcej. Nie tylko przyjemności i poczucia bezpieczeństwa.

Była prawie pewna, że jest w ciąży. Może dzięki dziecku coś się zmieni. Ale dlaczego miałyby tak być? Wykonała tylko

zadanie, dla którego Elliott ją poślubił.

Ale nosiła w sobie dziecko. Ich dziecko. Tak rozpaczliwie chciała być znowu szczęśliwa. Nie tylko szczęśliwa sama dla siebie, wbrew temu, co wcześniej powiedziała Meg. Chciała być szczęśliwa z nim. Chciała, żeby był nieprzytomnie szczęśliwy, kiedy mu powie. Chciała...

Cóż, chciała słońca.

Jakże była niemądra.

Rzadko kiedy mieli wolny wieczór. To było, doprawdy, niezwykle wydarzenie.

Jednego z takich wieczorów Cecily poszła do teatru z grupą przyjaciół, pod opieką matki jednego z nich. Elliott po kolacji wycofał się do biblioteki. Wicehrabina matka piła herbatę w salonie razem z Vanessą. W końcu nie mogła powstrzymać ziewania i poszła się położyć.

- Czuję się tak - powiedziała, kiedy Vanessa pocałowała ją w policzek - jakbym mogła przespać tydzień.

- Przypuszczam, że jedna noc niezakłóconego snu powinna wystarczyć - odparła Vanessa. - Ale jeśli nie wystarczy, to pójdę jutro z Cecily na garden party, a ty będziesz mogła przespać się w dzień. Dobranoc, matko.

- Jesteś zawsze taka dobra. Tak się cieszę, że Elliott się z tobą ożenił. Dobranoc, Vanesso.

Vanessa siedziała przez chwilę sama, czytając książkę. Ale przygnębienie, w które ostatnio coraz częściej popadała, odwróciło jej uwagę od lektury.

Oboje byli w domu, ale Elliott siedział na dole w bibliotece, a ona na górze w salonie. Czy tak miało wyglądać ich małżeńskie życie?

Czy ona ma na to pozwolić?

Być może przyszedłby tutaj, gdyby wiedział, że matka poszła spać, a ona została sama.

Może miałby jej za złe, gdyby zeszła na dół.

A może, uznała w końcu, sama powinna się o tym przekonać. Podniosła się zdecydowanie i włożyła zakładkę do książki, żeby zaznaczyć miejsce, gdzie skończyła czytać. Dom należał także do niej, a Elliott był jej mężem. I żyli w zgodzie. Jeśli ich drogi by się rozeszły i zapanował między nimi chłód, to czułaby się winna, gdyby nie próbowała czegoś z tym zrobić.

Zastukała w drzwi biblioteki i otworzyła je w tej samej chwili, kiedy zawołał, żeby weszła.

Na kominku płonął ogień, chociaż wieczór nie był chłodny. Elliott siedział w głębokim, skórzanym fotelu, z otwartą książką w ręce.

Lubiła bibliotekę z jej wysokimi szafami pełnymi oprawnych w skórę książek, ciągnącymi się wzdłuż trzech ścian, i starym,

dębowym biurkiem, dość szerokim, żeby położyło się na nim troje ludzi.

Było tu dużo przytulniej niż w salonie. Nie miała pretensji do Elliotta, że wolał tutaj spędzać wieczory. Dzisiaj wydawało się tu jeszcze przyjemniej niż zwykle. Elliott siedział lekko zgrabiony, z kostką jednej nogi opartą na kolanie drugiej.

- Twoja matka jest zmęczona - oznajmiła. - Poszła się położyć. Nie masz nic przeciwko temu, żebym się do ciebie przyłączyła?

Wstał z książką w ręce.

- Mam nadzieję, że zostaniesz - odparł, wskazując fotel stojący z drugiej strony kominka.

Kłoda drewna zatrzeszczała w ogniu, trysnął w górę snop iskier.

Usiadła i uśmiechnęła się do niego, a potem, ponieważ nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, odchrząknęła i zaczęła czytać.

Zrobił to samo, bez chrząkania. Nie garbił się już. Obie stopy postawił na podłodze.

Jej fotel był dla niej za głęboki. Musiała siedzieć wyprostowana ze stopami parę cali nad podłogą albo ze stopami na podłodze i zgarbionymi plecami, albo ze stopami na podłodze i plecami prostymi, ale pozbawionymi oparcia.

Po paru minutach, podczas których próbowała wszystkich

trzech pozycji i żadnej nie uznała za wygodną, zrzuciła pantofle, podwinęła nogi pod siebie, poprawiła spódnicę i oparła głowę o bok fotela. Spojrzała w ogień, a potem na Elliotta.

Patrzył na nią.

- Damy tak nie siadają, wiem - odezwała się przepaszająco. - Matka i ojciec wciąż mi powtarzali, żebym siedziała właściwie. Ale ja jestem niska i większość krzeseł jest dla mnie za duża. Poza tym tak jest wygodnie.

- Tak mi się wydaje.

Uśmiechnęła się do niego i jakoś żadne nie wróciło do lektury. Patrzyli tylko na siebie.

- Opowiedz mi o swoim ojcu - powiedziała cicho.

Ciągle wspominała słowa jego matki, że miała nadzieję, że syn będzie inny niż ojciec. Elliott nigdy o nim nie mówił.

Nadal patrzył na nią w milczeniu. Potem skierował wzrok na ogień i odłożył książkę na stolik.

- Uwielbiałem go - odezwał się. - Był dla mnie wielkim bohaterem, podporą rodziny. Niedościągłym wzorem. Wszystko, co robiłem, robiłem z myślą o tym, żeby mu sprawić przyjemność. Długo przebywał poza domem. Nie mogłem się doczekać jego powrotów. Kiedy byłem mały, zwykle przesiadywałem przy bramie w parku, wypatrując jego konia czy powozu, i czasami, kiedy mi dopisało szczęście, jechaliśmy kawałek razem i miałem

go dla siebie przed matką i siostrami. Kiedy byłem starszy i zacząłem psocić razem z Conem, zachowywałem pewien umiar, bojąc się go rozczarować lub rozgniewać. Kiedy dorosłem i zaszumiało mi w głowie, w głębi duszy zawsze martwiłem się, że nigdy nie będę go wart, że nie sprostim jego oczekiwaniom.

Zamilkł na krótko. Vanessa nie próbowała się odzywać. Czowała, że jeszcze nie skończył. W jego oczach i głosie był ból, między brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka.

- Nie znałem bliższej sobie, szczęśliwszej rodziny niż nasza. Nigdy nie widziałem męża bardziej oddanego żonie ani ojca bardziej oddanego dzieciom. Pod wieloma względami życie płynęło jak idylla pomimo jego długich nieobecności. Było pełne miłości. Bardziej niż cegokolwiek na świecie pragnąłem małżeństwa i rodziny takiej jak nasza. Pragnąłem aprobaty ojca. Chciałem, żeby ludzie mogli o nas mówić: „jaki ojciec, taki syn”.

Vanessa zamknęła książkę i położyła na kolanach, nie zaznaczywszy miejsca, w którym przerwała lekturę; skrzyżowała ręce na piersi, jakby ogarnął ją chłód.

- A potem, półtora roku temu umarł nagle w łóżku kochanki. Vanessa patrzyła na niego oniemiała.

- Byli razem przez ponad trzydzieści lat - ciągnął - nieco dłużej niż trwało małżeństwo z moją matką. Mieli pięcioro dzieci, najmłodsze, piętnastoletnie, trochę młodsze od Cecily, najstarsze

trzydziestoletnie, trochę starsze ode mnie.

- Och - zdumiała się Vanessa.

- Dobrze zabezpieczył kochankę na wypadek swojej śmierci - ciągnął. - Dwóm synom zapewnił lukratywne posady. Trzeci uczęszczał jeszcze do dobrej szkoły. Znalazł odpowiednich mężów dla dwóch swoich córek. Spędzał z tamtą rodziną tyle samo czasu co z naszą.

- Och, Elliotcie - szepnęła, tak przejęta jego bólem, że łzy zaszczyły ją pod powiekami.

Spojrzał na nią.

- Zabawne, że wiedziałem o dziadku i jego drugiej rodzinie. Jego kochanka, z którą był ponad czterdzieści lat, umarła dopiero dziesięć lat temu. Z tego związku także były dzieci. Wiedziałem nawet, że to rodzaj tradycji rodzinnej - sposób, w jaki mężczyźni z rodu Wallace dowodzili swojej męskości i, jak sądzę, wyższości nad swoimi kobietami. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że mój ojciec mógł kontynuować tę tradycję.

- Och, Elliotcie. - Nie była w stanie powiedzieć nic innego.

- Sądzę, że wszyscy poza mną musieli o tym wiedzieć. Jak to się stało, że nie wiedziałem, nie mam pojęcia. Spędzałem w mieście dość czasu po powrocie z Oksfordu i myślałem, że wiem o wszystkim, co się dzieje w towarzystwie. Ale nigdy nie doszło do mnie ani jedno słowo na temat ojca. Matka wiedziała - zawsze

wiedziała. Nawet Jessica wiedziała.

Usiłowała sobie wyobrazić wstrząs, jaki przeżył, gdy przed półtora rokiem cały jego świat legł w gruzach.

- Wszystko - powiedział, jakby czytał w jej myślach - wszystko, co znałem, wszystko, co przeżywałem i w co wierzyłem, było iluzją, kłamstwem. Myślałem, że ojciec darzy nas niepodzielną miłością. Myślałem, że może jestem kimś wyjątkowym, jako syn, dziedzic, czyli ten, który miał w końcu zająć jego miejsce. Ale on miał syna starszego ode mnie, drugiego prawie dokładnie w moim wieku i troje innych dzieci. Trudno mi było przyjąć to do wiadomości. Wciąż jest trudno. Przez wszystkie te lata moja matka nie była dla niego niczym więcej jak prawowitą żoną, która zapewniła mu prawowitego dziedzica. A ja nie byłem dla niego niczym więcej jak tym prawowitym dziedzicem.

- Och, Elliotcie. - Wstała z fotela, nie zwracając uwagi, że książka spadła na podłogę. Podbiegła do niego. Usiadła mu na kolanach, objęła go i wtuliła twarz w jego ramię. - Na pewno kochał cię, mimo że miał inne dzieci. Miłość nie jest takim dobrem, którym można obdzielić tylko określoną liczbą osób. Jest bezgraniczna. Nie wątp w to, że cię kochał. Proszę cię, nie wątp.

- Te wszystkie kłamstwa - rzekł, opierając głowę na oparciu fotela. - O tym, jaki był zajęty w Londynie, jak ciężko było mu

nas opuszczać, jak bardzo za nami tęsknił, jaki czuł się bez nas samotny, jak cieszył się na powrót do domu. Wszystko kłamstwa, którymi z pewnością karmił także tę drugą rodzinę, kiedy do nich wracał.

Podniosła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz, pogładziła jego włosy.

- Nie - odparła. - Nie podawaj wszystkiego w wątpliwość, Elliotcie. Jeśli mówił, że cię kocha, jeśli czułeś, że cię kocha, to bez wątpienia tak było.

- Rzecz w tym - powiedział - że takie sytuacje nie należą do rzadkości. Mógłbym, prawie bez zastanowienia, wymienić z tuzin podobnych przypadków. To wynika ze stylu życia środowiska, w którym o wszystkim stanowi urodzenie, pozycja i majątek, a małżeństwa zawiera się z powodów czysto praktycznych. Zmysłowych przyjemności i uczuć szuka się na ogół gdzie indziej. Ale ja nie wiedziałem, że mój ojciec postępował tak samo, nawet tego nie podejrzewałem. Nagle zostałem wicehrabią Lyngate i spadły na mnie obowiązki, do których, ze swojej winy, oczywiście, nie byłem dostatecznie przygotowany. O wiele za długo wiodłem życie beztroskiego głupca. I musiałem opiekować się Jonathanem. Podołałbym wszystkiemu, choć spadło to na mnie nagle i niespodziewanie. Byłem, ostatecznie, synem swojego ojca. Ale równie nagle i niespodziewanie zostałem...

- Okradziony ze wspomnień? - podszepnęła, kiedy nagle urwał.

- Tak. Zmuszony, by sobie uświadomić, że wszystko było fałszem, ułudą. Poruszałem się w świecie, którego nie znałem.

- I - dodała - cała radość, miłość i nadzieja zniknęły z twego życia.

- Cały głupi, naiwny idealizm - stwierdził. - Bardzo szybko stałem się realistą, niemal z dnia na dzień. Doskonale zrozumiałem i przyswoiłem sobie tę lekcję.

- Och, ty biedny, niemądry człowieku. Realizm nie wyklucza miłości czy radości. On się z nich składa.

- Vanesso - powiedział, podnosząc rękę i muskając wierzchem dłoni jej policzek - gdyby wszyscy byli tak niewinni i ufni jak ty. Byłem taki półtora roku temu.

- Wszyscy powinniśmy być takimi realistami, jak ja - odparła. - Dlaczego zawsze sądzymy, że realizm to coś przykrego? Dlaczego tak trudno nam uwierzyć w coś innego niż katastrofa, przemoc i zdrada? Życie jest dobre. Nawet kiedy dobrzy ludzie umierają o wiele za młodo, a starsi nas zdradzają. Życie jest takim, jakim je uczynimy. Sami dokonujemy wyborów.

Pocałowała go lekko w usta. Współczuła bólowi, z którym tak długo nie potrafił sobie poradzić.

- A potem straciłeś także najbliższego przyjaciela? -

domyśliła się. - Straciłeś Constantine'a?

- To była ostatnia kropla - przyznał. - Przypuszczam, że częściowo z mojej winy Wmaszerowałem do Warren Hall z zapalem krzyżowca. Może by mi przeszło, gdyby wszystko okazało się w porządku. Ale tak nie było. Wkrótce zdałem sobie sprawę, że ojciec zaufał całkowicie Conowi, a Con to wykorzystał w złym celu.

- W jaki sposób? - zapytała, obejmując jego twarz rękami.

Westchnął.

- Okradał Jonathana - odparł. - Klejnoty. Pamiątki rodowe. Niemal bezcenne, choć śmiem twierdzić, że zostały sprzedane drogo. Większość zniknęła. Jonathan nic o nich nie wiedział, choć pamiętał, że ojciec kiedyś mu je pokazał. Con nie przyznał się, że je wziął, ale także nie zaprzeczył. Kiedy o tym rozmawialiśmy, zrobił tę swoją dobrze znaną minę - na pół kpiącą, na pół wyzywającą. To mnie przekonało, że moje podejrzania są słuszne. Ale nie miałem dowodu. Nie powiedziałem nikomu. To była hańba, którą czułem się zobowiązany ukryć przed światem. Ty pierwsza się o tym dowiadujesz. Nie był dobrym przyjacielem. Oszukiwał mnie przez całe życie, tak samo jak mój ojciec. To nie jest sympatyczna postać, Vanesso.

- Nie jest - przyznała ze smutkiem. Zamknął oczy. Ręce mu opadły.

- Boże - westchnął - dlaczego obarczam cię całą tą ponurą, rodzinną historią?

- Ponieważ jestem twoją żoną - odparła. - Elliotcie, nie możesz rezygnować z miłości, nawet jeśli wydaje ci się, że zdradzili cię wszyscy, których kochałeś. Tylko dwóch mężczyzn spośród tych, których znałeś, choć obaj byli ci szczególnie bliscy. I nie możesz odrzucać szczęścia, nawet jeśli twoje szczęśliwe wspomnienia wydają się teraz nieprawdziwe. Zaznasz jeszcze miłości i szczęścia.

- Czyżby? - Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- I nadzieja. Zawsze trzeba mieć nadzieję, Elliotcie.

- Trzeba? Dlaczego?

A potem, wciąż obejmując dłońmi jego twarz, zobaczyła, że w jego oczach zbierają się łzy i spływają po policzkach.

Odsunął gwałtownie głowę i rzucił przekleństwo, które powinno u niej wywołać rumieniec.

- Do diabła - powiedział, dodając do poprzedniego przekleństwa łagodniejsze. Zaczął szukać chusteczki i znalazł ją. - A niech to, Vanesso. Musisz mi wybaczyć.

Próbował zsunąć ją z kolan, odepchnąć, wykluczyć. Ale Vanessa nie zamierzała na to pozwolić. Objęła go ramionami za szyję, przyciągając jego twarz do piersi.

- Nie odsuwaj mnie - szepnęła w jego włosy. - Przestań wciąż

mnie odsuwać, Elliotcie. Nie jestem twoim ojcem czy Constantine'em. Jestem twoją żoną. I nigdy cię nie zdradzę.

Odwróciła głowę, żeby przytulić policzek do czubka jego głowy, podczas gdy on płakał rozpaczliwie.

Pomyślała, że będzie straszliwie zawstydzony, kiedy się uspokoi. Prawdopodobnie nie płakał przez wiele lat. Mężczyźni byli pod tym względem wyjątkowo niemądrzy. Płacz stanowił dla nich ujmę na honorze.

Pocałowała go w głowę i w skroń. Przesunęła palcami w jego włosach.

- Mój kochany - powiedziała cichutko. - Mój kochany.

Elliott zarezerwował stolik w ogrodach Vauxhall. Wieczór w słynnych ogrodach na południe od Tamizy należał do głównych atrakcji sezonu i twarz Vanessy rozjaśniła się z radości, kiedy zapytał, czy miałyby ochotę tam pójść.

Sprawianie przyjemności żonie stało się dla Elliotta czymś niezmiernie ważnym. Podobnie jak pewien rodzaj miłości, jaki w nim budziła. Nie potrafił - czy nie chciał - jej nazywać. Z pewnością nie był w niej zakochany - to brzmiało zbyt trywialnie. A co do zwyczajnej miłości - cóż, nauczył się jej nie ufać i nie chciał swoich uczuć do Vanessy ujmować w tak niepewnej kategorii.

Ufał Vanessie. Miał wrażenie, że w życiu kierowała się bezinteresowną miłością, którą obdarzała wszystkich bliskich, czy zasługiwali na to, czy nie.

Bóg świadkiem, że nie zasługiwał na jej miłość.

A jednak wiedział, że na swój sposób, kochała go.

Zostawiła go tamtego wieczoru w bibliotece, kiedy wreszcie odzyskał panowanie nad sobą, i nigdy od tamtej pory nie wspominała o tym zawstydzającym incydencie. Dała mu czas, żeby doszedł do siebie.

I osiągnął to. Zrozumiał, że miłość - jeśli ośmielał się użyć tego słowa - nie była przypisana poszczególnym ludziom. Ojciec

go zawiódł. Tak samo, jak Con. Ale miłość go nie zawiodła.

Miłość była darem, który otrzymywał od innych ludzi i którym mógł się dzielić.

Jego dzieci nie zawiodą się na nim, zawsze będą mogły polegać na jego miłości. A matka nauczy je przykładem, jeśli nie słowami - chociaż słów z pewnością nie zabraknie - że miłość to coś, co tkwi głęboko w każdym człowieku, że to studnia bez dna, coś, co daje szczęście nawet w najtrudniejszych chwilach.

A te dzieci - przynajmniej pierwsze - miały się pojawić całkiem niedługo. Vanessa, jak się domyślał, była w ciąży, choć się z tym nie zdradzała.

Powoli zaczął odczuwać zadowolenie ze swojego małżeństwa.

Jednak sprawienie przyjemności Vanessie nie było jedynym celem wieczoru w Vauxhall. Chodziło głównie o pannę Huxtable i młodego hrabiego Mertona, którzy za parę dni wracali do Warren Hall. Vanessa i Elliott wybierali się razem z nimi, ale wkrótce mieli znowu wrócić do Londynu na resztę sezonu.

Elliott czuł się lekko zaniepokojony łatwością, z jaką chłopiec odnalazł się w Londynie. Wciąż był o wiele za młody, żeby w pełni uczestniczyć w życiu, które w końcu miało stać się jego udziałem, ale nawiązał wiele przyjaźni z osobami starszymi od siebie, zarówno mężczyznami, jak i kobietami, i większość

czasu spędzał poza domem - na przejażdżkach konnych w parku, na wyścigach, na oglądaniu koni na aukcji w Tattersalls albo na jednej z licznych imprez, na jakie go zapraszano.

Był za młody i prawdopodobnie stanowił łatwą ofiarę dla ludzi takich jak Con, który często mu towarzyszył. Nadeszła pora, żeby go okiełznać i odesłać do domu, gdzie miał kontynuować edukację aż do czasu rozpoczęcia studiów w Oksfordzie.

Ku jego zaskoczeniu, Merton nie sprzeciwiał się, żeby wrócić do domu i podjąć naukę.

- Nie mogę jeszcze wstąpić do żadnego klubu dla dżentelmenów - powiedział, odliczając na palcach - nie mogę kupić konia ani powozu, ani robić mnóstwa innych rzeczy bez twojego pozwolenia, nie mogę też zająć miejsca w Izbie Lordów ani uczestniczyć w najciekawszych balach i wieczorach. I stało się dla mnie zupełnie jasne, że muszę nauczyć się tysiąca rzeczy, zanim będzie mi wolno to wszystko robić. Poza tym tęsknię za Warren Hall. Prawie nie miałem czasu, żeby zacząć się tam czuć jak w domu. Cieszę się z powrotu.

Elliott był pewien, że niedługo chłopiec wejdzie w okres, kiedy będzie chciał się wyszumieć. Ale miał nadzieję, że przejdzie przez to bez szwanku. Pod niespożytą energią krył się dobry charakter i poszanowanie zasad wpojonych w dzieciństwie.

Najstarsza siostra nalegała, żeby wrócić na wieś razem z nim.

Kiedy Elliott próbował ją przekonać, żeby nie martwiła się o brata, oznajmiła stanowczo, że jest bardzo zadowolona z przyjazdu do Londynu i z przyjemnością uczestniczyła w części sezonu, ale jej miejsce jest przy Stephenie i przez parę następnych lat, póki on się nie ożeni, będzie zarządzać Warren Hall. W Londynie młodsza siostra jej nie potrzebowała; Kate, do czasu powrotu Vanessy, miała się przenieść do rezydencji Moreland, pod opiekę wicehrabiny matki.

Postanowienie Meg okazało się niewzruszone.

Vanessa powiedziała Elliottowi o oświadczeniach Allinghama i odmowie Meg. Byłaby to dla niej wspaniała partia, ale zdaniem Vanessy, serce jej siostry wciąż biło dla niewiernego oficera.

Katherine także chciała wrócić do Warren Hall, kiedy dowiedziała się o planach rodzeństwa. Twierdziła, że tęskni za wiejskim spokojem. Ale za namową Cecily i Vanessy postanowiła zostać. Miała mnóstwo wielbicieli i starających się o rękę - w gruncie rzeczy nie mniej niż Cecily. Być może, uznał Elliott, nie zdawała sobie sprawy, jakie miała szczęście. Mnóstwo debutantek wiele by dało, żeby choć w połowie jej pod tym względem dorównać.

Ale jedno Elliott uświadamiał sobie z coraz większą jasnością. Życie Huxtable'ów mogło zmienić się nie do poznania, ale oni sami się nie zmieniali. Mogli się przystosować - właśnie to

robili. Ale nie można ich było zepsuć.

Miał przynajmniej nadzieję, że to dotyczy Stephena, tak samo jak jego sióstr.

Tak więc wizyta w Vauxhall miała być wieczorem pożegnalnym dla niego i Margaret. Matka Elliotta, Cecily, Averil z mężem oraz, rzecz jasna, Katherine także mieli uczestniczyć w tym spotkaniu.

Elliott wybrał wieczór z pokazem ogni sztucznych i tańcami. Szczęście im dopisało, ponieważ niebo po zmroku pozostało bezchmurne, powietrze było ciepłe, a lekki wiatr poruszał lampionami, tak że kolorowe plamy światła tańczyły wśród gałęzi i na ścieżkach, którymi przechadzali się uczestnicy zabawy.

- Och, Elliotcie, czy widziałeś kiedyś coś piękniejszego? - zapytała Vanessa, trzymając go mocno za ramię.

Vanessa i jej zachwyty! Nic nie było nigdy zwyczajnie śliczne, pyszne albo przyjemne.

- Niż twoja suknia czy nowa fryzura? - zapytał. - Tak, widziałem coś piękniejszego. Nieskończenie śliczniejszego, w gruncie rzeczy. Ciebie!

Podniosła ku niemu rozjaśnioną uśmiechem twarz.

- Ach - powiedział. - Miałaś na myśli ogrody? Tak, sądzę, że są raczej ładne, kiedy im się dobrze przyjrzeć.

Roześmiała się głośno, aż Margaret odwróciła głowę.

- Szczęśliwa? - szepnął do Vanessy, dotykając palcami jej dłoni spoczywającej na jego ramieniu.

Vanessa zamyśliła się przez chwilę.

- Tak - odparła. - O, tak, jestem szczęśliwa.

A on zaczął się zastanawiać, czy to właśnie było to - „i żyli długo i szczęśliwie”, na które zawsze się zżymał, a w które nawet ona nie wierzyła. Coś, co trudno było opisać słowami i co zaskoczyło ich oboje.

Jednak dobrze wiedział, że Vanessa znajdzie odpowiednie słowa, by z nim o tym porozmawiać.

Skrzywił się lekko, a potem uśmiechnął do siebie.

- Och, spójrz, Elliotcie - powiedziała. - Orkiestra i parkiet do tańca. Zatańczymy? Na dworze, pod gwiazdami? Czy może być coś bardziej romantycznego?

- Absolutnie nic nie przychodzi mi do głowy - odparł - poza tym, że to powinien być walc.

- Och, tak.

- A niech to - odezwał się w tej samej chwili Stephen głosem pełnym zachwytu. - Jest Constantine z towarzystwem. Mówił, że będzie tu dziś wieczorem.

Vanessa kochała tak mocno, że aż boleśnie. Bo choć odpowiedziała szczerze, kiedy Elliott zapytał niespodziewanie, czy jest szczęśliwa, była to tylko część prawdy.

Nic nie mówił od czasu tej nocy w bibliotece i nie wiedziała, czy ma do niej żal i czy czuł się upokorzony tym, że płakał w jej obecności.

Zresztą wcale nie zachowywał się tak, jakby miał do niej żal. Od tamtej pory otaczał ją czułością - zwłaszcza w nocy. Być może czyny rzeczywiście mówiły więcej niż słowa.

Ale ona potrzebowała słów.

A on, jak zwykle, nic nie mówił.

Mogłaby zadowolić się takim stanem rzeczy do końca życia. Ale Vanessa bardzo tęskniła za... Cóż, za słowami.

Przy dźwiękach dochodzącej z oddali muzyki spacerowali głównymi alejkami parku, ciesząc się widokiem drzew i rzeźb, kolumn i barwnych lampionów, wdychając zapach kwiatów, perfum i wykwintnych dań, jakie tego wieczoru podawano.

Próbowali cienkich jak papierek plasterków szynki i truskawek, z których Vauxhall słynęło. Oraz musujących win.

Rozmawiali ze znajomymi, którzy zatrzymywali się przy ich łoży.

I tańczyli - wszyscy, nawet hrabina matka.

Walc pod gwiazdami był tak romantyczny, jak tego oczekiwała Vanessa. Ona i Elliott ani na chwilę nie oderwali od siebie oczu. Uśmiechała się do niego, a on odpowiadał spojrzeniem, w którym z pewnością była czułość.

Wierzyła, że tak było. Do tego słowa nie były potrzebne.

Ale przewrotność losu sprawiła, że jej szczęście - choć większe niż zwykle przypadało w udziale innym śmiertelnikom - nie było kompletne. Elliott nie miał z tym nic wspólnego.

Pojawił się Constantine - spotykała go prawie wszędzie, gdzie dotąd bywała. I dzisiejszej nocy było jej tak samo przykro go unikać.

Uśmiechał się i czarował jak zwykle. I poświęcał im tyle samo uwagi co zwykle, choć przyszedł w innym towarzystwie. Rozmawiał ze Stephenem i zatańczył z Meg. Cecily i Kate, uczezione jego ramion, zabrał na przechadzkę i wrócili dopiero po pół godziny. Vanessa czułaby się zaniepokojona, gdyby dziewczęta nie były razem. A tak była zła na niego i na siebie. Ponieważ, choć miała powody, żeby ostrzec przed nim brata i siostry, nie zrobiła tego. Musiałaby wspomnieć panią Bromley - Hayes i kradzież, jakiej dopuścił się w Warren Hall, jeszcze za życia Jonathana. Oba tematy były dla niej bolesne i dlatego nie powiedziała nic.

Sama unikała Constantine'a, choć cały czas uśmiechał się do niej i z pewnością podszedłby, gdyby go zachęciła. Mogłaby go pewnie unikać przez resztę sezonu, zwłaszcza że przez następny tydzień miała przebywać z dala od Londynu. Ale unikanie nie było jej sposobem na życie. Kiedy przyprowadził Cecily i Kate do

łóży i zamierzał odejść, Vanessa pochyliła się w jego stronę. Elliott rozmawiał akurat ze znajomymi.

- Czy mnie też zabierzesz na spacer, Constantynie? - zapytała.

Uśmiechnął się serdecznie, a jej przyszło do głowy, że przykro tracić kuzyna zaraz potem, jak go odnalazła. Odznaczał się niewątpliwie ogromnym czarem. Ukłonił się i podał jej ramię.

- Z największą przyjemnością - oznajmił. Gdy tylko oddalili się od łóży, schylił głowę. - Myślałem, że wypadłem z twoich łask.

- Wypadłeś - odparła.

Twarz miał poważną, ale oczy śmiały mu się w świetle lampionów, kiedy weszli na szeroką aleję. Uniósł brwi, czekając na wyjaśnienia.

- Nie należało w teatrze przedstawiać pani Bromley - Hayes mnie, mojemu bratu, moim siostrom i Cecily. Ani przyprowadzać jej na debiutancki bal Cecily. Spodziewałam się po tobie czegoś lepszego. Jesteś naszym kuzynem.

Jego oczy nie wyrażały już takiego rozbawienia.

- Masz rację - przyznał. - Wybacz, Vanesso. Nigdy nie miałem zamiaru zranić ani ciebie, ani twojej rodziny. Ani Cece.

- Ale zrobiłeś to. Cecily, Stephen, Meg i Kate nie zdają sobie sprawy, że padli ofiarą niesmacznej intrygi na oczach całego towarzystwa. Ale ja tak. I mnie to dotknęło w największym

stopniu, poza Elliottem, którego, jak sędzę, rozmyślnie chciałeś postawić w kłopotliwej sytuacji. Czy myślałeś, że nie porozmawiam z Elliottem o tym, czego dowiedziałam się od pani Bromley - Hayes? Jeżeli sądziłeś, że nasze małżeństwo będzie się psuć od środka, pomyliłeś się. Moje małżeństwo ma się dobrze, a ja jestem nadal szczęśliwa. Chociaż nie pod każdym względem. Byłam szczęśliwa, poznając cię w Warren Hall. Natychmiast pokochałam cię jako kuzyna i wkrótce polubiłam jako osobę. Byłabym twoją przyjaciółką do końca życia i cieszyłabym się twoją przyjaźnią. Mogliśmy być rodziną. Ale ty to zaprzepaściłeś z czystej złośliwości i jest mi z tego powodu przykro. To wszystko, co mam ci do powiedzenia.

Całe rozbawienie zniknęło teraz z jego oczu; skręcił w boczną dróżkę, żeby uniknąć zbliżającej się z naprzeciwka hałaśliwej gromady.

- Anna z tobą rozmawiała? - zapytał. - Powiedziała ci, że jest nadal kochanką Elliotta, jak przypuszczam? Nie spodziewała się, że mu to powtórzysz i tak szybko wykryjesz jej kłamstwo. Przykro mi.

Spojrzała na niego z wyrzutem, ale milczała.

- Teraz ja też skłamałem - powiedział po chwili. - Ponieważ, rzecz jasna, wiem o twoim spotkaniu z Anną w parku. Sama mi o tym powiedziała. Przykro mi, Vanesso. Naprawdę. To z Elliottem

jestem skłócony i chciałem mu dopiec, nie zastanawiając się, że szkodzę także tobie. Wierz mi, że nigdy nie miałem takiego zamiaru.

- Jesteś z nim skłócony, ponieważ on zna twoje prawdziwe oblicze - stwierdziła. - Jestem po jego stronie, Constantinie. A twoje przeprosiny nic dla mnie nie znaczą. Mam nadzieję, że nigdy cię już nie spotkam. Nigdy z własnej woli nie wdam się z tobą w rozmowę.

- Moje prawdziwe oblicze - powtórzył z lekkim naciskiem, kiedy się zatrzymali. - Złodzieja i rozpustnika, jak przypuszczam.

Rozpustnika? A zatem było coś jeszcze, czego Elliott jej nie powiedział. .. Jeśli tak, to nie chciała o tym wiedzieć.

- Tak - odparła. - I nie możesz zaprzeczyć oskarżeniu.

- Nie mogę? - uśmiechnął się kpiąco.

Spojrzała na niego, podczas gdy ktoś potrącił ją, przechodząc; miała wciąż nadzieję, że wbrew wszystkiemu przedstawi jakieś wyjaśnienie.

- Masz rację - powiedział, kłaniając się elegancko. - Nie mogę zaprzeczyć żadnemu z oskarżeń, Vanesso, i nie zrobię tego. Tak więc w twoich oczach pozostanę czarnym charakterem. W jakiejś części masz rację. Odprowadzę cię do loży, jeśli pozwolisz. Nie sądzę, abyś chciała dalej ze mną spacerować.

- Nie chcę - odparła.

Zawrócili tą samą drogą, nie rozmawiając. Nie trzymał jej już pod rękę. Nie uszli jednak daleko, kiedy Vanessa zobaczyła Elliotta. Dążył w ich stronę ze zmarszczonym czołem.

- Zwracam ci wicehrabinę całą i zdrową - rzekł Constantine, kiedy do niego podeszli. Jego twarz znowu przybrała kpiący wyraz, w głosie brzmiało szyderstwo. - Dobrego wieczoru, Vanesso. I tobie, Elliotcie.

Odszedł, nie oglądając się za siebie.

- To ja poprosiłam, żeby zabrał mnie na spacer - wyjaśniła. - Unikałam go. Ale uświadomiłam sobie, że muszę mu powiedzieć, jak bardzo rozczarowało mnie jego zachowanie w teatrze i na balu Cecily.

Musiałam mu wyjaśnić, dlaczego nie będę z nim rozmawiać, o ile nie zmuszą mnie do tego względy kurtuazji. I musiałam mu powiedzieć, co o nim wiem. Wspomniał coś o rozpuście...

- Ach, tak. - Elliott ujął Vanessę pod ramię, prowadząc w węższą, pograżoną w mroku alejkę. - Nie chciałbym ci o tym mówić, Vanesso. Ale chyba jednak powinnaś wiedzieć. W sąsiedztwie Warren Hall mieszkają młode kobiety, które kiedyś służyły w rezydencji, a teraz same wychowują jego dzieci.

- Och. - Była wstrząśnięta. - Och, nie.

- Obawiam się, że tak. Ale nie mówmy więcej o Conie, Vanesso. Zamiast tego opowiedz mi o Hedleyu Dew.

Zwróciła ku niemu twarz w ciemności.

- O Hedleyu? - W jej głosie słychać było zdumienie.

- Kiedy opowiedziałem ci o swoim ojcu, uświadomiłem sobie, że teraz znasz ukrytą część mojej osobowości, którą powinnaś znać jako moja żona. Hedley Dew, jak sądzę, stanowi sekretną część twojej osobowości i być może jest coś jeszcze, co powinnaś mi o nim powiedzieć.

Ścieżka stała się węższa; zwolnił jej ramię, żeby ją przytulić. Była szczupła i ciepła; pomyślał, jak bardzo jej ciało go pociąga. Jej włosy pachniały delikatnie.

- Był wątki i marzycielski całe życie - powiedziała. - Zawsze wolał siedzieć w otoczeniu pięknej przyrody i rozmawiać niż uczestniczyć w hałaśliwych zabawach innych dzieci. Początkowo zaprzyjaźniłam się z nim, ponieważ było mi go żal - chętnie przyłączyłabym się do zabawy z innymi. Ale on miał ogromną wiedzę - był inteligentny i czytał zachłannie - i miał wielkie marzenia. Kiedy dorósł, włączył mnie w swoje marzenia. Zamierzaliśmy podróżować po świecie i poznawać wszelkie możliwe kultury. On... On mnie kochał. Miał przepiękny uśmiech, Elliotcie, i oczy, w których można się było utopić. Miał marzenia, w których można się było zagubić.

Podeszli do drewnianej ławki stojącej przy dróżce. Usiedli. Objął ją ramieniem.

- A potem pewnego dnia ocknęłam się z tych marzeń i zrozumiałam, że rzeczywistość jest znacznie bardziej brutalna. Był chory. Prawdopodobnie umierał. Myślę, że wiedziałam o tym, zanim wszyscy inni się dowiedzieli z wyjątkiem, być może, jego samego. A on mnie pragnął. Kochał mnie. Ja także go kochałam, ale nie w taki sposób. Moi rodzice zawsze mówili, że pewnie nigdy nie wyjdę za mąż - byłam taka pospolita w porównaniu z Meg, Kate czy dziewczynami z sąsiedztwa. Ja jednak chciałam wyjść za mąż, a Hedley był, rzecz jasna, wyjątkowo dobrą partią - jako syn sir Humphreya Dew. Mieszkał w Rundle Park. Ale i tak nie sądzę, żebym go poślubiła, gdyby mnie nie potrzebował. A potrzebował. To, że wyszłam za niego, było jedyną rzeczą, jaką mogłam mu dać, jedynym marzeniem, jakie mogłam urzeczywistnić. Było oczywiste, że inne pozostaną tylko marzeniami.

Drżała. W jej głosie brzmiał ból. Zdjął dłoń z jej ramienia i okrył ją swoim płaszczem.

- Nie chciałam tego zrobić - kontynuowała. - Był chory i umierał, a ja byłam zdrowa. Nie był dla mnie... atrakcyjny pomimo wielkiej urody. Z tego powodu czułam się winna. Bardzo często kłamałam. Powtarzałam mu wciąż, że go uwielbiam.

- I żałujesz tego? - zapytał.

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie. - Czego żałuję, to tego,

że nigdy nie zdołałam uczynić z tego prawdy. Och, to też nie jest cała prawda. Uwielbiałam go. Kochałam go całym sercem i duszą. Ale go nie kochałam.

Jeszcze parę tygodni wcześniej pokręciłby z rozpaczą głową, słysząc taki nonsens. Teraz jednak wiedział dokładnie, co miała na myśli. Był w stanie zrozumieć subtelne różnice pomiędzy różnymi rodzajami miłości.

- To, co mu dałaś, Vanesso, było najcenniejsze na świecie. Czysty dar miłości, która nie domaga się niczego w zamian.

- Tyle że ja też dostawałam - powiedziała. - Ofiarował mi tyle samo co ja jemu, Elliotcie. Nauczył mnie, jak żyć dniem dzisiejszym, jak znajdować radość w drobnych rzeczach i śmiać się w obliczu tragedii. Nauczył mnie wiele o cierpliwości i godności. I nauczył mnie, żeby się nie uzależniać. Żeby pozwolić odejść, żeby... Powiedział mi przed śmiercią, że muszę znowu kochać, wyjść za mąż i być szczęśliwa. Powiedział, że muszę się śmiać. On... - Przełknęła ślinę i jęknęła boleśnie.

Zanurzył nos w jej włosach i pocałował w czubek głowy.

- On mnie kochał. I ja jego kochałam. Tak jest. Przepraszam, Elliotcie. Naprawdę przepraszam. Kochałam go.

Wolną ręką ujął ją pod brodę i zwrócił jej twarz ku sobie. Pocałował ją, czując smak jej łez na policzkach i wargach.

- Nie powinnaś nigdy za to przepraszać. I nie powinnaś się

tego wypierać. Oczywiście, że go kochałaś. I cieszę się, że tak było. Nie byłabyś tą osobą, którą znam, gdybyś go nie kochała.

Podniosła rękę, obejmując jego twarz.

- Czy nie żałujesz okropnie, że się ze mną ożeniłeś? - zapytała.

- A czy kiedykolwiek tak było?

- Myślę, że tak. Nigdy byś mnie nie wybrał, gdybyś sam wybierał. Jestem pospolita i kłóciłam się z tobą wiele razy.

- Zdaje się, że uważałem cię za rodzaj plagi. Roześmiała się, jak się spodziewał.

- Ale nigdy nie nazwałbym cię pospolitą. Byłaś piękną w masce. I nie, nie żałuję ani okropnie, ani w żaden inny sposób. Wcale nie żałuję.

- Tak się cieszę. Zapewniłam ci zatem dobre samopoczucie? I odrobinę szczęścia?

- I odrobinę przyjemności? Wszystkie trzy rzeczy, Vanesso. A jak ty się czujesz?

- Ja też jestem szczęśliwa - wyznała, całując go lekko w usta.

To go, jak zwykle, podnieciło natychmiast. Przypuszczał, że nadszedł czas na poważną deklarację. Gdyby nie byli małżeństwem, powinien uklęknąć, ująć jej dłoń, wyznać wieczną miłość i błagać, aby uczyniła go najszczęśliwszym z ludzi.

A skoro byli już mężem i żoną, to powinien... W pobliżu coś

zatrzeszczało głośno i zaszumiało i Vanessa zerwała się na równe nogi. Co u licha?

- Ognie sztuczne! - zawołała. - Zaczyna się, Elliotcie. Och, pośpieszmy się i chodźmy je obejrzyć. Patrz! - Wskazała fontannę czerwonych iskier, która pojawiła się nad wierzchołkami drzew. - Czy widziałeś kiedyś coś bardziej podniecającego?

- Nigdy - odparł z uśmiechem, kiedy znalazła jego rękę w ciemności i pociągnęła go, zmuszając do biegu dróżką.

Na dzień przed wyjazdem brata i sióstr na wieś Katherine przeniosła się do rezydencji Moreland, żeby aż do powrotu Vanessy dalej uczestniczyć w wydarzeniach sezonu razem z Cecily i pod opieką jej matki. Cieszyła się, choć było jej też smutno, jak wyznała Vanessie i Margaret, że nie wraca z nimi do domu.

Vanessa przyszła do jej sypialni, żeby porozmawiać chwilę w cztery oczy. Chciała ostrzec siostrę, żeby uważała na Constantine'a, choć nie zamierzała zdradzać zbyt wiele z tego, co o nim wiedziała.

- Jest od ciebie sporo starszy, Kate - powiedziała. - Bardzo przystojny i czarujący. To doświadczony bywalec. Boję się, że może być trochę... Cóż, może być trochę rozwiązły. Nie byłoby mądrze ufać mu całkowicie tylko dlatego, że jest naszym kuzynem w drugiej linii.

- Och, nie musisz się martwić, Nessie - odparła Kate ze śmiechem, siedząc na środku łóżka i obejmując kolana. - Wiem, że znieubiłaś ostatnio Constantine'a, ponieważ lord Lyngate się z nim pokłócił. Nie wiem, z jakiego powodu i nie chcę wiedzieć, to dotyczy ich dwóch. Ale nasz kuzyn jest równie surową przyzwoitką, jak mogłabyś być ty, Meg czy lady Lyngate.

Vanessa uniosła brwi ze zdziwieniem.

- Przyzwoitką?

- Cecily czasem trochę wariuje, kiedy nie widzi jej mama, ty lub lord Lyngate - powiedziała Katherine. - Spodziewała się, że przy Constantine będzie mogła rozmawiać z każdym dżentelmenem, którego poznała chociaż przelotnie, a nawet spacerować z nim, zostawiając mnie z naszym kuzynem. Podejrzewam nawet, że parę z tych przypadkowych spotkań zostało przedtem potajemnie umówionych. Ale Constantine na to nie pozwolił i chociaż ma bardzo pogodne usposobienie i nigdy nie sprawia Cecily przykrości, dał jej jasno do zrozumienia, że przy nim nie może pozwolić sobie na więcej niż w towarzystwie mamy. A także wymienił mężczyzn, z którymi znajomości nie powinniśmy podtrzymywać. Może jest rozwiązał z kimś innym - sądzę, że wielu dżentelmenów takich jest. Ale z nami jest zawsze uosobieniem honoru i przyzwoitości.

- Naprawdę? - zdumiała się Vanessa. - Miło mi to słyszeć.

I było jej bardziej przykro niż kiedykolwiek, że kłótnia Constantine'a z Elliottem miała takie konsekwencje. I że zachował się tak niegodnie w Warren Hall, kiedy żył Jonathan. Ale przecież nie był potworem i nie należało podejrzewać, że nie potrafi postępować, jak należy.

- Jednak nie powinnaś zostawać z nim sam na sam, Kate.

- On nigdy by na to nie pozwolił, nawet gdybym tego chciała

- oznajmiła siostra. - Poza tym, Nessie, on także za parę dni wyjeżdża. Kupił dom i ziemię w Gloucestershire i zamierza tam się osiedlić.

- Tak?

- Będzie mi go brakowało. Ogromnie go lubię.

A więc z pewnością nie był biedny, pomyślała Vanessa. A ojciec nie zostawił mu takiego majątku, żeby stać go było na kupno ziemskiej posiadłości. Potem przypomniała sobie pamiątki i klejnoty, które podobno ukradł, i westchnęła głośno.

- Pewnego dnia w parku, podczas przejażdżki odbył rozmowę ze Stephenem - oznajmiła Katherine. - Radził mu wrócić do Warren Hall, zająć się nauką i dowiedzieć wszystkiego, co tylko możliwe o zarządzaniu majątkiem i wymaganiach związanych z jego pozycją. Zapewnił Stephena, że później, kiedy będzie pełnoletni, starczy mu czasu, żeby się wyszumieć i cieszyć pełnią życia. Chociaż nie wolno mu zapominać, że jest hrabią Merton i musi zrobić wszystko, żeby być wartym tego tytułu. Stephen powtórzył mi to wszystko. A następnego dnia lord Lyngate także powiedział, że powinien wrócić do domu. Stephen ogromnie podziwia i szanuje obu. Czy to nie straszne, że się wzajemnie nienawidzą?

- Tak - odparła Vanessa z westchnieniem.

Czy kiedykolwiek zrozumie Constantine'a? O ileż wygodniej

było dzielić ludzi na bohaterów i złoczyńców i spodziewać się, że odegrają swoje role. A co, jeśli ktoś pasował do obu kategorii?

Było to jedno z tych pytań bez odpowiedzi, w jakie obfitowało życie.

- Pora iść - powiedziała, wstając i obejmując siostrę. - Elliott na mnie czeka. Wrócimy za tydzień lub za dziesięć dni. Baw się dobrze, Kate. Będzie mi ciebie brakowało.

- A mnie ciebie - odrzekła Katherine, przytulając się do niej na chwilę. - Często myślę o tym dniu, kiedy Tom Hubbard przyniósł do szkoły nowinę, że w gospodzie w Throckbridge zatrzymał się wicehrabia, a ja pobiegłam do domu, żeby zawiadomić ciebie i Meg i zgadywać, co go tutaj sprowadziło. A potem poszłyśmy na zabawę i on tańczył tylko z tobą. A następnego dnia przyszedł do nas, żeby zmienić nasze życie na zawsze. Czasami żałuję, że tak się stało, ale czasu nie da się zawrócić, prawda? I dla ciebie z pewnością wszystko ułożyło się jak najlepiej.

- Tak - przyznała Vanessa.

- A czasami w ogóle niczego nie żałuję - ciągnęła Katherine.

- Wtedy myślę, że to nowe życie wszystkim nam wyjdzie na dobre, jeśli zdobędziemy się na odwagę, żeby skorzystać z tego, co nam oferuje.

Vanessa uśmiechnęła się.

- Oczywiście, że tak - powiedziała, myśląc ze smutkiem o Meg. - Po to jest życie.

Elliott wiedział, że właściwie nie ma potrzeby, by wracał na wieś w środku sezonu. Merton z radością zgodził się na powrót do domu i do nauki. A Margaret umiała dopilnować, żeby jego uwaga nie błądziła zanadto w inne rejony. Samson razem z szefem służby i gospodynią bardzo kompetentnie prowadzili dom i zarządzali majątkiem, a obaj nauczyciele, pełni zapału, tylko czekali, żeby zająć się znowu swoim uczniem.

Ale być może obowiązki stanowiły jedynie pretekst. Nie chodziło o to, że nie bawił się dobrze w Londynie. Czy też, że nie bawił się dobrze w towarzystwie Vanessy. Ale wciąż wracał wspomnieniami do tych paru dni po ślubie - które Vanessa określiła kiedyś jako ich miesiąc miodowy.

Mężczyźnie powinno być dane spędzić w odosobnieniu z własną żoną dość czasu, żeby ją dobrze poznać, żeby nauczyć się z nią żyć wygodnie i przyjemnie.

Żeby się w niej zakochać.

Może niemądrze usiłował wrócić do tamtych magicznych dni.

Prawdopodobnie to było niemądre.

Prawie cały pierwszy dzień spędzili w Warren Hall. Nie obiecali, że przyjadą następnego dnia, choć powiedzieli, że to

niewykluczone. Dzień był słoneczny i niemal bezwietrzny. Prawdę mówiąc, było dość gorąco. Wspaniały dzień na przejażdżkę konną albo jazdę otwartym powozem.

Wspaniały dzień na...

- Czy naprawdę chcesz dzisiaj jechać do Warren Hall? - zapytał Vanessę przy śniadaniu. - Czy może wolałabyś spokojny dzień w domu? Może spacer nad jeziorem?

- We dwoje?

- Tak, we dwoje.

- Przypuszczam, że Stephen będzie cały dzień zajęty - powiedziała. - Może lepiej mu nie przeszkadzać. A Meg zamierzała spędzić przedpołudnie z gospodynią, a popołudnie - jeśli pogoda pozwoli - w ogrodzie różanym, zastanawiając się, co można by w nim poprawić. Jak na razie, nie pada.

- A więc jej także nie powinniśmy przeszkadzać.

- Tak sędzę - zgodziła się.

- Nad jezioro zatem?

- Nad jezioro.

Uśmiechnęła się nagle i uśmiech rozjaśnił nie tylko jej usta i oczy, ale, jak się wydawało, całą jej istotę. Zawsze w takich chwilach czuł się oszołomiony.

- Tak, chodźmy nad jezioro, Elliotcie. Nawet jeśli żonkile już nie kwitną.

- Ale przyroda nigdy nas nie zawodzi - powiedział - niezależnie od pory roku.

Jeśli nie będzie uważał, wkrótce zacznie pisać wiersze. Ale jego słowa okazały się prorocze. Żonkili, rzecz jasna, dawno już nie było, ale na ich miejscu wyrosły błękitne dzwonki, zaścielając dywanem zbocze, na którym wiosną kwitły żonkile.

- Och, Elliotcie - odezwała się, kiedy spacerowali brzegiem. - Czy może być coś piękniejszego?

Wszystko wokół było błękitne lub zielone, od wody poprzez trawę, kwiaty, drzewa, aż do nieba. Nawet jej suknia była niebieska, a słomkowy kapelusz przyozdobiony niebieskimi wstążkami.

- Żonkile były równie śliczne - stwierdził z przekonaniem - ale nie śliczniejszy.

- Elliotcie. - Zatrzymała się i ujęła jego dłoń. - Nigdy nie byłam tak szczęśliwa jak tutaj, przez te trzy dni. Choć to może nie cała prawda, bo potem też byłam szczęśliwa. Teraz jestem szczęśliwa. Chcę, żebyś o tym wiedział. Przyrzekłam szczęście tobie, ale to na mnie spłynęło błogosławieństwo.

- Niemożliwe. - Uścisnął mocniej jej rękę. - Jeśli czujesz się błogosławiona, Vanesso, to na pewno nie bardziej ode mnie. A jeśli jesteś szczęśliwa, to nie możesz być szczęśliwsza niż ja.

Otworzyła szeroko oczy i rozchyliła wargi.

- Jestem szczęśliwy - wyszeptał, całując jej dłonie. Po raz pierwszy wydawało się, że straciła mowę.

Sam wolałby milczeć. Ale jeśli teraz tego nie powie, być może nigdy się na to nie zdobędzie. A sądził, że dla kobiet to ogromnie ważne. Być może tak samo ważne jak dla mężczyzn.

- Kocham cię - wyznał. Jej oczy zalśniły od łez.

- Kocham cię - powtórzył. - Jestem w tobie zakochany po uszy. Uwielbiam cię. Kocham cię.

Zagryzła wargę.

- Elliotcie, nie musisz...

Palcem wskazującym stanowczo zamknął jej usta.

- Stałaś mi się równie niezbędna jak powietrze, którym oddycham - ciągnął. - Jesteś światłem mojej duszy, promieniem, który ogrzewa moje serce. Nauczyłaś mnie znowu ufać i kochać. Kocham cię bardziej, niż kochałem kiedykolwiek przedtem. Bardziej niż sądziłem, że to możliwe. I jeśli myślisz, że robię z siebie durnia taką romantyczną paplaniną tylko dlatego, żebyś się czuła lepiej ze swoim wyznaniem, że jesteś szczęśliwa, to będę musiał uciec się do drastycznych kroków.

Rozpromieniła się z radości. Dwie łzy spływały po jej policzkach. Zamrugła, żeby powstrzymać następne.

- Jakich? - zapytała.

Uśmiechnął się, uświadamiając sobie, że stało się - przestał

się bronić przed miłością. Objęła delikatnie jego twarz.

- Och, mój kochany - powiedziała. - Mój kochany.

Te same słowa wypowiedziała tamtej nocy w bibliotece, kiedy płakał. Wtedy ledwie je usłyszał, ale teraz usłyszał ich echo. Zrozumiał że kochała go od dawna. Miłość leżała w jej naturze, ale pokochała właśnie jego.

- Czy masz mi coś do powiedzenia? - zapytał. Przechyliła głowę na bok.

- Dziecko - oznajmiła. - Będzie dziecko, Elliotcie. Może to będzie twój dziedzic.

- Jestem szczęśliwy, że będziemy mieli dziecko. Syn, córka: to naprawdę bez znaczenia. - Pochylił głowę i dotknął czołem jej czoła.

Otoczyła ramionami jego szyję.

- Cieszę się, że właśnie tutaj mówimy o tym po raz pierwszy. Cieszę się, że to tu powiedziałeś mi, że mnie kochasz. Zawsze, zawsze będę kochać to miejsce, Elliotcie. Stanie się dla mnie święte.

- Nie nadto święte, mam nadzieję - odparł. - Przyszło mi właśnie do głowy, że nie padało od paru dni i ziemia powinna być sucha. A, jak już wiemy, to odosobnione miejsce. Nikt tu nie zagląda.

- Poza nami - dodała.

- Poza nami.

Zdjął płaszcz i rozłożył go wśród dzwonek, może dokładnie w tym samym miejscu, gdzie leżeli wśród żonkili podczas swojego miesiąca miodowego.

Położyli się wśród kwiatów i kochali, znajdując zaspokojenie i rozkosz.

Zadyszani uśmiechnęli się do siebie.

- Przypuszczam, że będę musiał za to zapłacić. Kazesz mi zerwać naręcze dzwonek do domu?

- Och, znacznie więcej. Musi ich być tak dużo, że ledwo dadzą się unieść. W każdym pokoju postawimy bukiet kwiatów.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece. To było nie było, pałac. Kiedy niedawno próbowałem zliczyć pokoje, stwierdziłem, że nie potrafię.

Roześmiała się.

- A zatem lepiej nie traćmy czasu.

Wstał i podał jej rękę. Chwycił ją w ramiona. Stali przez chwilę, tuląc się do siebie w milczeniu.

Ale mieli jeszcze zrywać kwiaty. Tyle, żeby wypełnić nimi cały dom.

Czekało ich pełne radosne życie.

Czego innego mógł oczekiwać mężczyzna, który ożenił się z Vanessą?

Uśmiechnął się do niej i zabrał do dzieła.